

*Pocatuj mnie, gdy zasnę*

**Linda Howard**

## Rozdział I

### Paryż

Lily przechyliła głowę i uśmiechnęła się do swojego towarzysza, Salvatore Nerviego, gdy maitre d'hotel cicho i z gracją wskazał jej miejsce przy najlepszym stoliku w restauracji. Przynajmniej ten uśmiech był prawdziwy - poza nim niemal wszystko w niej było fałszem. Barwione szkła kontaktowe zmieniły jasny arktyczny błękit jej oczu w ciepły orzechowy karmel; jasne włosy zostały ufarbowane na ciemny brąz z subtelnymi pasemkami. Farbowała odrosty co kilka dni, by nie pokazał się zdradziecki blond. Dla Salvatore Nerviego była Denise Morel; nazwisko dość popularne, we Francji pełno jest Morelów, ale nie na tyle pospolite, by wzbudzić podejrzenia. Salvatore Nervi był podejrzliwy; to uratowało mu życie wiele razy, nawet nie pamiętał już ile. Ale jeśli tego wieczoru wszystko się uda, sam da się złapać. Cóż za ironia losu.

Sfabrykowana przeszłość Lily miała tylko kilka warstw; nie było czasu przygotować jej staranniej. Zaryzykowała, licząc na to, że Salvatore nie każe swoim ludziom szukać głębiej, że nie będzie miał dość cierpliwości, by czekać na odpowiedzi, zanim zacznie się do niej przedstawiać. Zwykle, gdy potrzebowała fałszywej przeszłości, przygotowywało ją dla niej Langley, ale tym razem była zdana na siebie. Zrobiła, co się dało, w czasie, jaki miała. Rodrigo, najstarszy syn Salvatore i drugi po Bogu w organizacji Nervich, pewnie wciąż węższy; Lily miała niewiele czasu, nim Rodrigo odkryje, że Denise Morel pojawiła się znikąd zaledwie parę miesięcy wcześniej.

- Ach! - Salvatore rozsiadł się na krześle z westchnieniem zadowolenia i odwzajemnił jej uśmiech. Był przystojnym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce. Typowy Włoch: lśniące, czarne włosy, ciemne oczy i zmysłowe usta. Starał się zachować formę i nie zaczął jeszcze siwieć; chyba, że był równie dobry jak Lily w farbowaniu odrostów. - Wyglądasz dziś wyjątkowo uroczo, mówiłem ci to już?

Miał też typowo włoski urok. Szkoda, że był bezwzględny mordercą. Ale cóż, ona mogła to samo powiedzieć o sobie. Pod tym względem byli sobie równi, choć Lily miała nadzieję, że nie do końca. Potrzebowała przewagi, choćby minimalnej.

- Owszem - odparła, ale złagodziła szorstki ton ciepłym spojrzeniem. Mówiła z paryskim akcentem; ćwiczyła długo i wytrwale, by go doszlifować. — I dziękuję jeszcze raz.

Kierownik restauracji, monsieur Durand, podszedł do stolika i skłonił się z szacunkiem.

- Jak miło znów pana widzieć, monsieur. Mam dobre wieści: zdobyliśmy butelkę Chateau Maximilien z osiemdziesiątego drugiego. Przyjechała zaledwie wczoraj i kiedy zobaczyłem pańską rezerwację, zostawiłem ją dla pana.

- Doskonale! - ucieszył się Salvatore. Osiemdziesiąty drugi był doskonałym rocznikiem dla bordeaux. Pozostało z niego bardzo niewiele butelek, osiągały więc najwyższe ceny. Salvatore, znawca win, był skłonny zapłacić każdą cenę, by dostać rzadki trunek. Uwielbiał wino. Nie kupował win tylko po to, by je mieć; pił je, cieszył się nimi, rozwodził poetycko nad smakiem i bukietem. Z rozpromienioną twarzą zwrócił się do Lily. - To wino to ambrozja, przekonasz się.

- Wątpię - odparła spokojnie. - Nigdy nie smakowało mi żadne wino. - Od początku dawała mu jasno do zrozumienia, że nie jest typową Francuzką. Nie lubi wina, a jej kubki smakowe mają niewybaczalnie plebejskie przyzwyczajenia. Tak naprawdę lubiła wypić kieliszek wina od czasu do czasu, ale przy Salvatore nie była Lily, tylko Denise Morel, a Denise pijała wyłącznie kawę i wodę mineralną.

- To się jeszcze okaże. - Roześmiał się Salvatore. Jednak zamówił dla niej kawę.

To była ich trzecia randka; Lily od samego początku grała o wiele chłodniejszą, niż Salvatore by sobie życzył; odrzuciła jego pierwsze i drugie zaproszenie. Było to skalkulowane ryzyko - działanie mające uspić jego czujność. Salvatore przywykł, że ludzie zabiegają o jego uwagę i przychylność, więc jej pozorny brak zainteresowania tylko podsycił nim zainteresowanie jej osobą. Tak to już jest z ludźmi mającymi władzę - spodziewają się, że to inni będą zwracać na nich uwagę. Lily nie zamierzała też ulec jego gustom, jak w przypadku wina. Podczas dwóch poprzednich randek próbował ją namówić, by spróbowała jego wina, ale stanowczo odmówiła. Nigdy dotąd nie spotykał się z kobietą, która nie usiłowała automatycznie go zadowolić, i był nią zaintrygowany.

Nienawidziła przebywać w jego towarzystwie, nienawidziła się do niego uśmiechać, gawędzić z nim, znosić jego choćby najbardziej niewinny dotyk. Przeważnie udawało jej się kontrolować własny żal, zmuszać do koncentracji na zadaniu, ale czasami gniew i ból sprawiały, że z trudem powstrzymywała się, by się nie rzucić na Salvatore.

Zastrzełaby go, gdyby mogła, ale miał doskonałą ochronę. Lily była przeszukiwana, nim dopuszczano ją w jego pobliże; ich pierwsze dwa spotkania odbyły się na imprezach towarzyskich, przed którymi rewidowano wszystkich gości. Salvatore nigdy nie wsiadał do samochodu na otwartej przestrzeni; jego kierowca zawsze podjeżdżał pod osłonięty portyk, by szef mógł bezpiecznie wsiąść, i nie woził go w miejsca, w których musiałby wsiąść bez osłony. Gdy w jakimś miejscu bezpieczne wyjście z auta nie było możliwe, Salvatore po prostu tam nie jechał. Na pewno miał też ukryte wyjście ze swojego paryskiego domu, ale Lily jeszcze go nie znalazła.

Ta restauracja była jego ulubioną, bo miała dyskretne, zabudowane wejście, z którego korzystała większość klientów. Lokal był też ekskluzywny; lista czekających na rezerwację była długa i przeważnie ignorowana. Klienci dobrze płacili, żeby zjeść w miejscu znanym i bezpiecznym, a kierownik lokalu poczynił niemało starań, by im to bezpieczeństwo zapewnić. Przy oknach od frontu zamiast stolików stały wielkie kompozycje kwiatowe. Ceglane kolumny w sali jadalnej przesłaniały widok tak, że nie sposób było obserwować wewnątrz przez okna. Między stolikami kręciła się armia kelnerów w czarnych smokingach, napełniających kieliszki, opróżniających popielniczki, zmiatających okruszki i spełniających wszelkie życzenia gości, zanim zostały wypowiedziane. Ulica na zewnątrz była zastawiona samochodami z drzwiami z grubej stali, kuloodpornymi szybami i wzmocnionymi podwoziami. Siedzieli w nich uzbrojeni ochroniarze, którzy obserwowali ulicę i okna pobliskich budynków, wypatrując jakiegokolwiek zagrożenia, prawdziwego czy wymyślnego.

Najprostszym sposobem na zlikwidowanie restauracji z jej niesławnymi klientami byłoby wystrzelenie w nią kierowanego pocisku raketowego. Niestety, Lily nie miała takiego pocisku. Sięgnęła więc po inną broń. Trucizna znajdowała się w bordeaux, które miało zostać za chwilę podane, i była tak silna, że nawet pół szklanki gwarantowało śmiertelną skuteczność. Kierownik poruszył niebo i ziemię, by zdobyć to wino dla Salvatore, natomiast Lily poruszyła niebo i ziemię, by monsieur Durand dowiedział się o możliwości jego kupna. Gdy miała już pewność, że Salvatore zaprosi ją tu na kolację, zaaranżowała dostawę.

Wiedziała, że Salvatore spróbuje ją namówić, aby skosztowała wina, lecz tak naprawdę nie zdziwi go odmowa.

Za to z pewnością będzie się po niej spodziewał, że zgodzi się na wspólną noc; cóż, miało go spotkać rozczarowanie. Lily nienawidziła go tak bardzo, że ledwie znosiła pocałunki w policzek, zmuszając się, by nie okazywać niechęci. Prędzej by umarła, niż pozwoliła mu na coś więcej. Poza tym nie chciała być przy nim, kiedy trucizna zacznie działać - co powinno nastąpić cztery

do ośmiu godzin po zażyciu, jeśli doktor Speer nie pomylił się w swoich przewidywaniach. W tym czasie ona będzie zajęta ucieczką z kraju.

Gdy Salvatore zorientuje się, że coś jest nie tak, będzie już za późno; trucizna zdąży zrobić swoje, uszkadzając nerki, wątrobę, serce. Nastąpi ciężka niewydolność wielonarządowa. Salvatore może przeżyć jeszcze kilka godzin, a nawet cały dzień, lecz w końcu jego organizm ostatecznie przestanie funkcjonować. Rodrigo przeczesze całą Francję, szukając Denise Morel, ona jednak rozplynie się w powietrzu - przynajmniej na jakiś czas. Nie miała zamiaru zniknąć na zawsze.

W normalnych okolicznościach nie zdecydowałaby się na truciznę, ale obsesja Salvatore na punkcie bezpieczeństwa ograniczyła jej wybór do tej metody. Ulubioną bronią Lily był pistolet i użyłaby go, nawet wiedząc, że sama zostanie zastrzelona - niestety nie zdołała wymyślić żadnego sposobu, by zbliżyć się do Salvatore z pistoletem. Gdyby nie pracowała sama, może... A może i nie. Salvatore przeżył wiele zamachów na swoje życie i z każdego z nich wyciągał wnioski. Nawet snajper nie znalazłby okazji do czystego strzału. Nerviego można było zabić tylko trucizną albo bronią masowego rażenia, która uśmierciłaby też wszystkich wokół. Lily nie miałaby nic przeciwko uśmierceniu Rodriga czy kogokolwiek innego z organizacji, ale Salvatore był na tyle sprytny, by zawsze mieć wokół siebie niewinnych ludzi. A ona nie potrafiła zabijać tak przypadkowo, tak bezwzględnie. To właśnie odróżniało ją od Salvatore. Być może była to jedyna różnica, ale dla własnego zdrowia psychicznego Lily musiała ją zachować.

Miała trzydzieści siedem lat. Robiła to, odkąd skończyła osiemnaście, czyli przez ponad połowę życia była zabójczynią, i to cholernie dobrą - dlatego tak długo utrzymała się w branży. Początkowo jej głównym atutem był wiek: młodziutkiej dziewczyny nikt nie traktował jako zagrożenia. Teraz nie miała już tego atutu, ale doświadczenie dawało jej inne. To samo doświadczenie sprawiło jednak, że czuła się zużyta, krucha jak pęknięta skorupka jajka: jeszcze jeden solidny cios i roztrzaska się do reszty.

A może roztrzaskała się już dawno, tylko jeszcze nie zdała sobie z tego sprawy. Wiedziała, że nie pozostało jej już nic, jakby jej życie było jałową pustynią. Miała przed sobą tylko jeden cel: Salvatore Nervi niedługo będzie gryzł ziemię, a za nim pójdzie reszta jego organizacji. On był pierwszy i najważniejszy, bo wydał rozkaz zamordowania ludzi, których kochała najbardziej na świecie. Poza tym celem nie widziała niczego - nadziei, radości, blasku słońca. Fakt, że prawdopodobnie nie przeżyje misji, którą sobie wyznaczyła, nie miał żadnego znaczenia.

Nie oznaczało to jednak, że zamierzała się poddać. Było dla niej kwestią zawodowej dumy, aby nie tylko wykonać zadanie, lecz i wyjść z niego cała. A w głębi jej duszy wciąż tliła się bardzo ludzka nadzieja, że jeśli tylko wytrwa, któregoś dnia ten tępy ból zelżeje, ona zaś na nowo odnajdzie radość. Chyba właśnie nadzieja sprawia, że ludzie brną uparcie naprzód, nawet zmiażdżeni rozpaczą - sprawia, że tak naprawdę niewielu się poddaje.

Nie miała złudzeń co do trudności zadania i swoich szans przeżycia. Wiedziała, że gdy je wykona, będzie musiała zniknąć bez śladu. Urzędasy w Waszyngtonie nie podziękują jej za zlikwidowanie Nerviego. Ludzie z firmy będą jej szukać tak jak Rodrigo i wszystko jedno, kto ją dopadnie, rezultat będzie identyczny. Zerwała się ze smyczy, co oznaczało, że jest nie tylko spisana na straty - bo zawsze była - ale i że jej śmierć stanie się pożądana. Krótko mówiąc, znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Nie mogła wrócić do domu, bo tak naprawdę nie miała już domu. Nie mogła narażać matki ani siostry. Z żadną z nich nie rozmawiała od jakichś dwóch... nie, to już cztery lata, od kiedy ostatnio dzwoniła do matki. Albo pięć. Wiedziała, że obie mają się dobrze - trzymała rękę na pulsie - ale zdawała sobie sprawę, że nie należy już do ich świata, a one nigdy nie zrozumieją jej świata. Nie widziała się z rodziną od niemal dziesięciu lat. Jej rodziną stali się przyjaciele z

branży - i zostali wymordowani. Od momentu, gdy rozeszła się pogłoska, że to Salvatore jest odpowiedzialny za śmierć jej przyjaciół, skupiła się na jednym: zbliżyć się do Nerviego na tyle, by móc go zabić. Nervi nawet nie próbował ukrywać faktu, że kazał ich zamordować; wykorzystał swój czyn jako lekcję dla wszystkich zainteresowanych, że wchodzenie mu w drogę nie jest dobrym pomysłem. Nie bał się policji - przy swoich układach był nietykalny. Miał w kieszeni tylu ludzi na wysokich stanowiskach — nie tylko we Francji, ale także w całej Europie - że mógł robić, co mu się podobało.

Zdała sobie sprawę, że Salvatore jest lekko zirytowany, bo mówił coś do niej, a ona ewidentnie go nie słuchała.

- Przepraszam - rzuciła. - Martwię się o mamę. Dzwoniła dzisiaj i powiedziała, że spadła ze schodków werandy. Twierdzi, że nic jej nie jest, ale chyba powinnam tam jutro pojechać i się upewnić. Mama jest już po siedemdziesiątce, a starsi ludzie łatwo łamią sobie kości.

Było to zřejcne kłamstwo, i to nie tylko dlatego, że Lily naprawdę myślała o matce. Salvatore, jako Włoch z krwi i kości, wielbił swoją matkę i rozumiał oddanie rodzinie. Na jego twarzy natychmiast pojawiła się troska.

- Tak, oczywiście, że musisz jechać. Gdzie ona mieszka?

- W Tuluzie. - Lily wymieniła miasto jak najbardziej oddalone od Paryża. Jeśli Salvatore wspomni synowi o Tuluzie, może jej to dać kilka cennych godzin, gdy Rodrigo będzie jej szukał na południu. Oczywiście równie dobrze Rodrigo może założyć, że wymieniła Tuluzę, by zamydlć mu oczy. Nie mogła jednak zwracać sobie głowy gdybaniem o gdybaniu Rodriga. Musi trzymać się planu i mieć nadzieję, że wypali.

- Kiedy wrócisz?

- Pojutrze, jeśli wszystko będzie w porządku. Jeśli nie... - Wzruszyła ramionami.

- Więc musimy jak najlepiej wykorzystać dzisiejszy wieczór. - Żar w jego ciemnych oczach wyraźnie sugerował, co ma na myśli.

Zamiast ukrywać prawdziwe emocje, cofnęła się odrobinę i uniosła brwi.

- Może - odparła chłodno. - A może nie.

Jej chłód tylko podsycił żar w jego oczach. Lily pomyślała, że pewnie Salvatore przypomniał sobie szczenięce lata, kiedy zalecał się do zmarłej żony, matki jego dzieci. Włoskie dziewczęta z jego pokolenia pilnie strzegły swojej cnoty. A może wciąż to robią - nie miała wielu kontaktów z młodymi dziewczętami z żadnego kraju. Podeszło dwóch kelnerów; jeden dzierzył butelkę wina jak bezcenny skarb, drugi przyniósł Lily kawę. Podziękowała uśmiechem, gdy postawił filiżankę, i zajęła się dolewaniem śmietanki, pozornie nie zwracając uwagi na Salvatore, przed którym kelner odgrywał przedstawienie z otwieraniem butelki i podawaniem korka do powąchania. Koneserzy win poważnie traktowali tę szopkę; ona nigdy jej nie rozumiała. Dla niej jedynym rytuałem mającym sens w przypadku wina było nalanie go do kieliszka i wypicie. Nie miała ochoty wachać korka.

Gdy Salvatore z zadowoleniem skinął głową, kelner, poważnie i z całą świadomością podziwiającej go publiczności, nalał odrobinę wina do jego kieliszka. Nervi uniosł kieliszek, zakręcił winem, powąchał bukiet i w końcu posmakował.

- Och! - westchnął, przymykając oczy. - Cudowne.

Kelner skłonił się, jakby „cudowność” wina była jego osobistą zasługą, po czym postawił butelkę na stole i odszedł.

- Musisz spróbować - powiedział Salvatore do Lily.

- To by było marnotrawstwo - odparła i upiła kawę. - Dla mnie to jest przyjemny smak. Wino tylko by go zepsuło.

- To wino sprawi, że zmienisz zdanie, obiecuję.

- Już niejedni mi to obiecywali. I wszyscy się mylili.

- Tylko łyček, dla posmakowania - zachęcał i po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach błysk gniewu. Salvatore Nervi nie był przyzwyczajony, by ktokolwiek mówił mu „nie”, a zwłaszcza kobieta, którą zaszczycił swoją atencją.

- Nie lubię wina...

- Tego nie próbowałaś. - Wziął butelkę, napełnił drugi kieliszek i podał jej. - Jeśli nie uznasz, że jest boskie, nigdy więcej nie poproszę cię o spróbowanie jakiegokolwiek wina. Masz moje słowo.

Cóż, zapewne, skoro będzie martwy. Ona zresztą też, jeśli wypije to wino.

Kiedy pokręciła głową, naprawdę się zdenerwował. Stuknął głośno kieliszkiem o stół.

- Nie robisz niczego, o co cię proszę - burknął, patrząc na nią gniewnie. - Zastanawiam się, dlaczego w ogóle tu jesteś. Może powinienem cię uwolnić od swojego towarzystwa i zakończyć ten wieczór?

Niczego nie pragnęła bardziej - gdyby tylko wypił więcej wina. Jeden łyk nie dostarczy mu wystarczającej dawki trucizny. Trucizna jest wyjątkowo toksyczna, a Lily wstrzyknęła przez korek dość, by powalić kilku ludzi jego wzrostu, ale jeśli Nervi wyjdzie stąd rozgniewany, co stanie się z odkorkowaną butelką? Czy zabierze ją ze sobą, czy wypadnie z restauracji, zostawiając butelkę na stole? Lily wiedziała, że tak drogiego wina się nie wylewa. Albo wypije je inny klient, albo podzieli się nim personel.

- Dobrze - powiedziała, biorąc kieliszek. Podniosła go do ust i prze chyliła, pozwalając, by wino obmyło jej zaciśnięte wargi, ale nie łykając ani kropelki. Czy trucizna wchłania się przez skórę? Była tego prawie pewna; doktor Speer kazał jej zakładać lateksowe rękawiczki przy wszelkich manipulacjach. Bała się, że ta noc okaże się bardzo interesująca w sposób, którego nie zaplanowała, ale nie mogła zrobić nic innego. Nie mogła też strącić butelki na podłogę, bo wtedy nie dałoby się uniknąć kontaktu obsługi z winem przy sprzątanu.

Nawet nie próbowała ukryć dreszczu, który wstrząsnął nią na tę myśl; pospiesznie odstawiła kieliszek na stół i otarła usta serwetką, składając ją starannie, by nie dotknąć wilgotnego miejsca.

- I co? - zapytał Salvatore, choć dostrzegł jej dreszcz.

- Zgniłe winogrona - odparła i znów się wzdrygnęła.

Zrobił minę, jakby raził go piorun.

- Zgniłe...? - Nie mógł uwierzyć, że nie smakowało jej jego wspaniałe wino.

- Tak. Czuję smak surowca, którym, niestety, są zgniłe winogrona. Zadowolony? - Pozwoliła, by i w jej oczach błysnęła gniewna iskra. - Nie lubię, gdy się mnie do czegoś zmusza.

- Ja nie...

- Owszem, tak. Grożąc mi, że więcej się ze mną nie spotkasz. Wypił kolejny łyk wina, by zyskać trochę czasu, nim odpowiedział.

- Przepraszam. Nie jestem przyzwyczajony...

- Słyszeć „nie”? - zapytała i napiła się kawy. Czy kofeina przyspieszy działanie trucizny? Czy śmietanka w kawie je spowolni?

Była gotowa się poświęcić, gdyby mogła oddać jeden celny strzał w jego głowę; czy ta sytuacja była inna? Zminimalizowała ryzyko, jak tylko się dało, ale mimo wszystko ryzykowała, a otrucie to paskudna śmierć.

Salvatore wzruszył ramionami i spojrzął na nią żałośnie.

- Właśnie - potwierdził. Potrafił być naprawdę uroczy. Gdyby nie wiedziała, kim naprawdę jest, mogłaby się dać nabrać; gdyby nie widziała trzech grobów, w których spoczywała dwójka jej najbliższych przyjaciół i ich adoptowana córka, mogłaby stwierdzić filozoficznie, że w tym

biznesie śmierć to przewidywalny wynik. Averill i Tina znali ryzyko, kiedy wchodzili w tę grę, tak jak i ona je znała. Ale trzynastoletnia Zia była niewinna. Lily nie potrafiła zapomnieć Zii. Nie potrafiła spojrzeć na to filozoficznie.

Trzy godziny później, po leniwie skonsumowanym posiłku, gdy cała butelka wina chlupotała w żołądku Salvatore, wstali od stolika i wyszli. Było tuż po północy; listopadowe nocne niebo wypluwało rzadkie płatki śniegu, które topniały w kontakcie z mokrymi ulicami. Lily czuła mdłości, ale były raczej wynikiem silnego napięcia, a nie spożycia trucizny, której efekty miały być odczuwalne po czasie dłuższym niż trzy godziny.

- Zdaje się, że coś mi zaszkodziło - powiedziała, gdy siedzieli już w samochodzie.

Salvatore westchnął.

- Nie musisz udawać choroby, żeby nie jechać ze mną do domu.

- Niczego nie udaję - odparła ostro.

Salvatore odwrócił głowę i zapatrzył się w światła Paryża przemykające za oknem. Na szczęście wypił całe wino; widocznie ją uznał za stracony przypadek.

Oparła głowę o poduszkę i zamknęła oczy. Nie, to nie było napięcie. Mdłości z każdą chwilą przybierały na sile. Poczła narastający ucisk w gardle.

- Zatrzymaj samochód, zaraz zwymiotuję!

Kierowca wdepnął hamulec - interesujące, że ta groźba kazała mu zadziałać instynktownie, wbrew wyszkoleniu. Lily otworzyła drzwi, zanim opony znieruchomiały na asfalcie, wychyliła się na zewnątrz i zwymiotowała do rynsztoka. Czuła jedną dłoń Salvatore na plecach, a drugą na ramieniu; przytrzymał ją, choć uważał, by nie wychylić się zbyt daleko i nie wystawić na ewentualny strzał.

Gdy skurcze opróżniły jej żołądek, opadła z powrotem na siedzenie i otarła usta chusteczką, którą podał jej Salvatore.

- Przepraszam - wyszeptała drżącym głosem.

- To ja jestem ci winien przeprosiny - odparł. - Nie sądziłem, że naprawdę źle się czujesz. Mam cię zawieźć do lekarza? Mógłbym zadzwonić do mojego doktora...

- Nie, już mi trochę lepiej - skłamała. - Proszę, odwieź mnie do domu.

Odwiózł, zadając w drodze całą masę zatroskanych pytań i obiecując zadzwonić z samego rana. Kiedy kierowca stanął przed budynkiem, w którym wynajmowała mieszkanie, Lily poklepała Salvatore po dłoni i powiedziała:

- Tak, proszę, zadzwoń jutro, ale nie całuj mnie, mogłam złapać jakiegoś wirusa.

Z tą zręczną wymówką otuliła się płaszczem i pobięła w gęstniejącym śniegu do drzwi kamienicy, nie oglądając się za siebie, gdy samochód odjeżdżał.

Weszła do mieszkania i padła na najbliższy fotel. Nie było mowy o zebraniu niezbędnych rzeczy i jeździe na lotnisko, jak planowała. Może to i lepiej. Ostatecznie wystawienie się na niebezpieczeństwo jest najlepszym kamuflażem. Skoro ona też pochorowała się od zatrucia, Rodrigo nie będzie jej podejrzewał i nie będzie go obchodziło, co się z nią stanie, gdy wyzdrowieje.

Jeśli w ogóle przeżyje, oczywiście.

Poczła ogromny spokój, czekając na to, co miało się stać.

## Rozdział 2

Tuż po dziewiątej następnego ranka jej drzwi otworzyły się z trzaskiem, wybite kopniakiem. Weszło trzech mężczyzn; wszyscy mieli wyciągniętą broń. Lily próbowała unieść głowę, ale opuściła ją z jękiem na dywanik przykrywający ciemne drewno podłogi.

Jeden z mężczyzn ukląkł przy niej i bez ceregieli obrócił ku sobie jej twarz. Zamrugła,

próbując skupić wzrok. Rodrigo. Przełknęła ślinę i uniosła ku niemu rękę w milczącym błaganiu o pomoc.

Nie udawała. Noc była długa i ciężka. Lily wymiotowała wiele razy, czuła na przemian fale gorąca i zimna. Ostry ból przeszywał jej żołądek; myślała, że zażyta dawka jednak była śmiertelna. Ale teraz wydawało się, że ból słabnie. Nadal nie miała siły, by wdrapać się z podłogi na kanapę albo choćby zadzwonić po pomoc. Zeszłego wieczoru próbowała dotrzeć do telefonu, lecz nie zdołała go osiągnąć.

Rodrigo zaklął po włosku, schował broń i wyszczeekał rozkazy do jednego ze swoich ludzi.

Lily zdołała wyszeptać:

- Nie podchodź... tak blisko. To może być... zakaźne.

- Nie - odparł. - To nie jest zakaźne.

Po chwili poczuła na sobie miękkiego koca; Rodrigo otulił ją, wziął na ręce i bez wysiłku wstał z podłogi.

Wyszedł z mieszkania i zbiegł schodami od tyłu, gdzie czekał jego samochód z włączonym silnikiem. Kierowca, widząc Rodriga, wyskoczył i otworzył drzwi.

Lily została ulokowana na tylnym siedzeniu, między Rodrigiem a jednym z jego ludzi. Zamknęła oczy i jęknęła słabo, gdy ostry ból znów przeszył jej żołądek niczym sztylet. Nie miała siły siedzieć prosto; poczuła, że przechyla się powoli na bok. Rodrigo burknął zirytowany, ale przesunął się tak, by mogła się o niego oprzeć.

Główną część jej świadomości zajmowało cierpienie fizyczne, ale niewielka, chłodna część mózgu pozostała odseparowana, przytomna. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło; ani to grożące od trucizny, ani od Rodriga. Na razie wstrzymywał się od wniosków, lecz nic poza tym. No i zabierał ją gdzieś, gdzie udzieli jej pomocy lekarskiej - przynajmniej taką miała nadzieję. Gdyby Rodrigo chciał ją zabić, zrobiłby to w mieszkaniu, a potem wywiózł ciało. Nie wiedziała, czy ktokolwiek widział, jak wynosił ją z domu, ale szanse na to były spore, nawet jeśli skorzystał z tylnego wyjścia. Choć pewnie jego i tak niewiele to obchodziło. Zakładała, że Salvatore jest albo martwy, albo umierający, a Rodrigo został głową organizacji Nervich, odziedziczył więc ogromną władzę, zarówno finansową, jak i polityczną. Jego ojciec miał mnóstwo ludzi w kieszeni.

Lily próbowała utrzymać otwarte oczy, by obserwować trasę, którą wiózł ich kierowca, ale powieki wciąż jej opadały. Do diabła z tym, pomyślała w końcu, i przestała walczyć. Dokądkolwiek zabiera ją Rodrigo, nie mogła nic na to poradzić.

Mężczyźni w samochodzie milczeli, nie rzucali nawet luźnych uwag. Atmosfera była ciężka i napięta, wyczuwało się w niej smutek, niepokój, może nawet gniew. Lily nie potrafiła tego stwierdzić, a skoro nie rozmawiali, nie mogła podsłuchiwać. Nawet hałas samochodów z zewnątrz zdawał się cichnąć, aż nie pozostało nic.

Brama kompleksu zaczęła się odsuwać. Kierowca, Tadeo, wprowadził białego mercedesa przez lukę, mając ledwie kilka centymetrów luzu po każdej stronie. Gdy zatrzymali się pod portykiem, wyskoczył, by otworzyć drzwi; dopiero wtedy Rodrigo przesunął Denise Morel na siedzeniu. Jej głowa bezwładnie poleciała do tyłu. Rodrigo zrozumiał, że kobieta jest nieprzytomna. Twarz miała trupio bladą, oczy zapadnięte, a jej skóra wydzieliała specyficzny zapach - taki sam, jaki otaczał jego ojca.

Rodrigo z trudem opanował ból. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Salvatore nie żyje. Tak po prostu, pstryk, i już było po nim. Wieść jeszcze się nie rozeszła, ale to była tylko kwestia czasu. Rodrigo nie mógł pozwolić sobie na żałobę: nie był mu dany ten luksus. Musiał działać szybko. Wysłał trzech ludzi, by sprowadzili monsieur Duranda z restauracji, a sam zabrał Lamberta i Cesare oraz Tadea jako kierowcę i pojechał szukać Denise Morel. Ona była ostatnią osobą, z



którą przybywał ojciec, a trucizna to broń kobiet, pośrednia i nieokreślona, pełna niewiadomych i zależna od szczęśliwego trafu. W tym przypadku okazała się skuteczna.

Ale jeśli ojciec zginął z ręki tej kobiety, to najwidoczniej otruła też siebie, zamiast uciec z kraju. Nie spodziewał się znaleźć Denise w mieszkaniu, bo Salvatore wspomniał mu o jej planowanym wyjeździe do Tuluzy do chorej matki. Rodrigo uznał to za wygodną wymówkę. Okazało się, że się pomylił - a przynajmniej pomyłka była na tyle prawdopodobna, że nie zastrzelił kobiety na miejscu.

Wysiadł z samochodu, zahaczył ręce pod jej pachami i wyciągnął za sobą. Tadeo podparł ją, by Rodrigo mógł wsunąć rękę pod kolana i ją unieść. Była średniego wzrostu, niecałe metr siedemdziesiąt, i raczej szczupła, więc choć zwisała bezwładnie, bez wysiłku wniósł ją do środka.

- Czy doktor Giordano jeszcze jest? - zapytał i otrzymał twierdzącą odpowiedź. - Proszę mu powiedzieć, że go potrzebuję.

Wniósł kobietę na górę, do jednego z pokojów gościnnych. Byłoby lepiej, gdyby trafiła do szpitala, ale Rodrigo nie miał ochoty odpowiadać na pytania. Urzędnicy potrafią być irytująco skrupulatni. Jeśli ona umrze - trudno; zrobił wszystko, co mógł. Vincenzo jest prawdziwym doktorem medycyny, nawet jeśli nie prowadzi już praktyki i spędza cały swój czas w ufundowanym przez Salvatore laboratorium na przedmieściach Paryża. Gdyby Salvatore wcześniej wezwał pomoc i poprosił, żeby go zabrano do szpitala, może wciąż by żył. Ale Rodrigo nie kwestionował decyzji ojca, by sprowadzić doktora Giordano; nawet ją rozumiał. W razie nawet najpoważniejszej niedyspozycji dyskrekcja to konieczność.

Położył Denise na łóżku i spojrzał na nią. Zastanawiał się, dlaczego ojciec był nią tak oczarowany. Owszem, Salvatore zawsze oglądał się za spódniczkami, ale w tej kobiecie nie było nic niezwykłego. Teraz wyglądała koszmarnie, błada jak ściana, z rozczochranymi włosami, lecz nawet w najlepszych chwilach nie mogła być piękna. Twarz miała trochę za szczupłą, rysy zbyt ostre, a do tego lekki przodozgryz. Ta wada zgryzu sprawiała, że górna warga była pełniejsza niż doba, i właściwie tylko to dodawało pikanterii jej rysom, które bez tego byłyby jej całkiem pozbawione.

Paryż jest pełen kobiet piękniejszych i obdarzonych lepszym wyczuciem stylu, ale Salvatore zapragnął akurat Denise Morel, i to tak bardzo, że wystartował do niej, zanim została dokładnie sprawdzona. Gdy zaś odrzuciła pierwsze dwa zaproszenia, niecierpliwość Salvatore przerodziła się w obsesję. Czy z powodu tej obsesji stracił czujność? Czy ta kobieta jest odpowiedzialna za jego śmierć?

Rodrigo, przepelniony bólem i wściekłością, byłby ją udusił na miejscu już za samą taką możliwość, ale spod tych emocji przebił się chłodny głos, napominający, że być może Denise powie coś, co doprowadzi go do truciela.

Musiał odkryć, kto to zrobił, i wyeliminować go - albo ją. Organizacja Nervich nie mogła puścić tego płazem, nie narażając na szwank jego reputacji. A że właśnie zajmował miejsce ojca, nie dopuści, by ktokolwiek wątpił w jego kwalifikacje czy determinację. Musiał odnaleźć wroga. Na nieszczęście możliwości były nieskończone. Kiedy człowiek miał do czynienia ze śmiercią i pieniędzmi, cały świat wchodził w grę. Ponieważ Denise też została otruta, sprawcą mogła być nawet jakaś zazdrosna była kochanka ojca - albo dawny kochanek Denise. Rodrigo wszystkich musiał brać pod uwagę.

Vincenzo Giordano zapukał w futrynę otwartych drzwi i wszedł do środka. Rodrigo spojrzał na niego; doktor wyglądał nędznie, jego zwykle schludne szpakowate loki były rozczochrane, jakby je targał. Dobry doktorek był przyjacielem ojca od dziecka i nie wstydził się łez, kiedy Salvatore zmarł niecałe dwie godziny temu.

- Dlaczego ona też nie umarła? - zapytał Rodrigo, wskazując kobietę na łóżku.

Vincenzo zbadał puls Denise i osłuchał jej serce.

- Jeszcze może umrzeć - powiedział, przecierając dłonią znużoną twarz. - Jej serce bije za szybko i za słabo. Ale może nie przyjęła tyle trucizny, co twój ojciec.

- Wciąż uważasz, że to grzyby?

- Powiedziałem, że objawy wskazują na zatrucie grzybami... a przynajmniej większość z nich. Ale są różnice. Po pierwsze, szybkość działania. Salvatore był wysokim, potężnym mężczyzną i nie czuł się chory, gdy wrócił do domu wczoraj wieczorem. A zaledwie sześć godzin później już nie żył. Grzyby działają wolniej; nawet najbardziej toksyczne potrzebują niemal dwóch dni, by zabić. Objawy były bardzo podobne, ale czas działania już nie.

- Więc może cyjanek albo strychnina?

- Nie strychnina, objawy były inne. A cyjanek zabija w ciągu kilku minut i wywołuje konwulsje. Salvatore nie miał konwulsji. Symptomy zatrucia arsenikiem też są trochę podobne, ale nie do końca, więc i to można wykluczyć.

- Czy jest jakiś sposób, by dokładnie określić, co zostało użyte? Vincenzo westchnął.

- Nie jestem nawet pewien, czy to w ogóle była trucizna. To może być zakażenie jakimś drobnoustrojem, a w takim przypadku wszyscy byliśmy wystawieni na jego działanie.

- Więc dlaczego kierowca ojca nie zachorował? Jeśli to wirus, który działa w ciągu kilku godzin, to i on powinien być chory.

- Powiedziałem, że to może być zakażenie, a nie, że jest. Mogę przeprowadzić testy, zbadać wątrobę i nerki Salvatore i porównać wyniki badania jego krwi z wynikami... Jak ona się nazywa?

- Denise Morel.

- A tak, teraz pamiętam. Mówił o niej. - Ciemne oczy Vincenza były pełne smutku. - Myślę, że był zakochany.

- E tam. W końcu straciłby zainteresowanie. Zawsze tak było. - Rodrigo pokręcił głową, jakby chciał rozjaśnić myśli. - Ale dość o tym. Możesz ją uratować?

- Nie. Albo przeżyje, albo nie. Nie mogę nic zrobić.

Rodrigo zostawił Vincenza, by ten mógł spokojnie zbadać Denise, i zszedł do sali w piwnicy, gdzie jego ludzie przetrzymywali monsieur Duranda. Francuz był już lekko sfatygowany; z jego nosa płynęły cienkie strużki krwi, ale ludzie Rodriga skoncentrowali się raczej na ciosach w tułów, bardziej bolesnych i nie tak widocznych.

- Monsieur Nervi! - Na widok Rodriga kierownik restauracji rozpląkał się z ulgi. - Proszę, cokolwiek się stało, ja nic o tym nie wiem. Przysięgam panu!

Rodrigo przysunął sobie krzesło i usiadł przed monsieur Durandem, rozpierając się wygodnie i krzyżując w kostkach długie nogi.

- Wczoraj wieczorem w pańskiej restauracji mój ojciec zjadł coś, co mu zaszkodziło - powiedział.

Na twarz Francuza wypłynął wyraz kompletnego osłupienia. Rodrigo niemal czytał mu w myślach: stłuczono go na kwaśne jabłko, bo Salvatore Nervi dostał niestrawności?

- Ale... ale... - zaczął się jąkać monsieur Durand. - Zwrócę mu pieniądze, oczywiście, wystarczyło tylko poprosić. To nie było konieczne - ośmielił się zasugerować.

- Czy jadł grzyby? - zapytał Rodrigo.

Kolejne zdumione spojrzenie.

- Przecież wie, że nie jadł. Zamówił kurczę w sosie winnym ze szparagami, a mademoiselle

Morel jadła halibuta. Nie, nie było grzybów.

Jeden z mężczyzn w pokoju, stały szofer Salvatore, Fronte, pochylił się i szepnął coś do ucha Rodriga. Ten skinął głową.

- Fronte mówi, że mademoiselle Morel zachorowała tuż po wyjściu z restauracji. - Więc ją dopadło pierwszą, pomyślał Rodrigo. Czy pierwsza zażyła truciznę, cokolwiek to było? Czy też na nią podziałała szybciej z powodu mniejszej masy ciała?

- To nie było moje jedzenie, monsieur - zapewnił Durand. - Żaden inny klient się nie rozchorował ani nie narzekał. Halibut nikomu nie zaszkodził, a nawet gdyby, to monsieur Nervi go nie jadł.

- Jakie potrawy jedli oboje?

- Żadnych - odparł bez zastanowienia Francuz. - Może z wyjątkiem chleba, choć nie widziałem, żeby mademoiselle Morel jadła pieczywo. Monsieur pił wino, wyjątkowe bordeaux, Chateau Maximilien rocznik osiemdziesiąty drugi, a mademoiselle piła kawę, jak zwykle. Monsieur namówił ją, by spróbowała wina, ale nie przypadło jej do gustu.

- Więc oboje pili wino.

- Mademoiselle tylko mały łyżeczek. Jak mówiłem, nie posmakowało jej. Mademoiselle nie pije wina. - Bardzo galijskie wzruszenie ramion mówiło, że Durand nie rozumie takiego dziwactwa, ale cóż poradzić.

Ale wczoraj wieczorem napiła się wina, nawet jeśli był to tylko mały łyżeczek. Czy trucizna była tak silna, że ten jeden łyk zagroził życiu Denise?

- Zostało coś z tego wina?

- Nie. Monsieur Nervi wypił wszystko.

Nie było w tym nic niezwykłego. Salvatore miał wyjątkowo mocną głowę, czego skutek był taki, że pił więcej niż większość Włochów.

- A butelka? Ma pan ją jeszcze?

- Na pewno jest w pojemniku na śmieci. Za restauracją.

Rodrigo rozkazał dwóm ludziom przeszukać śmieci i odnaleźć pustą butelkę po bordeaux, po czym znów zwrócił się do Duranda.

- Pozostanie pan moim gościem - uśmiechnął się ponuro - dopóki butelka i resztki wina nie zostaną zbadane.

- Ale to może...

- Potrwać wiele dni. Tak. Jestem pewien, że pan zrozumie. - Być może Vincenzo w swoim laboratorium zdoła szybciej uzyskać wyniki, ale to się dopiero okaże.

Monsieur Durand się zawahał.

- Czy... pański ojciec jest bardzo chory?

- Nie - odparł Rodrigo, wstając z krzesła. - Jest martwy.

Te słowa przeszły jego serce niczym sztylet.

Następnego dnia Lily wiedziała już, że przeżyje; doktor Giordano potrzebował dwóch kolejnych, by stwierdzić to samo. Dopiero po trzech dniach poczuła się na tyle dobrze, by wstać z łóżka i wziąć kąpiel, której bardzo potrzebowała. Nogi miała tak słabe, że musiała trzymać się mebli, aby dojść do łazienki; kręciło jej się w głowie i wszystko pływało jej przed oczami, ale wiedziała, że najgorsze już za nią.

Desperacko walczyła o zachowanie przytomności, odmawiając przyjmowania leków przeciwbólowych, które próbował podawać jej doktor Giordano. Owszem, zemdląca w drodze do zamkniętego kompleksu Nervich - bo ewidentnie właśnie w nim się znalazła - ale nie dała się otumanić. Choć doskonale znała francuski, nie był jej pierwszym językiem; pod wpływem

środków uspokajających mogłaby się zdradzić ze swoim amerykańskim angielskim. Udawała, że boi się, iż umrze we śnie, że czuje się na siłach walczyć z trucizną, pod warunkiem że pozostaje przytomna, więc choć doktor Giordano wiedział, że to śmieszne z medycznego punktu widzenia, zastosował się do jej życzeń. Czasami, jak mówił, psychiczna kondycja pacjenta ma większy wpływ na wyzdrowienie niż stan fizyczny.

Kiedy z ogromnym trudem Lily wyszła z luksusowej marmurowej łazienki, Rodrigo siedział na krześle przy łóżku, czekając na nią. Ubrany w czerń - czarny golf i czarne spodnie - wyglądał jak mroczny omen w kremowobiałej sypialni.

Wszystkie jej zmysły natychmiast przeszły w stan wyższej gotowości. Nie mogła pogrywać sobie z Rodrigiem, tak jak to robiła z Salvatore. Po pierwsze, mimo całej przebiegłości Salvatore, jego syn był inteligentniejszy, bardziej bezwzględny i cwańszy - a to już wiele mówiło. Po drugie, Salvatore na nią leciał, a Rodrigo nie. Dla ojca była pożądaną zdobyczą, ale Rodrigo, trzy lata od niej młodszy, miał całą masę własnych zdobyczy.

Na piżamę, przywiezioną wczoraj z jej mieszkania, narzuciła gruby turecki szlafrok, który znalazła na wieszaku w łazience. Rodrigo był jednym z tych buchających otwartą seksualnością mężczyzn, silnie działających na kobiety; a ona nie była całkowicie uodporniona na tę jego cechę, choć wiedziała o nim dość, by krew krzepła jej w żyłach z obrzydzenia. Większość grzechów ojca była i jego grzechami, choć akurat nie ponosił odpowiedzialności za morderstwa, które pchnęły ją do zemsty; przypadkiem był w tym czasie w Ameryce Południowej.

Dobrnęła do łóżka i usiadła na nim. Przełknęła ślinę i powiedziała:

- Uratowałeś mi życie. - Głos miała drżący, słaby. Sama była drżąca i słaba, nie byłaby w stanie się bronić.

Wzruszył ramionami.

- Właściwie to nie. Vincenzo... doktor Giordano mówi, że nie był w stanie ci pomóc. Sama doszłaś do siebie, choć nie bez trwałego uszczerbku. Doktor wspomniawszy coś o uszkodzonej zastawce w sercu.

Giordano powiedział jej to samo tego ranka. Ale wiedziała, jaką cenę może zapłacić, podejmując to ryzyko.

- Ale z wątrową będzie wszystko w porządku - ciągnął Rodrigo. - Już lepiej wyglądasz.

- Wciąż nie mam pojęcia, co mi było. Skąd wiedziałeś, że jestem chora? Czy Salvatore też się rozchorował?

- Tak - odparł Rodrigo. - I nie wyzdrowiał.

Spodziewał się po niej innej reakcji niż „och, to świetnie”, więc Lily przywołała wspomnienie Averilla, Tiny i Zii, jej jasnej, wesołej twarzy i nieustannej paplaniny. Tak bardzo tęskniła za Zią... Łzy napłynęły jej do oczu; pozwoliła im pociec po policzkach.

- To była trucizna - powiedział Rodrigo tak spokojnie, jakby komentował pogodę. Nie dała się zwieść; musiała nim targać furia. - W winie, które wypił. Wygląda na syntetyczną toksynę stworzoną na zamówienie, bardzo silną. Gdy pojawią się objawy, jest już za późno na ratunek. Monsieur Durand z restauracji mówi, że próbowałaś tego wina.

- Tak, jeden łyk. - Otarła łzy. - Nie lubię wina, ale Salvatore się upierał i zaczynał się już złościć, że nie chcę spróbować, więc spróbowałam... tylko jeden mały łyżeczek, żeby mu zrobić przyjemność. Było paskudne.

- Masz szczęście. Zdaniem Vincenza trucizna jest tak silna, że gdybyś wypiała choć odrobinę więcej, już byś nie żyła.

Zadrżała na wspomnienie bólu i wymiotów; rozchorowała się tak strasznie, choć przecież nie połknęła ani odrobiny, wino tylko dotknęło jej warg.

- Kto to zrobił? Przecież każdy mógł wypić to wino. Może to był jakiś terrorysta, któremu

wszystko jedno, kogo zabije?

- Myślę, że chodziło o mojego ojca; jego zamiłowanie do wina było powszechnie znane. Chateau Maximilien z osiemdziesiątego drugiego jest bardzo rzadkie, a jednak butelka w tajemniczy sposób stała się osiągalna dla monsieur Duranda na dzień przed rezerwacją ojca w restauracji.

- Ale przecież mógł zaproponować to wino komukolwiek.

- I zaryzykować, że mój ojciec dowiedziałby się, że nie on je dostał? Nie sądzę. To dowodzi, że truciciel dużo wie na temat monsieur Duranda i jego klienteli.

- Ale butelka została odkorkowana przy nas. W jaki sposób zatruto wino?

- Sądzę, że użyto bardzo cienkiej igły, by wstrzyknąć truciznę przez korek. Można także otworzyć butelkę, a potem zakorkować na nowo, jeśli ma się odpowiedni sprzęt. Na szczęście dla monsieur Duranda nie sądzę, by to on był winny, ani też kelner, który was obsługiwał.

Lily pozostawała w pionowej pozycji tak długo, że trzęsła się z osłabienia. Rodrigo zauważył, że jej ciało drży.

- Możesz tu zostać, dopóki całkiem nie dojdiesz do siebie - powiedział uprzejmie, wstając z krzesła. - Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wystarczy poprosić.

- Dziękuję - odparła, po czym wygłosiła największe kłamstwo swojego życia: - Rodrigo, tak mi przykro z powodu Salvatore. Był... był... - Mordercą i sukinsynem, który zamienił się w martwego mordercę i sukinsyna. Lily zdołała wycisnąć jeszcze jedną łzę, myśląc o drobnej twarzy Zii.

- Dziękuję za kondolencje - rzekł sucho i wyszedł z pokoju.

Nie odtańczyła tańca zwycięstwa; była zbyt słaba, a poza tym w pokoju mogły być ukryte kamery. Położyła się, szukając zapomnienia we śnie, ale uczucie triumfu nie pozwoliło jej na nic więcej niż lekką drzemkę.

Część zadania została wykonana. Teraz musi tylko zniknąć, nim Rodrigo zorientuje się, że Denise Morel nie istnieje.

### Rozdział 3

Dwa dni później Rodrigo i jego młodszy brat Damone stali przy grobach rodziców. Ich matka i ojciec znów byli razem, złączeni po śmierci, jak złączeni byli za życia. Część kwiatów, które pokryły mogiłę Salvatore, synowie przelożyli na grób matki.

Było chłodno, ale słonecznie, wiał lekki wiatr. Damone włożył ręce do kieszeni i zapatrzył się w błękitne niebo; jego przystojna twarz zmizerniała od żałoby.

- Co zamierzasz? - spytał brata.

- Dowiem się, kto to zrobił, i zabiję go - odparł Rodrigo bez wahania. Obaj odwrócili się i ruszyli, oddalając się od grobów. - Dam też informację do prasy o śmierci taty; nie można dłużej trzymać tego w tajemnicy. Ta wiadomość zdenerwuje wielu ludzi; zaczną się obawiać o status różnych umów, które pozostają teraz w mojej gestii, i będę musiał się tym zająć. Możemy stracić trochę przychodów, ale nie stanie się nic, z czym byśmy sobie nie poradzili. A straty będą krótkoterminowe. Dochód ze szczepionki zrekompensuje nam to z nawiązką. Ogromną nawiązką.

- Vincenzo nadrabia stracony czas? - zapytał Damone. Był lepszym biznesmenem niż Rodrigo i to on zarządzał finansami ze swojej kwatery głównej w Szwajcarii.

- Nie tak szybko, jak liczyliśmy, ale prace postępują. Zapewnia mnie, że skończy do lata.

- W takim razie idzie mu lepiej, niż się spodziewałem, biorąc pod uwagę rozmiar strat. - Incydent w laboratorium niemal doszczętnie zniszczył projekt Vincenza.

- On i jego ludzie spędzają w laboratorium całe dni, od rana do wieczora. - A będą spędzać także noce, jeśli Rodrigo uzna, że mają opóźnienia. Szczepionka była zbyt ważna, by mógł pozwolić Vincenzowi na niedotrzymanie terminu.

- Informuj mnie na bieżąco - poprosił Damone; ze względów bezpieczeństwa umówili się, że nie będą się spotykać, dopóki truciciel nie zostanie zidentyfikowany i zatrzymany. Odwrócił się i spojrzął na świeży grób; jego ciemne oczy przepełniał ból. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć - szepnął.

- Wiem.

Uściskali się, nie wstydząc się wzruszenia, po czym wsiedli do swoich samochodów, by pojechać na prywatne lotnisko, skąd każdy miał wrócić własnym firmowym odrzutowcem do domu. Rodrigo czerpał pociechę z obecności młodszego brata. Mimo smutnej okazji tego spotkania dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Teraz wracali do swoich imperiów, oddzielnych, lecz nierozzerwalnie związanych - Damone, by pilnować pieniędzy, Rodrigo, by odnaleźć zabójcę i pomścić ojca. Rodrigo wiedział, że jakiegokolwiek kroki podejmie, Damone go wesprze.

Ale prawda była taka, że nie poczynił żadnych postępów w poszukiwaniach zabójcy Salvatore. Vincenzo wciąż analizował truciznę, gdyż wyniki mogły dać wskazówkę co do jej pochodzenia, a Rodrigo bacznie obserwował rywali, czekając na najmniejszą zmianę w sposobie prowadzenia interesów, na jakikolwiek znak, iż wiedzieli o śmierci Salvatore. Konkurenci byli najbardziej podejrzani, ale Rodrigo nie wykluczał nikogo. To mógł być ktoś z ich własnej organizacji albo ktoś z kręgów rządowych. Salvatore doił wiele krów naraz i najwyraźniej ktoś stał się na tyle chciwy, by zapragnąć całego mleka dla siebie. Rodrigo musiał odkryć, o którą krowę chodzi.

- Odwieź mademoiselle Morel do domu - polecił Rodrigo Tadeowi po tygodniu jej pobytu w posiadłości. Denise trzymała się już pewnie na nogach, a choć rzadko opuszczała pokój, nie czuł się dobrze, mając pod dachem intruza. Wciąż był zajęty umacnianiem swojej pozycji. Kilku ludzi uznało, iż nie jest on człowiekiem takiego formatu jak ojciec, i próbowali podważyć jego autorytet. To zmusiło go, by kazać ich zabić, więc w domu działy się rzeczy, których obcy człowiek nie powinien widzieć ani słyszeć. Rodrigo wiedział, że poczuje się o wiele lepiej, kiedy dom znów stanie się bezpieczną przystanią.

Przyprowadzenie samochodu i zapakowanie do niego kobiety z jej skromnym dobytkiem zajęło tylko kilka minut. Gdy Tadeo odjechał z Francuzką, Rodrigo poszedł do gabinetu Salvatore - teraz jego gabinetu - i usiadł za wielkim rzeźbionym biurkiem, które ojciec tak uwielbiał. Raport Vincenza na temat trucizny wyizolowanej z osadu wina w butelce leżał na blacie. Rodrigo przejrzał go już wcześniej, ale teraz znów po niego sięgnął i przestudiował dokładnie, analizując każdy szczegół.

Według Vincenza trucizna została spreparowana w laboratorium chemicznym. Posiadała niektóre właściwości orellaniny, toksyny znajdującej się w śmiertelnie trującym grzybie o nazwie hełmówka. Orellanina atakuje liczne organy wewnętrzne, głównie wątrobę, nerki i serce, a także system nerwowy, ale jest też znana z powolnego działania. Objawy występują przez dziesięć godzin lub dłużej, po czym ofiara pozornie wraca do zdrowia, by umrzeć po kilku miesiącach. Trucizna wykazywała też pewne pokrewieństwo z minoksidilem, który powoduje bradykardię, niewydolność serca, hipotensję i upośledzenie oddychania, co utrudnia ofierze dojście do siebie po zażyciu syntetycznej orellaniny. Minoksidil działa szybko, orellanina powoli; obie te właściwości połączono tak, by wystąpiło opóźnienie, ale tylko kilkugodzinne.

Vincenzo twierdził również, że na świecie jest zaledwie kilku chemików zdolnych stworzyć coś takiego, i ani jeden z nich nie pracuje w szanowanej firmie farmaceutycznej. Ze względu na specyfikę pracy wynajęcie ich kosztuje krocie, a kontakt jest bardzo utrudniony. Ta szczególna trucizna - tak silna, że niecałe trzydzieści gramów może zabić dorosłego mężczyznę - musiała kosztować fortunę.

Rodrigo odłożył raport i pogrążył się w rozmyślaniach. Logika podpowiadała, że zabójca jest biznesowym rywalem lub kimś, kto chciał pomścić jakieś dawne krzywdy, ale instynkt wciąż kierował go do Denise Morel. Nie potrafił zidentyfikować źródła tego nieokreślonego niepokoju; jak na razie śledztwo wykazało, że ta kobieta jest osobą, za którą się podaje. Co więcej, ona też się zatrula i niemal umarła, co każdy logicznie myślący człowiek uznałby za dowód, że nie jest czarnym charakterem. No i płakała, kiedy powiedział jej o śmierci Salvatore.

Kelner, który podał wino, był o wiele bardziej podejrzany, ale wyczerpujące przesłuchanie zarówno jego, jak i monsieur Duranda nie wykazało nic poza tym, że sam szef restauracji włożył butelkę w ręce kelnera, a ten zaniósł ją prosto do stolika Salvore. Nie, Rodrigo szukał osoby, która podsunęła wino monsieur Durandowi, lecz na razie nie było po niej śladu. Butelka została kupiona od nieistniejącej firmy.

Wynikało z tego, że zabójca jest biegły w swoim fachu i że miał możliwość zdobycia zarówno trucizny, jak i wina. Człowiek ten - Rodrigo dla wygody myślał o mordercy w rodzaju męskim - zdobył dokładne informacje o ofierze i jej przyzwyczajeniach; wiedział, że Salvatore bywa w tym lokalu, wiedział, na kiedy dokonano rezerwacji, i musiał mieć niemal stuprocentową pewność, że monsieur Durand zatrzyma tę butelkę dla swojego bardzo ważnego klienta. Zabójca potrafił też stworzyć wiarygodne pozory istnienia legalnej firmy. Taki poziom profesjonalizmu wręcz krzyczał: „konkurencja”.

Mimo to Rodrigo nie potrafił wykluczyć Denise.

Było to mało prawdopodobne, a jednak mogła to być zbrodnia w afekcie. Podejrzani są wszyscy, dopóki morderca nie zostanie zidentyfikowany. Cokolwiek ojciec widział w tej kobiecie, może jakiś inny mężczyzna widział w niej to samo i był równie opętany jak Salvatore.

Co do byłych kochanek ojca... Rodrigo przejrzał w duchu ich listę i z niemal stuprocentową pewnością wykluczył je z kręgu podejrzanych. Po pierwsze, Salvatore skakał z kwiatka na kwiatek, nigdy nie pozostawał przy jednej kobiecie na tyle długo, by zdążyła się wytworzyć prawdziwa więź. Od śmierci żony przed dwudziestu laty był zdumiewająco aktywny na romansowej niwie, lecz uważał, że żadna kobieta nie dorasta do pięt jego zmarłej żonie.

Poza tym Rodrigo dokładnie sprawdzał każdą kochankę ojca. Żadna nie wykazywała najmniejszych oznak obsesyjnych zachowań, żadna nie miała pojęcia o tak egzotycznej truciznie ani środków na jej kupno, nie mówiąc już o nieprawdopodobnie drogim winie. Zamierzał sprawdzić je jeszcze raz, choć był niemal pewien, że wszystkie okażą się czyste. Ale co z mężczyznami z przeszłości Denise?

Wypytywał ją o to, lecz nie podała żadnych nazwisk, stwierdzając tylko: „Nie, nie ma nikogo takiego”.

Czy to znaczyło, że do tej pory żyła cnotliwie jak zakonnica? Nie sądził, chociaż wiedział, że odrzucała propozycje Salvatore. Może więc chodziło o to, że miała kochanków, ale nie sądziła, by którykolwiek z nich był zdolny do takiego czynu? Zresztą nieważne, co ona myśli; Rodrigo chciał wyciągnąć własne wnioski.

No właśnie. Czemu nie chciała mu powiedzieć o nikim ze swojej przeszłości? Przecież nie było powodu, dla którego nie miałaby mu podać nazwisk wszystkich kochanków od wczesnej młodości. Czyżby kogoś chroniła? Czyżby podejrzewała, kto mógł umieścić truciznę w butelce, znając jej niechęć do wina i nie sądząc, że wypije choćby łyk?

Nie sprawdził jej tak dokładnie, jak powinien. Po pierwsze, Salvatore był zbyt niecierpliwy, żeby czekać, a po drugie, ich randki były tak nieciekawe - aż do ostatniej - że Rodrigo po prostu odłożył to na później. Teraz jednak zamierzał dowiedzieć się wszystkiego o Denise Morel. Jeśli choćby myślała o przespaniu się z kimś, będzie o tym wiedział; jeśli ktokolwiek był w niej zakochany, on go znajdzie.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

- Mademoiselle Morel ma być obserwowana przez cały czas. Jeśli wyjdzie choć centymetr za próg, chcę o tym wiedzieć. Jeśli ktokolwiek do niej zadzwoni albo ona będzie dzwonić, macie namierzyć te rozmowy. Czy to jasne? Dobrze.

W zaciszu łazienki pokoju gościnnego Lily ciężko pracowała, by odzyskać siły. Dokładne przeszukanie pomieszczenia nie ujawniło ani kamery, ani mikrofonu, wiedziała więc, że tutaj nie jest obserwowana. Początkowo była w stanie wykonywać tylko ćwiczenia rozciągające, ale zmuszała się do wysiłku, biegając w miejscu, nawet jeśli musiała się podpierać o marmurową toaletkę, by utrzymać równowagę. Robiła pompki, brzuszki. Wmuszała w siebie tyle jedzenia, ile zdołała, dostarczając ciału paliwa do wyzdrowienia. Wiedziała, że forsowanie się może być niebezpieczne przy uszkodzonej zastawce, ale było to skalkulowane ryzyko - jak niemal wszystko w jej życiu.

Kiedy wróciła do mieszkania, przeszukała je równie skrupulatnie jak łazienkę. Niczego nie znalazła. Widocznie Rodrigo jej nie podejrzewał, bo inaczej mieszkanie byłoby zapluskwione jak tani hotel na Bliskim Wschodzie. A właściwie nie; Rodrigo zabiłby ją już za samo podejrzenie.

To jednak nie oznaczało, że jest bezpieczna. Kiedy spytał ją o byłych kochanków, zrozumiała, że ma zaledwie parę dni na ucieczkę, bo kopiąc głębiej w przeszłości Denise, Rodrigo wkrótce się dowie, że Denise nie ma żadnej przeszłości.

Jeżeli jej mieszkanie zostało przeszukane - a zakładała, że zostało - przeszukujący byli bardzo porządni. Ale nie znaleźli kryjówki z niezbędnikiem do ucieczki, bo nie stałyby tu teraz.

Stary budynek był kiedyś ogrzewany kominkami, które jakiś czas po drugiej wojnie światowej zastąpiono kaloryferami. Kominiek został zamurowany i zasłonięty komodą. Lily położyła pod komodą dywanik - nie po to, żeby chronić podłogę przed porysowaniem, ale by móc bezgłośnie przesuwając mebel, ciągnąć za dywanik. Teraz odsunęła go od ściany i położyła się na brzuchu, aby obejrzeć cegły. Jej reperacje były niezauważalne; usmolila zaprawę, więc nie różniła się niczym od spoin wokół. Na podłodze też nie było okruchów zaprawy, wskazujących, że ktoś opukiwał cegły.

Wzięła młotek i dłuto, znów położyła się na brzuchu i zaczęła delikatnie odstukiwać zaprawę wokół jednej z cegieł. Gdy cegła była luźna, obruszyła ją i wyjęła; to samo zrobiła z kolejnymi. Sięgnęła do wnęki starego kominka i wyjęła kilka pudełek i toreb, starannie owiniętych w folię, żeby się nie pobrudziły. Jedno z pudełek zawierało dokumenty jej fałszywych tożsamości: paszporty, karty kredytowe, prawa jazdy, dowody osobiste, zależnie od narodowości. W jednej z toreb były trzy peruki. W innych - różne komplety ubrań. Z obuwiem załatwiła sprawę inaczej; potrzebne buty trzymała po prostu w szafie, zrzucone na kupę razem z całą resztą. Ilu facetów zwróciłoby uwagę na splątaną stertę butów? Miała też zapas gotówki w euro, funtach szterlingach i amerykańskich dolarach.

W ostatnim pudełku był bezpieczny telefon komórkowy. Włączyła go i sprawdziła stan baterii: prawie wyczerpana. Wyjęła ładowarkę, wpięła do gniazdka i ustawiła na niej aparat.

Była wykończona, pot perlił się na jej czole. Stwierdziła, że nie pojedzie jutro; wciąż jest zbyt słaba. Ale pojutrze będzie musiała wiać, i to szybko.

Do tej pory miała szczęście. Rodrigo przez kilka dni utrzymywał śmierć Salvatore w



tajemnicy, co dało jej trochę czasu, ale z każdą mijającą minutą wzrastało niebezpieczeństwo, że ktoś w Langley zobaczy zdjęcie Denise Morel, zeskanuje je do komputera, a komputer wypłuje raport, że — pomijając kolor włosów i oczu — rysy pasują do rysów niejakiej Liliane Mansfield, kontraktowej agentki amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej. Wtedy CIA zacznie jej deptać po piętach, a Agencja miała możliwości, o jakich Rodrigo Nervi mógł tylko pomarzyć. Z przyczyn praktycznych Salvatore był zostawiony w spokoju; nikt z Langley nie będzie zadowolony, że go wyeliminowała.

Nie sposób przewidzieć, kto namierzy ją pierwszy: Rodrigo czy ktoś wysłany przez CIA. Miała większe szanse wymknąć się Rodrigowi, bo prawdopodobnie jej nie doceniał. Agencja nie popełni tego błędu.

Ponieważ wyglądałoby dziwnie, gdyby tego nie zrobiła, a także dlatego, że chciała sprawdzić, czy jest obserwowana, ubrała się ciepło i poszła na pobliski bazar. Jeden ogon zauważyła natychmiast po wyjściu z budynku; siedział w nierzucającym się w oczy szarym samochodzie zaparkowanym w połowie drogi do kolejnej przecznicy i gdy tylko wyszła, uniósł gazetę, by zasłonić twarz. Amator. Ale skoro jeden był od frontu, musiała zakładać, że drugi jest od tyłu. Dobra wiadomość była taka, że nikt nie pilnował wnętrza budynku, co skomplikowałoby sprawę. Nie chciała wychodzić przez okno na drugim piętrze, bo wciąż była słaba.

Miała ze sobą torbę na zakupy, do której teraz włożyła kilka produktów spożywczych i owoców. Mężczyzna o włoskiej urodzie - który niczym się nie wyróżniał, chyba że szukało się go specjalnie - kluczył za nią w tłumie, cały czas mając ją w zasięgu wzroku. Okej, to już trzech. Dość, by wykonać zadanie, ale nie tylu, by nie mogła sobie z nimi poradzić.

Zapłaciła za zakupy i ruszyła z powrotem do mieszkania, pilnując się, by jej krok wyglądał na mozolny. Szła z opuszczoną głową - istne wcielenie przygnębienia - nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie. Jej obserwatorzy uznają, że jest nieświadoma ich obecności, a co więcej, wciąż czuje się tak fatalnie, że ledwie jest w stanie wyjść z domu. Jako że ewidentnie nie są biegli w obserwacji, zapewne staną się mniej czujni, skoro żaden z niej przeciwnik.

Kiedy komórka się naładowała, Lily zabrała ją do łazienki i odkręciła wodę, by zagłuszyć słowa, na wypadek gdyby w jej mieszkaniu był wycelowany mikrofon kierunkowy. Ryzyko było praktycznie zerowe, ale w jej zawodzie paranoja ratowała życie. Zarezerwowała lot w jedną stronę pierwszą klasą do Londynu, rozłączyła się, po czym zadzwoniła jeszcze raz i na inne nazwisko zabukowała miejsce w samolocie startującym pół godziny po jej przylocie do Londynu - z powrotem do Paryża, czego absolutnie nikt nie będzie się po niej spodziewał. Co dalej, jeszcze nie wiedziała, ale ten drobny wybieg powinien dać jej trochę czasu.

## Langley. Wirginia

Następnego dnia wczesnym rankiem młodsza analityczka Susie Pollard spojrzała z niedowierzaniem na wynik podany przez program identyfikacji twarzy. Wydrukowała raport, po czym, klucząc po labiryncie boksów, przeszła do jednego z nich i wetknęła głowę do środka.

- To wygląda interesująco - powiedziała, podając raport starszej analityczce Wilonie Jackson. Wilona zsunęła okulary na nos i przejrzała wydruk.

- Rzeczywiście - przyznała. - Brawo, Susie. Wypchnę to na górę. - Wstała zza biurka. Była wysoką ciemnoskórą kobietą o surowych rysach i żelaznej woli, wytrenowanej do perfekcji na mężu i pięciu niesfornych synach. Nie mając w domu wsparcia drugiej kobiety, musiała trzymać wszystkich za twarz. To nastawienie przenosiło się do pracy, gdzie nie tolerowała zawracania gitary. Wszystko, co „wypychała” na górę, musiało być traktowane z należytą uwagą. W

południe Franklin Vinay, dyrektor wydziału operacji, czytał już raport. Salvatore Nervi, szef organizacji Nervich - Frank nie mógł jej nazywać korporacją, choć korporacje wchodziły w jej skład — zmarł w wyniku nieznannej choroby. Dokładna data zgonu nie była znana, ale synowie pochowali go w rodzinnych Włoszech przed ujawnieniem tej informacji. Ostatni raz widziano go w paryskiej restauracji, cztery dni przed ogłoszeniem jego śmierci. Był wtedy w doskonałym zdrowiu, więc nieznaną chorobą zaatakowała dość gwałtownie. To się oczywiście zdarza; zawały czy wylewy co dzień uśmiercają pozornie zdrowych ludzi.

Prawdziwym powodem alarmu był wynik podany przez program identyfikacji twarzy: stwierdzał bez najmniejszych wątpliwości, że ostatnią przyjaciółką Nerviego była jedna z najlepszych kontraktowych agentek CIA. Lilianę Mansfield przyciemniła swoje jasne włosy i nosiła szkła kontaktowe, by ukryć charakterystyczne jasnoblękitne oczy, ale bez wątpienia to była ona.

Kilka miesięcy wcześniej z ręki Nerviego zginęła dwójka najbliższych przyjaciół Lilianny i ich adoptowana córka, wszystko więc wskazywało na to, że Lily wykroczyła poza uprawnienia i wzięła sprawy w swoje ręce.

Wiedziała, że CIA nie usankcjonuje tego zabójstwa. Salvatore Nervi był odrażającym indywiduum, które zasługiwało na śmierć, ale miał dość sprytu, by grać na dwa fronty, ubezpieczając się przeciwko takiemu obrotowi sprawy. Od dawna przekazywał Agencji niezmiernie użyteczne informacje, a teraz ten kanał informacyjny był stracony, być może bezpowrotnie; nawiązanie takiej samej współpracy z następcą Salvatore - jeśli w ogóle będzie możliwe - zajmie lata. Rodrigo Nervi słynął z podejrzliwości i nie był skłonny pochopnie wchodzić w żadne układy. Frank mógł mieć tylko nadzieję, że okaże się równie pragmatyczny jak ojciec.

Vinay nienawidził współpracy z Nervimi. Owszem, prowadzili kilka legalnych przedsięwzięć, ale byli jak rzymski Janus: wszystko, co robili, miało dwie twarze, dobrą i złą. Gdy opłacani przez nich naukowcy pracowali nad szczepionką na raka, druga grupa w tym samym budynku opracowywała broń biologiczną. Przekazywali ogromne sumy organizacjom charytatywnym, które robiły dużo dobrego, a równocześnie sponsorowali organizacje terrorystyczne, mordujące, kogo popadnie.

Pływanie wśród grubych ryb światowej polityki jest jak taplanie się w ścieku. Żeby sobie popływać, trzeba się ubabrać. Prywatnie Frank uważał, że dobrze się stało, iż Nervi pożegnał się z życiem. Ale patrząc z zawodowej perspektywy, jeśli Lilianę Mansfield była za to odpowiedzialna, musiał coś z tym zrobić.

Wywołał na ekran zakodowane dane i zaczął czytać. Z jej profilu psychologicznego wynikało, że od paru lat działała pod pewnym obciążeniem. Wiedział z doświadczenia, że są dwa typy agentów: ci, którzy w swoją pracę wkładają tyle emocji, co w zabicie muchy, i ci, którzy są przekonani, że działają w słusznej sprawie, ale zużywają się pod wpływem stresu. Lily należała do tej drugiej grupy. Była dobra, jedna z najlepszych, lecz każde zlecenie pozostawiało ślad w jej psychice.

Od lat przestała kontaktować się z rodziną, a to nie było dobre. Czuła się wyobcowana, odcięta od świata, który chroniła swoją pracą. Jej zastępczą rodziną stali się przyjaciele z branży. Gdy zginęli, jej zmaltretowana dusza nie wytrzymała.

Frank zdawał sobie sprawę, że niektórzy koledzy wyśmialiby go za myślenie w kategoriach duszy, ale on tkwił w tej branży tak długo, że nie tylko wiedział, co widzi, ale i rozumiał to.

Biedna Lily. Może powinien był ją odwołać z terenu, gdy tylko zaczęła zdradzać objawy psychicznego zmęczenia. Teraz było już za późno. Musiał się uporać z zaistniałą sytuacją.

Podniósł słuchawkę i kazał asystentce zlokalizować Lucasa Swaina. O dziwo, był akurat w budynku. Widocznie kapryśne Parki postanowiły uśmiechnąć się do Franka.

Trzy kwadranse później asystentka wcisnęła brzęczyk interkomu.

- Przyszedł pan Swain - oznajmiła.

- Proszę go wpuścić.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł Swain. Poruszał się jak kowboj, który idzie donikąd i wcale mu się nie spieszy. Ale kobietom bardzo się podobał.

Był jednym z tych przystojniaków, którzy wyglądają na pocziwych. Gdy witał się i siadał w fotelu wskazanym przez Franka, na jego twarzy widniał dobroduszny uśmiech. Z jakiegoś powodu ten uśmiech działał tak samo jak jego sposób chodzenia: ludzie go lubili. Był zadziwiająco skutecznym oficerem terenowym, bo nie wykrywał go niczyj radar. Mógł sobie chodzić jak wcielenie lenistwa, ale załatwiał, co miał do załatwienia. I załatwiał to w Ameryce Południowej od prawie dziesięciu lat, co tłumaczyło ciemną opaleniznę i szczupłą, twardą jak skała sylwetkę. Zaczyna wyglądać na swoje lata, pomyślał Frank, ale czy wszyscy nie zaczynamy? Na skroniach i wzdłuż linii ciemnych włosów Swaina przeblyskiwała siwizna; strzygł je krótko, z powodu idiotycznego kosmyka opadającego na czoło. Wokół oczu miał zmarszczki i głębokie bruzdy na policzkach, ale znając jego szczęście, kobiety pewnie uważają, że to równie urocze jak jego chód. Urocze? Świat stanął na głowie, pomyślał Frank, skoro on określa jednego ze swoich najlepszych oficerów przymiotnikiem „uroczy”.

- Co tam masz? - zapytał Swain, rozsiadając się w półleżącej pozycji w fotelu. Swain nie uznawał konwenansów.

- Delikatną sytuację w Europie. Jeden z naszych kontraktowych agentów przekroczył uprawnienia, zabił informatora. Trzeba ją powstrzymać.

- Ją?

Frank podał mu raport. Swain wziął dokument, przeczytał i oddał Vinayowi.

- Co się stało, to się nie odstanie. Co jeszcze chcesz powstrzymać?

- Salvatore Nervi nie był jedyną osobą zamieszaną w sytuację, która zakończyła się śmiercią przyjaciół Lily. Jeśli postanowiła dopaść ich wszystkich, może nam zniszczyć całą siatkę. Już wyrządziła poważne szkody, eliminując Nervillego.

Swain zmarszczył się i potarł twarz obiema dłońmi.

- Nie masz jakiegoś zbłąkanego agenta przymusowo posłanego pod chmurkę, z jakąś specjalną umiejętnością, która sprawia, że on jeden na daje się do odszukania pani Mansfield i powstrzymania jej morderczych zapędów?

Frank przygryzł wargę, by powstrzymać uśmiech.

- Czy to wygląda na hollywoodzki produkcyjniak?

- Pomarzyć nie zaszkodzi.

- Uznaj swoje marzenia za rozwiane.

- No dobra, więc może John Medina? - Swain zaczął się rozkręcać, podpuszczając Franka; jego niebieskie oczy błyskały wesoło.

- John jest zajęty na Bliskim Wschodzie - odparł Frank spokojnie. Słyszac tę odpowiedź, Swain usiadł prosto; pozory rozleniwienia zniknęły.

- Czekaj no. Chcesz powiedzieć, że Medina naprawdę istnieje?

- Tak.

- Nigdzie nie ma jego danych - zaczął Swain, ale ugryzł się w język, uśmiechnął szeroko i powiedział: - Ups.

- To znaczy, że sprawdzałeś.

- Do licha, wszyscy w branży sprawdzali.

- Właśnie dlatego nie ma jego danych w systemie komputerowym. John działa w głębokiej konspiracji na Bliskim Wschodzie, a nawet gdyby tak nie było, nie użyłbym go do wzięcia w

garść zbłąkanej agentki.

- To znaczy, że jest o wiele ważniejszy niż ja - odparł Swain z tym swoim dobrodusznym uśmiechem, by pokazać, że wcale się nie obraził.

- Albo że ma inne zdolności. Ty jesteś człowiekiem, którego potrzebuję, i wieczorem wsiądziesz w samolot do Paryża. A teraz powiem ci, co masz zrobić.

## Rozdział 4

Po całym dniu spędzonym na jedzeniu, spaniu, wypoczywaniu i lekkich treningach dla poprawy wytrzymałości, Lily wstała w o wiele lepszej formie. Spakowała podręczną torbę i dużą torebkę, upewniając się, że nie zapomniała niczego ważnego. Większość ubrań zostawiła w szafie; nieliczne tanie ramki z fotografiami kompletnie obcych ludzi, które porozstawiała po mieszkaniu, by stworzyć pozory przeszłości, też zostały na miejscu.

Nie zdjęła powłoczek z pościeli, nie umyła talerzy i łyżek, których używała przy śniadaniu, za to bardzo dokładnie przetarła wszystkie powierzchnie odtłuszczającym środkiem dezynfekcyjnym, by zniszczyć odciski palców. Robiła to od dziesiętnastu lat, aż nawyk ten stał się naturalnym odruchem. Wytarła nawet, co się dało, przed opuszczeniem twierdzy Nervich, choć nie mogła użyć środka dezynfekcyjnego. Zawsze też wycierała sztućce, kieliszki i filiżanki serwetką nim zostały zabrane, i co rano czyściła szczotkę do włosów, spłukując w toalecie włosy, które zebrały się w szczecinie.

Niepokoilo ją że nie jest w stanie nic zrobić w sprawie próbki krwi, którą doktor Giordano pobrał do analizy, ale DNA nie było używane do identyfikacji tak powszechnie, jak odciski palców; nie istniała odpowiednio obszerna baza danych. Jej odciski figurowały w bazie w Langley i nigdzie indziej; poza jednym czy drugim zabójstwem była przykładną obywatelką. Zresztą nawet odciski palców są na nic, jeśli nie da się ich z niczym porównać i dopasować do nazwiska. Jedno potknięcie nic jeszcze nie znaczyło - dwa stwarzały możliwość identyfikacji. Lily starała się nie dawać nikomu nawet punktu wyjścia. Doktor Giordano zapewne uznałby za bardzo dziwne, gdyby zadzwoniła do niego i poprosiła o zwrot swojej krwi. W Kalifornii mogłaby udawać, że jest wyznawczynią jakiegoś dziwaczego kultu religijnego, a nawet że jest wampirem - i prawdopodobnie zwrócono by jej wszelkie próbki.

Na myśl o tym uśmiechnęła się słabo i pożałowała, że nie może się tym pomysłem podzielić z Zią, która miała niesamowite wyczucie absurdu. W towarzystwie Averilla, Tiny, a zwłaszcza Zii Lily mogła się wyluzować i zachowywać swobodnie, jak normalny człowiek. W jej zawodzie relaks był luksusem, na który można sobie pozwolić wyłącznie wśród swoich.

Gdy odeszli, jej życie stało się puste i chyba nigdy nie zdoła tej pustki wypełnić. W miarę upływu lat rezerwowała swoje uczucia dla coraz węższego kręgu ludzi, aż zostało w nim tylko pięć osób: matka i siostra - a ich nie ośmielała się odwiedzać z obawy, że sprowadzi na nie zagrożenia związane ze swoją pracą - i trójka przyjaciół.

Averill był kiedyś jej kochankiem; przez krótki czas razem oszukiwali samotność. Potem ich drogi się rozeszły i Lily poznała Tinę podczas zadania, które wymagało współpracy dwóch agentek. Nigdy wcześniej nie przywiązała się do nikogo tak szybko, jak do Tiny - zupełnie jakby były bliźniaczkami. Wystarczyło im jedno spojrzenie, by wiedzieć, że myślą to samo w tej samej chwili. Miały takie samo poczucie humoru i takie same głupie marzenia, że kiedyś, gdy nie będą już pracować w tej branży, wyjdą za mąż i założą własne firmy, a może nawet urodzą dziecko czy dwoje.

To „kiedyś” przyszło dla Tiny w chwili, gdy na jej drodze stanął Averill. Lily i Tina miały ze sobą wiele wspólnego, ale jeśli chodzi o miłosną chemię, różniły się jak dzień i noc. Averill

spojrzał na smukłą, ciemnowłosą Tinę i zakochał się, i to z wzajemnością. Przez jakiś czas, między zleceniami, szaleli razem po świecie i świetnie się bawili. Byli młodzi, zdrowi i dobrzy w swoim fachu; jako płatni zabójcy czuli się niezwykłymi. Oboje byli na tyle profesjonalni, by się tym nie pyszczyć, ale i na tyle młodzi, by ich to kręciło.

Potem Tina została postrzelona i rzeczywistość zwała się im na głowy. Praca okazała się śmiertelnym zagrożeniem. Już ich nie kręciła. Własna śmiertelność spojrzała im w twarz.

Pobrali się, gdy tylko Tina wydobrzała na tyle, by móc pójść do ołtarza. Zamieszkali razem, najpierw tutaj, w Paryżu, a potem w małym domu na przedmieściach. Brali coraz mniej zleceń.

Lily odwiedzała ich, kiedy tylko mogła. Pewnego dnia przywiozła ze sobą Zię. Znalazła ją porzuconą i zagłodzoną niemal na śmierć w Chorwacji, gdy armia serbska zaczęła plądrować tereny nowego kraju, wszczynając koszmarną wojnę. Nikt, kogo pytała, nie wiedział nic o matce dziecka, więc Lily mogła albo zabrać małą ze sobą, albo zostawić ją na pewną i straszną śmierć.

W ciągu dwóch dni pokochała dziewczynkę tak żarliwie, jakby sama wydalają na świat. Wydostanie się z Chorwacji nie było łatwe, zwłaszcza że miała ze sobą dziecko. Musiała zdobyć mleko, pieluszki, koce. Nie martwiła się jeszcze o ubranka, tylko o to, by zapewnić dziecku pokarm, czystość i ciepło. Nazwała małą Zia, bo podobało jej się to imię.

Potem wystarała się o dokumenty dla Zii - a niełatwo było znaleźć dobrego fałszerza - i zdołała wywieźć ją do Włoch. Tam opieka nad dzieckiem stała się prostszą, potrzebne rzeczy bardziej osiągalne. Ale nigdy nie było to łatwe. Dziewczynka szarpała się i sztywniała, ilekroć Lily jej dotknęła, a często zwracała niemal tyle samo mleka, ile połknęła. Zamiast więc narażać małą na trudy dalszej podróży, Lily postanowiła zostać jakiś czas we Włoszech.

Gdy znalazła Zię, dziewczynka wyglądała ledwie na parę tygodni, choć niewykluczone, że brak pożywienia i opieki sprawił, iż była mniejsza, niż powinna. Jednak po trzech miesiącach pobytu we Włoszech przybrała na wadze na tyle, by mieć dołeczki na pulchnych rączkach i nóżkach; śliniła się bez ustanku, gdyż zaczęły jej się wyrzynać zęby, i patrzyła na Lily z szeroko otwartą buzią i oczami, z wyrazem tej niezmaconej radości, który tylko małe dzieci potrafią przybrać i nie wyglądać przy tym idiotycznie.

W końcu Lily zabrała Zię do Francji, by poznała wujka Averilla i ciocię Tinę.

Zmiana opiekunów odbyła się stopniowo. Ilekroć Lily dostawała zlecenie, zostawiała Zię u nich. Kochali małą, a ona dobrze się u nich czuła, choć Lily pękało serce za każdym razem, gdy musiała ją zostawić, i żyła wyłącznie dla chwil, kiedy wracała. Na jej widok twarzyczka Zii rozjaśniała się i mała piszczała z zachwytem, a dla Lily był to najpiękniejszy dźwięk na świecie.

Potem jednak nadeszło to, co nieuniknione: Zia rosła, trzeba było zacząć myśleć o posłaniu jej do szkoły. Lily wyjeżdżała czasem na wiele tygodni. Mała siłą rzeczy spędzała coraz więcej czasu u Averilla i Tiny, aż w końcu wszyscy zdali sobie sprawę, że trzeba będzie zdobyć kolejne papiery, stwierdzające, że Averill i Tina są rodzicami Zii. Gdy Zia miała cztery lata, byli już dla niej tatusiem i mamusią, a Lily ciocią Lii.

Przez trzynaście lat życie Lily kręciło się wokół Zii, a teraz jej zabrakło.

Co, u licha, skłoniło Averilla i Tinę do powrotu do branży, z której wypisali się na dobre? Czy potrzebowali pieniędzy? Przecież chyba wiedzieli, że wystarczyło poprosić Lily, a oddałyby im każdego dolara - a po dziewiętnastu latach wykonywania bardzo lukratywnego zawodu miała niezły zapasik w szwajcarskim banku. Tak czy inaczej, coś wywabiło ich z paryskiego przedmieścia, gdzie żyli spokojnie na wczesnej emeryturze. I zapłacili za to życiem. A z nimi Zia.

Teraz Lily wydała większość swoich oszczędności na zdobycie trucizny i ustawienie sytuacji. Dobre papiery kosztują, a im są lepsze, tym więcej trzeba za nie zapłacić. Musiała wynająć

mieszkanie, znaleźć prawdziwą pracę - bo gdyby nie pracowała, byłoby to podejrzane - a potem stanąć na drodze Salvatore Nerviego i mieć nadzieję, że chwyci przynętę. To zaś wcale nie było pewne, bo choć potrafiła zrobić z siebie bardzo atrakcyjną kobietę, wiedziała, że nie jest pięknoscią. Gdyby się nie udało, wymyśliłaby coś innego; zawsze jest jakieś drugie wyjście. Ale wszystko się udało i szło jak po maśle do chwili, gdy Salvatore uparł się, by spróbowała jego wina.

Teraz miała ledwie jedną dziesiątą pieniędzy, jakimi dysponowała przedtem, uszkodzoną zastawkę, którą, jak wyjaśnił doktor Giordano, trzeba będzie kiedyś wymienić, jej kondycja fizyczna była śmiechu warta i kończył jej się czas.

Zdawała sobie sprawę, że jej szanse są marne. Tym razem nie tylko nie miała wsparcia Langley, ale Agencja działała przeciwko niej. Nie mogła skorzystać z żadnej ze znanych jej bezpiecznych kryjówek, nie mogła poprosić o pomoc ani ewakuację i musiała strzec się... wszystkich. Nie miała pojęcia, kogo Langley za nią pośle. Mogli ją po prostu zlokalizować i postawić snajpera, żeby ją zdjął - w takim wypadku nie miała się o co martwić, bo nie sposób ochronić się przed czymś, czego się nie widzi. Nie była Salvatore Nervim z całą flotyllą kuloodpornych samochodów i systemem osłoniętych wejść. Jej jedyną nadzieją było nie dać się namierzyć.

Jeśli chodzi o plusy... Cóż, nie było żadnych plusów.

To nie oznaczało, że chciała wyjść z ukrycia i wystawić się na cel. Mogli ją zlikwidować, ale zamierzała utrudnić im to, jak tylko się da. Stawką była jej zawodowa duma. Gdy brakło Zii i jej przybranych rodziców, została jej już tylko duma.

Czekała do ostatniej chwili z wezwaniem ze swojej komórki taksówki, by pojechać na lotnisko. Musiała działać na styk, by Rodrigo miał jak najmniej czasu na ściągnięcie ludzi na miejsce. Początkowo śledzący ją nie będą wiedzieli, dokąd jedzie, ale gdy tylko się zorientują, zadzwonią do szefa po instrukcje. Prawdopodobieństwo, że Rodrigo opłaca kogoś - jedną lub nawet kilka osób - na lotnisku, były przynajmniej fifty-fifty, ale port lotniczy de Gaulle'a jest ogromny, a nie wiedząc, którą linią i dokąd leci Lily, ludzie Rodriga raczej nie zdołają jej wyprzedzić. Mogli ją śledzić, i to do czasu - potem zatrzyma ich ochrona.

Gdy Rodrigo sprawdzi listę pasażerów, wszystko się wyda, bo nie leciała pod nazwiskiem Denise Morel ani nawet własnym. Nie miała wątpliwości, że Rodrigo to sprawdzi; pytanie brzmiało tylko, jak szybko. Z początku może nawet nie będzie na tyle podejrzliwy, by podjąć jakiegokolwiek działania prócz śledzenia jej.

Miała nadzieję, że ten wyjazd, jawny i z niewielkim bagażem, wzbudzi co najwyżej ciekawość Rodriga - przynajmniej przez ten krótki czas, którego potrzebowała, by zniknąć.

Jeśli los okaże się dla niej łaskawy, Rodrigo nie będzie przesadnie podejrzliwy, nawet gdy jego ludzie strącają z oczu na ruchliwym Heathrow. Może się zastanawiać, dlaczego wybrała samolot, zamiast jechać promem czy tunelem, ale przecież wiele osób pokonywało krótki dystans między Paryżem i Londynem drogą powietrzną, jeśli im się spieszyło.

W najlepszym z możliwych scenariuszy Rodrigo nie będzie widział w jej wyjeździe nic dziwnego przynajmniej przez dwa dni, i zaniepokoi się dopiero, gdy Lily nie wróci do domu. W najgorszym - jego ludzie złapią ją na lotnisku de Gaulle'a, nie zważając na świadków i możliwe reperkusje. Rodrigo nie przejmowałby się ani jednym, ani drugim. Lily przypuszczała jednak, że nie posunie się aż tak daleko; na razie nie odkrył, że Denise Morel nie jest osobą, za którą się podaje, bo jego ludzie nie wpadli jeszcze do jej mieszkania. A skoro o tym nie wiedział, nie miał powodu wywoływać publicznej awantury.

Zeszła na dół, by poczekać na taksówkę; stanęła w miejscu, skąd mogła obserwować ulicę, ale gdzie jej stróża nie mogli jej widzieć. Zastanawiała się, czy nie przejść kilku przecznic na

postój i nie zaczekać w kolejce, lecz to dałoby Rodrigowi czas, którego nie chciała mu dawać, a poza tym zmęcząłoby ją. Kiedyś - niewiele ponad tydzień temu - mogłaby przebiec ten dystans i nawet nie dostałaby zadyszki.

Może jej serce nie zostało poważnie uszkodzone - tylko na tyle, by doktor Giordano usłyszał szmer - i to podstępne zmęczenie w końcu minie. Była bardzo chora przez wiele dni, nic nie jadła, leżała prawie bez ruchu. Ludzki organizm traci siły o wiele szybciej, niż je zyskuje. Pomyślała, że da sobie miesiąc; jeśli przez ten czas nie wróci do formy, przebadają serce. Nie wiedziała, gdzie ani jak zapłaci za badania, ale jakoś sobie poradzi.

Oczywiście zakładając, że za miesiąc będzie nadal żyła. Nawet jeśli wymknie się Rodrigowi, będzie musiała uciekać przed swoim byłym pracodawcą. Nie szacowała jeszcze, jakie ma szanse powodzenia. Nie chciała się zniechęcać.

Przed budynkiem zatrzymała się czarna taksówka. Podniósłszy swoją podręczną torbę, Lily mruknęła:

- No to zaczynamy - i spokojnie wyszła na zewnątrz.

Nie spieszyła się, nie okazywała zdenerwowania. W taksówce wyjęła z torby puderniczkę z lusterkiem i ustawiła je tak, by móc obserwować swoich stróżów.

Gdy taksówka ruszyła, ruszył też srebrny mercedes. Zwolnił na chwilę; jakiś mężczyzna pognął ku niemu i wskoczył na siedzenie pasażera, po czym mercedes przyspieszył i znalazł się tuż za taksówką. Lily widziała w lusterku, że pasażer rozmawia przez komórkę.

Lotnisko było jakieś trzydzieści kilometrów za miastem; mercedes trzymał się za taksówką przez całą drogę. Lily zastanawiała się, czy Rodrigo uznał, że jest za głupia, by to zauważyć, czy po prostu miał to w nosie. Z drugiej strony, zwyczajni ludzie nie sprawdzają, czy są śledzeni, więc fakt, że śledzący wcale się nie kryli, mógł oznaczać, że Rodrigo tak naprawdę o nic jej nie podejrzewał, chociaż kazał ją śledzić. Z tego, co o nim wiedziała, było to jak najbardziej w jego stylu - śledzić ją na wszelki wypadek, dopóki nie odkryje, kto zabił jego ojca. Rodrigo należał do ludzi, którzy zabezpieczają się na wszystkich frontach.

Kiedy dojechali na lotnisko, spokojnie podeszła do stanowiska British Airways, by się odprawić. Miała paszport na nazwisko Alexandry Wesley, obywatelki brytyjskiej, a zdjęcie pasowało do jej obecnej „karnacji”. Leciała pierwszą klasą, nie oddawała bagażu, a tę tożsamość budowała starannie przez lata - liczne pieczętki w paszporcie dowodziły, że odwiedzała Francję kilka razy w roku. Miała wiele tożsamości, na wszelki wypadek utrzymanych w tajemnicy nawet przed Langley - właśnie na takie awaryjne okazje.

Gdy przeszła przez wszelkie kontrole, wywoływano już pasażerów, skierowała się więc do odpowiedniej bramki. Nie rozglądała się, ale uważnie obserwowała otoczenie kątem oka. Tak, tamten mężczyzna - obserwował ją i trzymał w ręce komórkę.

Nie wykonał żadnego ruchu w jej stronę, po prostu zadzwonił. Szczęście jej dopisywało.

Wreszcie znalazła się w samolocie, dosłownie i w przenośni pod skrzydłami rządu brytyjskiego. Miała miejsce przy oknie; fotel obok przejścia był już zajęty przez elegancko ubraną kobietę około trzydziestki. Lily przecisnęła się obok niej na swoje miejsce.

Po półgodzinie byli w powietrzu - samolot rozpoczął godzinny lot do Londynu. Lily i jej sąsiadka wymieniły się uprzejmościami; Lily mówiła z akcentem z publicznej szkoły, co wyraźnie ośmieliło kobietę. Brytyjski akcent był łatwiejszy do udawania niż paryski, więc niemal westchnęła z ulgą, czując, jak jej umysł się odpręża. Zdrzemnęła się chwilę, zmęczona długim chodzeniem po lotnisku. Kwadrans przed lądowaniem wyciągnęła podręczną torbę spod siedzenia.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę - powiedziała do sąsiadki - ale mam drobny problem.

- Tak? - spytała uprzejmie kobieta.

- Nazywam się Alexandra Wesley, być może słyszała pani o Biurze Inżynierskim Wesleya, to firma mojego męża, Geralda. Chodzi o to... - Lily spuściła wzrok, jakby zawstydzona. - No więc chodzi o to, że odeszłam od niego, a on nie przyjął tego najlepiej. Wysłał ludzi, żeby mnie śledzili, i obawiam się, że kazał im mnie złapać. Jest trochę porywczy, chce mi udowodnić, kto tu rządzi, a... a ja naprawdę nie mogę wrócić.

Kobieta zrobiła jednocześnie zażenowaną i zaintrygowaną minę, jakby nie miała ochoty słuchać tak intymnych zwierzeń obcej osoby, ale wbrew samej sobie była zaintrygowana.

- Biedactwo. Oczywiście, że nie może pani wrócić. Ale jak ja mogę pomóc?

- Czy kiedy wysiadziemy z samolotu, może pani wziąć tę torbę i pójść z nią do najbliższej toalety? Ja pójdę za panią. Mam tam przebranie - dodała pospiesznie, gdy kobieta, poproszona o noszenie cudzej torby w tej dobie terroryzmu, wyraźnie się zaniepokoiła. - Widzi pani? - Rozsunęła zamek torby. - Ubranie, buty, peruka. Nic poza tym. Chodzi o to, że oni mogą na to wpaść... to znaczy, że się przebiorę... i zwrócić uwagę na torbę, którą wnoszę do toalety. Czytałam kiedyś książkę, jak unikać zboczeńców, i tam było o tym wspomniane. Jestem pewna, że na Heathrow będą na mnie czekać jego ludzie; złapią mnie, gdy tylko wyjdę do taksówki. - Wykręciła palce, mając nadzieję, że wygląda na zdenerwowaną. Nie zaszkodziło też, że twarz wciąż miała wychudzoną i bladą po chorobie, i z natury była szczupłą, przez co wyglądała na bardziej bezbroną, niż była w rzeczywistości.

Kobieta wzięła od niej torbę i starannie przejrzała zawartość. Na jej twarz wypłynął uśmiech, gdy zobaczyła jedną z peruk.

- Najciemniej pod latarnią, co? - Lily odpowiedziała uśmiechem.

- Mam nadzieję, że się uda.

- Zobaczymy. Jeśli nie, pojedzie pani ze mną taksówką. W tłumie bezpieczniej, i tak dalej. - Kobieta zaczynała się wczuwać w sytuację.

Gdyby na fotelu obok siedział mężczyzna, Lily improwizowałaby, zdałaby się na łut szczęścia, ale ta sztuczka odrobinę zwiększała jej szanse, a w tym momencie nawet minimalna przewaga była dla niej cenna. Oprócz zbirów Rodriga mogli na nią czekać ludzie z Agencji, ich zaś nie tak łatwo wyprowadzić w pole.

Nie wiedziała, jak postanowili to rozegrać. Mogli kazać ją aresztować, gdy tylko wysiadzie z samolotu, a w takim wypadku nie zdoła nic zrobić. Zwykle jednak działali bardziej dyskretnie. Jeśli tylko mogli uniknąć angażowania władz brytyjskich w swoje domowe porządki - bo do tego się to sprowadzało - to na pewno będą woleli załatwić to sami.

Samolot wylądował i podkołował do bramki. Lily zaczerpnęła głęboko powietrza, a kobieta obok poklepała ją po ręce.

- Proszę się nie martwić - powiedziała wesoło. - Uda się, zobaczy pani. Skąd będę wiedziała, czy panią zauważyli?

- Powiem pani, gdzie stoją ci ludzie. Spróbuję ich wypatrzeć, idąc do toalety. Potem wyjdę przed panią, a kiedy pani wyjdzie i zobaczy, że stoją, gdzie stali, będzie pani wiedziała, że się udało.

- Och, ależ to ekscytujące!

Lily miała szczerą nadzieję, że jednak nie będzie ekscytująco.

Kobieta wzięła torbę i wysiadła z samolotu dwie osoby przed Lily. Szła szybko, patrząc na znaki, ale nie gapiąc się na ludzi stojących przy bramce. Grzeczna dziewczynka, pomyślała Lily. Ma wrodzony talent.

Dostrzegłszy dwóch facetów, którzy nie czynili specjalnych wysiłków, by ukryć, że ją obserwują, ucieszyła się. Rodrigo nadal niczego nie podejrzewa, skoro uznał, że ona nie zauważy, że jest śledzona. To naprawdę mogło się udać.



Mężczyźni ruszyli za nią, trzymając się kilka metrów z tyłu. Jej „wspólniczka” weszła do pierwszej publicznej toalety. Lily zatrzymała się przy kranie z wodą do picia, dając „ogonom” czas na zajęcie pozycji, i też weszła do środka.

Kobieta czekała tuż za progiem. Oddała jej torbę.

- I co, jest ktoś? - zapytała.

Lily skinęła głową.

- Dwóch. Jeden około metra osiemdziesiąt, dość potężny, w jasnopopielatym garniturze. Stoi dokładnie na wprost drzwi, pod ścianą. Drugi jest niższy, ma krótkie ciemne włosy, dwurzędowy granatowy garnitur i ustawił się jakieś pięć metrów od drzwi.

- Więc proszę się szybko przebrać. Już nie mogę się doczekać, żeby panią zobaczyć.

Lily weszła do kabiny i zaczęła zmianę tożsamości. Surowy ciemny kostium i buty na niskim obcasie poszły w odstawkę; zastąpiły je jaskraworóżowa koszulka na ramiączkach, obcisłe jak druga skóra turkusowe legginsy, botki do kolan na szpilkach, turkusowa marynarka z frędzlami i ruda peruka z krótkimi, najeżonymi włosami. Wrzuciła zdjęte z siebie ciuchy do torby i wyszła z kabiny.

Na jej widok kobieta aż klasnęła w dłonie.

- Cudownie!

Lily wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Nie mogła się powstrzymać. Szybko nałożyła róż na blade policzki, na usta grubą warstwę różowej szminki, a w uszach zawiesiła dyndające kolczyki z piórkami. Wsuwając na nos różowe okulary, zapytała:

- I co pani myśli?

- Moja droga, nawet ja bym pani nie poznała, chociaż wiedziałam, co pani kombinuje. A tak w ogóle, to jestem Rebecca. Rebecca Scott.

Uściśniły sobie dłonie, obie zachwycone, choć z różnych powodów. Lily wzięła głęboki oddech.

- No to idę - mruknęła i odważnie wyszła z toalety.

Obaj stróże bezwiednie zagapili się na nią - jak wszyscy zresztą. Patrząc w punkt za plecami ciemnowłosego mężczyzny stojącego tuż przed nią, Lily pomachała żywiolowo.

- Tu jestem! - pisnęła do nikogo w szczególności, choć w tym tłumie trudno było to stwierdzić. Tym razem posłużyła się własnym, wyraźnie amerykańskim akcentem i przemknęła obok śledzących, jakby pędziła kogoś na spotkanie.

Gdy mijiała ciemnowłosego faceta, zobaczyła, że oderwał od niej wzrok i skierował z powrotem na wyjście z toalety, jakby się wystraszył, że ten moment nieuwagi pozwolił uciec jego podopiecznej.

Lily szła tak szybko, jak mogła, gubiąc się w tłumie. Na dwunastocentymetrowych obcasach miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale nie zamierzała nosić ich dłużej, niż to konieczne. W pobliżu wyjścia z terminalu zanurkowała do kolejnej publicznej toalety i zdjęła z siebie przyciągający wzrok kostium. Gdy wyszła, miała długie czarne włosy, była ubrana w czarne dżinsy, gruby czarny golf i te same buty na niskich obcasach, które miała w samolocie. Starła różową szminkę, zastępując ją czerwoną, a różowe okulary zmieniła na szare. Dokumenty na nazwisko Alexandry Wesley były schowane w torebce, a na bilecie i paszporcie w jej dłoni widniało nazwisko Mariel St. Clair.

Niedługo potem siedziała w samolocie lecącym do Paryża, tym razem w klasie turystycznej. Oparła głowę o siedzenie i zamknęła oczy.

Na razie szło całkiem nieźle.

Rodrigo był wściekły. Z trudem panując nad głosem, zapytał:

- W jaki sposób zdołaliście ją zgubić?

- Była śledzona od chwili, gdy wysiadła z samolotu - odparł męski głos w słuchawce. - Weszła do publicznej toalety i nie wyszła z niej.

- Czy posłaliście kogoś, żeby jej poszukał?

- Po jakimś czasie.

- A dokładnie?

- Minęło jakieś dwadzieścia minut, zanim moi ludzie się zaniepokoiili. Potem musiałem czekać, aż ściągniemy na miejsce kobietę, by mogła wejść do toalety i ją przeszukać.

Rodrigo zamknął oczy, starając się opanować gniew. Patałachy! Nie zauważyli, kiedy Denise wyszła z toalety. Nie było innych wyjść, nie było okien, zsyków na śmieci, niczego. Mogła wyjść wyłącznie tą samą drogą którą weszła, a jednak ci idioci jakimś cudem ją przeoczyli.

Sprawa nie była zbyt ważna, ale nieudolność zawsze go drażniła. Dopóki nie uzyska pełnego wglądu w przeszłość Denise, chciał wiedzieć, gdzie jest i co robi. Prawdę mówiąc, ów wgląd miał mieć już wczoraj, lecz biurokracja guzdrała się jak zwykle.

- Ale jedna rzecz mnie zastanawia, sir.

- Mianowicie?

- Kiedy moi ludzie ją zgubili, natychmiast sprawdziłem na stanowisku odprawy. Nie było po niej śladu.

Rodrigo wyprostował się nagle, marszcząc brwi.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że na liście pasażerów tego lotu nie było żadnej Denise Morel. Wysiadła z samolotu, a potem jakimś cudem zniknęła. Jedyne możliwe wyjaśnienie jest takie, że wsiadła do innego samolotu, ale nigdzie nie jest to udokumentowane.

Dzwonki alarmowe rozdzwoniły się w głowie Rodriga tak głośno, że mało nie rozsądziły mózgu. Zmroziło go nagle podejrzenie.

- Proszę sprawdzić listy jeszcze raz, panie Murray. Musiała gdzieś wsiąść.

- Sprawdziałem już dwa razy, sir. Nie ma śladu po jej przyjeździe ani wyjeździe z Londynu. A szukałem bardzo starannie.

- Dziękuję - powiedział Rodrigo i się rozłączył. Był tak wściekły, że niemal kręciło mu się w głowie. Ta suka zrobiła z niego durnia!

Na wszelki wypadek zadzwonił do swojej wtyczki w ministerstwie.

- Potrzebuję tych informacji natychmiast - warknął, nie przedstawiając się ani nie precyzując, o jakie informacje chodzi. Nie musiał.

- Tak, oczywiście, ale jest pewien problem.

- Nie może pan stwierdzić, czy ta konkretna Denise Morel istnieje? - zapytał sarkastycznie Rodrigo. Skąd pan wie? Jestem pewien, że...

- Proszę się nie kłopotać. Nie znajdzie jej pan. - Zyskawszy potwierdzenie swoich podejrzeń, rozłączył się i usiadł za biurkiem, próbując opanować furję, która nim miotła. Musiał myśleć trzeźwo, a w tej chwili było to dla niego niewykonalne.

To ona była trucicielką. Jakież to przebiegłe, że zatrąła również siebie, tyle że tak małą dawką by chorować przez jakiś czas, ale przeżyć. A może wcale nie zamierzała pić tego wina, lecz ojciec nalegał i niechcący połknęła więcej, niż zamierzała. To nie miało znaczenia; liczyło się tylko to, że udało jej się zabić jego ojca.

Nie mógł uwierzyć, jak skutecznie zdołała go oszukać, oszukać ich wszystkich. Teraz jasno widział cały jej plan. Pozorną obojętnością na zaloty Salvatore uspiła jego czujność, a on,

Rodrigo, też sobie odpuścił, gdy pierwsze spotkania ojca z nią okazały się nieciekawe. Gdyby zabiegała o towarzystwo Salvatore, sprawdziliby ją dokładniej, ale doskonale zamydliła im oczy.

Było oczywiste, że jest profesjonalistką, bez wątpienia opłaconą przez jednego z rywali. Jako zawodowiec miała fałszywe tożsamości, którymi posłużyła się, by zniknąć, a może po prostu użyła, prawdziwego nazwiska, skoro „Denise Morel” była tylko kamuflażem. Na pewno wsiadła do tego samolotu do Londynu - jego ludzie to widzieli — tak więc jedno z nazwisk na liście pasażerów należało do niej. Musiał więc ustalić, które, i prześledzić jej dalszą drogę. Zadanie stojące przed nim - a raczej przed jego ludźmi - zniechęcało ogromem, ale miał przynajmniej punkt wyjścia. Każę sprawdzić wszystkich pasażerów tego samolotu i znajdzie ją.

Nieważne, jak długo to potrwa - dopadnie ją. A potem dopilnuje, by cierpiąta bardziej, niż cierpiał jego biedny ojciec. Zanim z nią skończy, nie tylko powie mu wszystko, co wie o swoich mocodawcach, ale i umrze, przeklinając własną matkę, że wydała ją na świat.

Lucas Swain przeszukiwał mieszkanie, które porzuciła Lilianę Mansfield alias Denise Morel.

Jej rzeczy wciąż tu były, a przynajmniej większość z nich. W szafce znalazł produkty spożywcze, w zlewie leżały talerz i łyżka. Wyglądało to, jakby wyszła do pracy albo na zakupy, ale on wiedział swoje. W całym mieszkaniu nie było jednego odcisku palca, nawet na łyżce w zlewie. Wytarła wszystko do czysta.

Sądząc z tego, co przeczytał w jej dossier, ubrania, które zostawiła, nie były w jej guście. To były ubrania Denise Morel, więc gdy Denise spełniła już swoje zadanie, Lily zrzuciła ją z siebie jak wąż zrzuca skórę. Salvatore Nervi nie żył; nie było powodu utrzymywać przy życiu Denise.

Zastanawiało go tylko, dlaczego marudziła tu tak długo. Nervi nie żył od ponad tydzień, tymczasem gospodarz domu twierdził, że mademoiselle Morel odjechała taksówką tego ranka. Nie, nie wiedział, dokąd, ale miała ze sobą niewielką torbę podróżną. Może wyjechała na weekend.

Kilka godzin. Minął się z nią o marnych kilka godzin.

Gospodarz oczywiście nie wpuścił go do mieszkania, za to uprzejmie podał jego numer, oszczędzając Swainowi konieczności włamywania się nocą do budynku i przeglądania dokumentów, co byłoby stratą czasu. Chociaż w tej sytuacji to i tak był stracony czas. Lily nie miała zamiaru ta wracać.

Na stole stała misa z owocami. Swain wziął jabłko, wypolerował o koszulę i wgrzył się w nie. Był głodny, a gdyby ona chciała zjeść to jabłko, zabrałaby je ze sobą. Otworzył lodówkę, by sprawdzić, czy znajdzie jeszcze coś do jedzenia, i rozczarowany zamknął ją z powrotem. Babskie żarcie: owoce, trochę surowizny i jakiś twarożek czy jogurt, ale przeterminowany. Dlaczego samotne kobiety nigdy nie mają prawdziwego jedzenia? Zabiłby za pizzę z grubą warstwą pepperoni. Albo stek z grilla, z wielkim pieczonym ziemniakiem, ociekającym masłem i kwaśną śmietaną.

Zastanawiając się, co robić dalej, zjadł kolejne jabłko.

Z dossier Lily wynikało, że czuła się we Francji bardzo swobodnie i płynnie mówiła po francusku. Zapewne miała też talent do imitowania akcentów. Spędziła trochę czasu we Włoszech i podróżowała po całym cywilizowanym świecie, ale gdy chciała odpocząć, instalowała się albo we Francji, albo w Wielkiej Brytanii, bo w tych dwóch krajach czuła się najbardziej u siebie. Logika podpowiadała, że dziewczyna wiała, aż się kurzyło, więc pewnie nie jest już we Francji. Najsensowniejszym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań wydawała się Wielka Brytania.

Chociaż jako specjalistka w swoim fachu Lily mogła się posłużyć tą samą logiką i pojechać gdzie indziej, na przykład do Japonii. Skrzywił się. Wkurzało go, kiedy zaczynał przechytrzać

sam siebie. Do licha, lepiej działać po kolei i zacząć od najbardziej prawdopodobnego miejsca; nawet ślepej kurze czasem trafia się ziarno.

Istnieją trzy sposoby przedostania się przez kanał: promem, pociągiem i samolotem. Swain postawił na drogę powietrzną, bo była najszybsza, a Lily na pewno chciała zostawić w tyle organizację Nervich. Londyn nie jest, rzecz jasna, jedynym miastem w Wielkiej Brytanii, które mogła wybrać, ale znajduje się najbliżej, a ona na pewno chciała dać ewentualnemu pościgowi jak najmniej czasu na organizację przechwycenia. Informację można przesłać błyskawicznie, natomiast przemieszczanie istot ludzkich wciąż zajmuje trochę czasu. Tak, Londyn wydawał się najbardziej logicznym punktem docelowym, czyli Swain miał do obskoczenia dwa duże lotniska: Heathrow i Gatwick. Najpierw sprawdzi Heathrow, bo było bardziej ruchliwe i zatłoczone.

Usiadł w przytulnym saloniku - do licha, nie miała nawet rozkładanego fotela - i wyjął swoją wierną bezpieczną komórkę. Po wklepaniu długiego szeregu cyfr wcisnął „wyślij” i poczekał na połączenie. Wkrótce odezwał się męski głos z brytyjskim akcentem.

- Murray, słucham.

- Swain. Potrzebuję paru informacji. Pewna kobieta, niejaka Denise Morel, choć być może pod innym nazwiskiem...

- To chyba zbieg okoliczności.

Swain poczuł zastrzyk adrenaliny, jak myśliwy, który nagle trafił na trop.

- Ktoś jeszcze o nią pytał?

- Rodrigo Nervi we własnej osobie. Kazano nam ją śledzić, gdy wysiadła z samolotu. Posłałem dwóch ludzi; pilnowali jej do pierwszej publicznej toalety. Weszła do niej, ale nie wyszła. Nie przeszła przez odprawę celną i nie ma żadnego śladu w systemie, by wsiadła do innego samolotu. To bardzo przedsiębiorcza dama.

- Bardziej niż się panu zdaje - odparł Swain. - Powiedział pan o tym Nerviemu?

- Tak. Mam polecenie, by z nim współpracować... w pewnych granicach. Nie prosił, żeby ją zabić, tylko śledzić.

Ale fakt, że zniknęła, zapewne był dla Nerviego wskazówką co do jej umiejętności. Teraz Nervi już wiedział, że nie istnieje Denise Morel odpowiadająca temu konkretnemu rysopisowi, i domyślił się, że to ona zabiła jego ojca. Wokół Lily zaczynało się robić bardzo gorąco.

Jak wymknęła się z Heathrow? Drzwiami dla personelu? Najpierw musiałaby niezauważona wyjść z toalety, a to oznaczało charakterystycję. Tak sprytna osoba jak ona na pewno była na to przygotowana. I na pewno miała drugi komplet dokumentów.

- Przebranie - powiedział.

- Pomyślałem o tym samym, choć nie zwierzyłem się z tego panu Nerviemu. Jest bystry, więc w końcu sam na to wpadnie, nawet jeśli system bezpieczeństwa na lotniskach to nie jego działka. Wtedy poprosi mnie, żebym przejrzał taśmy.

- A zrobił pan to? - Gdyby odpowiedź brzmiała „nie”, oznaczałoby to, że Murray nie jest już tak dobry jak kiedyś.

- Gdy tylko moi ludzie przegapili jej wyjście z toalety. Ale nie mogę mieć im tego za złe, bo obejrzałem taśmę dwa razy i też jeszcze jej nie wypatrzyłem.

- Przylecę najbliższym dostępnym samolotem.

Ze względu na czas dojazdu na lotnisko, brak wolnych miejsc i tym podobne, oznaczało to jakieś sześć godzin. Swain wykorzystał ten czas na drzemkę, choć zdawał sobie sprawę, że każda mijająca minuta działa na korzyść Lily. Wie, w jaki sposób działają i jakie mają środki; z pewnością mości już sobie zacisnąć, bezpieczną dziuplę, dodając kolejne warstwy kamuflażu. Opóźnienie dawało jej też czas na sprokurowanie funduszy z jakiegoś nieznanego konta bankowego, które, jak zakładał, posiadała. Gdyby pracował w jej branży, miałby co najmniej

kilka numerycznych kont. Na razie, zdeponował trochę gotówki za granicą. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać. A jeśli nie trzeba będzie sięgać po te zapasy, cóż - przydadzą się na emeryturze.

Kiedy Swain wreszcie wylądował na Heathrow, Charles Murray czekał przy bramce. Był mężczyzną średniego wzrostu, w dobrej formie, o krótkich szpakowatych włosach i orzechowych oczach. Jego wyprostowana sylwetka sugerowała, że służył kiedyś w wojsku. Zawsze sprawiał wrażenie spokojnego i kompetentnego. Nieoficjalnie był na liście płac Nerviego od siedmiu lat, a na rządowej o wiele dłużej. Swain współpracował z Murrayem od czasu do czasu, na tyle często, by być z nim na nieformalnej stopie. To znaczy Swain był nieformalny; Murray był Angolem.

- Tędy - powiedział Murray, gdy uściśli sobie dłonie.

- Jak tam żona i dzieci? - zapytał Swain plecami Anglika, idąc za nim niespiesznym krokiem.

- Victoria piękna, jak zwykle. Dzieci dorastają.

- To mówi samo za siebie.

- Właśnie. A pańskie?

- Chrissy właśnie zaczęła college, Sam studiuje na pierwszym roku. Oficjalnie wciąż jest nastolatkiem, ale najgorsze już za nim. - Tak, dodał w duchu, oboje wyrosli na cholernie fajnych młodych ludzi, zważywszy, że ich rodzice są rozwiedzeni od dwunastu lat, a ojciec ciągle siedzi za granicą. Zawdzięczają to głównie matce, która postarała się, by przy rozstaniu Swain nie wyszedł na winnego. Usiedli z Amy i dziećmiakami i wytłumaczyli im, że rozwodzą się z mnóstwa powodów, łącznie z tym, że pobrali się za młodo. To wszystko była święta prawda, ale główny powód był taki, że Amy miała dość bycia żoną faceta, który wiecznie jest gdzie indziej, i chciała mieć wolną rękę, by poszukać sobie innego. O ironio, nie wyszła ponownie za męża, choć spotykała się z paroma facetami. Życie dzieciaków nie zmieniło się zbytnio po rozwodzie: mieszkały w tym samym domu, chodziły do tej samej szkoły i widywały ojca mniej więcej tak samo często jak przedtem.

Gdyby on i Amy byli starsi i mądrzejsi, gdy się pobierali, nigdy nie zdecydowaliby się na dzieci. Niestety, lat i mądrości zwykle przybywa w tym samym tempie, więc kiedy dorośli na tyle, by mieć trochę oleju w głowie, było za późno. Mimo to Swain nie żałował, że powołał swoje dzieci na świat. Kochał je każdą komórką swego ciała i godził się z faktem, że nie jest w ich życiu równie ważny jak matka.

- Człowiek może tylko robić, co w jego mocy, i modlić się, by to diabelskie nasienie pewnego dnia znów przybrało ludzkie kształty - stwierdził Murray, skręcając w krótki korytarzyk. - Jesteśmy na miejscu.

Zasłonił ciałem klawiaturę i wstukał kod, po czym otworzył gładkie stalowe drzwi. Pomieszczenie pełne było monitorów i bystrookiego personelu, który obserwował fale ludzi przelewające się przez ogromne lotnisko. Stamtąd przeszli do mniejszego pokoju, w którym również znajdowało się kilka monitorów oraz sprzęt do przeglądania zapisów z niezliczonych kamer. Murray usiadł na niebieskim krześle na kółkach i zaprosił Swaina, by przyciągnął sobie drugie, identyczne. Wstukał komendę na klawiaturze i monitor na wprost niego rozbliysnął. Widać było na nim Lily Mansfield, wysiadającą tego ranka z samolotu z Paryża.

Swain przestudiował każdy szczegół; zauważył, że nie miała na sobie żadnej biżuterii, nawet zegarka. Spryciara. Czasami ludzie zmieniali wszystko z wyjątkiem zegarka i ten jeden szczegół ich zdradzał. Była ubrana w prosty czarny kostium i czarne czółenka na niskich obcasach. Pomyślał, że jest wychudzona i blada.

Nie rozglądała się na boki, po prostu podążała z tłumkiem, który wysiadł z samolotu, i skręciła do pierwszej napotkanej łazienki. Z toalety wyszło kilkadziesiąt najróżniejszych kobiet,

lecz żadna z nich nie przypominała Lily.

- A niech mnie - mruknął Swain. — Niech pan to puści jeszcze raz. W zwolnionym tempie.

Murray cofnął taśmę. Swain ponownie przyjrzał się Lily wysiadającej z samolotu; niosła średniej wielkości czarną torebkę, z rodzaju tych, jakie codziennie noszą miliony kobiet. Skupił się na tej torbie, szukając jakiegoś charakterystycznego szczegółu: klamry, sposobu mocowania pasków, czegokolwiek. Gdy Lily zniknęła w toalecie, zaczął wypatrywać tej torby u wychodzących. Zobaczył mnóstwo torebek różnych rozmiarów i kształtów, lecz tylko jedna mogła być tą, o którą mu chodziło. Niosła ją wysoka kobieta, której ubranie, fryzura i makijaż, krzychały: „Patrzcie na mnie!” Ale ona niosła również podręczną torbę bagażową, a Lily nie miała niczego takiego.

- Jeszcze raz - poprosił. - Od początku. Chcę zobaczyć wszystkich wysiadających z tego samolotu.

Murray spełnił polecenie. Swain studiował wszystkie twarze i jednocześnie zwracał uwagę na bagaże, jakie nieśli pasażerowie. W końcu ją zobaczył.

- Stop! - zawołał, pochylając się do ekranu. Murray zatrzymał obraz.

- Co? Jeszcze jej nie widać.

- Nie, ale proszę spojrzeć na tę kobietę. - Swain stuknął palcem w ekran. - Niech pan popatrzy na jej podręczny bagaż. A teraz zobaczmy, co robi.

Stylowo ubrana kobieta szła kilka metrów przed Lily. Skierowała się do toalety, w czym nie było nic niezwykłego. Sporo pasażerek tego lotu zrobiło to samo. Swain oglądał film do momentu, gdy kobieta wyszła z łazienki - bez torby.

- Bingo - rzucił. - Ona wniosła torbę; kostium był w środku. Proszę trochę cofnąć. Tu. Oto nasza dziewczyna. Teraz ona niesie torbę.

Murray zamrugał, patrząc na fantastyczne stworzenie na monitorze.

- Do licha - mruknął. - Jest pan pewien?

- A widział pan, żeby ta kobieta wchodziła do toalety?

- Nie, ale nie zwracałem na nią uwagi. - Murray umilkł na chwilę. - Raczej bym jej nie przegapił, prawda?

- Nie w tych ciuchach. - Już same kolczyki z piórami upominały się o powtórne spojrzenie. Od rudych najeżonych włosów po kozaki na szpilach, wszystko w tej kobiecie przyciągało wzrok. Jeśli Murray nie zauważył, żeby wchodziła do toalety, to dlatego, że nie wchodziła. Nic dziwnego, że jego ludzie nie przejeździ tego kamuflażu; ile osób, chcąc się ukryć, zachęcałoby do gapienia się na siebie?

- Proszę spojrzeć na nos i usta. To ona. - Nos Lily nie był do końca orli, ale niewiele mu brakowało. Był wydatny, a mimo to kobiecy, i dziwnie pociągający w zestawieniu z tymi jej ustami o pełnej górnej wardze.

- Faktycznie - stwierdził Murray, kręcąc głową.

- To dobre przebranie. Bardzo sprytnie. A teraz zobaczmy, dokąd pójdzie nasza kowbojka w technikolorze.

Murray pokombinował przy klawiaturze, otwierając odpowiednie nagrania, na których można było śledzić drogę Lily przez lotnisko. Szła prosto przez jakiś czas, po czym skręciła do kolejnej toalety. I nie wyszła.

Swain potarł oczy.

- Zaczynamy od nowa. Proszę się skoncentrować na jej torbach.

Z powodu kłębiącego się przed kamerą tłumy musieli obejrzeć taśmę kilka razy, by zawęzić liczbę możliwości do trzech kobiet, i śledzić je, dopóki nie uzyskali lepszego widoku. W końcu jednak ją zidentyfikowali. Miała teraz długie czarne włosy, a ubrana była w czarne spodnie i

czarny golf. Była niższa po zdjęciu szpilek, miała też inne okulary przeciwsłoneczne, a pierzaste kolczyki zastąpiła złotymi kółkami. Ale wciąż miała przy sobie te same dwie torby.

Kamery śledziły ją do bramki, od której przeszła do kolejnego samolotu. Murray szybko sprawdził, jaki lot obsługiwała ta bramka o tej godzinie.

- Paryż — powiedział.

- Jasna cholera - zaklął Swain, osłupiały. Poleciała z powrotem. - Może pan zdobyć listę pasażerów?

Było to pytanie retoryczne; oczywiście, że Murray mógł. Kilka minut później Swain miał już listę. Nie figurowała na niej ani Denise Morel, ani Lily Mansfield. Czyli posługiwała się jeszcze innym nazwiskiem.

Czekał go więc powrót do Paryża i przebrnięcie przez te same czynności z władzami lotniska de Gaulle'a. Drażliwi Francuzi mogli nie być tak uczynni jak Murray, ale Swain miał parę asów w rękawie.

- Proszę coś dla mnie zrobić - powiedział do Murraya. - Niech pan nie przekazuje tej informacji Rodrigowi Nerviemu.

Czuł niechęć do pomagania takim ludziom. Okoliczności zmuszały rząd USA, by od czasu do czasu patrzył przez palce na brudne sprawy organizacji Nervich, ale on nie musiał im ułatwiać życia.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - odparł Murray. - Jakiej informacji?

Przedostanie się z powrotem przez kanał okazało się równie kłopotliwe jak podróż do Londynu. Swain nie mógł wysiąść z jednego samolotu i natychmiast wsiąść do drugiego, jak zrobiła to Lily - ona bowiem zaplanowała to z wyprzedzeniem, a on pchał się za nią na oślep, usiłując znaleźć wolne miejsce.

Ręce mu opadły, gdy dowiedział się, że znów musi czekać długie godziny na samolot.

Murray klepnął go w ramię.

- Znam kogoś, kto może tam pana dostarczyć o wiele szybciej. Chyba nie ma pan nic przeciwko lataniu na tylnym siedzeniu? To pilot NATO.

- Jasna cholera - burknął Swain. - Chce mnie pan wsadzić do myśliwca?

- Przecież powiedziałem „o wiele szybciej”, nie?

## Rozdział 6

Lilly otworzyła drzwi kawalerki na Montmartre, którą wynajęła kilka miesięcy wcześniej, jeszcze zanim zaczęła udawać Denise Morel. Była mała, ale z własną łazienką. Lily miała tu swoje rzeczy, a do tego czuła się względnie bezpiecznie, bo z myślą o wynajęciu tego mieszkania stworzyła sobie jeszcze jedną tożsamość: Claudii Weber, obywatelki niemieckiej.

Ponieważ Claudia była blondynką, Lily wpadła po drodze do fryzjera i kazała usunąć farbę z włosów. Mogła kupić odpowiednie preparaty i zrobić to sama, ale dekoloryzacja jest znacznie bardziej skomplikowana niż farbowanie i Lily bała się, że zniszczy sobie włosy. A i tak trzeba było ściąć kilka centymetrów, by pozbyć się wysuszonych końcówek po rozjaśnianiu.

Kiedy spojrzała w lustro, nareszcie znów zobaczyła siebie. Zdjęta barwione soczewki kontaktowe i teraz patrzyły na nią własne błękitne oczy. Jej proste włosy sięgające ramion znów były jasne jak zboże. Mogłaby przejść obok Rodriga Nerviego i pewnie by jej nie poznał - a przynajmniej taką miała nadzieję, bo to mogło się zdarzyć.

Znużona, odstawiła torby na starannie zaścielone składane łóżko i padła obok nich. Wiedziała, że powinna sprawdzić, czy w mieszkaniu nie założono podsłuchu, ale przez cały dzień nie pozwoliła sobie na odpoczynek i teraz aż drżała ze zmęczenia. Gdyby mogła się

przespać choćby godzinkę, poczułaby się o niebo lepiej.

W sumie jednak była zadowolona z własnej kondycji. Zmęczyła się, owszem, ale nie walczyła o każdy oddech, co miałyby miejsce, gdyby zastawka była poważnie uszkodzona. Oczywiście nie forsowała się przesadnie, nie biegła, toteż kwestia jej faktycznego stanu zdrowia wciąż pozostawała otwarta.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w bicie swojego serca. Puk-puk, puk-puk. O ile mogła stwierdzić, rytm był całkiem normalny. Może więc uszkodzenie było minimalne, ledwie na tyle duże, by ujawnić się pod postacią słabego szmeru. Zresztą teraz miała inne zmartwienia.

Odpiłyła w półsen. Gdy jej ciało odpoczywało, myśli zaczęły krążyć wokół sytuacji, analizując i porządkując fakty, próbując znaleźć odpowiedzi na pytania, ocenić nieznanne czynniki.

Nie wiedziała, na co natknęli się Averill i Tina albo co im powiedziano, ale było to coś, co poruszyło ich na tyle, by wrócili do branży, którą porzucili. Nie wiedziała nawet, kto ich wynajął. Nie CIA - tego była prawie pewna. MI-6 też raczej nie. Choć obie agencje nie zaglądały sobie w garnki, utrzymywały ścisłą współpracę, a poza tym miały do dyspozycji mnóstwo aktywnych agentów, nie potrzebowały więc ściągać dwójki „emerytów”.

Prawdę mówiąc, nie sądziła, by wynajął ich jakikolwiek rząd; wyglądało to raczej na prywatne zlecenie. Salvatore Nervi nadepnął komuś na odcisk - do diabła, on stale deptał ludziom po odciskach, zastraszał, używał siły i zabijał. Znalezienie jego wrogów nie było trudne; przesianie ich mogło potrwać rok albo i dłużej. Ale kto chciałby zatrudnić dwójkę zawodowców-emerytów, czy nie żeby się zemścić? A co więcej, kto wiedział o przeszłości jej przyjaciół? Averill i Tina prowadzili zwyczajne życie i stawali na głowie, by zapewnić Zii normalność; nie ogłaszali się ze swoimi umiejętnościami.

Ale ktoś o nich wiedział, znał ich możliwości. To wskazywałoby na osobę, która też działała w branży, a przynajmniej miała dostęp do nazwisk. Ktokolwiek to był, wiedział również, że nie może składać propozycji aktywnym agentom i w ten sposób ściągać na siebie uwagi. Zamiast tego wybrał Averilla i Tinę, bo... No właśnie, dlaczego ich? I dlaczego się zgodzili, chociaż w grę wchodziło bezpieczeństwo Zii?

Lily przychodziło do głowy kilka powodów, dla których mogli zostać wybrani. Po pierwsze byli na tyle młodzi, by wciąż zachować dobrą formę fizyczną. Byli też ekspertami w swoim fachu, opanowanymi i doświadczonymi. Rozumiała, dlaczego wybór padł na nich, ale nie miała pojęcia, czemu zgodzili się w to zaangażować? Dla pieniędzy? Finansowo stali całkiem nieźle - nie byli bogaci, ale i nie zaciskali pasa. W dodatku przez lata pracy zdążyli wyrobić sobie tak samo beztroski stosunek do pieniędzy, jaki miała ona. Od kiedy zaczęła pracować, pieniądze zawsze były. Nie przejmowała się nimi i nie przejmowali się nimi Averill i Tina. We dwójkę odłożyli wystarczająco dużo gotówki, by żyć wygodnie do końca swoich dni, a poza tym Averill całkiem nieźle zarabiał w swoim serwisie komputerowym.

Musieli mieć poważne powody, a ona chciała je poznać, bo wtedy wiedziałaby, jak zaatakować. Sama śmierć Salvatore Nerviego jeszcze jej nie satysfakcjonowała; on po prostu poszedł na pierwszy ogień. Aby zemsta była pełna, Lily musiała się dowiedzieć, jaka wielka sprawa skłoniła jej przyjaciół, by się zaangażowali; znaleźć coś, co spowoduje, że cały świat odwróci się od Nervich, i nawet ludzie, których Salvatore trzymał w garści, zaczną uciekać na łeb, na szyję, byle dalej od jego organizacji. Pragnęła rozwalić całą tę przegniłą budowlę.

Gdyby Tina powiedziała jej o zleceniu, może by się do nich przyłączyła. Być może jej udział przesądziłby o sukcesie zadania, które bez niej zakończyło się porażką - a może i ona nie żyłaby teraz, tak jak oni.

Niestety nie wspomnieli o niczym, chociaż jadła z nimi kolację niecały tydzień przed ich



śmiercią. Owszem, wyjeżdżała z miasta, by wykonać zlecenie, które miało jej zająć kilka dni, ale powiedziała im, kiedy spodziewa się wrócić. Czy wtedy już wiedzieli, czy może oferta spadła jak grom z jasnego nieba i wymagała natychmiastowej akcji? Averill i Tina nie działali w ten sposób. Każda sprawa dotycząca organizacji Nervich wymagała przygotowania, ze względu na wielowarstwową ochronę.

Wszystko to przerabiała już w myślach dziesiątki razy podczas bezsennych nocy od dnia ich śmierci. Chwilami, kiedy radosna twarzyczka Zii stawała jej przed oczami, wybuchała płaczem tak gwałtownym, że aż ją to przerażało. Rozpacz kazała jej uderzyć natychmiast, by odciąć łeb węża. Zrobiła to - przez wiele miesięcy koncentrowała się wyłącznie na tym jednym celu, a teraz zamierzała skupić się na reszcie.

Najpierw musi się dowiedzieć, kto wynajął Averilla i Tinę. Prywatne zlecenie oznaczało kogoś z pieniędzmi... chociaż nie było to takie oczywiste. Może ta osoba przyszła do nich z dowodami na coś szczególnie nikczemnego, w czym maczał palce Salvatore. A kiedy w grę wchodził Salvatore, to mogło być wszystko; nie potrafiła sobie wyobrazić żadnej podłości czy ohydy, przed którą by się cofnął. Jego jedynym kryterium był zysk.

Averill i Tina w głębi duszy pozostali idealistami. Mogło się więc zdarzyć coś, co poderwało ich do działania, mimo iż w swojej zawodowej przeszłości widzieli już tyle, że niewiele mogło ich zaszokować. Co to mogło być?

Zia. Coś, co zagroziło Zii. By ją chronić, walczyliby jak tygrysy, zębami i pazurami. Wszystko, co jej dotyczyło, wyjaśniało zarówno ich pośpiech, jak i motywację do działania.

Lily usiadła, mrugając. Oczywiście. Dlaczego nie widziała tego wcześniej? Jeśli nie pieniądze skłoniły ich do powrotu, to co jeszcze było dla nich na tyle ważne? Ich małżeństwo, wzajemna miłość, ona sama... ale przede wszystkim Zia.

Nie miała dowodu, lecz nie potrzebowała go. Znała swoich przyjaciół, wiedziała, jak bardzo kochali córkę. Ta konkluzja była czysto intuicyjna, ale pasowała jak ulał. Nic innego nie pasowało.

To nadało kierunek jej dalszym rozważaniom. Nervi mieli w posiadaniu między innymi liczne laboratoria, prowadzące najróżniejsze badania medyczne, chemiczne i biologiczne. Skoro Averill i Tina uznali, że sprawą trzeba zająć się niezwłocznie, cokolwiek to było, nie mogło być zbyt odległe w czasie. Ale choć ponieśli klęskę, od tamtej pory nie wydarzyła się żadna lokalna katastrofa. Tylko zwykłe terrorystyczne zamachy bombowe, które nie miały nic wspólnego z żadną akcją na szerszą skalę.

A może jej przyjaciele nie ponieśli klęski? Może ich misja zakończyła się sukcesem, ale Salvatore odkrył, kim byli, i kazał ich zabić, by dać innym nauczkę, że nie zadziera się z Nervimi. Może nie chodziło o żadne z laboratoriów. Salvatore posiadał wiele przedsiębiorstw, rozrzuconych po całej Europie. Trzeba będzie przeszukać archiwalne numery paru gazet i sprawdzić, czy pisano o jakichkolwiek incydentach dotyczących własności Nervich w tygodniu poprzedzającym śmierć jej przyjaciół. Salvatore był wystarczająco potężny, by zredukować medialne zamieszanie do minimum, a nawet wyciszyć je całkowicie, gdyby widział taką potrzebę, ale mogła się znaleźć mała wzmianka o... czymś.

Jej przyjaciele nie wyjeżdżali nigdzie przed śmiercią; Lily dowiedziała się od ich sąsiadów, że Averill i Tina siedzieli w domu, a Zia chodziła do szkoły. Więc cokolwiek to było, musiało się dziać na miejscu, a przynajmniej bardzo niedaleko.

Postanowiła, że jutro pójdzie do kafejki internetowej i zacznie szukać. Mogła to zrobić nawet teraz, lecz rozsądek nakazywał jej odpocząć po tak długim dniu. Tutaj była stosunkowo bezpieczna, nawet przed Agencją. Nikt nie wiedział o Claudii Weber, a ona nie robiła niczego, co mogło zwrócić na nią uwagę. Przewidując, że zjadła w barze na lotnisku, wiedząc, że czekają

długie posiedzenie u fryzjera; kupiła też coś do przegryzienia na wieczór i porcję kawy na jutro rano. Na razie niczego więcej nie potrzebowała. Jutro zrobi większe zakupy spożywcze, najlepiej wcześniej rano, a potem pójdzie do kafejki internetowej i zacznie szukać.

Internet to wspaniały wynalazek, pomyślał Rodrigo. Jeśli tylko zna się odpowiednich ludzi - a on ich znał - niemal wszystko można sprawdzić.

Najpierw jego ludzie sporządzili listę chemików gotowych sprzedać swoje usługi i mających odpowiednie umiejętności, by stworzyć tak zabójczą truciznę. Ten ostatni warunek zawęził listę kilkuset nazwisk do ledwie dziewięciu.

Teraz pozostawała tylko kwestia prześwietlenia ich finansów. Ktoś musiał otrzymać ostatnio dużą sumę pieniędzy. Może był na tyle inteligentny, by wpłacić je na konto numeryczne, a może nie. Ale nawet jeśli, będą inne oznaki przyływu gotówki.

Znalazł te oznaki u doktora Waltera Speera, obywatela niemieckiego zamieszkałego w Amsterdamie. Doktor Speer został zwolniony z szanowanej berlińskiej firmy, a potem z kolejnej, w Hamburgu. Wtedy przeniósł się do Amsterdamu, gdzie jakoś sobie radził, ale nie zarabiał kocosów. Ostatnio jednak kupił sobie srebrnego porsche i zapłacił za auto gotówką. Ustalenie, w którym banku Speer miał konto, było dziecinną igraszką, a włamanie się do bankowego systemu komputerowego też nie stanowiło problemu. Okazało się, że trochę ponad miesiąc temu doktor Speer wpłacił na konto milion dolarów amerykańskich.

Amerykanie. Rodrigo osłupiał. Za zamordowanie jego ojca zapłacili Amerykanie? To się nie trzymało kupy. Ich umowa była dla Jankesów zbyt ważna, by chcieli się mieszać; Salvatore o to zadbał. Rodrigo niekoniecznie zgadzał się z ojcem w kwestii współpracy z Amerykanami, ale układ sprawdzał się przez wiele lat i nie stało się nic, co mogłoby zburzyć status quo.

Denise - czy jak się tam naprawdę nazywa - zniknęła dziś, lecz teraz miał kolejną wskazówkę, jak się dowiedzieć, kim jest i dla kogo pracuje.

Rodrigo nie zwykł tracić czasu; jeszcze tego wieczoru poleciał prywatnym samolotem do Amsterdamu. Zlokalizowanie mieszkania doktora Speera było dziecinnie proste, podobnie jak sforsowanie zamka w drzwiach. Rodrigo czekał w ciemności, aż Walter Speer wróci do domu.

Gdy tylko otworzyły się drzwi, poczuł silny zapach alkoholu, a doktorek potknął się lekko, odwracając się, by zapalić światło.

Rodrigo uderzył ułamek sekundy później; walnął Speerem o ścianę, by go ogłuszyć, po czym, rzuciwszy na podłogę, dosiadł go i wymierzył kilka potężnych ciosów pięścią w twarz. Taki wybuch przemocy oszałamia niedoświadczonych, wprawia w stan takiej dezorientacji i szoku, że stają się kompletnie bezradni. Doktor Speer był nie tylko niedoświadczony, ale i pijany. Nie zdobył się na jakąkolwiek obronę, choć i tak niewiele by mu z tego przyszło. Rodrigo był potężniejszy, młodszy, szybszy i miał wprawę w tym, co robił.

Podciągnął doktora do pozycji siedzącej i cisnął o ścianę, tak by jego głowa jeszcze raz grzmotnęła o mur. W końcu złapał go za przód marynarki i przyciągnął do siebie. Spodobało mu się to, co zobaczył.

Na twarzy doktora wykwiwały wielkie czerwone bulwy, z ust i nosa ciekła krew. Rozbite okulary wisiały krzywo na jednym uchu. Spoglądał na napastnika z wyrazem totalnego niezrozumienia.

Doktor Speer wyglądał na mężczyznę tuż po czterdziestce. Miał burzę gęstych kasztanowych włosów i masywną budowę, przez co trochę przypominał niedźwiedzia. Jego rysy, nim Rodrigo je „upiększył”, były prawdopodobnie zupełnie przeciętne.

- Pan pozwoli, że się przedstawię - powiedział Rodrigo po niemiecku. Nie mówił dobrze w tym języku, ale potrafił się zrozumiale wysłowić. - Jestem Rodrigo Nervi.

Chciał, by doktor zrozumiał, z kim ma do czynienia. Zobaczył, że oczy chemika otwierają się szerzej; nie był na tyle pijany, by stracić zdolność myślenia.

- Miesiąc temu otrzymał pan milion dolarów amerykańskich. "Kto panu zapłacił i za co?"

- Ja... ja... - wyjąkał doktor Speer.

- Pieniądze. Kto je panu dał?

- Jakaś kobieta. Nie znam jej nazwiska.

Rodrigo potrząsnął nim tak mocno, że głowa zatańczyła mu na karku, a stłuczone okulary poleciały na bok.

- Jest pan tego pewien?

- Ona... ona mi się nie przedstawiła - wysapał Speer.

- Jak wyglądała?

- Eee... - Speer zamrugnął, próbując zebrać myśli. - Szatynka. Brązowe oczy, zdaje się. Nie przyglądałem jej się, rozumie pan?

- Stara? Młoda?

Speer znów mrugnął kilka razy.

- Po trzydziestce? - powiedział z pytającą intonacją, jakby nie ufał swojej pamięci.

Więc jednak. Bez wątpienia to Denise zapłaciła mu milion dolarów. Speer nie wiedział, od kogo dostała te pieniądze - była to kolejna rzecz do sprawdzenia - ale jego słowa wszystko potwierdzały. Od chwili, kiedy zniknęła, Rodrigo czuł, że to ona jest morderczynią, ale dobrze było się upewnić, że nie marnował czasu, podążając fałszywym tropem.

- Zrobił pan dla niej truciznę.

Speer przełknął konwulsyjnie ślinę, ale w jego mętnych oczach zapłonęła iskra zawodowej dumy. Nawet nie próbował zaprzeczać.

- Majstersztyk, śmiem twierdzić. Połączyłem właściwości kilku zabójczych toksyn. Stuprocentowa skuteczność, nawet po zażyciu zaledwie trzydziestu gramów. Do czasu, gdy ujawnią się symptomy, szkody w organizmie są już tak poważne, że nie ma na nie lekarstwa. Pewnie można by próbować przeszczepu wielonarządowego, zakładając, że tyle organów byłoby dostępnych jednocześnie i wszystkie byłyby zgodne, ale gdyby toksyna pozostawała jeszcze w organizmie, zaatakowałyby również przeszczepione narządy. Nie, nie sądzę, by to się mogło udać.

- Dziękuję, doktorze. - Rodrigo uśmiechnął się. Gdyby doktor był trzeźwy, ten uśmiech przestraszyłby go śmiertelnie. A tak tylko odpowiedział uśmiechem.

- Nie ma za co - powiedział. Jego słowa wisiały jeszcze w powietrzu, gdy Rodrigo skręcił mu kark. Doktor osunął się na podłogę jak szmaciana lalka.

## Rozdział 7

Następnego ranka Swain leżał na hotelowym łóżku, gapiąc się w sufit i próbując logicznie połączyć wszystkie fakty. W okna bębnił zimny listopadowy deszcz; Swain nie przestawił się jeszcze z o wiele cieplejszego klimatu Ameryki Południowej, więc było mu chłodno, mimo iż leżał pod kołdrą. Zniechęcony deszczem i skołowany po całym tym lataniu czuł, że zasłużył na odpoczynek. Poza tym nie obijał się tak do końca; przecież myślał.

Nie znał Lily, co utrudniało mu przeniknięcie jej planów. Jak na razie okazała się pomysłowa, odważna i opanowana; wiedział, że będzie musiał użyć wszystkich swoich umiejętności, by rozpracować jej sposób myślenia. Ale uwielbiał wyzwania, więc zamiast ganiać po Paryżu, wymachiwać jej zdjęciem i pytać obcych ludzi na ulicy, czy widzieli tę kobietę - pewnie niewiele by mu z tego przyszło - próbował przewidzieć jej następny ruch, żeby

wyprzedzić ją choćby o pół kroku.

W myślach uporządkował wszystko, co wiedział w tej chwili - a nie było tego wiele.

Punkt A: Salvatore Nervi zabił jej przyjaciół.

Punkt B: ona zabiła Salvatore Nervi.

Logicznie rzecz biorąc, to powinien być koniec. Misja wypełniona i Lily została jeszcze tylko jeden drobiazg: wymknąć się z morderczych łap Rodriga Nervi. Udało jej się to; związała do Londynu, wykonała sprytny numer z przebieranką i wróciła po własnych śladach. Mogła zakopać się tu, w Paryżu, używając kolejnej ze swojego zapasu tożsamości. Było też możliwe, że opuściła lotnisko, znów zmieniła wygląd, po czym wróciła i wsiadła do kolejnego samolotu. Na pewno wie, że wszystko, co jakkolwiek pasażer robi na lotnisku - poza toaletami - jest rejestrowane przez jakąś kamerę, musiała się więc spodziewać, że ktoś w końcu rozpracuje jej przemiany, a wtedy przejrzy listy pasażerów i wydedukuje, jakimi posługiwała się nazwiskami. Dokonywała tych błyskawicznych zmian, by zmylić Rodriga Nervi i zyskać trochę czasu, nawet jeśli oznaczało to spalenie trzech pseudonimów, bo ponowne ich wykorzystanie oznaczałoby uruchomienie najróżniejszych dzwonek alarmowych i w końcu doprowadziłoby do jej wpadki.

Ale mając czas, jaki sobie kupiła, mogła opuścić terminal i po raz kolejny zmienić skórę - na taką, której nie zarejestrowały kamery lotniska. Jej papiery były niezłe, musiała znać parę utalentowanych osób. Bez problemu przeszła przez punkty kontrolne ochrony i służb celnych. W tej chwili może być wszędzie. W Londynie, w nocnym samolocie do Stanów albo nawet w sąsiednim pokoju.

Wróciła do Paryża. Z logistycznego punktu widzenia to bardzo sensowne posunięcie; lot był krótki, dawał jej czas na ucieczkę, zanim ochrona zdążyła przedrzeć się przez nagrania z kamer i stwierdzić, jakim cudem zniknęła, a potem wyłowić z listy pasażerów nazwisko, którym się posłużyła. Wracając do Paryża, zaangażowała też w poszukiwania kolejną machinę biurokratyczną, jeszcze bardziej spowalniając cały proces. Mogła jednak osiągnąć to samo, lecąc do jakiegokolwiek innego europejskiego kraju. Lot Londyn-Paryż trwał tylko godzinę, ale Bruksela była jeszcze bliżej. Tak samo Amsterdam i Haga.

Swain splótł dłonie za głową i się zamyślił. W tym rozumowaniu była wielka luka. Lily mogła przejść odprawę w Londynie i wyjść z lotniska, zanim ktokolwiek zdążyłby obejrzeć taśmy ochrony i wykombinować, jak się przebrała. Jeśli nie chciała zostawać w Londynie, mogła zwyczajnie zmienić charakterystykę i wrócić kilka godzin później, by złapać inny lot, i absolutnie nikt by jej nie skojarzył. Prawdę mówiąc, byłoby to o wiele rozsądniejsze posunięcie niż pozostawanie na lotnisku, w zasięgu tych wszystkich kamer. Więc dlaczego tak nie zrobiła? Albo sądziła, że nikt nie zdoła przejrzeć jej zmiany osobowości, albo miała ważny powód, by wrócić do Paryża właśnie w tym momencie.

Nie była oficerem terenowym wyszkolonym w technikach szpiegowskich; agenci kontraktowi są zatrudniani do konkretnych zadań, wysyłani na miejsce, by wypełnić dane zlecenie. W jej teczce nie wspominało, aby przeszła szkolenie dotyczące metod kamuflażu i uników. Musiała wiedzieć, że Agencja będzie ją ścigać za rozbicie układu z Nervi, ale może nie znała poziomu ochrony na lotniskach.

Jednak nie dałby sobie za to uciąć ręki.

Była zbyt inteligentna, zbyt dobrze kontrolowała sytuację. Wiedziała, że kamery śledzą każdy jej ruch, i rzuciła obserwującym tyle podkręconych piłek, by przez chwilę byli zajęci. Mogła uznać, że jeśli da im trochę więcej czasu, opuszczając Heathrow i wracając później, umożliwi im... zrobienie czegoś. Ale czego? Może zeskanowania jej twarzy i wprowadzenia do programu identyfikacji? Fakt, figurowała w bazie danych Agencji, ale nigdzie indziej. Gdyby jednak ktoś

wprowadził jej rysy do bazy Interpolu, kamery przy wejściach lotniska dopasowałyby ją do wzorca, zanim zdążyłaby przejść odprawę. Tak, to mogło być to. Pewnie się obawiała, że Rodrigo Nervi każe swoim ludziom wprowadzić ją do bazy Interpolu.

Jak mogła uniknąć tego niebezpieczeństwa? Po pierwsze, poddając się operacji plastycznej. I znów byłaby to jedna z sensownych rzeczy, jakie może zrobić uciekająca kobieta. Jednak nie zdecydowała się na to; zamiast tego wróciła do Paryża. Może ukrywanie się przez czas potrzebny na przeprowadzenie operacji trwałoby zbyt długo. Może czas ją gonił, może chciała zrobić jeszcze coś w określonym terminie.

Co? Obejrzeć paryski Disneyland? Zwiedzić Luwr?

Nie, ale istniało logiczne wyjaśnienie: zabicie Salvatore Nerviego było tylko pierwszym etapem, a nie celem samym w sobie. Może wiedziała, że najlepszy z najlepszych oficerów Agencji - czyli on (nie, żeby znała go osobiście, ale to nieważne) - ruszył do akcji, więc jej ujęcie to tylko kwestia czasu. Tak czy inaczej, Lily miała do zrobienia coś na tyle pilnego, że liczyły się godziny, i bała się, że zabraknie jej czasu.

Swain jęknął i usiadł, pocierając twarz dłońmi. To rozumowanie też nie było wolne od usterek. Miałaby większe szanse na osiągnięcie celu - cokolwiek to było - gdyby ukryła się i poddała operacji plastycznej. Wciąż do tego wracał. Jedyny sens jej działaniom nadawałoby istnienie jakiejś metaforycznej bomby z czasowym zapalnikiem, czegoś, co nie może poczekać parę miesięcy i musi być załatwione natychmiast. Jeśli jednak rzeczywiście istnieje coś takiego - coś, co stanowiłoby zagrożenie dla świata - wystarczyłoby to zgłosić i pozwolić działać zespołowi ekspertów, zamiast bawić się w Samotnego Strzelca.

Skreślić „zagrożenie dla świata” jako motyw.

Więc chodzi o coś osobistego. Coś, co chciała zrobić sama, i to jak najszybciej.

Pomyślał o zawartości jej akt. Motywem zabicia Salvatore Nerviego była śmierć dwójki przyjaciół i ich adoptowanej córki. Lily postępowała mądrze; przygotowała się do tego zabójstwa, nie spieszyła się, zbliżyła się do Nerviego, by móc wykonać zadanie. Więc dlaczego teraz nie postępowała rozsądnie? Dlaczego inteligentna, profesjonalna agentka robiła coś, co mogło doprowadzić do jej schwytania?

Zapomnijmy o motywacji, pomyślał nagle. Jest facetem; prędzej zwariuje, niż wymyśli, co chodzi po głowie kobiecie. Gdyby miał wybrać najbardziej prawdopodobny scenariusz, powiedziałby, że Lily nie skończyła jeszcze z rodziną Nervich. Uderzyła mocno, a teraz zatoczyła krąg i wróciła, by zadać ostateczny cios. Wkurzyli ją maksymalnie i musieli jej za to zapłacić.

Westchnął z zadowoleniem. Tak. To się trzymało kupy. I dawało motyw. Lily straciła troje bliskich sobie ludzi i mściła się, nie oglądając się na koszty. Rozumowanie było proste i jasne, bez całego tego piętrowego kombinowania, dlaczego to, a dlaczego tamto.

Postanowił obgadać to z Frankiem Vinayem za parę godzin, kiedy nad Waszyngtonem wzejdzie słońce, ale przeczucie podpowiadało mu, że jest na właściwym tropie, a przed rozmową z Vinayem mógł jeszcze trochę powęszyc.

Wszystko wskazywało na jej przyjaciół. Cokolwiek zrobili, by zaszkodzić Nerviemu, to samo będzie jej celem w ramach swego rodzaju romantycznej zemsty.

Znów wrócił myślami do teczki, którą przeglądał w gabinecie Vinaya. Nie przywiózł żadnych papierów ze sobą, bo to mogło go narazić na niebezpieczeństwo; a tak, niepowołane oczy nie mogły przeczytać czegoś, czego nie było. Musiał polegać na swojej pamięci, która podsunęła mu teraz nazwiska Averilla i Christiny Joubranów, agentów kontraktowych w stanie spoczynku. Averill był Kanadyjczykiem, Christina pochodziła ze Stanów, ale mieszkali na stałe we Francji i całkowicie wycofali się z branży jakieś dwanaście lat temu. Co mogło popchnąć Salvatore

Nerviego do ich zamordowania?

Najpierw musiał się dowiedzieć, gdzie mieszkali, jak zginęli, z kim się przyjaźnili oprócz Lily Mansfield i czy rozmawiali z kimś o czymś niezwykłym. Może Nervi produkował broń biologiczną i sprzedawał ją północnym Koreańczykom? Ale jeśli przyjaciele Lily natknęli się na coś takiego, dlaczego, u diabła, nie zadzwonili do swoich starych szefów i nie zgłosili tego? Idiotci mogliby próbować wziąć sprawy w swoje ręce, lecz cenienci agenci kontraktowi nie byli idiotami, bo inaczej już dawno byliby martwi.

To nie była pocieszająca konkluzja - wszak Joubranowie byli martwi.

Zanim jego rozumowanie znów się zapętlilo, Swain wstał z łóżka, wziął prysznic i zamówił śniadanie do pokoju. Wybrał Bristol w rejonie Champs Elysees, bo mieli hotelowy parking i dwudziestoczterogodzinny room-service. Było tu wprawdzie drogo, ale on potrzebował parkingu dla samochodu, który wynajął wczoraj wieczorem, i całodobowej obsługi, bo mogło się zdarzyć, że będzie wracał o bardzo dziwnych godzinach. A poza tym łazienki w marmurze są naprawdę fajne.

Gdy jadł croissanty z dżemem, przyszło mu do głowy coś oczywistego: Joubranowie na nic się nie natknęli. Zostali wynajęci, by wykonać jakieś zadanie, i albo im nie poszło, albo wręcz przeciwnie - wykonali je i zostali zabici przez Nerviego z zemsty.

Lily może już wiedzieć, co to było; jeśli tak, wciąż jest kilka kroków przed nim. Ale jeśli nie wiedziała - co wydawało się bardziej prawdopodobne, bo wykonywała akurat zlecenie, gdy zostali zabici - będzie próbowała się dowiedzieć, kto ich wynajął i po co. Czyli zada te same pytania tym samym ludziom, z którymi zamierzał porozmawiać Swain. Jakie są szanse, że ich drogi skrzyżują się w jakimś punkcie?

Przedtem te szanse wcale mu się nie podobały, ale teraz wyglądały coraz lepiej. Dobrym punktem wyjścia byłoby ustalenie, czy coś niezwykłego wydarzyło się w którymkolwiek z zakładów czy laboratoriów należących do Nervich w tygodniu poprzedzającym śmierć Joubranów. Lily na pewno sprawdzi prasę, w poszukiwaniu ewentualnej wzmianki na ten temat. Swain mógł pójść prosto do francuskiej policji, wołał jednak, żeby nie wiedzieli, kim jest i gdzie się zatrzymał. Frank Vinay sugerował, by ta sprawa została załatwiona możliwie dyskretnie. Nie wpłynęłoby dobrze na stosunki dyplomatyczne, gdyby Francuzi dowiedzieli się, że kontraktowa agentka CIA zamordowała kogoś tak ustosunkowanego jak Salvatore Nervi; nie był on co prawda obywatelem francuskim, ale mieszkał w Paryżu i miał wielu przyjaciół w kręgach rządowych.

Poszukał adresu Joubranów w książce telefonicznej, lecz nie figurowali w niej. Żadna niespodzianka.

Na szczęście pracował dla instytucji zajmującej się zbieraniem, katalogowaniem i analizowaniem najbardziej szczegółowych danych z całego świata, a kanał informacyjny tej instytucji był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Zadzwonił ze swojego bezpiecznego telefonu do Langley, przechodząc, jak zawsze, całą szopkę z identyfikacją i weryfikacją. Po minucie rozmawiał z dobrze poinformowaną osobą, niejakim Patrickiem Washingtonem. Powiedział mu, kim jest i czego potrzebuje, a Patrick odparł krótko: „Proszę poczekać”. Więc Swain czekał. I czekał.

Po dziesięciu minutach Patrick znów się odezwał.

- Przepraszam, że tak długo to trwało, musiałem coś sprawdzić. - Oznaczało to, że sprawdził Swaina. - Zgadza się, dwudziestego piąte go sierpnia miał miejsce wypadek w laboratorium. Niewielka eksplozja i pożar. Według doniesień straty były minimalne.

Joubranowie zginęli dwudziestego ósmego sierpnia. Incydent w laboratorium musiał być przyczyną.

- Ma pan adres tego laboratorium?

- Moment.

Swain słyszał stukanie komputerowej klawiatury. W końcu Patrick powiedział:

- Rue des Capucines numer siedem, na przedmieściach Paryża.

- Północ, południe, wschód czy zachód?

- Chwileczkę... zaraz otworzę plan miasta... - Znów klikanie klawiszy. - Wschód.

- Jak się nazywa to laboratorium?

- Laboratoria Nervi.

Swain w duchu przełożył to na francuski.

- Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

- Tak. Paryskiego adresu Averilla i Christiny Joubran. Agentów kontraktowych w stanie spoczynku. Kilka razy korzystaliśmy z ich usług.

- Jak dawno?

- Na początku lat dziewięćdziesiątych.

- Chwileczkę. - Znów stukot klawiszy. - Mam. - Patrick podyktował adres. - Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. Uczynny z pana człowiek, panie Washington.

- Dziękuję, sir.

To „sir” potwierdzało, że Patrick rzeczywiście sprawdził jego tożsamość i stopień. Swain zapisał jego nazwisko na swojej prywatnej liście ludzi, do których warto się zwrócić, bo podobało mu się, że Patrick jest ostrożny i nie bierze niczego na wiarę.

Wyjrzał przez okno: wciąż padało. Nie cierpiał deszczu. Spędził wiele godzin w parującym tropikalnym upale, przemoczony do nitki nagłymi ulewami, i wspomnienie to wywoływało u niego głęboką niechęć do mokrych ciuchów. Już dawno nie był mokry i zmarznięty, a o ile pamiętał, to jeszcze gorsze uczucie niż bycie mokrym i przegrzanym. Nie zabrał ze sobą kurtki przeciwdeszczowej. Nie był nawet pewien, czy w ogóle ma coś takiego, a na zakupy nie miał czasu.

Spojrzał na zegarek. Dziesięć po ósmej; sklepy są jeszcze zamknięte. Rozwiązał problem, dzwoniąc do recepcji i prosząc o dostarczenie do pokoju płaszcza przeciwdeszczowego w swoim rozmiarze i dopisanie go do rachunku. To, co prawda, nie uchroni go przed zmoknięciem dziś rano, bo nie mógł czekać na płaszczy, ale pocieszył się myślą, że wystawi się na deszcz, tylko wsiadając i wysiadając z samochodu, nie musi bowiem się przedzierać przez całe kilometry zalanej dżungli.

Wynajął jaguara. Zawsze chciał sobie takim pojeździć, gdy dotarł wieczorem do wypożyczalni - mimo iż przeleciał nad kanałem „o wiele szybciej” dzięki natowskiemu przyjacielowi Murraya - dostępne były już tylko drogie samochody. Postanowił, że wpisze w koszty zwykłą kwotę za wynajem auta, a różnicę pokryje z własnej kieszeni. Nie spotkał jeszcze przepisu, którego nie miałby ochoty poprawić, ale jeśli chodziło o wydatki, był nader skrupulatny. Wiedział, że pieniądze to najbardziej prawdopodobny powód, dla którego firma byłaby skłonna przeciągnąć go tyłkiem po gorących węglach. A że lubił swój tyłek, starał się oszczędzić mu niepotrzebnych stresów.

Wyjechał z parkingu, siedząc za kółkiem jaguara i wdychając zapach skórzanej tapicerki. Pomyślał, że gdyby kobiety chciały naprawdę ładnie pachnieć, używałyby perfum o aromacie nowego samochodu.

Z tą myślą zanurkował w paryski ruch. Nie był w Paryżu od lat, pamiętał jednak, że pierwszeństwo przejazdu należało tu do najbardziej szalonych ryzykantów. Według przepisów pierwszeństwo ma samochód jadący z prawej, ale chrzanić przepisy. Zręcznie zajechał drogę

taksówkarzowi, który wdepnął hamulec i zaczął wykrzykiwać przekleństwa. Swain przyspieszył i śmignął w powstałą lukę. Do licha, ależ to była frajda! Mokra jezdnie podnosiła czynnik ryzyka, zwiększając jeszcze poziom adrenaliny.

Przedzierał się od Montparnasse na południe, w kierunku przedmieścia, gdzie mieszkali Joubranowie, raz po raz zerkając na plan miasta. Później sprawdzi laboratorium Nervich, obejrzy sobie jego położenie i zabezpieczenia widoczne gołym okiem; teraz chciał jechać tam, gdzie spodziewał się znaleźć Lily.

Po radosnej ciuciubabce, jaką urządziła mu poprzedniego dnia, nie mógł się doczekać, by znów się z nią zmierzyć. Nie miał wątpliwości, że wygra - wcześniej czy później - ale przecież zabawa polega na tym, by gonić króliczka.

## Rozdział 8

Rodrigo trzasnął słuchawką, oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach. Miał ochotę kogoś udusić. Murray i cała ta banda radosnych przygłupów najwyraźniej oślepli i zidiocieli, skoro pozwolili, by jedna kobieta wystrychnęła ich na dudków. Murray przysięgał, że ściągnął ekspertów, którzy obejrzeliby taśmę z lotniska, ale żaden z nich nie potrafił stwierdzić, gdzie podziła się Denise Morel. Zwyczajnie rozpułyła się w powietrzu. Murray miał na tyle przyzwoitości, by przyznać, że musiała użyć przebrania - lecz tak sprytnego, że nikt nie wyłapał żadnych podobieństw, które dałyby punkt zaczepienia.

Rodrigo nie mógł pozwolić, by zabicie ojca uszło jej na sucho. To nie tylko zaszkodziłoby jego reputacji; wszystko w nim domagało się zemsty. Ból i zraniona duma targały nim, nie pozwalając zaznać spokoju. I on, i ojciec zawsze byli tacy ostrożni, tacy sumienni, a ta kobieta jakimś cudem przeniknęła przez wszystkie linie obrony i zafundowała Salvatore paskudną, bolesną śmierć. Nie udzieliła mu nawet łaski śmierci od kuli; wybrała truciznę, narzędzie tchórzy.

Murray mógł ją zgubić, ale on, Rodrigo, jeszcze się nie poddał. I nie zamierzał się poddać.

Myśl! - rozkazywał sobie. Żeby ją znaleźć, najpierw musiał ustalić jej tożsamość. Kim była, gdzie mieszkała, gdzie mieszkała jej rodzina?

Jak zwykle identyfikuje się ludzi? Przez odciski palców i dane dentystyczne. To nie wchodziło w grę, bo musiałby znać nie tylko jej nazwisko, ale i nazwisko jej dentysty; zresztą ta metoda była stosowana raczej do identyfikacji zwłok. Odnaleźć kogoś żywego... jak to zrobić?

Odciski palców. Pokój, w którym sypiała, przebywając pod jego dachem, dokładnie posprzątano w dniu, kiedy wróciła do siebie, toteż wszelkie ślady zostały zniszczone. Nie pomyślał też, by zdjąć odciski z kieliszków czy sztućców, których używała. Ale może coś by się znalazło w jej mieszkaniu.

Rodrigo skontaktował się z przyjacielem z paryskiego departamentu policji; ten nie zadawał żadnych pytań, po prostu stwierdził, że natychmiast się tym zajmie.

Zadzwoił po godzinie. Nie przeszukał całego mieszkania, sprawdził jednak najbardziej oczywiste miejsca i nie znalazł żadnych odcisków, nawet rozmazanych. Mieszkanie zostało dokładnie wyczyszczone.

Rodrigo z trudem hamował wściekłość. Ta kobieta udaremniała wszystkie jego wysiłki.

- Jak jeszcze można ustalić czyjąś tożsamość? - spytał.

- Żadna metoda nie daje stuprocentowej gwarancji - usłyszał w odpowiedzi. — Odciski palców są użyteczne, pod warunkiem że poszukiwana osoba została kiedyś aresztowana i jej odciski znajdują się w bazie danych. DNA, choć precyzyjne, jest przydatne tylko wtedy, jeśli



istnieje jakaś inna próbka, z którą można je porównać. Programy do identyfikacji twarzy też zidentyfikują tylko te osoby, które już są w bazie danych. To samo dotyczy rozpoznawania głosu, wzoru siatkówki, wszystkiego. Musi istnieć baza danych, w której można znaleźć wzorzec.

- Rozumiem. - Rodrigo potarł czoło, za którym jego mózg pracował na szalonych obrotach. Taśmy ochrony! Miał twarz Denise Morel na taśmach ochrony i o wiele wyraźniejsze zdjęcia na dokumentach, które zdobył, sprawdzając jej przeszłość. - Kto ma programy do identyfikacji twarzy?

- Interpol i wszelkie duże agencje, jak Scotland Yard i amerykańskie FBI czy CIA.

- Czy ich bazy danych są wspólne?

- Do pewnego stopnia tak. W idealnym świecie wszystko byłoby wspólne, ale każdy lubi mieć własne sekrety. Jeśli ta kobieta jest przestępczynią, Interpol może ją mieć w swojej bazie danych. Aha, jeszcze jedno...

- Tak?

- Gospodarz domu powiedział, że wczoraj jakiś Amerykanin wypytywał o tę kobietę. Nie spytał go o nazwisko, a rysopis jest tak ogólnikowy, że na nic się nie przyda.

- Dziękuję - powiedział Rodrigo, zastanawiając się, co to może oznaczać. Kobieta zapłaciła Speerowi w dolarach, a teraz szukał jej jakiś Amerykanin. Ale gdyby to on ją wynajął, chyba wiedziałby, gdzie jest. No i po co miałby jej szukać, skoro wykonała zadanie? Nie, to musiało być coś zupełnie bez związku; może jakiś znajomy.

Z ponurym uśmiechem rozłączył się i wstukał numer, pod który dzwonił już wiele razy. Organizacja Nervich miała kontakty w całej Europie, Afryce i na Bliskim Wschodzie i rozwijała je dalej, w kierunku Orientu. Salvatore zadbał również, by jeden z tych kontaktów był sprytnie ulokowany w samym Interpolu.

- Georges Blanc - odezwał się cichy, spokojny głos, który doskonale współgrał z charakterem jego właściciela.

Blanc był jednym z bardziej kompetentnych ludzi, z jakimi Rodrigo miał do czynienia.

- Czy jeśli zeskanuję zdjęcie i prześlę do pańskiego komputera, może pan przepuścić je przez wasz program do identyfikacji twarzy? - spytał. Nie musiał się przedstawiać. Blanc znał jego głos.

Nastąpiła chwila milczenia. W końcu Blanc odparł:

- Tak. - Żadnych zastrzeżeń, żadnych wyjaśnień, jakie procedury będzie musiał obejść; tylko to krótkie potwierdzenie.

- Prześlę je panu w ciągu pięciu minut - zapowiedział Rodrigo i się rozłączył. Z teczki na biurku wyjął zdjęcie Denise Morel, czy ktokolwiek to był, i zeskanował do komputera, który był zabezpieczony przed włamaniem na wszelkie znane sposoby. Napisał kilka linijek tekstu i fotografia powędrowała do Lyonu, gdzie znajdowała się kwatera główna Interpolu.

Po chwili zadzwonił telefon. Rodrigo podniósł słuchawkę.

- Mam je - powiedział Blanc. - Zadzwoń do pana, jak tylko będę miał wynik... - zawiesił głos.

Rodrigo wyobraził sobie, że Blanc wzruszył ramionami.

- Zależy mi na czasie - rzekł. - I jeszcze jedno. -Tak?

- Chodzi o pańskie kontakty z Amerykanami... -Tak?

- Możliwe, że osoba, której szukam, jest Amerykanką. - Albo została wynajęta przez Amerykanów, stąd płatność w dolarach. Chociaż nie sądził, by rząd Stanów Zjednoczonych miał cokolwiek wspólne go z zabójstwem jego ojca, nie zamierzał odkrywać przed nimi kart, dopóki

nie będzie wiedział, kto wynajął tę dziwkę. Nie mógł zgłosić się bezpośrednio do swojego amerykańskiego informatora i poprosić o tę samą przysługę, o którą prosił B lanca; lepiej zbadać tę sprawę, nie ujawniając się.

- Poproszę mojego znajomego, by sprawdził ich bazy danych - powiedział Blanc.
- Dyskretnie.
- Oczywiście.

## Rozdział 9

Mimo zacinającego deszczu, przed którym prawie nie chronił parasol, Lily szła szybko, chcąc sprawdzić swoją kondycję. Miała rękawiczki, wysokie buty i ciepłe ubranie, ale nie zakrywała głowy, żeby jej jasne włosy były widoczne. Jeśli jakimś cudem ludzie Rodriga szukali jej w Paryżu, szukali brunetki. Wątpiła jednak, by Rodrigo trafił tu, idąc jej tropem - a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Z Agencją sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Lily była niemal zaskoczona, że nie zatrzymano jej w Londynie, gdy tylko wysiadła z samolotu. Ale nie zatrzymano - ani kiedy wyszła z lotniska de Gaulle'a, ani dziś rano.

Zaczynała myśleć, że miała nieprawdopodobne szczęście. Rodrigo ujawnił informację o śmierci ojca dopiero w dniu jego pogrzebu. Nie było żadnej wzmianki o truciznie, tylko tyle, że Salvatore zmarł po krótkiej chorobie. Czy możliwe, że nikt tego nie skojarzył?

Nie mogła sobie pozwolić na osłabienie czujności. Dopóki nie wypełni swojej misji, musi się spodziewać niebezpieczeństwa za każdym rogiem. A po wykonaniu zadania - cóż, nie miała pojęcia. Na razie szczytem jej marzeń było przetrwanie.

Nie wybrała kafejki internetowej w pobliżu swojej kawalerki, bo nie wiedziała, czy nie zastawiono pułapki wychwytyjącej wszelkie pytania dotyczące organizacji Nervich. Pojechała metrem do Dzielnicy Łacińskiej, a resztę drogi postanowiła przejść pieszo. Nigdy przedtem nie korzystała z tej akurat kafejki i między innymi dlatego ją wybrała. Jedną z podstawowych zasad ukrywania się mówi o porzuceniu wszelkich schematów, niewykonywaniu żadnych przewidywalnych ruchów. Ludzie wpadali, bo chodzili w miejsca, gdzie czuli się najswobodniej, gdzie otoczenie było im znane.

Lily spędziła sporo czasu w Paryżu, a to oznaczało wiele miejsc i wielu ludzi, których musiała teraz unikać. Właściwie nigdy nie miała tu własnego kąta; zatrzymywała się u przyjaciół - zwykle u Averilla i Tiny - albo w hotelu. Kiedyś, mniej więcej przez rok, wynajmowała mieszkanie w Londynie, ale zrezygnowała z tego, bo dwa razy więcej czasu spędzała w podróży niż w mieszkaniu, i był to tylko niepotrzebny wydatek.

Obszarem jej działania była głównie Europa, więc do Stanów nie jeździła zbyt często. Ale choć naprawdę lubiła Stary Kontynent i swobodnie się tu czuła, nigdy nie przyszło jej do głowy, by się tu osiedlić. Gdyby kiedykolwiek kupowała dom, to tylko w Stanach.

Czasami myślała o przejściu na emeryturę, jak zrobili to Averill i Tina, albo o normalnym życiu z pracą od dziewiątej do piątej, o zakorzenieniu się w społeczności, staniu się jej częścią, o poznaniu sąsiadów, wizytach u krewnych, plotkowaniu przez telefon. Nie wiedziała, jak doszło do tego, że potrafi odebrać komuś życie równie łatwo, jak przeciętny człowiek zabija muchę; jak to się stało, że, na litość boską, boi się zadzwonić do własnej matki. Zaczęła bardzo młodo i ten pierwszy raz wcale nie był łatwy - trzęsała się jak osika - lecz zrobiła, co do niej należało. Następny raz był już łatwiejszy, a kolejny jeszcze bardziej. Po jakimś czasie niemal przestała dostrzegać w swoich celach istoty ludzkie - to emocjonalne odcięcie się pozwalało jej działać.

Poza tym wierzyła, że rząd nie będzie jej nasyłał na dobrych ludzi; musiała w to wierzyć, tylko w ten sposób mogła wykonywać swoją pracę. Mimo to stała się kimś, kogo się bała: kobietą, której nie można ufać, której nie należy dopuszczać do życia w normalnym społeczeństwie.

Marzenie o emeryturze i osiedleniu się wciąż jej towarzyszyło, ale Lily widziała w nim właśnie to, czym było - marzenie, które prawdopodobnie nigdy się nie spełni. Nawet gdyby z tej sytuacji wyszła żywa, korzenie zapuszczają tylko zwykli ludzie, a ona chwilami wątpiła, czy jeszcze jest człowiekiem. Zabijanie stało się zbyt proste, niemal odruchowe. Co by się z nią stało, gdyby musiała borykać się codziennie z tymi samymi kłopotami - wrednym szefem czy złośliwym sąsiadem? Co by się stało, gdyby ktoś spróbował ją napaść? Czy potrafiłaby zapanować nad odruchami, czy też ktoś straciłby życie?

A co gorsza, co by było, gdyby naraziła na niebezpieczeństwo kochaną osobę? Nie zniosłaby, gdyby ktoś z jej rodziny został skrzywdzony z jej powodu, przez to, kim była.

Rozległ się klakson i Lily drgnęła, znów skupiając uwagę na otoczeniu. Była przerażona, że pozwoliła sobie na bujanie w obłokach, zamiast przez cały czas zachowywać czujność. Musi utrzymać koncentrację; inaczej nie ma mowy o sukcesie.

Radar Agencji jeszcze jej nie wykrył - przynajmniej taką miała nadzieję - ale w końcu ktoś po nią przyjdzie, i to raczej prędzej niż później.

Były cztery możliwe rozwiązania. W najlepszym wypadku odkryje, co skłoniło Averilla i Tinę do porzucenia stanu spoczynku, i to coś okaże się tak straszne, że cały cywilizowany świat odsunie się od Nervich i wyeliminuje ich z gry. Oczywiście Agencja już nigdy nie skorzysta z jej usług; niezależnie od pobudek, kontraktowy agent, który zabija na własną rękę cennych informatorów, nie nadaje się do tej roboty. Więc nawet jeśli wygra, będzie bezrobotna - i powróci jej wcześniejszy niepokój o to, czy zdoła prowadzić normalne życie.

W trochę gorszym scenariuszu nie znajdzie niczego wystarczająco obciążającego - o sprzedawaniu broni terrorystom i tak wszyscy wiedzieli - i będzie musiała żyć pod fałszywym nazwiskiem, czyli znów wróci pytanie, czy zdoła się utrzymać w normalnej pracy i być Jane Zwykłą Obywatelką.

Ostatnie dwie opcje były raczej niewesołe. Może osiągnąć swój cel, ale przy tym zginąć lub - co byłoby najgorsze - zginąć, nie osiągnąwszy niczego.

Chciałaby mieć pięćdziesiąt procent szans na pierwsze dwa scenariusze, ale prawdopodobieństwo nie rozkładało się równo między tymi czterema ewentualnościami. Zakładała, że jej szanse na przeżycie wynoszą jakieś dwadzieścia procent, a i to mogły być zbyt optymistyczne szacunki. Ale wiedziała, że zrobi, co w jej mocy, by zmieścić się w tych dwudziestu procentach. Nie mogła się poddać, nie mogła zawieść Zii.

Dzielnica Łacińska była labiryntem wąskich brukowanych uliczek, zwykle pełnych studentów z pobliskiej Sorbony i turystów odwiedzających butiki i sklepy etniczne. Dziś zimny deszcz przerzedził tłumy, ale kafejka internetowa była zatłoczona. Lily rozejrzała się, szukając wolnego stanowiska, przy którym byłaby jak najmniej widoczna. Pod płaszczem przeciwdeszczowym miała gruby golf, którego intensywnie niebieski kolor przyciemniał błękit jej oczu, i miękkie spodnie z dzianiny opadające na botki. Do prawej kostki przypięła kaburę z rewolwerem kaliber 22, łatwo dostępnym w niskiej cholewce; luźny krój spodni maskował jego kontury. Czowała się bezbronna przez te tygodnie, kiedy nie mogła nosić rewolweru z powodu cholernych rewizji, które przechodziła za każdym razem, kiedy zbliżała się do Salvatore; teraz było o wiele lepiej.

Dostrzegła komputer ustawiony pod takim kątem, że siedząc przy nim, mogła obserwować drzwi, a do tego na tyle odosobniony, na ile mógł być w tej kafejce. Niestety tkwiła przy nim nastoletnia Amerykanka; wyglądało na to, że sprawdza pocztę. Amerykanów zwykle łatwo

wyłowić z tłumu, pomyślała Lily. Nie chodziło tylko o ciuchy; mieli w sobie jakąś wrodzoną pewność siebie, często graniczącą wręcz z arogancją, która musiała być potwornie irytująca dla Europejczyków. Ona też kiedyś taka była, ale na przestrzeni lat jej styl ubierania i sposób bycia się zmieniły. Wiele osób brało ją za Skandynawkę, ze względu na karnację, albo za Niemkę. Nikt, patrząc na nią teraz, nie pomyślałby automatycznie o szarlotce i bejsbolu.

Poczekala, aż nastolatka skończy ze swoją pocztą, po czym usiadła na zwolnionym krześle. Opłaty były bardzo umiarkowane, pewnie ze względu na hordy studentów. Zapłaciła za godzinę, spodziewając się, że poszukiwania zajmą jej przynajmniej tyle czasu, jeśli nie dłużej.

Zaczęła od „Le Monde”, największej gazety, przeszukując numery archiwalne z okresu od 21 sierpnia, kiedy jadła kolację z Joubranami, do 28, kiedy zostali zamordowani. Była tylko jedna wzmianka o Nervich - wspomniano o Salvatore w artykule na temat międzynarodowych finansów. Lily przeczytała artykuł dwa razy, szukając jakiegoś szczegółu, który mógłby wskazywać, że coś jeszcze się pod tym kryje, ale niczego nie znalazła.

W rejonie Paryża ukazuje się piętnaście gazet. Musiała przejrzeć je wszystkie, a raczej wszystkie numery z tych siedmiu dni, które ją interesowały. Zadanie było czasochłonne, a niektóre strony potrzebowały wieków, by się otworzyć. Chwilami połączenie się rwało i musiała logować się od nowa. Siedziała w kafejce już trzy godziny, kiedy dobrała się do „Investir”, dziennika biznesowego, i nareszcie trafiła.

Notka znajdowała się w kolumnie z boku strony i miała raptem dwie linijki. Dwudziestego piątego sierpnia w laboratorium badawczym Nervich doszło do eksplozji i w jej wyniku do „niewielkiego”, jak to określono, pożaru, który spowodował „minimalne straty”, nie zakłócając trwających w laboratorium badań nad szczepionkami.

Averill specjalizował się w materiałach wybuchowych; był w tej dziedzinie prawdziwym artystą. Nie uznawał bezsensownej destrukcji, jeśli dało się zaprojektować ładunek, który niszczył tylko to, co trzeba. Po co wysadzać cały budynek, skoro wystarczy jeden pokój? Albo dzielnicę, jeśli wystarczy budynek? Słowa „niewielki” często używano, opisując jego dzieło. Tina z kolei była specem od rozpracowywania systemów zabezpieczeń.

Lily nie mogła mieć pewności, że Averill i Tina stali za eksplozją w laboratorium Nervich, ale był to trop, którym mogła podążyć i mieć nadzieję, że jest na właściwej drodze.

Odszukała wszelkie informacje na temat tego laboratorium, ale znalazła niewiele więcej poza adresem i nazwiskiem dyrektora, swojego starego kumpla doktora Vincenza Giordano. Proszę, proszę. Wpisała jego nazwisko do wyszukiwarki. Nic nie znalazła, lecz nie spodziewała się, że opublikował swój domowy numer telefonu. Byłby to najprostszy sposób namierzenia go, ale z pewnością nie jedyny.

Wylogowała się, przeciągnęła i poruszyła głową w przód i w tył, by rozluźnić mięśnie karku. Nie wstawała od komputera przez ponad trzy godziny i była zmęczona, ale nie tak jak wczoraj.

Gdy wyszła z kafejki, deszcz wciąż padał, choć trochę zelżał, zmieniając się w gęstą mżawkę. Lily rozłożyła parasol i ruszyła w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyszła. Była głodna i dokładnie wiedziała, co chce zjeść na lunch: big maca.

Swain znów zaczął gonić w piątkę. Cholernie go to męczyło, ale nic nie mógł na to poradzić.

Zlokalizował dom Joubranów i przekonał się, że budynek został wysprzątnany i wynajęty albo sprzedany innej rodzinie. Przemknęło mu przez myśl, żeby się włamać i przeszukać dom, ale to miałyby sens tylko wtedy, gdyby nie było nowych lokatorów. Patrzył, jak młoda matka wita opiekunkę do dzieci - własną matkę, sądząc z podobieństwa. Dwójka maluchów w wieku przedszkolnym wybiegła pędem na deszcz, nim mama zdążyła je powstrzymać. Obie kobiety, kręcąc głowami, zagoniły dwójkę rozrabiaków do środka, po czym młodsza znów wyszła, z

parasolką i torbą. Swaina nie obchodziło, czy idzie do pracy czy na zakupy. Ważne było tylko to, że dom nie jest już pusty.

Planował popytać sąsiadów i właścicieli okolicznych sklepów o Joubranów i ich znajomych. Uznał jednak, że jeśli wyprzedzi z tym Lily, ktoś zapewne jej powie, że jakiś Amerykanin pytał o to samo ledwie dzień, a może tylko parę godzin wcześniej. Nie jest głupia; będzie doskonale wiedziała, co to oznacza, i znów przycupnie pod jakąś miedzą.

Gonił za nią cały wczorajszy dzień, próbując nadrobić straty, ale teraz musiał zmienić taktykę. Powinien zwolnić i starać się przewidzieć jej kolejny ruch. Nie mógł ryzykować, że ją spłoszy, bo wtedy znowu mu zniknie.

Przez odpowiednie kanały - dzięki Murrayowi, który użerał się z Francuzami - dowiedział się, że Lily poleciała z powrotem do Paryża jako Mariel St. Clair, ale adres podany w paszporcie okazał się targiem rybnym. Taki mały dowcip w jej wykonaniu, pomyślał. Wiedział, że Lily nie użyje już nazwiska St. Clair; zapewne wśliznęła się w skórę kolejnej osoby, której nie zdoła odnaleźć. Paryż liczy ponad dwa miliony mieszkańców, a Lily zna to miasto lepiej niż on. Miał tylko tę jedną szansę na przecięcie jej drogi i nie chciał jej stracić, działając pochopnie.

Objechał dzielnicę, od niechcenia przyglądając się przechodniom. Większość z nich miała parasole, które częściowo zasłaniały twarze, ale nawet gdyby tak nie było, nie wiedział, jakiego przebrania używa teraz Lily. Przebierała się już chyba za wszystko z wyjątkiem starej zakonnicy, może więc powinien się rozglądać za starymi zakonnikami.

Tymczasem, pomyślał, warto zerknąć na laboratorium Nerviego i obejrzeć zewnętrzne zabezpieczenia. Kto wie, czy nie będzie trzeba dostać się do środka?

Po niezdrowym i absolutnie cudownym lunchu Lily pojechała naziemną kolejką na przedmieście, gdzie mieszkali Averill i Tina. Zanim dotarła na miejsce, deszcz ustał i blade słońce zaczęło przebijać się przez szare chmury. Nie zrobiło się cieplej, ale przynajmniej deszcz nie psuł już wszystkim humorów. Lily pamiętała śnieżycę tamtej nocy, gdy zmarł Salvatore, i zastanawiała się, czy Paryż zobaczy tej zimy więcej białego puchu. Opady śniegu nie zdarzały się tu często, a Zia tak bardzo lubiła bawić się w śniegu. Zabierali ją na narty w Alpy niemal każdej zimy - trójka dorosłych, którzy kochali ją nad życie. Lily nie jeździła na nartach, bo wypadek mógł ją wyłączyć z obiegu na wiele miesięcy, ale Averill i Tina szusowali jak wariaci.

Wspomnienia, jak kartki pocztowe, stawały Lily przed oczami: Zia, urocza, pyzata trzylatka w jasnoczerwonym kombinezonie, poklepująca małego i strasznie krzywego bałwana. To była jej pierwsza wycieczka w Alpy. Zia na oślej łączce, piszcząca: „Patrzcie na mnie! Patrzcie na mnie!” Tina nurkująca głową naprzód w zaspie i wylaząca z niej ze śmiechem, przeistoczona z drobnej kobiety w Śnieżnego Człowieka. Cała trójka popijająca drinki wokół buzującego kominka, gdy Zia spała na górze. Zia gubiąca pierwszy ząb, zaczynająca szkołę, jej pierwszy recital taneczny, pierwsze oznaki przemiany z dziecka w podlotka, pierwszy okres w zeszłym roku, pierwszy makijaż.

Lily zamknęła na chwilę oczy. Przepelnił ją nieutulony żal; często go czuła od dnia, kiedy dowiedziała się o ich śmierci. Od tamtego czasu widziała słońce, ale nie była w stanie go poczuć, jakby jego ciepło w ogóle do niej nie docierało. Zabicie Salvatore sprawiło jej satysfakcję, ale nie wystarczyło, by znów czuła ciepło słońca.

Zatrzymała się przed domem, w którym mieszkali jej przyjaciele. Teraz zajmowała go inna rodzina. Lily miała dziwaczne wrażenie, że to miejsce zostało sprofanowane, bo przecież wszystko powinno być takie jak przedtem i nikt nie powinien dotykać ich rzeczy.

Tamtego dnia, kiedy wróciła do Paryża i dowiedziała się, że zostali zamordowani, sama wzięła kilka fotografii, parę gier i książek Zii, kilka jej zabawek z wczesnego dzieciństwa i pamiątkowy album, który ona założyła, a który Tina skrupulatnie uzupełniała. Dom był

opieczętowany przez policję, ale to jej nie powstrzymało. Miała własny klucz, a gdyby zaszła taka potrzeba, zdarłaby dach gołymi rękami, by dostać się do środka. Co się stało z resztą ich rzeczy? Gdzie są ich ubrania, osobiste drobiazgi, sprzęt narciarski? Po tym pierwszym dniu przez dwa tygodnie była zajęta szukaniem mordercy i wstępными planami zemsty; gdy wróciła, dom był już pusty.

I Averill, i Tina mieli jakichś kuzynów ale nikogo bliskiego. Może władze powiadomiły tych krewnych, a oni przyjechali i zabrali rzeczy zmarłych. Lily miała nadzieję, że właśnie tak się stało. Nie podobała jej się myśl, że jakaś anonimowa ekipa sprzątaczy przysłała tu, spakowała wszystko i wyrzuciła.

Lily zaczęła pukać do kolejnych drzwi i pytać sąsiadów, czy pamiętają kogoś, kto odwiedził jej przyjaciół w tygodniu przed ich śmiercią. Rozmawiała z sąsiadami już wcześniej, ale wtedy nie bardzo wiedziała, o co pytać. Wszyscy oczywiście ją znali; przyjeżdżała tu często przez wiele lat, kłaniała się, zatrzymywała na krótkie pogawędki. Tina była bardzo otwarta, Averill trochę mniej, natomiast dla Zii nie istniało pojęcie obcego człowieka. Pozostawała w przyjaznych stosunkach ze wszystkimi sąsiadami.

Tylko jedna osoba przypominała sobie, że widziała kogoś. Madame Bonnet, mieszkająca dwa domy dalej, miała po osiemdziesiątce i była zrędliva z powodu wieku, ale lubiła siadać z robótką przy oknie od frontu - a że bez przerwy robiła na drutach, widziała prawie wszystko, co działo się na ulicy.

- Już mówiłam wszystko policji - rzuciła niecierpliwie w odpowiedzi na pytanie Lily. - Nie, nie widziałam nikogo tej nocy, kiedy zostali zabici. Jestem stara, słabo widzę i słyszę. I wieczorem zaciągam zasłony. Jak mogłam coś widzieć?

- A dzień wcześniej? Albo przez cały poprzedni tydzień?

- To też mówiłam policji. - Spojrzała na Lily ze złością.

- Policja nic nie zrobiła.

- Oczywiście, że nic nie zrobili! Banda nieudaczników. - Machnięciem ręki skwitowała armię funkcjonariuszy publicznych.

- Czy widziała pani kogoś nieznanego? - powtórzyła Lily.

- Tylko jednego młodzieńca. Był bardzo przystojny, jak gwiazdor filmowy. Przyszedł któregoś dnia i siedział parę godzin. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Serce Lily zabiło szybciej.

- Może go pani opisać? Bardzo panią proszę, madame Bonnet. Starsza pani marudziła jeszcze chwilę, mówiąc coś o „niekompetentnych idiotach” i „niewydarzonych głupkach”, i w końcu warknęła:

- Mówię pani, że był przystojny. Wysoki, szczupły, czarnowłosy. Bardzo dobrze ubrany. Przyjechał taksówką a druga przyjechała po niego, kiedy wyszedł. To wszystko.

- Może pani określić, w jakim był wieku?

- Młody! Dla mnie każdy przed pięćdziesiątką jest młody! Proszę mnie już nie męczyć tymi głupimi pytaniami. - To powiedziawszy, cofnęła się o krok i zamknęła z trzaskiem drzwi.

Lily odetchnęła głęboko. Młody, przystojny, ciemnowłosy. Tysiące mężczyzn odpowiadały temu rysopisowi w Paryżu, pełnym młodych przystojniaków. Był to jakiś kawałek układanki, ale Lily nie miała listy podejrzanych ani pliku zdjęć, które mogłaby pokazać madame Bonnet w nadziei, że starsza pani wybierze jedno i powie: „To on”.

Co więcej, ten przystojny młody człowiek mógł wynająć Averilla i Tinę, by wysadzili coś w laboratorium Nervich, ale mógł też być ich znajomym, który przyszedł z wizytą. Averill i Tina mogli spotkać się ze zleceniodawcą gdzie indziej, zamiast zapraszać go do domu. To było nawet

bardziej prawdopodobne.

Potarła czoło. Nie wiedziała, dlaczego wzięli tę robotę ani na czym ona polegała. Nie miała nawet pewności, że w ogóle była jakaś robota, choć tylko taki powód wydawał się sensowny i w tej kwestii musiała zaufać instynktowi. Jeśli teraz zacznie w siebie wątpić, równie dobrze może dać sobie spokój.

## Rozdział 10

Georges Blanc wierzył całym sercem w prawo i porządek, ale był też pragmatyczny, więc godził się z faktem, że czasem trzeba dokonywać trudnych wyborów i po prostu robić swoje najlepiej, jak się da.

Nie lubił dostarczać informacji Rodrigowi Nerviemu, miał jednak rodzinę, którą musiał chronić; miał też syna, który studiował na pierwszym roku na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w Stanach. Nauka na uniwersytecie kosztowała prawie trzydzieści tysięcy dolarów rocznie i już przez samo to czesne Georges mógłby pójść z torbami. Ale poradziłby sobie jakoś, gdyby Salvatore Nervi nie nawiązał z nim kontaktu ponad dziesięć lat temu i nie zasugerował niewinnie, że Blanc bardzo by skorzystał, mając drugie, nader intratne źródło dochodu; w zamian musiałby tylko od czasu do czasu dzielić się pewnymi informacjami i może niekiedy wyświadczyć jakąś drobną przysługę. Gdy Georges grzecznie odmówił, Salvatore, nie przestając się uśmiechać, zaczął recytować listę mrozących krew w żyłach nieszczęść, które mogą spaść na jego rodzinę, takich jak pożar domu, porwanie dzieci, a nawet fizyczna krzywda. Opowiedział, jak banda zbirów włamała się do domu staruszki i oślepiła ją, oblewając jej twarz kwasem, wspominał, że oszczędności mogą wyparować bez śladu, a samochody ulegają wypadkom.

Georges zrozumiał. Salvatore właśnie opisał przykrości, które naprawdę spotkają jego i jego rodzinę, jeśli odmówi spełnienia żądań. Skinął więc głową i przez następne lata próbował minimalizować szkody, jakie wyrządzał, przekazując informacje i wyświadczając przysługi. Stosując taką motywację, Salvatore mógłby mieć te informacje za darmo, a mimo to założył Georgesowi konto w Szwajcarii, na które co roku wpływała równowartość dwustu procent jego rocznych zarobków.

Blanc był ostrożny i dostosowywał poziom swojego życia do pensji pracownika Interpolu, ale na tyle praktyczny, by opłacać ze szwajcarskiego konta edukację syna. Na rachunku była już spora sumka, która urosła przez dziesięć lat wpływów i naliczania odsetek. Nie wydałby tych pieniędzy na luksusy dla siebie, lecz używał ich dla dobra rodziny. Wiedział, że w końcu będzie musiał coś z nimi zrobić, nie wiedział tylko jeszcze, co.

Przez te lata załatwiał sprawy głównie z Rodrigiem Nervi, następcą Salvatore, a teraz faktyczną głową organizacji. Ale z dwojga złego wolałby mieć do czynienia z Salvatore. Rodrigo był bardziej opanowany, sprytniejszy i, zdaniem Georges, chyba jeszcze bardziej bezwzględny od ojca. Salvatore przewyższał syna jedynie doświadczeniem i dłuższą listą nagromadzonych przez lata grzechów.

Georges spojrzął na zegarek: pierwsza po południu. Uwzględniając sześć godzin różnicy, obliczył, że w Waszyngtonie jest teraz siódma rano, odpowiednia pora, by zadzwonić do kogoś na komórkę.

Skorzystał ze swojego telefonu, nie chcąc, by rozmowa trafiła do danych Interpolu. Wspaniały wynalazek te komórki; dzięki nim budki telefoniczne stawały się praktycznie zbędne. Komórki nie są wprawdzie tak anonimowe, ale jego telefon został zabezpieczony przed podsłuchem, był więc o wiele poręczniejszy niż automat.

- Halo - odezwał się męski głos po drugim dzwonku. W tle Georges słyszał modulowany głos

reportera telewizyjnych wiadomości.

- Prześlę panu zdjęcie - powiedział. - Czy zechciałby je pan łaskawie przepuścić przez wasz program do identyfikacji twarzy, możliwie jak najszybciej? -Nigdy nie wymieniał nazwiska, tak jak i jego rozmówca. Gdy któryś z nich potrzebował informacji, dzwonili do siebie prywatnie, ograniczając oficjalne kontakty do minimum.

- Jasne.

- Proszę przesłać mi informacje zwykłą drogą.

Rozłączyli się; czas rozmowy też zawsze ograniczali do minimum. Georges nie wiedział niczego o swoim informatorze, nie znał nawet jego nazwiska. Zapewne jego odpowiednik w Waszyngtonie współpracował z tego samego powodu co on: ze strachu. Nigdy nie było między nimi śladu przyjacielskich stosunków. To były interesy, i obaj rozumieli to aż za dobrze.

- Potrzebuję jednoznacznej odpowiedzi. Będziesz miał gotową szczepionkę przed następnym sezonem grypy? - zapytał Rodrigo doktora Giordano. Na jego biurku leżał obszerny raport, ale obchodziła go tylko ostateczna konkluzja: czy uda się wdrożyć produkcję szczepionki w potrzebnej ilości, nim stanie się potrzebna.

Doktor Giordano dostawał niemałe granty od kilku światowych organizacji ochrony zdrowia na opracowanie skutecznej szczepionki przeciwko ptasiej grypie. Ich laboratorium nie było jedynym, które pracowało nad tym zagadnieniem, ale jedynym, które miało doktora Giordano. Vincenzo, zafascynowany wirusami, porzucił prywatną praktykę, by móc je badać, i stał się uznanym ekspertem. Środowisko postrzegało go jako człowieka obdarzonego geniuszem i zarazem mającego niesamowite szczęście w pracy z tymi mikroskopijnymi paskudztwami.

Szczepionkę przeciw jakiegokolwiek odmianie ptasiej grypy bardzo trudno uzyskać, bo choroba ta jest śmiertelna dla ptaków, a szczepionki otrzymuje się przez hodowlę wirusa w ptasich jajach. Wirus zabijał jaja, więc wynalazca skutecznej szczepionki przeciw ptasiej grypie miałby w rękach prawdziwą żyłę złota.

Przedsięwzięcie to było potencjalnie najlepszym interesem w całej strukturze organizacji Nervich, bardziej nawet lukratywnym niż narkotyki. Jak na razie ptasia grypa sama zapędzała się w ślepy zaułek: wirus przenosił się z zakażonych ptaków na ludzi, ale nie miał zdolności przenoszenia się z człowieka na człowieka. Ludzki gospodarz albo umierał, albo wracał do zdrowia, ale nie zarażał nikogo innego. W tym stanie rzeczy ptasia grypa nie mogła więc wywołać epidemii, ale amerykańskie CDC i Światowa Organizacja Zdrowia były zaalarmowane pewnymi zmianami zachodzącymi w strukturze wirusa. Eksperci obawiali się, że następna pandemia grypy zostanie wywołana właśnie przez wirusa ptasiej grypy, na którego ludzie nie wyrobili sobie odporności, ponieważ nigdy wcześniej się z nim nie zetknęli - i wstrzymywali oddech z każdym następnym sezonem grypowym. Na razie świat miał farta.

Gdyby wirus uległ zmianom genetycznym umożliwiającym mu przenoszenie się z człowieka na człowieka, firma zdolna produkować szczepionkę przeciw tej odmianie grypy mogłaby dyktować ceny.

Doktor Giordano westchnął.

- Jeśli nie będzie żadnych opóźnień, szczepionka może być gotowa pod koniec przyszłego lata. Nie mogę jednak zagwarantować, że nic nam nie przeszkodzi.

Sierpniowa eksplozja w laboratorium zniszczyła efekty kilku lat pracy. Vincenzo wyizolował zmutowanego wirusa i dzięki zmuśnionym badaniom opracował sposób produkowania skutecznej szczepionki. Wybuch zniszczył nie tylko produkt, ale i znaczną część danych. Komputery, archiwa, notatki na twardych dyskach - wszystko trafił szlag. Giordano musiał zaczynać od zera.

Tym razem proces postępował szybciej, bo Vincenzo wiedział o wiele więcej o tym, co



działało, a co nie, ale Rodrigo i tak-się martwił. Tej zimy panowała zupełnie zwyczajna grypa, ale co będzie za rok? Wyprodukowanie partii szczepionki trwa około sześciu miesięcy, a pod koniec przyszłego lata musiała być gotowa duża ilość. Jeżeli nie zmieszczą się w tym terminie, a wirus ptasiej grypy w kolejnym sezonie ulegnie mutacji i zacznie się przenosić między ludźmi, stracą okazję zbitcia niewyobrażalnej fortuny. Infekcja błyskawicznie rozprzestrzeniłaby się po świecie i umarłyby miliony, lecz w ciągu tego jednego sezonu układ odpornościowy ocalałych dostosowałby się, i taki byłby koniec krótkiej kariery tego konkretnego szczepu wirusa. Natomiast firma mająca gotową szczepionkę gdy wirus zmutuje, zgarnęłaby cały zysk.

Może znów będą mieć szczęście i wirus nie ulegnie mutacji przed kolejnym sezonem, ale Rodrigo nie chciał polegać na szczęściu. Mutacja mogła nastąpić w każdej chwili. To był wyścig i Rodrigo zamierzał go wygrać.

- Postaraj się więc, żeby nie było więcej opóźnień - powiedział do Vincenza. - Taka okazja zdarza się raz w życiu. I nie zmarnujemy jej. -W tych słowach czaiła się groźba, że jeśli Giordano nie zdoła dokończyć roboty, Rodrigo sprowadzi kogoś, kto temu podoła. Vincenzo był starym przyjacielem, owszem... jego ojca. Rodrigo nie miał sentymentalnych obciążeń. Giordano wykonał najważniejszą część roboty, ale prace były na takim etapie, że ktoś inny mógł zająć jego miejsce.

- Niekoniecznie raz w życiu - odparł Vincenzo. - Skoro zrobiłem to z jednym wirusem, mogę zrobić i z drugim.

- Ale czy w tak dogodnych okolicznościach? To idealna sytuacja. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nikt się niczego nie dowie, a nawet będziemy chwaleni jako zbawcy. Jesteśmy na idealnej pozycji, by skorzystać właśnie ten jeden raz. WHO sponsoruje twoje badania, więc nikogo nie zdziwi, że mamy szczepionkę. Ale jeśli zarobimy za dużo zbyt wiele razy, przyjacielu, woda zrobi się mętna i zaczną padać pytania, na które nie chcemy odpowiadać. Pandemia nie może wybuchnąć co roku ani nawet co pięć lat, bo ktoś w końcu zrobi się nadmiernie podejrzliwy.

- Wszystko się zmienia - rzekł Vincenzo. - Populacja ludzka żyje w bliższym kontakcie ze zwierzętami niż kiedykolwiek przedtem.

- Ale żadna choroba nie została przestudiowana tak dokładnie jak grypa. Każda odmiana wirusa jest badana przez tysiące mikroskopów. Zresztą jako naukowiec, wiesz to najlepiej.

Grypa była potężnym zabójcą; podczas pandemii hiszpanki w 1918 roku zmarło więcej ludzi niż w okresie czteroletniej epidemii dżumy, która spustoszyła Europę w średniowieczu. W 1918 roku grypa zabiła, jak szacowano, czterdzieści do pięćdziesięciu milionów ludzi. Nawet w normalnych latach umierały na nią setki tysięcy. Co roku produkowano dwieście pięćdziesiąt milionów dawek szczepionki, a to był tylko ułamek liczby, jaka byłaby potrzebna w czasie pandemii.

Laboratoria w Stanach Zjednoczonych, Australii i Wielkiej Brytanii opracowały szczepionki przeciwko wirusowi, który według epidemiologów miał być dominujący w kolejnym sezonie. Ale pandemię zawsze wywoływał szczep, którego powstania nie przewidziano, i dlatego żadna dostępna szczepionka nie była przeciw niemu skuteczna. Zwykle naukowcy przewidywali trafnie, lecz mniej więcej raz na trzydzieści lat wirus mutował i atakował z flanki. Od pandemii grypy w Hongkongu na przełomie lat 1968-1969 minęły już ponad trzy dekady; kolejna pandemia spóźniła się, a zegar tykał.

Salvatore użył wszystkich swoich wpływów i kontaktów, by zdobyć grant WHO na badania. Wybrane laboratoria, które produkowały szczepionki, miały się skupić na zwykłych szczepach wirusów, więc ich produkty były bezużyteczne w przypadku ptasiej grypy. Dzięki grantowi i osobie Vincenza tylko laboratoria Nervich miałyby patent na produkcję ptasiej szczepionki i - co

najważniejsze - partie gotowe do sprzedaży. W obliczu zagrożenia kolejną pandemią każda skuteczna szczepionka byłaby bezcenna. Nie sposób wręcz określić, jak niebotyczne zyski można by osiągnąć w ciągu paru krótkich miesięcy.

Oczywiście nie da się wyprodukować tyle dawek, by ochronić wszystkich, lecz zdaniem Rodriga populacji świata dobrze by zrobiło lekkie przeszerzenie.

Wybuch w sierpniu zagroził tym planom i Salvatore szybko zadziałał, by zminimalizować straty. Ludzie odpowiedzialni za eksplozję zostali zlikwidowani, zainstalowano też nowy system zabezpieczeń, jako że stary najwyraźniej miał sporo wad. Lecz mimo wszelkich wysiłków Rodrigo nie zdołał odkryć, kto wynajął tę rodzinną drużynę, by zniszczyła laboratorium. Rywal w branży szczepionek? Nie było takiego rywala, żadne inne laboratorium nie pracowało nad tym konkretnym projektem. Zwykły rywal w interesach? Mógł wybrać większe cele, które jednak zostały zignorowane.

Najpierw wybuch, a trzy miesiące później śmierć Salvatore. Czy te dwa zdarzenia coś łączyło? Na przestrzeni lat Salvatore przeżył wiele zamachów, więc może nie istniał żaden związek między tymi incydentami. Może to po prostu zwykły zbieg okoliczności. Ale przecież Joubranowie byli zawodowcami - mąż ekspertem od demolek, a żona zabójczynią. Denise Morel też prawdopodobnie była zawodową zabójczynią. Więc może jednak wynajęła ich ta sama osoba?

Oba zamachy bardzo się od siebie różniły. W pierwszym przypadku zniszczone zostały osiągnięcia Vincenza, i to one stanowiły cel, nie było bowiem tajemnicą, że pracował nad nowatorską metodą produkcji szczepionki na grypę. Kto mógł skorzystać na tym akcie wandalizmu? Tylko ktoś, kto pracował nad takim samym projektem, wiedział, że Vincenzo jest bliski celu i chciał wyprzedzić go w wyścigu. Bez wątplenia istniały prywatne laboratoria, które próbowały opracować szczepionkę przeciw ptasiej grypie, ale kto spośród licznych badaczy nie tylko wiedział, jak blisko celu jest Vincenzo, ale miał też odpowiednie środki finansowe, by wynająć dwoje zawodowców? Może któreś z uznanych laboratoriów mających licencję na produkcję szczepionek?

Jednak zabicie Salvatore w żaden sposób nie wpłynęło na pracę Vincenza. Rodrigo po prostu zastąpił ojca. Tak. patrząc pod tym kątem, śmierć Salvatora nie służyła absolutnie niczemu.

Zadzwoił telefon. Vincenzo wstał, by wyjść, ale Rodrigo zatrzymał go gestem dłoni; miał jeszcze kilka pytań na temat szczepionki. Podniósł słuchawkę.

- Tak.

- Mam odpowiedź na pańskie pytanie. - Znowu nie padły żadne nazwiska, ale Rodrigo rozpoznał głos Blanca. - W naszych bazach niczego nie było. Ale nasi przyjaciele zidentyfikowali ją. Nazywa się Lilianę Mansfield, jest Amerykanką i kontraktową agentką, zawodową zabójczynią.

Rodrigowi krew stężała w żyłach.

- To oni ją wynajęli? - Jeśli Amerykanie zwrócili się przeciwko niemu, sprawy bardzo się skomplikowały.

- Nie. Mój informator twierdzi, że nasi przyjaciele są bardzo poruszeni i sami próbują ją znaleźć.

Rodrigo zinterpretował znaczenie tych słów, czytając między wierszami; CIA chce znaleźć Mansfield, żeby ją zlikwidować. To tłumaczyło obecność tego Amerykanina w jej mieszkaniu. Rodrigo odetchnął z ulgą; lubił wiedzieć, kim są wszystkie pionki na jego szachownicy. Dysponując potężnymi środkami i rozległą wiedzą na jej temat, Amerykanie mieli o wiele większe

szanse odnieść sukces, nim jemu się to uda... ale chciał osobiście dopilnować rozwiązania jej problemów z oddychaniem. Bo dopóki oddychała, sama stanowiła problem.

- Czy istnieje możliwość, by pański informator podzielił się swoją wiedzą na jej temat? - Jeśli on wie to, co wie CIA, mógłby spokojnie poczekać, aż wykonają całą brudną robotę.

- Być może. Ale jest jeszcze jedna kwestia, która może pana zainteresować. Ta kobieta była bliską przyjaciółką Joubranów.

Rodrigo zamknął oczy. To był ten szczegół, który nadawał wszystkiemu sens, spajał ze sobą wszystkie wątki.

- Dziękuję - powiedział. - Proszę dać mi znać, jeśli uda się panu załatwić tę drugą sprawę z naszymi przyjaciółmi.

- Tak, oczywiście.

- Chciałbym dostać kopię wszelkich informacji na jej temat.

- Przefaksuję je panu tak szybko, jak będę mógł - odparł Blanc, mając na myśli dzisiejszy wieczór, gdy tylko wróci do domu. Nigdy nie wysyłał Rodrigowi informacji z budynku Interpolu.

Rodrigo rozłączył się i oparł głowę o zagłówek fotela. Więc jednak te dwa wydarzenia były powiązane, ale nie tak, jak sobie wyobrażał. Zemsta. Takie proste. I rozumiał to doskonale, czuł każdą komórką ciała. Salvatore zabił jej przyjaciół, więc ona zabiła Salvatore. Człowiek, który wynajął Joubranów do zniszczenia laboratorium Vincenza, zapoczątkował łańcuch wydarzeń, który doprowadził do zamordowania ojca.

- Nazywa się Liliana Mansfield - powiedział Vincenzowi. - Tak brzmi prawdziwe nazwisko Denise Morel. Jest zawodową zabójczynią i przyjaźniła się z Joubranami.

Doktor pokiwał głową z uznaniem.

- I sama zażyła truciznę? Wiedząc, co to jest? Genialne! Rzykowne, ale genialne.

Rodrigo nie podzielał podziwu Vincenza dla działań tej kobiety. Salvatore umarł bardzo bolesną śmiercią, odarty z godności i samokontroli, i on, jego syn, nie mógł tego zapomnieć.

Lilianę Mansfield wypełniła misję i uciekła z kraju. Pewnie teraz jest poza jego zasięgiem, ale nie poza zasięgiem własnych rodaków. A on, z pomocą Blanca, będzie trzymał rękę na pulsie; gdy Amerykanie ją namierzą, wkroczy i osobiście wymierzy sprawiedliwość. Z prawdziwą przyjemnością.

## Rozdział 11

Otrzymawszy przefaksowane dokumenty, Rodrigo długo wpatrywał się w zdjęcie kobiety, która zabiła jego ojca. Miał kolorową drukarkę, więc mógł docenić doskonałość jej charakterystyki. Jej włosy były jasne jak len i proste, a oczy błękitne. Wyglądała na Skandynawkę, miała pociągłą twarz i wysokie kości policzkowe. Był zdumiony, jak zmiana koloru na ciemne włosy i brązowe oczy zmiękczyła jej rysy. Nawet gdyby weszła do tego pokoju i usiadła obok niego, potrzebowałby dłuższej chwili, by ją rozpoznać.

Wcześniej zastanawiał się, co ojciec w niej widział. Jako brunetka zupełnie go nie ruszała, ale teraz reagował na nią zupełnie inaczej. I nie była to tylko typowa reakcja Włocha na jasne włosy. To było tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy, dostrzegając intelekt i siłę woli, wyraźnie widoczne w jej błękitnych oczach. Może Salvatore był bardziej wyczulony; wszak cenił siłę bardziej niż cokolwiek innego, a ta kobieta miała w sobie siłę.

Rodrigo przejrzał pobieżnie akta przysłane przez Blanca. Nie interesowała go kariera Lilianę Mansfield w służbie CIA; była najemnikiem i kropka. Nie dziwiło go, że rząd posługuje się takimi ludźmi; zdziwiłby się, gdyby tak nie było. Tę wiedzę mógł wykorzystać później, kiedy bę-

dzie potrzebował jakiejś przysługi od amerykańskiego rządu; w tej chwili w niczym nie mogło mu to pomóc.

Bardziej zainteresowały go informacje o jej rodzinie: matce i siostrze. Matka, Elizabeth Mansfield, mieszkała w Chicago; młodsza siostra, Diandra, mieszkała z mężem i dwójką dzieci w Toledo w stanie Ohio. Pomyślał, że jeśli nie zdoła zlokalizować Lilianę, może posłużyć się rodziną, by wykurzyć ją z kryjówki. Ale potem przeczytał, że nie kontaktowała się z bliskimi od lat, i musiał dopuścić ewentualność, że ma w nosie, co się z nimi dzieje.

Ostatni dokument potwierdzał to, o czym wspomniał Blanc: że morderstwo Salvatore nie zostało zlecone przez Amerykanów. Mansfield działała sama, szukając zemsty za śmierć swoich przyjaciół, Joubranów. CIA wysłało agenta, by zlikwidował problem.

Zlikwidował problem. Było to nader trafne określenie, ale Rodrigo chciał dokonać owej likwidacji własnoręcznie. Jeśli tylko będzie to możliwe, zafunduje sobie tę przyjemność. Jeśli nie - bez wielkiego żalu pogodzi się z faktem, że Amerykanie sami się z tym uporali.

Czytając ostatni akapit, wyprostował się w fotelu. Mansfield poleciała do Londynu pod fałszywym nazwiskiem, po czym znów zmieniła tożsamość i wróciła do Paryża. Poszukiwania koncentrowały się właśnie tutaj. Agent oddelegowany do sprawy uważał, że Mansfield przygotowuje się do kolejnej akcji wymierzonej w organizację Nervich.

Rodrigo poczuł się, jakby podłączono go pod prąd; włosy na całym ciele zjeżyły się, dreszcz przebiegł mu po plecach.

Ona wróciła do Paryża i jest tutaj, w jego zasięgu. Było to odważne posunięcie; gdyby nie monsieur Blanc, Rodrigo dałby się zaskoczyć. Jego osobista ochrona jest szczelna, lecz co z zakładami Nervich rozsianymi po całej Europie? Zwłaszcza tymi w okolicach Paryża? Systemom zabezpieczeń trudno cokolwiek zarzucić, ale w przypadku tej kobiety potrzeba szczególnych środków ostrożności. Co może być celem? Odpowiedź nasunęła mu się natychmiast: laboratorium Vincenza. To właśnie tam uderzyli jej przyjaciele i zostali zabici za swoje działania. Pewnie więc uważa, że sprawiedliwości stanie się zadość, jeśli dokończy ich dzieło, być może podkładając serię ładunków wybuchowych i zrównując z ziemią cały kompleks.

Utrata planowanych zysków ze szczepionki na ptasią grypę nie doprowadziłaby go do bankructwa, ale bardzo liczył na ten ogromny przypyły gotówki. Pieniądze bowiem dają prawdziwą władzę w tym świecie, gdzie każdy próbuje zdobyć więcej, niż mają inni. Lecz jeszcze gorsza od utraty zysku byłaby utrata twarzy. Gdyby w laboratorium wydarzył się kolejny incydent, WHO zaczęłaby kwestionować środki bezpieczeństwa i w najlepszym razie cofnęłaby granty, a w najgorszym zarządziłaby inspekcję. Rodrigo nie chciał, żeby ktokolwiek z zewnątrz myślał o laboratorium. Vincenzo na pewno potrafiłby ukryć albo zamaskować cel swoich badań, ale kolejne opóźnienie zniweczyłoby ich plany.

Nie, nie pozwoli jej wygrać. Pomijając wszystko inne, rozeszłaby się plotka, że Rodrigo Nervi został pokonany - i to przez kobietę. Może zdołałby utrzymać to w tajemnicy jakiś czas, ale w końcu ktoś puściłby farbę. Zawsze tak było.

Ledwie tydzień temu Rodrigo pochował ojca i zdawał sobie sprawę, że niektórzy wciąż mają wątpliwości, czy jest godnym następcą Salvatore. Poza tym nie miał nikogo, kto przejąłby choćby część jego obowiązków, tak jak on przejął obowiązki ojca jeszcze za jego życia. Musiał ze wszystkim uporać się sam.

I z załatwieniem dostawy wzbogacanego plutonu do Syrii, i z wysyłką opiatów do najróżniejszych krajów, i z handlem bronią, nie mówiąc już o legalnych obowiązkach związanych z prowadzeniem rozległej, działającej na wielu polach korporacji.

Ale wiedział, że znajdzie czas na ściganie Lilianę Mansfield, choćby miał zaniedbać wszystko inne. Jutro rano każdy z jego pracowników we Francji dostanie jej zdjęcie. Jeśli tylko

chodziła po ulicach, w końcu ktoś ją rozpozna.

Zabezpieczenia laboratorium były całkiem zwyczajne, przynajmniej z zewnątrz. Ogrodzenie i bramy - jedna od frontu, druga od tyłu, każda pilnowana przez dwóch strażników. Samo laboratorium było kompleksem połączonych budynków, w większości pozbawionych okien. Na parkingu po lewej stronie stało jakieś pięćdziesiąt samochodów.

Swain zauważył to wszystko, przejeżdżając obok. Jego auto rzucało się w oczy, więc nie mógł natychmiast powtórzyć przejażdżki, bo strażnicy zauważyliby go. Z kolejną rundką odczekał do następnego dnia, a tymczasem uruchomił wszystkie swoje kontakty, by poznać plany budynków i zorientować się, w jaki sposób Lily mogłaby próbować dostać się do środka. Na terenie wokół laboratorium zabezpieczenia były widoczne gołym okiem: ogrodzenie, bramy, strażnicy. W nocy teren był patrolowany przez ochroniarza z owczarkiem niemieckim i dobrze oświetlony.

Swain uznał, że Lily spróbuje włamania właśnie w nocy, mimo psa. Nocne oświetlenie tworzyło cienie, w których można się było ukryć. No i w nocy w kompleksie przebywało niewiele osób, a poza tym nad ranem ludzie zwykle byli zmęczeni. Lily jest doskonałym strzelcem, może więc unieszkodliwić strażnika i psa strzałkami ze środkiem usypiającym. Nie działają natychmiast i strażnik miałby czas, by krzyknąć lub w inny sposób narobić alarmu. Może więc planuje ich zabicie; gdyby użyła tłumika, ochroniarze przy bramie niczego by nie usłyszeli.

Swainowi nie spodobała się ta ewentualność. Nawet nie mrugnąłby okiem, gdyby zabiła strażnika, ale na myśl o skrzywdzeniu psa zrobiło mu się niedobrze. Miał cholerną słabość do psów, nawet tych wytresowanych do zabijania. Z ludźmi było zupełnie inaczej; niektórzy aż się prosili, żeby ich sprzątnąć. Wylączał z tej teorii dzieci, zaliczając je do tej samej kategorii co psy; choć poznał parę dzieciaków, bez których jego zdaniem świat byłby lepszy. Cieszył się, że jego dzieci nie wyrosły na palantów, bo to by było naprawdę okropne.

Miał nadzieję, że Lily nie strzela do psów. Gdyby było inaczej, straciłby całą sympatię, jaką dla niej czuł.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw laboratorium, był ładny mały park. Wiosną i latem na pewno przychodzi tu w przerwie na lunch wielu pracowników okolicznych sklepów. Ale nawet w ten zimny listopadowy dzień znalazło się sporo spacerowiczów - tylu, że jeden dodatkowy nie rzuci się w oczy.

Ulice były tu szersze niż w starszych częściach Paryża, ale i tak pełne parkujących samochodów. Swain w końcu znalazł wolne miejsce i pieszo ruszył do parku. Wypatrzył ławeczkę, z której mógł obserwować ruch w laboratorium. Zapozna się z porządkiem dnia, może nawet znajdzie jakiś słaby punkt zabezpieczeń, którego nie dostrzegł wcześniej. Przy odrobinie szczęścia Lily przyjdzie tu właśnie dzisiaj, by zrobić to samo. Nie wiedział, w co będzie ubrana i jaką będzie miała perukę, więc trochę pospaceruje, przyglądając się mijanym ludziom. Był pewien, że rozpozna kształt jej ust.

Kompleks laboratoryjny wyglądał zwyczajnie. Zewnętrzne zabezpieczenia były takie, jak w każdym zakładzie produkcyjnym: ogrodzony teren, ograniczony wstęp, umundurowani strażnicy przy bramach. Cokolwiek ponad to - na przykład czterometrowy mur zwieńczony drutem kolczastym - tylko przyciągałoby uwagę.

Lily podejrzewała jednak, że w środku znajdują się bardziej wymyślne systemy. Sensory odcisków palców, skanery siatkówki przy wejściach do najbardziej zastrzeżonych stref, czujniki ruchu, promienie laserowe, czujniki odgłosu tłuczonego szkła, czujniki zmiany nacisku - mogło

być wszystko. Musiała wiedzieć dokładnie, co znajduje się w środku, i być może musiałaby wynająć kogoś, kto potrafiłby unieszkodliwić te urządzenia.

Znała kilka osób z branży, ale wolała trzymać się z daleka od znajomych. Jeśli się rozniósł, że jest persona non grata w Agencji, żaden z nich nie zechce jej pomóc. Mogliby nawet szeptać słówko do kogo trzeba o jej miejscu pobytu i zamiarach.

Sąsiedztwo stanowiło mieszaninę etnicznych sklepów, modnych butików, kafejek i tanich wielorodzinnych domów. Mały park pozwalał odpocząć oczom od miejskich zabudowań, choć większość drzew była pozbawiona liści, a zimny wiatr sprawiał, że ich gałęzie grzechotały niczym kości.

Lily czuła się dziś o wiele lepiej. Dobrze zniosła szybki spacer z metra i nie brakowało jej tchu. Jutro spróbuje powolnego joggingu.

Wstąpiła do kawiarni, gdzie kupiła kubek mocnej czarnej kawy i ciastko z kruchą maślaną skórką, która rozpływała się w ustach. Park był ledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Poszła tam i znalazła ławkę na słońcu, by rozkoszować się pysznym ciastkiem i kawą. Kiedy skończyła, oblizała palce, po czym wyjęła z torebki cienki notesik, rozłożyła go na kolanach i pochyliła głowę. Udawała pogrążoną w lekturze, ale jej spojrzenie przenosiło się z miejsca na miejsce, rejestrując ludzi w parku i umiejscowienie obiektów.

W parku było niewiele osób: matka z kilkuletnim synem, starszy pan spacerujący z psem i młodszy mężczyzna, który siedział na ławce, popijając kawę i od czasu do czasu spoglądając na zegarek, jakby na kogoś czekał. Inni spacerowali między drzewami: młoda para trzymająca się za ręce, dwóch młodzieńców kopiących piłkę i parę innych osób cieszących się słonecznym dniem.

Lily wyjęła z torebki długopis i naszkicowała plan parku, zaznaczając położenie ławek, drzew, krzewów, koszy na śmieci i małej fontanny pośrodku. Potem zrobiła szkic kompleksu laboratoryjnego, uwzględniając położenie bram i okien. Postanowiła, że po południu wypożyczy skuter i poczeka, aż doktor Giordano wyjdzie z kompleksu - oczywiście zakładając, że w ogóle tam był. Nie miała pojęcia, w jakich godzinach pracował. Nie wiedziała nawet, jakim samochodem jeździł. Była jednak skłonna się założyć, że ma regularne godziny pracy, mieszczące się w średniej krajowej. Więc kiedy wyjdzie, ona pojedzie za nim do domu. Numer jego telefonu nie był ogólnodostępny, ale stare dobre metody zawsze są skuteczne.

Nie miała żadnych informacji na temat życia rodzinnego doktora, nie wiedziała nawet, czy w ogóle Giordano ma rodzinę w Paryżu. Ale to właśnie on był jej asem w rękawie. Znał system zabezpieczeń laboratorium i jako jego dyrektor miał dostęp do wszystkich stref, wystarczy więc wyciągnąć z niego te informacje. Lily wolała jednak nie posługiwać się doktorem, bo gdy go złapie, będzie musiała działać szybko, nim ktokolwiek zauważy, że zaginął. Spróbuje zdobyć informacje na temat wewnętrznych zabezpieczeń innymi metodami i dostać się do środka bez pomocy Giordano. Jego adres chciała znać, tak na wszelki wypadek.

Doskonale zdawała sobie sprawę z własnych ograniczeń. Nie była ekspertem w żadnej dziedzinie z wyjątkiem rozpracowania celu i zbliżenia się do niego na tyle, by wykonać misję. Im więcej myślała o tym przedsięwzięciu, tym wyraźniej uświadamiała sobie, jak nierówne są szanse, ale to nie zmniejszało jej determinacji. Na tym świecie nie istnieje doskonały system zabezpieczeń; zawsze jest ktoś, kto wie, jak go ominąć. A ona znajdzie tego kogoś albo sama się nauczy, jak to zrobić.

Dwaj młodzi mężczyźni nie kopali już piłki. Jeden z nich rozmawiał przez komórkę, zerkając na Lily.

Przeszył ją dreszcz niepokoju. Schowała notes i długopis i zrzuciła torebkę na ziemię obok prawej nogi. Schyliła się, wsunęła dłoń w cholewkę buta i wyjęła pistolet.

Ukrywszy broń pod torebką, wstała z ławki i zaczęła oddalać się po skosie od dwóch mężczyzn. Serce łomotało jej w piersi. Przywykła do bycia myśliwym, ale tym razem to ona była zwierzyną.

## Rozdział 12

Lily ruszyła biegiem; jej błyskawiczny zryw zaskoczył ich. Usłyszała krzyk i instynktownie przypadła do ziemi, na ułamek sekundy zanim huk pistoletu dużego kalibru rozdarł miejski gwar. Przeturlała się za jeden z cementowych koszy, uniosła się i przyklękła na kolanie.

Nie była na tyle głupia, by wystawić głowę nad kosz; wyjrzała szybko z boku i strzeliła. Z odległości trzydziestu paru metrów nie strzelała zbyt celnie; jej kula zaryła się w ziemi tuż przed dwoma mężczyznami, unosząc fontannę piachu i zmuszając również ich do szukania kryjówek.

Usłyszała pisk opon i krzyki ludzi, którzy zorientowali się, że to, co słyszą, to strzały z broni palnej. Kątem oka widziała, jak młoda matka schyla się po dziecko, podrywa je z ziemi niczym piłkę i trzymając pod pachą, pędzi w bezpieczne miejsce. Chłopczyk piszczał z radości, myśląc, że to zabawa. Starszy pan potknął się i upadł, puszczać smycz, lecz jego stary pies najwyraźniej wyrósł z chęci wyrwania się na wolność, bo po prostu usiadł na trawie.

Zerknęła przez ramię, szukając zagrożenia, które mogłoby się zbliżyć z tyłu, ale zobaczyła tylko uciekających ludzi; nikt nie biegł w jej kierunku. Bezpieczna przed atakiem z tyłu, przynajmniej na razie, wyjrzała z drugiej strony kosza i zobaczyła dwóch umundurowanych strażników biegnących od bramy kompleksu z pistoletami w dłoniach.

Strzeliła w ich kierunku, zmuszając ich, by padli na ziemię, choć byli zbyt daleko na celny strzał. Używała zmodyfikowanej beretty 87 na pociski kaliber 22 z długim gwintem i z magazynkiem na dziesięć naboji. Właśnie zużyła dwa, a nie zabrała ze sobą dodatkowej amunicji, bo nie spodziewała się, że będzie jej potrzebować. Idiotka! - zbeształa samą siebie. Nie wiedziała, czy ci dwaj faceci są z Agencji czy to ludzie Rodriga, ale stawiała na Agencję, skoro znaleźli ją tak szybko. Powinna być lepiej przygotowana; nie doceniła ich i być może przeceniła siebie.

Obaj mieli broń i kiedy znów wyjrzała zza kosza, obaj wystrzelili. Jedna kula chybiła celu - Lily usłyszała za plecami brzęk tłuczonego szkła i krzyki kogoś, kto został ranny. Druga kula trafiła w kosz, wyrwijąc kawałek cementu, który śmignął w powietrzu; jej twarz zasypały ostre odłamki. Sama również wystrzeliła - trzy pociski - i zerknęła na strażników. Obaj znaleźli sobie kryjówki - jeden za drzewem, drugi za koszem na śmieci, takim samym jak ten, za jakim ona się kuliła.

Nie zmieniali pozycji, więc znów odwróciła się do piłkarzy. Ten z lewej przesunął się jeszcze dalej na lewo, utrudniając jej celowanie, bo kosz, który ją chronił, teraz do pewnego stopnia zasłaniał również jego.

Nie było dobrze. Cztery lufy przeciwko jej beretcie i przynajmniej czterokrotnie więcej amunicji, niż miała ona. Mogli ją tu trzymać przyszpiloną, aż skończą jej się naboje, albo dopóki nie przyjedzie francuska policja - co mogło nastąpić lada chwila, bo nawet mimo dzwonięcia w uszach od huku wystrzałów słyszała syreny.

Ruch na ulicy za jej plecami zatrzymał się; kierowcy powyskakiwali z samochodów, by się za nimi ukryć. Jej jedyną szansą była ucieczka pod osłoną aut; będzie musiała uciec na skróty przez jakiś sklep albo, jeśli ktoś akurat przyjechał na rowerze, uwolnić go od pojazdu.

Staruszek, który się przewrócił, próbował wstać.

- Niech pan leży! - wrzasnęła do niego Lily. Spojrzał na nią, przerażony i zdezorientowany; włosy miał rozczochrane. - Niech pan leży! - powtórzyła, podkreślając słowa gestem.

Dzięki Bogu w końcu zrozumiał i rozpląszczył się na ziemi. Pies podczołgał się do niego i położył przy jego głowie.

Przez chwilę wydawało się, że czas się zatrzymał; ostry zapach kordytu jakby zawisł nad parkiem mimo chłodnej bryzy. Lily usłyszała, że piłkarze mówią coś do siebie, ale nie była w stanie rozróżnić słów.

Nagle z prawej strony dobiegł ją pomruk potężnego silnika. Spojrzała w tym kierunku i zobaczyła szarego jaguara, który przeskoczył krawężnik i ruszył prosto ku niej.

Krew zahuczała jej w uszach, niemal ją ogłuszając. Miała ledwie kilka sekund; musiała idealnie wymierzyć skok, by uniknąć zmiżdżenia przez samochód.

Kierowca skręcił gwałtownie i jaguar wsunął się bokiem między nią a piłkarzy; spod opon poleciały grudy ziemi, tył wozu zamiótł dookoła i auto stanęło zwrócone w tym samym kierunku, z którego przyjechało. Kierowca pochylił się i otworzył drzwi pasażera.

- Wskakuj! - krzyknął po angielsku.

Lily skoczyła szczupakiem na przednie siedzenie. Nad jej głową świsnął pocisk dużego kalibru, wyrzucona z zamka gorąca łuska odbiła się od siedzenia prosto w jej twarz.

Kierowca wcisnął gaz do dechy i jaguar śmignął naprzód. Rozległy się kolejne strzały; odgłosy broni różnych kalibrów niemal zlały się w jedno. Tylne szyby po stronie kierowcy rozprysła się; mężczyzna pochylił głowę, kiedy sypnęło się na niego szkło.

- Cholera! - wyszczerzył zęby w uśmiechu i skręcił gwałtownie, by ominąć drzewo.

Wpadli na ulicę. Żołądek podszedł Lily do gardła, gdy mignęła jej przed oczami płatanina samochodów. Mężczyzna znów zakręcił kierownicą i jaguar po raz kolejny obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Gwałtowny skręt rzucił ją na podłogę. Próbowała złapać się siedzenia, podłokietnika, czegokolwiek, byle znaleźć punkt oparcia. Kierowca śmiał się jak wariat, kiedy samochód wskoczył na krawężnik, zamiótł tyłem i śmignawszy przez lukę między autami, na sekundę znalazł się w powietrzu, po czym opadł na jezdnię z impetem, od którego aż jęknęło podwozie. Lily spazmatycznie zaczerpnęła łyk powietrza.

Kierowca wdepnął hamulec, ostro skręcił w lewo i, przyspieszając, wyszedł z zakrętu. Przyspieszenie wcisnęło Lily w podłogę. Zamknęła oczy, gdy tuż obok jej drzwi zapiszczały hamulce. Facet skręcił w prawo, na bardzo nierówną nawierzchnię; po obu stronach przemykały domy, tak blisko, że Lily obawiała się o boczne lusterka; musieli być w jakiejś wąskiej bocznej uliczce. Chyba wsiadła do samochodu z kierowcą wariatem.

Na końcu uliczki zwolnił i gładko włączywszy się do ruchu, dostosował prędkość do pozostałych samochodów i prowadził tak spokojnie, jak każda babcia w niedzielny poranek.

Wciąż szczerzył zęby w uśmiechu, a po chwili odchylił głowę i roześmiał się na całe gardło.

- Kurczę, to było niezłe!

Trzymał obie ręce na kierownicy; wielki automatyczny pistolet leżał na siedzeniu obok niego. Lily uznała, że lepszej okazji nie będzie. Zaczęła po omacku szukać swojego pistoletu, który upuściła, gdy rzucało nią jak na kolejce górskiej. Znalazła broń pod siedzeniem pasażera; płynnym ruchem podniosła ją i wycelowała między oczy kierowcy.

- Zatrzymaj się i wypuść mnie - zażądała.

Zerknął na pistolet i znów przeniósł wzrok na jezdnię.

- Odłóż ten miotacz groszku, zanim się wkurzę. Do diabła, kobieto, właśnie uratowałem ci życie!

Była to prawda; i tylko dlatego jeszcze go nie zastrzeliła.

- Dziękuję - powiedziała. - A teraz zatrzymaj się i wypuść mnie.



Słyszała, jak piłkarze wołali do siebie po włosku, byli więc ludźmi Rodriga. To oznaczało, że najprawdopodobniej ten facet jest z CIA. Z pewnością był Amerykaninem, a w dodatku zjawił się akurat w chwili, gdy była osaczona, prowadził jak rajdowiec i nosił przy sobie dziewięciomilimetrowego hecklera & kocha, który kosztuje prawie pięć tysięcy dolarów... cóż, śmierdził Firmą na kilometr. Zapewne jest kontraktowym agentem, najemnym zabójcą, jak ona.

Zmarszczyła brwi. To nie miało sensu. Gdyby był kontraktowym agentem, wysłanym, by ją zlikwidować, to wystarczyło, żeby trzymał się z boku - ona byłaby martwa bardzo szybko; nie musiałby nawet kiwnąć palcem. Oczywiście próbowałaby uciec, ale jak daleko by dotarła ze swoją marną kondycją, ścigana przez czterech strzelców?

Istniała też możliwość, że był wariatem. Biorąc pod uwagę jego dziki śmiech, wydawało się to bardzo prawdopodobne. Tak czy inaczej, chciała wysiąść z tego samochodu.

- Nie zmuszaj mnie, żebym pociągnęła za spust - powiedziała cicho.

- Nawet o tym nie myśl. - Znów na nią spojrzął; kąciki jego oczu zmarszczyły się od szerokiego uśmiechu. - Pozwól, że oddalę się jeszcze trochę od miejsca przestępstwa, okej? Może nie zauważyłaś, ale ja też brałem udział w tej awanturze, a jaguar z rozbitą szybą trochę rzuca się w oczy. Cholera. Na dodatek jest wynajęty. American Express nieźle się wkurzy.

Lily przyglądała mu się, usiłując go wyczuć. Wydawał się zupełnie nieprzyjęty faktem, że celuje do niego z pistoletu. Zachowywał się jakby cała ta sytuacja ogromnie go bawiła.

- Czy przebywałeś kiedykolwiek w szpitalu dla psychicznie chorych?

- Co? - Roześmiał się i posłał jej kolejne szybkie spojrzenie. Powtórzyła pytanie.

- Myślisz, że jestem wariatem?

- Śmiałeś się jak wariat w sytuacji, która wcale nie była zabawna.

- Ten śmiech to jedna z moich licznych przywar. Ale pomyśl, siedzę sobie w parku, pilnując własnego nosa, i prawie umieram z nudów, kiedy nagle za mną wybucha strzelanina. Jest czterech na jednego, a ten jeden to blondynka. Nudzę się, mam chłopcę, więc myślę sobie, że jeśli podjadę tam jaguarem i wystawię się na strzały, ratując jej życie, to trochę się rozerwę, a blondynka wskoczy mi z wdzięczności do łóżka. Więc jak będzie? - Uniósł brwi, patrząc na nią.

Lily się roześmiała. Wyglądał idiotycznie z tymi uniesionymi brwiami.

Puścił do niej oko.

- Możesz już usiąść na fotelu. Z tej pozycji też możesz mnie trzymać na muszce.

- Prowadzisz tak, że chyba byłabym bezpieczniejsza na podłodze - odparła, ale wspięła się na siedzenie.

- Prowadzę całkiem dobrze. Przecież żyjemy, prawda? Nic nam nie cieknie z żadnych nowych dziurek... no, może troszkę.

- Postrzelili cię? — zapytała, obracając się ku niemu.

- Nie, tylko odłamek szkła skaleczył mnie w kark. To drobiazg. - Sięgnął do tyłu, przeciągnął dłoń po karku i pokazał palce umazane krwią. - Widzisz?

- Okej. - Płynnym ruchem sięgnęła lewą ręką po pistolet leżący obok jego uda.

Nie patrząc w dół, błyskawicznie chwycił ją za nadgarstek.

- Nie - rzucił; żartobliwy ton zniknął bez śladu. - To moje.

Był szybki. Zdumiewająco szybki. W mgnieniu oka dobroniuszny przyglup zmienił się w zimnego twardziela, który nie żartował.

O dziwo, ta przemiana uspokoiła ją, jakby dopiero teraz zobaczyła jego prawdziwe oblicze i zorientowała się, z kim ma do czynienia. Odsunęła się do niego najdalej, jak mogła, nie dlatego, że się go bała, ale by było mu trudniej chwycić jej pistolet. Chociaż może i bała się trochę; był

wielką niewiadomą, a w jej profesji to, co niewiadome, mogło kosztować życie.

Przewrócił oczami, widząc jej ruch.

- Słuchaj, nie musisz się zachowywać, jakbym był jakimś psycholem. Wypuszczę cię całą i zdrową, obiecuję. Chyba że mnie zastrzelisz, bo wtedy w coś walniemy, a w takim przypadku nie mogę ci niczego zagwarantować.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Lucas Swain, do usług. Większość ludzi mówi do mnie po prostu Swain. Lucas jakoś nie chwycił.

- Nie chodziło mi o nazwisko. Dla kogo pracujesz?

- Dla siebie. Nie leży mi typowa robota od dziewiątej do piątej. Przez dziesięć lat siedziałem w Ameryce Południowej, ale zrobiło się tam trochę gorąco, więc pomyślałem, że zwiedzę sobie Europę.

Faktycznie, był mocno opalony. Pewnie poszukiwacz przygód, najemnik albo agent kontraktowy. Wciąż obstawiała to ostatnie. Ale w takim razie dlaczego się wtrącił? Gdyby miał rozkaz ją zabić, to jeśli nawet nie chciał, żeby zbiry Rodriga załatwiły to za niego, mógł wykonać zlecenie, gdy tylko wskoczyła do jego samochodu.

- W cokolwiek się wplątałaś - rzekł - wygląda na to, że oni mają przewagę liczebną i przyda ci się pomoc. Ja jestem wolny, dobry i nudzę się. Więc powiedz mi, co się tam właściwie działo?

Lily nie była impulsywna, a przynajmniej nie w pracy. Zawsze starannie analizowała sytuację i planowała kolejne posunięcia. Ale zdawała sobie sprawę, że potrzebuje pomocy, by dostać się do kompleksu laboratoryjnego, a Lucas Swain udowodnił, że sporo potrafi. Przez kilka ostatnich miesięcy samotność bardzo dała się jej we znaki, a w tym człowieku było coś, co budziło zaufanie, coś, co łagodziło ból osamotnienia.

Więc zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, zadała własne:

- Znasz się na systemach zabezpieczeń?

## Rozdział 13

Swain ściągnął brwi, zastanawiając się nad jej pytaniem.

- Ujędę w tło, ale nie jestem ekspertem. Zależy od systemu. Ale znam kilku prawdziwych speców, którzy mogą mi udzielić potrzebnych wskazówek. - Umilkł na chwilę. - Mówisz o czymś nielegalnym?

- Tak.

- Świetnie. Humor mi się poprawia z minuty na minutę.

Lily pomyślała, że jeśli Swain zrobi się choć odrobinę weselszy, będzie go musiała zastrzelić, by chronić własne zdrowie umysłowe. Znów skrzywił, rozejrzył się, po czym spytał:

- Wiesz, gdzie jesteśmy?

Lily przysiadła na fotelu bokiem i podciągnęła nogi, by utrudnić mu ewentualny ruch, gdyby chciał jej zabrać pistolet. W końcu odważyła się rozejrzeć po okolicy.

- Tak. Na następnych światłach skręć w prawo, a potem, jakieś półtora kilometra dalej, w lewo. Powiem ci, kiedy.

- I gdzie się wtedy znajdziemy?

- Przy stacji kolejki. Tam będziesz mógł mnie wypuścić.

- Oj, daj spokój. Nie opuszczaj mnie tak szybko. Narobiłem sobie nadziei, że zostaniemy partnerami.

- Zanim cię sprawdzę? - spytała z niedowierzaniem.

- To by chyba było głupie.

- No co ty. - Po dziesięciu minutach z Amerykaninem bez trudu wróciła do narodowego dialektu, jakby założyła wygodne kapcie. - Gdzie się zatrzymałeś? Zadzwoń do ciebie.

- W Bristolu. - Skręcił w prawo, jak mu kazała. - Pokój siedemset dwanaście.

Uniosła brwi.

- Wypożyczyłeś jaguara, mieszkasz w jednym z najdroższych hoteli w Paryżu. Twoje dorywcze zajęcie musi być całkiem intratne.

- Wszystkie moje zajęcia były intratne, a poza tym musiałem gdzieś parkować auto. Cholera! Powiniem wynająć inny samochód, a tego nie mogę jeszcze zwrócić, bo wpadnę, kiedy szkoda zostanie zgłoszona.

Lily spojrzała na przestrzelone okno.

- Wyłucz szybę do reszty i powiedz, że jakiś gnojek rozbił ją kijem bejsbolowym.

- To może chwycić, chyba że ktoś spisał numery.

- Przy tym jak zamiatasz kufrem?

- Może i racja, ale po co ryzykować? We Francji uznają człowieka za winnego, dopóki nie udowodni, że jest inaczej. Wolę się trzymać z daleka od żandarmów.

- Twoja sprawa - rzuciła obojętnie. - To ty będziesz płacił za dwa wypożyczone samochody.

- Co za troska... Jeszcze zacznę myśleć, że ci zależy.

Lily musiała się uśmiechnąć. Swain nie brał siebie poważnie; nie wiedziała, czy to zaleta czy wada, ale bez wątpienia był zabawny. No i właściwie spadł jej z nieba akurat w chwili, kiedy próbowała zdecydować, kogo zwerbować do pomocy, więc byłaby idiotką, odrzucając jego ofertę. Sprawdzi go i jeśli znajdzie choćby ślad powiązań z Agencją czy braku wiarygodności, po prostu więcej się z nim nie skontaktuje. Nie zachowywał się, jakby dostał zlecenie zabicia jej; tego przestała się obawiać. A czy się do czegokolwiek nadawał i był godny zaufania, to się jeszcze okaże. Nie mogła zadzwonić do swojego dawnego źródła w Agencji i kazać go sprawdzić, ale znała paru ludzi, powiedzmy nie do końca uczciwych, którzy mogli to zrobić za nią.

Krótką chwilę, jaka im pozostała, nim dojechali na stację, wykorzystwała na dokładnie oględziny. Jest przystojny, stwierdziła z lekkim zaskoczeniem; kiedy mówił, zwracała uwagę na jego słowa, nie na twarz. Dość wysoki, około metra osiemdziesiąt pięć, i szczupły. Dłonie miał żyłaste, o długich palcach. Żadnej obrączki ani sygnetu, krótko obcięte paznokcie. Włosy też miał krótkie, kasztanowate, z odrobiną siwizny na skroniach; oczy niebieskie - znacznie ciemniejsze niż jej własne; usta trochę za wąskie, ale o ładnym wykroju. Mocny podbródek, kształtny nos, wąski, z lekkim garbkiem. Pomijając siwiznę na skroniach, prawdopodobnie wyglądał na mniej lat, niż miał. Oceniała, że jest mniej więcej w tym wieku co ona - tuż przed, może tuż po czterdziestce.

Ubrany był tak jak ubierają się miliony mężczyzn na Starym Kontynencie. Nie miał na sobie niczego, co by go wyróżniało, co krzyczałoby „Jankes!” - żadnych lewisów, nike'ów czy koszulki z logo ulubionej drużyny futbolowej. Nosił szaro-beżowe spodnie, niebieską koszulę i czarną skórzaną marynarkę. Zazdrościła mu tej marynarki. Jego włoskie mokasyny były czyste i błyszczące.

Jak na kogoś, kto dopiero co przyjechał z Ameryki Południowej, szybko dostosował się do miejscowego stylu.

- W następną w lewo - powiedziała, gdy zbliżyli się do skrzyżowania.

Szybko też podłapał paryski styl jazdy; prowadził z nerwem, ostro i ryzykownie. Gdy ktoś spróbował zajechać mu drogę, zobaczyła, że zdążył się nauczyć kilku miejscowych gestów. Z uśmiechem skręcił tuż przed maską tamtego samochodu; błysk w jego oczach świadczył, że jaz-

da po paryskich ulicach sprawia mu frajdę.

- Od jak dawna jesteś w Paryżu? - zapytała.

- Od trzech dni. A czemu pytasz?

- Zatrzymaj się tutaj. - Wskazała krawężnik tuż obok peronu kolejki. - Bo już jeździsz jak tubylec.

- Kiedy pływasz z rekinami, musisz pokazać zęby, żeby wiedziały, że nie żartujesz. - Podjechał do krawężnika. - To była prawdziwa przyjemność, pani...

Lily nie dokończyła zdania. Wsunęła pistolet do kabury w buty, otworzyła drzwi, wysiadła i pochyliła się, by spojrzeć na Swainę.

- Zadzwoń do ciebie - powiedziała. Zamknęła drzwi i odeszła.

Swain nie stał na miejscu parkingowym, nie mógł więc poczekać i popatrzeć, do którego pociągu wsiądzie Lily; musiał odjechać. Gdy się obejrzał, jej jasne włosy już zniknęły mu z oczu. Nie sądził, by wyjęła z kieszeni perukę i włożyła na głowę; pewnie z rozmysłem zgubiła się między wyższymi pasażerami.

Mógłby wprawdzie zostawić samochód tu, gdzie stał, i pójść za nią, ale intuicja podpowiadała mu, że nadgorliwość w tym momencie nie byłaby dobra. Gdyby próbował ją śledzić, pewnie by mu związała. Lepiej niech sama do niego przyjdzie.

Zamierzała go sprawdzić. Cholera. Wyjął komórkę i wykonał pilny telefon do Stanów, żeby jakiś mól komputerowy mógł zarobić na swoją pensję i dopilnować, aby o Lucasie Swainie można się było dowiedzieć tylko kilku mocno okrojonych i w większości sfabrykowanych szczegółów.

Załatwiwszy to, zajął się mniej pilnym problemem: jaguarem. Szybę trzeba wymienić przed zwrotem samochodu do wypożyczalni, bo naprawdę nie chciał, żeby francuscy gliniarze o nim wiedzieli. Musiał zakładać, że organizacja Nervich ma informatorów we wszystkich strategicznych miejscach, a to z pewnością obejmowało policję.

Uwielbiał tego jaguara, ale musiał się z nim rozstać. Po prostu za bardzo rzucał się w oczy. Może jakiś mercedes? Nie, też zbyt zauważalny. Więc jakiś francuski samochód, renault czy coś w tym stylu. Prawdę mówiąc, chętnie pojeździłby jakimś włoskim sportowym autkiem, ale musiał myśleć przede wszystkim o robocie, a Lily mogłaby nie chcieć się z nim bujać, gdyby jeździł czymś szpanerskim.

O mało nie zakrztusił się kawą, gdy zobaczył, jak wchodzi wolnym krokiem do tego parku, jakby nie była ścigana w całej Europie. Zawsze miał cholerne szczęście. Nie potrzebował żadnych kombinacji przy komputerze, dedukcji i podobnych bzdetów - wystarczyło, że przysiadł na ławeczce w małym parku, i zjawiła się, zanim minęło piętnaście minut. No dobra, dedukcja pomogła mu wybrać najbardziej prawdopodobne miejsce jej pojawienia się, ale i tak miał szczęście.

I nie dostał kulki, a to był niesamowity fart. Szkoda tylko jaguara. Vinay powiedziała, że znów się popisywał, i miałby rację. Zapytałby go też, co sobie, u diabła, myśli, angażując się w takie gierki, zamiast wykonać zadanie, które mu wyznaczono. No cóż, ciekawość Swainę zawsze dorównywała jego szczęściu. Chciał wiedzieć, co Lily planuje, a poza tym miał do niej słabość.

Było to dziwne, lecz jakoś go nie martwiło. Lily Mansfield jest płatną zabójczynią, a fakt, że sprzedawała swoje usługi dobrej stronie mocy, nie czynił jej mniej niebezpieczną. Ale nie chciała, by temu staruszkowi w parku stała się krzywda, i nie strzelała na oślep, gdy mogli ucierpieć niewinni ludzie - w przeciwieństwie do tych piłkarzy. Już samo to skłoniłoby go do pomocy, nawet gdyby jej nie ścigał.

Postanowił nie mówić o niczym Vinayowi, bo on mógłby nie zrozumieć, dlaczego wypuścił

Lily, nie wiedząc, jak się z nią skontaktować.

Był prawie pewien, że Lily zadzwoni do niego za dzień czy dwa. Pomógł jej, rozbawił ją, nie zagroził jej w żaden sposób i obiecał pomagać dalej. Udzielił jej też informacji na swój temat.

Nie odłożyła tego cholernego pistoletu, bo spodziewała się, że on użyje swojego, ale gdy nawet nie próbował tego zrobić, pozbyła się podejrzeń. Była na tyle dobra, że gdyby zbyt szybko wykonał ruch, mógłby zarobić kilka dodatkowych dziurek wentylacyjnych, co zepsułoby jego reputację szczęściarza.

Gdyby jednak się mylił - i Lily nie zadzwoni - będzie musiał wrócić do rutynowych, nudnych metod szukania ludzi: komputerów i dedukcji.

Resztę dnia spędził w warsztacie, gdzie wstawiono nową szybę do jaguara, i na wynajmowaniu następnego samochodu. Wybrał jednego ze zwykłych małych renault, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie i zdecydował się na renault megane sport, ostry mały samochodzik z turbo doładowaniem i sześciobiegową skrzynią. Trudno go było nazwać anonimowym, ale Swain uznał, że może zdarzyć się sytuacja, kiedy będzie potrzebował prędkości i zwrotności, a nie chciał, by zabrakło mu tych paru koni. W wypożyczalni mieli czerwoną megane, która naprawdę wpadła mu w oko, w końcu jednak zadowolili się srebrną. Nie było sensu machać czerwoną flagą i wrzeszczeć: „Tu jestem, patrzcie na mnie!”

Wrócił do hotelu już po zmroku. Był głodny, ale nie miał ochoty na towarzystwo, zamówił więc jedzenie do pokoju. Czekał na dostawę, zdjął buty i kurtkę i klapnął na łóżko. Zagapił się w sufit - pomagało mu to w koncentracji - i zaczął myśleć o Lily Mansfield. Rozpoznał ją natychmiast, bo dokładnie obejrzał kolorowe zdjęcie z jej akt. Ale żadne zdjęcie nie mogło oddać energii i siły bijącej z każdego ruchu tej kobiety. Podobała mu się jej twarz, szczupła, ale o mocnych rysach; wysokie kości policzkowe, patrycjuszowski nos, i. Boże Wszechmogący, te usta. Od samego patrzenia na nie robiło mu się gorąco. Jej oczy były jak kawałki błękitnego lodu, ale usta miała czułe i delikatne, i seksowne... mógłby długo wymieniać, a i tak nie potrafiłby ubrać swoich odczuć w słowa.

Nie żartował, mówiąc, że chce zaciągnąć ją do łóżka. Gdyby tylko szepnęła słówko, miałby ją tu w Bristolu w rekordowym czasie.

Dokładnie pamiętał, jak wyglądała i co miała na sobie: ciemnoszare spodnie, czarne botki, niebieską koszulę z dzianiny i granatową kurtkę marynarską. Ta kurtka prawie całkiem maskowała jej figurę, ale z długości i kształtu nóg wnosił, że jest raczej szczupła. Wyglądała na trochę osłabioną; pod oczami miała sińce, jakby była chora albo nie dosypiała.

Napalanie się na nią raczej nie ułatwi mu zadania; prawdę mówiąc, czuł się nieswojo na myśl o tym, co musiał zrobić. Czasem wprawdzie ulepszał zasady, ale nigdy ich nie łamał. Postanowił więc, że wykona zadanie według własnego harmonogramu, a jeśli po drodze zrobi parę objazdów, trudno. Nie zaszkodzi się dowiedzieć, co kryło się za morderstwem Joubranów, kto ich wynajął i dlaczego. Nervi byli szumowinami, więc jeśli przy okazji wygrzebie parę brudów na ich temat, tym lepiej.

To pozwoli mu spędzić trochę czasu z Lily. Szkoda, że potem będzie musiał ją zdradzić.

## Rozdział 14

Wczoraj były jakieś kłopoty - rzekł Damone, stając w drzwiach biblioteki. - Powiedz mi, co się dzieje.

- Nie powinieneś być przyjeżdżać - odparł Rodrigo i podniósł się, by przywitać się z bratem. Umówili się, że się nie spotkają, dopóki morderca ojca nie zostanie złapany. Wprawdzie Damone dowiedział się, że Lilianę Mansfield alias Denise Morel zabiła Salvatore z zemsty za

śmierć przyjaciół, ale to w żaden sposób nie uchylało ich umowy. A zresztą poza tożsamością tej kobiety Rodrigo nie zdradził bratu nic więcej; tyle tylko, że jej szukają.

Damone nie był słabeuszem, ale Rodrigo zawsze czuł się w obowiązku chronić młodszego brata; po pierwsze, właśnie dlatego, że był młodszy, a po drugie, dlatego że Damone nigdy nie był z ojcem w okopach jak on. Rodrigo znał się na miejskiej i korporacyjnej wojnie, a Damone - na giełdach i funduszach.

- Nie masz nikogo, kto by ci pomógł, tak jak ty pomagałeś ojcu - odparł Damone, siadając w fotelu, w którym za życia Salvatore siadywał Rodrigo. - Nie może tak być, że ja będę tylko analizował rynki i przesuwiał środki pieniężne, kiedy ty dźwigasz na barkach całą odpowiedzialność za operacje. - Rozłożył ręce. - Poza tym czytam wiadomości, i w Internecie, i w drukowanej prasie. A notka, którą przeczytałem wczoraj, była bardzo interesująca; mała wzmianka o strzelaninie w parku z udziałem kilku osób. Spośród uczestników zidentyfikowano tylko dwóch strażników z pobliskiego laboratorium, którzy usłyszeli strzały i przybiegli na pomoc. - Damone zmrużył oczy. - Podano też nazwę parku.

- Ale co ty tu robisz? - zapytał Rodrigo. - Sytuacja została opanowana.

- To już drugi incydent w laboratorium Vincenza. Może mam myśleć, że to zbieg okoliczności? Nasze funkcjonowanie zależy od zysków z tej szczepionki. Będę musiał z paru możliwości zrezygnować, jeśli te środki nie wpłyną. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

- Telefon by nie wystarczył?

- Przez telefon nie widzę twojej twarzy - odparł Damone i uśmiechnął się. - Jesteś utalentowanym kłamcą, ale ja dobrze cię znam. Obserwowałem cię od dziecka, jak patrzyłeś na ojca i mówiłeś, że niczego nie zbroiliśmy, cokolwiek to było, chociaż oczywiście zawsze byliśmy winni. Jeśli zaczniesz mi kłamać w oczy, będę wiedział. Ale do rzeczy. Potrafię dodać dwa do dwóch. Wokół laboratorium Vincenza coś się dzieje, a na dodatek ojciec został zamordowany. Czy te dwa zdarzenia są powiązane?

Właśnie na tym polega problem z Damonem, pomyślał Rodrigo; jest zbyt inteligentny i ma zbyt dużą intuicję, by dało się zamydlić mu oczy. Irytowało go, że nigdy nie potrafił skutecznie okłamać młodszego brata; wszystkich innych tak, ale nie jego. Ta opiekuńczość była dobra kiedy mieli po cztery i siedem lat, ale teraz obaj byli dorośli. Może powinien przełamać w sobie ten nawyk.

- Tak - potwierdził w końcu. — Są powiązane.

- W jaki sposób?

- Kobieta, która zabiła ojca, Liliana Mansfield, była bliską przyjaciółką Joubranów, tej pary, która w sierpniu włamała się do laboratorium.

Damone przetarł oczy, jakby był zmęczony, i rozmasował grzbiet nosa.

- Więc to była zemsta.

- Po części tak.

- Po części?

Rodrigo westchnął.

- Wciąż nie wiem, kto wynajął Joubranów. Ktokolwiek to był, równie dobrze może wynająć kogoś innego, by znów zaatakował laboratorium. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne opóźnienie. Ta kobieta, która zabiła ojca, w tamtym momencie nie pracowała dla nikogo, przynajmniej tak mi się zdaje, ale teraz może być inaczej. Moi ludzie zauważyli ją wczoraj w parku; obserwowała teren kompleksu. Czy została wynajęta, czy robiła to na własną rękę, rezultat jest taki sam. Będzie próbowała sabotować produkcję szczepionki.

- Czy może wiedzieć, na co naprawdę jest ta szczepionka?

Rodrigo rozłożył ręce.

- Zawsze jest możliwość, że zdradził ktoś z wewnątrz, ktoś, kto pracuje w laboratorium, a wtedy pewnie wie. Najemnicy tacy jak Joubranowie nie są tani, więc badam finanse wszystkich pracowników laboratorium, żeby sprawdzić, czy kogoś było stać, by ich wynająć.

- Co wiesz o tej kobiecie?

- Jest Amerykanką i była najemną zabójczynią, kontraktową agentką CIA.

Damone zbladł.

- Wynajęli ją Amerykanie?

- Nie do zabicia ojca. To zrobiła na własną rękę i, jak pewnie się domyślasz, są na nią nieźle wkurzeni. Nawet wysłali kogoś, żeby „zlikwidował problem”; chyba tak to zostało sformułowane.

- A tymczasem ona szuka sposobu dostania się do laboratorium. Jak jej się udało wczoraj uciec?

- Ma współnika, mężczyznę jeżdżącego jaguarem. Wjechał samochodem między nią a moich ludzi i ostonił ją, włączając się w strzelaninę.

- Numer rejestracyjny?

- Nie ma, samochód stał pod takim kątem, że moi ludzie nie widzieli rejestracji. Oczywiście byli świadkowie, ale zbyt zajęci chowaniem się, żeby zapamiętywać numery.

- Teraz najważniejsze pytanie: czy ona próbowała zrobić krzywdę bezpośrednio tobie?

- Nie. - Rodrigo zamrugnął zaskoczony.

- Czyli ja jestem jeszcze mniej zagrożony. Więc zostanę tu i będziesz mógł mi przekazać część obowiązków. Zajmę się poszukiwaniem tej kobiety, albo jakimś innym twoim problemem, jeśli tego wolałbyś dopilnować sam. Albo możemy zająć się wszystkim wspólnie. Chcę pomóc. On był także moim ojcem.

Rodrigo westchnął, gdy zdał sobie sprawę, że trzymanie Damone'a z daleka od wszystkiego było błędem; ostatecznie jego brat jest Nervim. Musi pragnąć zemsty równie mocno jak on.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę, by ta sprawa została załatwiona - ciągnął Damone. - Zamierzam się ożenić.

Rodrigo, osłupiały, przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, i nagle wybuchnął śmiechem.

- Ożenić! Kiedy? Nie mówiłeś, że spotkałeś tę jedyną!

Damone też się roześmiał, jego twarz pociemniała od rumieńca.

- Nie wiem, kiedy, bo jeszcze się nie oświadczyłem. Ale myślę, że powie tak. Spotykamy się od ponad roku...

- I nie powiedziałaś nam? — „Nam” obejmowało Salvatore, który byłby zachwycony, że jeden z jego synów zamierza się ustatkować i zafundować mu wnuki.

- ...ale tak na dobre zaledwie od pięciu miesięcy. Chciałem być pewien, zanim cokolwiek powiedziałem. Ona jest Szwajcarką, z bardzo dobrej rodziny, córką bankiera. Ma na imię Giselle.

- Jego głos zabrzmiał poważniej, gdy wymówił jej imię. - Od samego początku wiedziałem, że to ta jedyna.

- Ale ona potrzebowała więcej czasu, co? - Rodrigo znów się roześmiał. - Jej nie wystarczyło jedno spojrzenie na twoją przystojną facjatę by stwierdzić, że będziecie mieli piękne dzieci?

- To wiedziała od razu - powiedział Damone ze spokojną pewnością siebie. - Wątpiła tylko, czy potrafię być dobrym mężem.

- Wszyscy Nervi są dobrymi mężami — odparł Rodrigo, i była to prawda, jeśli żona nie miała nic przeciwko okazjonalnym kochankom. Ale Damone zapewne będzie wierny; taką już miał naturę.

Plany Damone'a tłumaczyły, dlaczego chciał załatwić problem Lilianę Mansfield. Oczywiście pragnął zemsty, ale równie dobrze mógł poczekać, aż Rodrigo się wszystkim zajmie, gdyby wydarzenia w jego życiu osobistym nie popchnęły go do działania.

Damone spojrział na biurko brata i zobaczył leżące na nim zdjęcie. Podeszedł bliżej i przyjrzał się twarzy kobiety.

- Jest atrakcyjna - powiedział. - Nie ładna, ale... atrakcyjna. Przejrzał resztę danych. W końcu uniósł spojrzenie. - To jest dossier CIA. Jak to zdobyłeś?

- Opłacamy tam kogoś. Tak jak w Interpolu i Scotland Yardzie. Czasami dobrze jest wiedzieć pewne rzeczy z wyprzedzeniem.

- CIA dzwoni tutaj? Ty dzwonisz do nich?

- Oczywiście, że nie. Każde połączenie wchodzące i wychodzące z Agencji jest rejestrowane, a może też nagrywane. Mam prywatny numer naszego informatora w Interpolu, Georges'a Blanca, i on kontaktuje się z CIA albo FBI oficjalnymi kanałami.

- A pomyślałeś, żeby poprosić Blanca o zdobycie numeru komórki tej osoby, którą wysłano, by wytropiła Mansfield? CIA nie robi tego sama, wynajmuje innych do takiej roboty, nie myślę się? Jestem pewien, że ta osoba ma komórkę, każdy ma. I może zechce zarobić sporą sumkę jako dodatek do wypłaty z CIA, jeśli pewne informacje trafią najpierw do nas.

Zaintrygowany pomysłem, zniesmaczony, że sam na to nie wpadł, Rodrigo spojrział z podziwem na brata.

- Świeże spojrzenie - mruknął do siebie. - Masz diabelski umysł - powiedział i roześmiał się. - Gdy połączymy siły, ta kobieta będzie bez szans.

## Rozdział 15

Frank Vinay zawsze wstawał bardzo wcześnie. Od śmierci żony przed piętnastu laty coraz trudniej było mu wynajdywać preteksty, żeby nie pracować. Wciąż za nią tęsknił; czasem wręcz potwornie, kiedy indziej tęsknota była jak ćmiący ból, jakby coś w jego życiu było nie do końca w porządku. Nigdy nie brał pod uwagę ponownego małżeństwa, bo uważał, że byłoby mocno nie w porządku ożenić się z inną kobietą, skoro wciąż kochał zmarłą żonę całym sercem i duszą.

Ale nie był całkiem sam; miał do towarzystwa Kaisera. Ulubionym miejscem wielkiego owczarka niemieckiego był kąt kuchni - może uważał kuchnię za swój dom, bo tutaj przebywał jako szczeniak, zanim przyzwyczał się do nowego otoczenia. Teraz wstał z posłania, merdając ogonem, gdy tylko usłyszał kroki Franka na schodach.

Frank wszedł do kuchni i podrapał psa za uszami, mrucząc różne czule głupoty, które mógł bezpiecznie mówić, bo Kaiser nigdy nie zdradził sekretu. Dał mu ciastko, sprawdził, czy w jego misce jest woda i włączył ekspres do kawy, który Bridge, jego gosposia, przygotowała poprzedniego wieczoru. On był kompletnie do niczego, jeśli chodziło o zajęcia domowe; nie pojmował, dlaczego ilekroć brał wodę, kawę i filtr, pichcił świństwo, którego nie dało się wypić, a Bridget, mając te same komponenty, potrafiła zaparzyć kawę tak pyszną, że niemal płakał. Przyglądał się, jak Bridget to robi, próbował wykonywać te same czynności, ale i tak wychodziła mu lura. Doszedłszy w końcu do wniosku, że wszelkie powtórki tych wysiłków można by uznać za kliniczny obłęd, pogodził się z porażką i oszczędził sobie dalszych upokorzeń.

Dodie bardzo ułatwiała mu życie i nadal trzymał się jej wskazówek. Wszystkie jego skarpetki były czarne, żeby nie musiał sobie zawracać głowy dobieraniem ich w pary. Wszystkie garnitury miały neutralny kolor, koszule były białe albo niebieskie, więc pasowały do każdego garnituru, krawaty też były tego rodzaju, że można je było wkładać do dowolnego kompletu. Mógł wyciągnąć dowolną część garderoby i mieć pewność, że będzie pasowała do całej reszty



zawartości szafy. Nigdy nie zdobył żadnej nagrody za styl, ale przynajmniej nie narobił sobie wstydu.

Próbował odkurzać dom... raz. Wciąż nie bardzo wiedział, jak zdołał doprowadzić do eksplozji odkurzacza.

Jednym słowem, było lepiej, gdy dbanie o dom zostawiał Bridget, a sam skupiał się na papierkowej robocie. Bo tym się właśnie teraz zajmował - papierkami. Czytał, przetrawiał fakty, przedstawiał swoją specjalistyczną analizę - bo tak uczenie nazywał się celny strzał w ciemno - dyrektorowi, który potem przekazywał ją prezydentowi, a ten decydował o operacjach na podstawie tego, co przeczytał.

Gdy kawa się parzyła, Frank wyłączył zewnętrzne lampy wokół domu i wypuścił Kaisera na podwórko, by wykonał patrol terenu i załatwił swoje potrzeby. Patrząc na psa, zdał sobie sprawę, że Kaiser się starzeje - ale on też się starzał. Może obaj powinni przejść na emeryturę; wtedy on mógłby czytać coś oprócz raportów wywiadu, a Kaiser zrezygnować z obowiązków stróża i być po prostu towarzyszem.

Myślał o emeryturze już od kilku lat. Powstrzymywał go jedynie fakt, że John Medina nie był jeszcze gotów wrócić z terenu, a Frankowi nie przychodził do głowy nikt inny, kogo chciałby widzieć na jego miejscu. Nie, żeby to zależało od decyzji Franka, ale jego opinia sporo by znaczyła przy dokonywaniu wyboru.

Może już niedługo, myślał Frank. Niema, żona Mediny od dwóch lat, rzuciła kiedyś cierpką uwagę, że chciałyby zajść w ciążę i wołałyby, żeby John był obecny przy zapłodnieniu. W wielu operacjach brali udział razem, ale w obecnej misji Johna nie mogła uczestniczyć i długa separacja dawała się obojgu we znaki. Gdy dodać do tego tykający zegar biologiczny Niemy, można się było spodziewać, że John w końcu przekaże pałeczkę komuś innemu.

Może komuś takiemu jak Lucas Swain, choć Swain też spędził mnóstwo czasu w terenie i miał zupełnie inny temperament niż John. John był wcieleniem cierpliwości; Swain należał do ludzi, którzy będą szturchać tygrysa kijem, byle tylko coś się działo. John szkolił się od osiemnastego roku życia, by stać się tak doskonały w swojej pracy. Aby go zastąpić, potrzebowali kogoś młodego, kogoś, kto sprosta rygorom fizycznej i psychicznej dyscypliny. Swain był geniuszem, jeśli chodzi o wyniki - choć zwykle osiągał je zaskakującymi metodami - ale miał trzydzieści dziewięć lat, nie dziesięć.

Kaiser przytruchtał do kuchennych drzwi, machając ogonem. Frank dał psu jeszcze jedno ciastko, wpuścił go, po czym nalał sobie kawy i zaniósł kubek do biblioteki, gdzie usiadł, by przejrzeć najnowsze wiadomości w Internecie. Gdy już dostarczono mu poranne gazety, czytał je, siedząc przy stole nad miską płatków - z płatkami radził sobie bez pomocy Bridget - i nad kolejnym kubkiem kawy. Po śniadaniu brał prysznic, golił się i punktualnie o siódmej trzydzieści wychodził z domu, w chwili gdy jego kierowca podjeżdżał pod furtkę.

Długo sprzeciwiał się pomysłowi, by wożono go do biura; wołał sam siedzieć za kierownicą. Ale waszyngtońskie korki były koszmarem, a prowadzenie zabierało mu czas, który mógł poświęcić na pracę; więc w końcu się poddał. Keenan woził go regularnie już od sześciu lat i przez ten czas popadli w wygodną rutynę, jak stare dobre małżeństwo. Frank jeździł z przodu - gdy siedział z tyłu i czytał, dostawał mdłości - ale oprócz przywitania nigdy nie rozmawiali w czasie tych porannych dojazdów. Po południu było inaczej; to podczas popołudniowych jazd Frank dowiedział się, że Keenan ma szóstkę dzieci, że jego żona Trisha jest koncertującą pianistką, i że przez kucharski eksperyment najmłodszej córki omal nie spłonął ich dom. Z Keenanem Frank mógł rozmawiać o Dodie, o dobrych latach, które razem przeżyli, i o tym, jak wyglądało dorastanie przed nadejściem ery telewizyjnej.

- Dzień dobry, panie Vinay - powiedział Keenan; poczekał, aż Frank przypnie się na

siedzeniu, po czym gładko odbił od krawężnika.

- Dzień dobry - mruknął Frank, pogrążony już w lekturze raportu.

Co parę minut unosił wzrok, by zapobiec chorobie lokomocyjnej, ale przez większość czasu nie zwracał uwagi na to, co się dzieje na ulicy.

Byli na skrzyżowaniu i skręcali w lewo na zielonej strzałce, przed sobą za sobą i z lewej mieli samochody. Pisk hamulców z prawej strony kazał Frankowi unieść głowę i poszukać źródła dźwięku. Zobaczył białą furgonetkę dostawcy kwiatów; pruć przez skrzyżowanie, nie zważając na dwa sznury samochodów skręcających w lewo. Tuż za nią widać było migające światła wozu policyjnego. Zbliżająca się chłodnica furgonetki urosła mu błyskawicznie przed oczami. Usłyszał przekleństwo Keenana, usiłującego skierować samochód bardziej na lewo, w rząd aut jadących obok. Nagle rozległ się ogłuszający huk i Frank poczuł się, jakby został podniesiony i ciśnięty o ziemię przez olbrzyma z siłą, która roztrzaskała całe jego ciało.

Keenan odzyskał przytomność; w ustach czuł smak krwi. Samochód wypełniał dym, a coś, co wyglądało jak ogromny kondom, wylewało się obscenicznie z kierownicy. W głowie mu brzęczało, a każdy ruch wymagał takiego wysiłku, że Keenan nie zdołał nawet unieść głowy. Gapił się na wielką prezerwatywę, zastanawiając się, co ona tu, u diabła, robi. Irytujące trąbienie wwierało się w jego lewe ucho, aż pomyślał, że głowa mu eksploduje; były jeszcze jakieś inne odgłosy, jakby krzyki.

Wydawało mu się, że gapi się na kondom na kierownicy przez całe wieki, choć tak naprawdę była to tylko chwila. W końcu świadomość sytuacji wróciła i zdał sobie sprawę, że ten „kondom” to poduszka powietrzna, a „dym” to talk, który rozpyliła przy wybuchu.

Rzeczywistość dotarła do niego w jednej chwili, z niemal słyszalnym dźwiękiem, jakby ktoś pstryknął palcami.

Samochód stał w samym środku masy splątanego żelastwa. Po lewej były dwa inne auta, z rozbitej chłodnicy jednego z nich buchała para. Z prawej - jakaś furgonetka, niemal wprasowana w bok samochodu. Przypomniał sobie, że próbował skręcić, by zderzenie nie nastąpiło prostopadle, a potem nastąpił wstrząs, potężniejszy niż cokolwiek, co sobie wyobrażał. Furgonetka celowała prosto w drzwi od strony pana Vinaya...

Boże święty.

- Panie Vinay - wychrypiał; ten dźwięk w niczym nie przypominał jego głosu. Obrócił głowę i spojrzał na dyrektora wydziału operacji. Cały prawy bok samochodu był wgnieciony do środka, a na siedzeniu leżał Frank Vinay w nieprawdopodobnej płataninie tapicerki, metalu i człowieka.

Ktoś w końcu uciszył doprowadzający do szału klakson i Keenan usłyszał daleką syrenę.

- Pomocy! - krzyknął, ale z jego gardła wydobył się chrypliwy, słaby dźwięk. Wypluł krew z ust, wziął głęboki wdech, który bolał jak diabli, i spróbował jeszcze raz. - Pomocy!

- Wytrzymaj jeszcze chwilę, kolego! - odkrzyknął ktoś. Na maskę jednego z samochodów po lewej wdrapał się mundurowy policjant, ale auta były tak szczepione ze sobą, że nie mógł zejść między nie. Ukląkł więc na masce, oparł się na rękach i zajrzał Keenanowi w twarz. - Pomoc jest w drodze, przyjacielu. Jesteś poważnie ranny?

- Potrzebuję telefonu - wysapał Keenan, bo zdał sobie sprawę, że policjant nie widzi ich rejestracji. Jego komórka była gdzieś w tym żelastwie.

- Nie zwracaj sobie głowy telefonami...

- Potrzebuję telefonu, do diabła! - powtórzył Keenan rozpaczliwym, nagłym tonem. Z trudem chwycił kolejny oddech. Ludzie z Agencji nigdy nie identyfikowali się jako pracownicy CIA, ale to była sytuacja krytyczna. - Człowiek obok mnie to dyrektor wydziału operacji...

Nie musiał mówić dalej. Policjant pracował w stolicy wystarczająco długo, by nie pytać

„Jakich operacji?” Błyskawicznie wyciągnął krótkofalówkę, rzucił do niej kilka zwięzłych słów, po czym odwrócił się i krzyknął:

- Czy ktoś ma komórkę?

Głupie pytanie. Wszyscy mieli. Po chwili gliniarz gimnastykował się na masce, by podać Keenanowi małeńki aparat z klapką. Keenan wyciągnął drżącą, zakrwawioną dłoń i chwycił telefon. Wybrał kilka cyfr, przypomniał sobie, że to nie jest bezpieczny aparat, zaklął w duchu i wystukał resztę numeru.

- Sir - powiedział, walcząc z ciemnością, która zaczęła zakradać mu się przed oczy. Miał jeszcze zadanie do wykonania. - Mówi Keenan. Dyrektor i ja mieliśmy wypadek i dyrektor jest poważnie ranny. Jesteśmy na... - Urwał w pół zdania. Nie miał pojęcia, gdzie są. Wyciągnął telefon w stronę gliniarza. - Powiedz mu, gdzie jesteśmy - zdążył jeszcze dodać i zamknął oczy.

## Rozdział 16

Jej oficjalne kontakty nie wchodziły w grę, ale przez lata Lily poznała kilka osób o wątpliwym charakterze i niewątpliwych umiejętnościach, gotowych za odpowiednią sumę pieniędzy wyciągnąć brudy nawet na temat własnych matek. Zostało jej jeszcze trochę pieniędzy, lecz niezbyt dużo, miała więc nadzieję, że „odpowiednia” suma znaczy również „rozsądna”.

Gdyby Swain okazał się czysty, miałyby to pozytywny wpływ na jej sytuację finansową, bo zgłosił się na ochotnika, za friko. Gdyby natomiast musiała kogoś wynająć, poważnie nadszarpnęłoby to jej konto. Wprawdzie Swain sam przyznał, że nie jest ekspertem od systemów zabezpieczeń, ale powiedział też, że zna takich ekspertów. Pytanie brzmiało: czy ci ludzie zażądają zapłaty? Jeśli tak, to lepiej by zrobiła, zatrudniając kogoś od razu, zamiast marnować pieniądze na sprawdzanie Swaina.

Chciała, żeby Swain okazał się w porządku. Chciała usłyszeć, że nie uciekł z jakiegoś oddziału zamkniętego, a przede wszystkim, że nie jest najemnikiem CIA.

Dopiero w drodze do kafejki internetowej zrozumiała, że popełniła błąd, zostawiając go wczoraj samego. Jeśli faktycznie jest na usługach CIA, miał czas, żeby zadzwonić i kazać ugrzecznic swoje dossier, tak by pasowało do historyjki, którą jej opowiedział. Nieważne, czego się o nim dowie; nie mogła mieć pewności, że informacje będą zgodne z rzeczywistością.

Stała na środku chodnika. Jakaś kobieta wpadła na nią i zgromiła ją spojrzeniem za to, że zatrzymała się tak nagle.

- *Excusez-moi* - powiedziała Lily i skrzyła w stronę małej ławeczki, by usiąść i przemyśleć sprawę.

Do diabła, w rzemiośle szpiegowskim jest tyle rzeczy, o których nie miała pojęcia. Teraz nie było już sensu sprawdzać Swaina; po prostu musiała zdecydować, czy nawiązać z nim kontakt, czy nie.

Najbezpieczniej byłoby nie dzwonić do niego. Nie wiedział, gdzie mieszka i jakiego używa nazwiska. Ale w jakiś sposób wykombinował, że będzie rozpracowywać kompleks laboratoryjny Nervich, i zasadził się tam, czekając, aż się zjawi. Więc musiałyby porzucić swój plan, bo inaczej, wcześniej czy później, on znów ją tam znajdzie.

Jeśli chodziło o laboratorium, sprawy ogromnie się skomplikowały. Rodrigo najwidoczniej dowiedział się, kim ona naprawdę jest, i zdobył jej zdjęcie bez charakterystyki, bo inaczej piłkarze nie rozpoznaliby jej tak łatwo. Po strzelaninie w parku na pewno podwoił czujność i środki bezpieczeństwa w kompleksie.

Teraz nie było mowy, by zdołała cokolwiek wskórać sama. Miała dwa wyjścia: pogodzić się z faktem, że interesy Rodriga Nerviego będą dalej kwitły, i zaprzestać wszelkich wysiłków

dowiedzenia się, co było tak ważnego dla Averilla i Tiny, że kosztowało ich życie, albo skrzyżować palce na szczęście i przyjąć pomoc Swaina.

Zdała sobie sprawę, że chce, by Swain się sprawdził. Czerpał tyle radości z życia, a w jej życiu od kilku miesięcy radość była towarem deficytowym. Rozśmieszał ją. Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu minęło, od kiedy się śmiała, ale ona to wiedziała. Małeńka iskierka w jej duszy, której nie zdołała zgasić żaloba, sprawiła, że chciała znów się śmiać. Chciała znów być radosna, a Swain promieniował radością. Może i nadawał się do zakładu zamkniętego, ale ten błysk stali, który zauważyła, gdy powstrzymał ją przed zabraniem mu pistoletu, dodał jej pewności. Jeśli potrafił ją rozbawić, może już samo to było warte ryzyka wzięcia go do spółki.

No i był też pociąg fizyczny. Musiała brać ten czynnik pod uwagę, podejmując jakąkolwiek decyzję dotyczącą Swaina; nie mogła pozwolić, by zaćmił jej umysł. Ale co za różnica, czy chciała przyjąć jego ofertę, dlatego że ją bawił, czy dlatego, że wydawał jej się atrakcyjny? Prawda była taka, że potrzeba emocjonalna była silniejsza niż fizyczna. Poza tym Lily wątpiła, czy zdobyłaby się na fizyczne zbliżenie. Nie miała w życiu wielu kochanków, zdarzały jej się długie okresy abstynencji. Ostatni kochanek, Dmitrij, próbował ją zabić. Było to sześć lat temu i od tamtej pory miała spory problem z zaufaniem komukolwiek.

Skoro zatem nie miała wiarygodnego sposobu sprawdzenia, czy Swain jest z CIA, zostawały jej tylko dwie opcje: dać sobie spokój i nie robić nic więcej w sprawie Nervich albo zadzwonić do niego, bo był fajny i potrafił ją rozbawić.

- A co mi tam. Dlaczego nie? - mruknęła i zaśmiała się ponuro, ściągając na siebie przestraszony wzrok jakiegoś przechodnia.

Mieszkała w Bristolu, przy Champs Elysees. Nie zastanawiając się Lily weszła do kawiarni, zamówiła kawę i poprosiła o sprawdzenie numeru hotelu w książce telefonicznej. Zapisała numer, wypiła kawę i wyszła.

Wsiadła do kolejki i już na Champs Elysees, kawałek przed Bristolem, zadzwoniła do hotelu z budki telefonicznej, używając karty. W ten sposób, jeśli był z CIA i namierzał przychodzące połączenia, nie tylko nie zdradziła mu numeru swojej komórki, ale i uniemożliwiła ustalenie, w jakiej okolicy mieszka.

Podawała recepcjoniście numer pokoju. Swain odebrał po trzecim dzwonku; w słuchawce rozległo się zaspane „Taaa” i ziewnięcie. Jego akcent i to typowo amerykańskie luzackie powitanie sprawiły jej ogromną przyjemność.

- Możesz się ze mną spotkać w Palais de l'Elysee za piętnaście mi nut? - zapytała, nie przedstawiając się.

- Co...? Gdzie? Czekaj chwilę. - Usłyszała kolejne szerokie ziewnięcie. - Spałem - wyjaśnił niepotrzebnie. - Czy to ta osoba, o której myślę? Jesteś niebieskooką blondynką?

- I noszę przy sobie miotacz groszku.

- Zaraz będę. Czekaj. Gdzie to jest, u diabła?

- Przy tej samej ulicy. Zapytaj portiera. - Rozłączyła się i znalazła sobie miejsce, z którego mogła obserwować wejście do hotelu. Pałac był tak blisko, że tylko idiota jechałby tam samochodem, zamiast się przejść, ale i na tyle daleko, że aby zdążyć tam w piętnaście minut, nie mógł się zbytnio ociągać. Po wyjściu z hotelu musiał skręcić w przeciwną stronę niż ta, po której stała Lily. mogła więc spokojnie go śledzić.

Wyszedł po pięciu minutach; jeśli gdzieś dzwonił, to chyba z komórki, bo na nic innego nie miałby czasu. Zamienił kilka słów z portierem, kiwnął głową i wyszedł na ulicę tak swobodnym krokiem, że Lily żałowała, że nie widzi jego tyłka. Niestety znów miał na sobie tę skórzaną marynarkę, która przykrywała siedzenie.

Ruszyła za nim. Swain nie miał żadnego towarzystwa, nie rozmawiał po drodze przez telefon

- to dobrze. Dogoniła go i jednym długim krokiem zrównała się z nim.

- Swain.

Spojrzał na nią.

- Cześć. Zauważyłem cię, gdy wyszedłem z hotelu. Po co właściwie idziemy do tego Palais?

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Po nic. Przespacerujmy się i pogadajmy.

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale jest zimno. Mówiłem ci, że byłem w Ameryce Południowej, pamiętasz? Jestem przyzwyczajony do wyższych temperatur. - Wzdrygnął się. - Poszukajmy jakiejś kawiarni i powiesz mi, o co chodzi, nad filiżanką gorącej kawy.

Zawahała się. Rodrigo nie mógł mieć szpiegów w każdym sklepie i kawiarni w Paryżu, ale wolała nie ryzykować.

- Nie chcę rozmawiać w miejscu publicznym.

- W takim razie wróćmy do hotelu. W moim pokoju jest bezpiecznie i ciepło. I jest room-service. A jeśli się boisz, że przestaniesz nad sobą panować, będąc sam na sam ze mną i z łóżkiem, możemy wziąć samochód i pojeździć po Paryżu, wypalając benzynę, która kosztuje czterdzieści dolców za galon.

- Nie kosztuje tyle. 1 za litr, nie za galon.

- Nie zaprzeczyłaś tej części o panowaniu nad sobą. - Nie uśmiechał się znacząco, ale niewiele mu brakowało.

- Jakoś sobie poradzę - odparła cierpko. - Niech będzie hotel. - Skoro miała mu zaufać, równie dobrze mogła zacząć od razu. Poza tym rzut oka na jego pokój, gdy nie miał czasu posprzątać i pochować rzeczy, których wolałby nie pokazywać, mógł być bardzo pożyteczny - choć pewnie nie zaprosiłby jej do siebie, gdyby na wierzchu leżało coś, co mogło go wydać.

Gdy dotarli do hotelu, portier otworzył im drzwi. Podeszli do windy i Swain odsunął się na bok, by puścić Lily przodem.

Chwilę później znaleźli się w jasnym pokoju z oknami wychodzącymi na dziedziniec. Ściany były kremowe, a na łóżku leżała miękka, błękitno-żółta narzuta. Ku uldze Lily był tu też przestronny aneks wypoczynkowy z dwoma fotelami i kanapą ustawionymi wokół stolika do kawy. Łóżko zostało zaścienione, ale na jednej z poduszek widniał odcisk głowy Swaina, a narzuta była pofałdowana. Oprócz szklanki wody na nocnej szafce i pogniecionej narzuty na łóżku pokój wyglądał, jakby nikt w nim nie mieszkał.

- Mogę zobaczyć twój paszport? - spytała Lily, gdy tylko Swain zamknął drzwi.

Spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Lily zesztywniała; ledwie drgnęła, ale on dostrzegł jej nagłe napięcie i zatrzymał rękę. Bardzo ostrożnie sięgnął lewą dłonią i odchylił połą, by mogła zobaczyć, że w prawej dłoni trzyma tylko niebieską książeczkę.

- Dlaczego chcesz zobaczyć mój paszport? - zapytał, podając jej do kument. - Myślałem, że mnie sprawdzisz.

Otworzyła paszport, nawet nie spoglądając na zdjęcie; obejrzała tylko pieczętki celne. Rzeczywiście był w Ameryce Południowej - zjeździł cały kontynent - i jakiś miesiąc temu wrócił do Stanów. We Francji był od czterech dni.

- Nie chciało mi się - odparła krótko.

- Dlaczego, u diabła? - W jego głosie brzmiała uraza, jakby powiedziała, że nie jest wart sprawdzania.

- Bo popełniłam błąd, puszczając cię wczoraj.

- Ty puściłaś mnie? - zapytał, unosząc brwi.

- A kto miał kogo na muszce? - mruknęła i oddała mu paszport.

-Też racja. - Schował dokument do wewnętrznej kieszeni, zdjął kurtkę i rzucił ją na łóżko. - Siadaj. Jak to, popełniłaś błąd, puszczając mnie?

Lily usiadła na kanapie.

- Bo jeśli jesteś z CIA albo Agencja cię wynajęła, miałaś czas za dzwonić do nich i kazać im wyczyścić wszelkie informacje na twój temat.

Oparł ręce na biodrach i spojrzał na nią gniewnie.

- Skoro to wiesz, to co robisz w moim pokoju? Na Boga, kobieto, mogę być kimkolwiek!

Uśmiechnęła się. Gdyby był wynajęty, żeby ją zabić, to czy złościłby się na nią, że jest nie dość ostrożna?

- To nie jest zabawne - rzucił gderliwie. - Jeśli ściga cię CIA, to mu sisz mieć oczy dookoła głowy. Jesteś szpiegiem, czy co?

Pokręciła głową.

- Nie. Zabiłam kogoś, kto według nich nie powinien był zginąć. Nawet nie mrugnął, słysząc, że kogoś zabiła. Wziął tylko hotelowe menu i rzucił jej na kolana.

- Zamówmy coś do jedzenia - powiedział. - Mój żołądek jeszcze się nie przyzwyczaił do tej strefy czasowej.

Choć było grubo za wcześnie na obiad, Lily zerknęła do menu i wybrała danie, po czym słuchała, jak Swain składa zamówienie przez telefon. Akcent miał znośny, ale nikt nie wzięby go za rodowitego Francuza. Odłożył słuchawkę i usiadł na jednym z foteli w niebieski wzorek. Oparłszy prawą kostkę na lewym kolanie, spytał:

- Kogo zabiłaś?

- Włoskiego biznesmena o mocno szemranej reputacji, niejakiego Salvatore Nerviego.

- Należało mu się?

- Tak - odparła cicho.

- Więc w czym problem?

- To nie było usankcjonowane zabójstwo.

- Usankcjonowane przez kogo?

- Przez CIA. - W jej głosie brzmiała ironia. Spojrzał na nią badawczo.

- Jesteś z CIA?

- Niezupełnie. Jestem... byłą agentką kontraktową.

- Więc zrezygnowałaś ze swojej morderczej kariery?

- Powiedzmy raczej, że nie spodziewam się kolejnych zleceń.

- Mogłabyś się nająć u kogoś innego.

Pokręciła głową.

- Nie? Dlaczego?

- Bo mogłam wykonywać tę pracę, tylko mając poczucie, że to, co robię, jest słuszne - odparła. - Może to było naiwne, ale ufałam swojemu rządowi w tej kwestii. Jeśli mi coś zlecano, wierzyłam, że to słuszna sprawa. Komuś innemu już bym tak nie ufała.

- Nie naiwne, ale z pewnością idealistyczne. - Jego niebieskie oczy patrzyły ciepło. - A nie ufasz im, że przymkną oko na tę historię z Nervim?

- Był dla nich ważny. Przekazywał cenne informacje.

- To dlaczego go zabiłaś?

- Bo on kazał zabić moich przyjaciół. Niewiele wiem na ten temat, ale... byli w stanie spoczynku, wychowywali córkę, żyli normalnie. Z jakiegoś powodu włamali się do tego laboratorium, gdzie byliśmy wczoraj, a przynajmniej tak sądzę... i on kazał ich zabić. - Poczowała ucisk w gardle. - Razem z ich trzynastoletnią córką, Zią. Ona też została zamordowana.

Swain pokiwał głową.

- I nie wiesz, dlaczego się tam włamali?

- Nie jestem nawet pewna, że to zrobili. Ale czymś rozzłościli Salvatore, a to jedyny incydent w przedsiębiorstwach należących do Nervich, który miał miejsce w tym okresie. Myślę, że ktoś ich wynajął, ale nie wiem kto ani dlaczego.

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało bezdusznie, ale byli zawodowcami. Musieli znać ryzyko.

- Oni tak. Gdyby chodziło tylko o nich, byłabym wściekła, rozpaczalabym, ale nie... nie wiem, czy mściłabym się na Salvatore. Ale Zia... tego nie mogłam mu puścić płazem. - Nie rozmawiała z nikim o Zii od czasu jej śmierci i teraz wszystko przelewało się jak powódź przez tamę. - Znalazłam ją, kiedy miała ledwie kilka tygodni. Była wygłodzona, porzucona, ledwie żywa. Była moja, była moją córką, choć pozwoliłam, żeby Averill i Tina ją adoptowali, bo przy takiej pracy nie mogłam zapewnić jej stabilnego domu. Salvatore zabił moją córeczkę. - Mimo wszelkich wysiłków łzy wezbrały w jej w oczach i pociekły po policzkach.

Nie widziała, jak Swain się poruszył, ale nagle znalazł się przy niej na kanapie, objął i przytulił, tak że jej głowa znalazła się w zagłębieniu jego ramienia.

- Nie dziwię ci się. Ja też bym zabił tego sukinsyna. Powinien był wiedzieć, że nie tyka się niewinnych - szeptał, gładząc ją po plecach.

Przymknęła oczy i rozkoszowała się jego bliskością, ciepłem jego ciała, zapachem skóry. Była spragniona kontaktu, dotyku drugiego człowieka. Swain jej współczuł, i to wystarczyło.

Ponieważ trochę za bardzo chciała zostać dłużej w tym uścisku, wysunęła się z jego objęć i szybko otarła łzy.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam wyplakiwać ci się na ramieniu... i to dosłownie.

- Możesz używać mojego ramienia, kiedy tylko zechcesz. Więc zabiłaś Salvatore Nerviego. Zakładam, że faceci, którzy próbowali cię wczoraj zastrzelić, ścigają cię właśnie z tego powodu. Dlaczego jeszcze tu jesteś? Zrobiłaś już, co miałaś zrobić.

- Tylko po części. Chcę się dowiedzieć, co było tak ważne dla Averilla i Tiny, że przyjęły to zlecenie. To musiało być coś dużego, skoro skłoniło ich do działania, więc chcę, żeby cały świat dowiedział się, co to jest. Chcę, żeby Nervi zostali złamani, stali się pariasami w świecie biznesu.

- Więc planujesz włamanie do laboratorium, by sprawdzić, co tam robią?

- Tak - potwierdziła. - Ale nie mam konkretnego planu; dopiero zaczęłam zbierać informacje.

- Wiesz, że poprawili zabezpieczenia po włamaniu twoich przyjaciół.

- Ale wiem też, że nie ma systemów, których nie da się obejść. Zawsze jest jakiś słaby punkt, byle tylko udało się go znaleźć.

- Masz rację. Moim zdaniem najpierw trzeba się dowiedzieć, kto projektował zabezpieczenia, a potem dorwać się do szczegółowych planów.

- Pod warunkiem, że nie zostały zniszczone.

- Tylko idiota by to zrobił, bo system może potrzebować naprawy. Ale jeśli Nervi był naprawdę bystry, to trzymał te plany u siebie, a nie w firmie, która je wykonała.

- Był na tyle bystry i podejrzliwy, żeby o tym pomyśleć.

- Chyba jednak nie był wystarczająco podejrzliwy, skoro nie żyje - stwierdził Swain. - Słyszałem o nim, choć przez dziesięć lat siedziałem na drugiej półkuli. Jak zdołałaś się do niego zbliżyć na tyle, by użyć tego twojego miotacza groszku?

- Nie zastrzeliłam go - odparła. - Zatruję jego wino i przy okazji o mało sama się nie zabiłam, bo uparł się, żebym ja też spróbowała.

- Jasna cholera. Wiedziałaś, że jest zatrute, a mimo to wypijałaś? Musisz mieć większe jaja ode mnie, bo ja bym tego nie zrobił.

- Musiałam, bo inaczej wypadłby wściekły z restauracji, a wtedy wypił jeszcze za mało, bym mogła mieć pewność, że trucizna zadziała. Nic mi się nie stało, oprócz drobnego uszkodzenia zastawki, ale to chyba nic poważnego. - Choć wczoraj w jego samochodzie łąpała powietrze jak karp wyjęty z wody, co nie było dobrym objawem.

Swain patrzył na nią zdumiony, ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, rozległo się pukanie do drzwi.

- Przyszło jedzonko - rzekł, wstając.

Podszedł do drzwi. Lily wsunęła dłoń w cholewkę, gotowa do działania, gdyby kelner wykonał jakiś fałszywy ruch, ale on tylko wprowadził wózek i sprawnie rozstawił talerze. Swain podpisał rachunek i kelner wyszedł.

- Możesz zdjąć rękę z miotacza groszku - powiedział Swain, przysuwając dwa krzesła do wózka. - Dlaczego nie nosisz czegoś o większej sile rażenia?

- Mój miotacz groszku sprawdza się doskonale.

- Pod warunkiem że pakujesz kulkę tam, gdzie trzeba. Jeśli spudłujesz, twój cel wciąż będzie mógł ci oddać, i na dodatek będzie wkurzony.

- Ja nie pudłuję - odparła cicho.

Spojrzał na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nigdy?

- Nie wtedy, kiedy pracuję.

Wiadomość o poważnym wypadku samochodowym dyrektora wydziału operacji rozeszła się po wywiadowczym świecie niczym tsunami. Przede wszystkim należało zbadać ewentualność, że ten wypadek wcale nie był wypadkiem. Są bardziej efektywne metody zamordowania kogoś niż powodowanie kraksy, ale mimo wszystko trzeba było brać taką możliwość pod uwagę. Podejrzanie rozwiało się jednak po szczegółowym przesłuchaniu policjanta, który ścigał furgonetkę kwiaciara za przejechanie na pełnym gazie czerwonego światła. Jej kierowca, który zginął w wypadku, miał na koncie imponującą liczbę niezapłaconych mandatów za przekroczenie prędkości.

Dyrektora zawieziono do Szpitala Marynarki Wojennej Bethesda, gdzie była lepsza ochrona, i natychmiast zabrano na salę operacyjną. Jednocześnie zabezpieczono jego dom, ustalono z gosposią, że zajmie się Kaiserem, i wyznaczono zastępcę, który przejął obowiązki Vinaya do czasu jego powrotu - jeśli takowy nastąpi. Miejsce wypadku starannie przeczesano na wypadek, gdyby były jakieś tajne dokumenty, ale Vinay był niezwykle ostrożny, jeśli chodzi o papiery, nie znaleziono więc niczego, czego nie powinno tam być.

Przez długie godziny jego życie wisiało na włosku. Gdyby Keenan nie zdołał odrobinę skręcić, zanim doszło do kolizji, dyrektor zginąłby na miejscu. Miał dwa skomplikowane złamania prawej ręki, złamany obojczyk, pięć żeber i prawą kość udową. Serce i płuca miał poważnie stłuczone oraz pękniętą prawą nerkę. Odłamek szkła przeszył mu gardło niczym strzała, a do tego dochodziło jeszcze wstrząśnienie mózgu, które trzeba było monitorować pod kątem ewentualnego wzrostu ciśnienia śródczaszkowego. To, że przeżył, zawdzięczał wyłącznie bocznej poduszce powietrznej, która częściowo osłoniła głowę przed uderzeniem.

Po kilkugodzinnej operacji, podczas której połatano jego zmiażdżone ciało, został zabrany na OIOM, gdzie leżał pod działaniem silnych środków uspokajających i pod ścisłą obserwacją. Chirurdzy zrobili, co było w ich mocy; reszta zależała od Vinaya.



Monsieur Blanc nie był zachwycony, że Rodrigo znów się odezwał po tak krótkim czasie.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał sucho. Już i tak wystarczająco nienawidził tego, czym się zajmował; robienie tego zbyt często było jak jątżnienie rany. W dodatku był akurat w domu i odbierając tutaj telefon, czuł się, jakby dopuścił zło zbyt blisko kochanych osób.

- Po pierwsze, mój brat Damone będzie pracował za mną - odparł Rodrigo. - Czasem będzie dzwonił zamiast mnie. Mam nadzieję, że nie będzie z tym problemu?

- Nie, monsieur.

- Świetnie. A teraz wróćmy do sprawy, w której ostatnio korzystałem z pańskiej pomocy. Z raportu wynika, że nasi przyjaciele w Stanach oddelegowali kogoś, by rozwiązał ten problem. Chciałbym skontaktować się z tą osobą.

- Skontaktować się? - powtórzył Blanc, nagle zaniepokojony. Jeśli Rodrigo spotka się z kontraktowym agentem - bo do „rozwiązywania problemów” delegowano zwykle właśnie ich - może powiedzieć coś, co ów agent przekaże swoim mocodawcom, a to by nie było dobrze.

- Tak. Chciałbym dostać numer jego komórki, jeśli byłby pan tak łaskaw. Jestem pewien, że można się z nim w jakiś sposób skontaktować. Czy zna pan nazwisko tej osoby?

- No cóż... nie. Nie wydaje mi się, aby było wymienione w raporcie, który dostałem.

- Oczywiście, że nie było - rzucił ostro Rodrigo. - Inaczej przecież bym nie pytał, prawda?

Blanc zdał sobie sprawę, że Rodrigo naprawdę uważa, iż dostał wszystkie, zdobyte przez niego informacje. Tak jednak nie było. Nigdy tak nie było. Aby zminimalizować wyrządzone szkody, Blanc zawsze usuwał ważne informacje. Wiedział, że gdyby to się wydało, Nervi kazaliby go zabić, ale zdążył nabrać ogromnej wprawy w balansowaniu na tej linii.

- Jeśli ta informacja jest dostępna, zdobędę ją - zapewnił Rodriga.

- Będę czekał na pański telefon.

Blanc spojrział na zegarek i policzył, która godzina jest w Waszyngtonie. Był środek dnia pracy, może jego informator wyszedł nawet na lunch. Rozłączył się z Rodrigiem, wyszedł na dwór, żeby nikt - głównie jego żona, która była wyjątkowo wścibską kobietą - nie mógł go podsłuchać, i wybrał odpowiednie cyfry na klawiaturze telefonu.

- Tak. — Głos mężczyzny nie brzmiał tak przyjaźnie jak wtedy, gdy Blanc nagabywał go w domu, więc zapewne był w miejscu, gdzie ktoś mógł słyszeć rozmowę.

- Chodzi o sprawę, o której rozmawialiśmy ostatnio. Czy możliwe jest zdobycie numeru komórki osoby, która została tu wysłana?

- Zobaczę, co się da zrobić.

Żadnych pytań, żadnego wahania. Może nie będzie też żadnego numeru, pomyślał Blanc, wracając do środka. Temperatura opadła wraz ze słońcem i trochę trząsł się z zimna, bo nie włożył kurtki.

- Kto to był? - zapytała jego żona.

- Z pracy - odpowiedział i pocałował ją w czoło. Czasami mógł mówić o tym, co robił, czasami nie, więc choć najwyraźniej chciała zadać więcej pytań, powstrzymała się.

- Mógłbyś chociaż wkładać kurtkę, kiedy wychodzisz na dwór - zbesztła go czule.

Niecałe dwie godziny później zadzwoniła jego komórka. Blanc szybko złapał długopis, ale nie mógł znaleźć żadnej kartki.

- To nie było łatwe, przyjacielu - powiedział jego informator. - Wszystko przez różnice między sieciami komórkowymi. Musiałem naprawdę głęboko kopać, żeby znaleźć ten numer. - Odczytał numer, a Blanc zanotował go na lewej dłoni.

- Dziękuję - powiedział. Gdy się rozłączył, znalazł kawałek papieru i przepisał numer, po czym umył rękę.

Wiedział, że powinien natychmiast zadzwonić do Rodriga, ale nie zrobił tego. Złożył kartkę i

schował do kieszeni. Pomyślał, że może zadzwoni jutro.

Kiedy Lily wyszła z jego pokoju, Swain zaczął ją śledzić, ale w końcu się rozmyślił. Nie dlatego, że bał się, że Lily go zauważy; wiedział, że tak nie będzie. Była dobra, ale on był jeszcze lepszy. Nie śledził jej, bo po prostu czuł, że nie powinien. Może to było wariactwo, ale chciał, żeby mu ufała. Przyszła do niego, i to był jakiś początek. Dała mu też numer swojej komórki, a on dał jej swój. Zabawne - czuł się prawie tak, jakby dał pierścionek swojej szkolnej sympatii.

Nie zrobił tego, co kazał mu Vinay. Wciąż to odkładał, częściowo z ciekawości, a częściowo dlatego, że był poważnie zainteresowany zaciągnięciem jej do łóżka. Prowadziła niebezpieczną grę z Rodrigiem Nervim, a Swain na tyle lubił ryzyko, że i on miał ochotę w nią zagrać. Miał wyeliminować Lily z równania, ale najpierw chciał się dowiedzieć, co się dzieje w tym laboratorium. Gdyby mu się udało, może Vinay nie zrobi z niego biurwy za niewykonanie zadania przy pierwszej okazji.

W sumie dobrze się bawił. Mieszkał w dobrym hotelu, jeździł zrywnym autkiem i jadł francuskie żarcie. Po grajdołach, w jakich zdarzyło mu się przebywać przez ostatnich dziesięć lat, potrzebował trochę rozrywki.

Lily stanowiła prawdziwe wyzwanie. Była ostrożna i inteligentna, miała w sobie ryzykancką żyłkę, no i była jednym z najlepszych zabójców pracujących w Europie. Co z tego, że do momentu otrucia Nerviego miała zasady i uznawała tylko usankcjonowane zabójstwa; Swain zdawał sobie sprawę, że przy niej nie może sobie pozwolić na żaden fałszywy krok.

Była też smutna; rozpaczała po przyjaciółach i dziewczynce, którą uważała za córkę. Swain pomyślał o własnych dzieciach, o tym, jak by się czuł, gdyby któreś z nich zostało zamordowane. Na pewno nie pozwoliliby mordercy uciec, a nawet doczekać procesu - nieważne, kto by to był. W tym względzie sympatyzował z nią na całej linii, choć nie zmieniało to ostatecznego wyniku.

Tej nocy leżał w łóżku i myślał o tym, jak Lily wypija zatrute wino tylko dlatego, żeby Salvatore Nervi dopił je do końca. Balansowała tuż nad przepaścią. Z tego, co powiedziała mu o truciznie, domyślał się, że przeszła naprawdę ciężkie chwile i prawdopodobnie wciąż jest osłabiona. Nie dałaby rady wejść do tego laboratorium sama - nie w tak kiepskiej formie - i pewnie dlatego jednak do niego zadzwoniła. Ale nie obchodziło go, co ją kierowało. Po prostu cieszył się, że to zrobiła.

Zaczynała mu ufać. Płakała w jego ramionach, a on czuł, że nieczęsto pozwalała komukolwiek na taką bliskość. Wysyłała silny sygnał: „Nie dotykać!”, ale z tego, co widział, była to raczej samoobrona niż brak uczuć. Wcale nie jest zimną osobą; jest po prostu nieufna.

Może zwariował, skoro tak go do niej ciągnęło, ale, do diabła, niektóre pająki pozwalają sobie nawet odgryźć głowę, byle dobrać się do samicy, więc on był w trochę lepszej sytuacji: Lily jeszcze go nie zabiła.

Chciał wiedzieć, co popycha ją do działania, co ją bawi. Tak, z całą pewnością pragnął, żeby się śmiała. Ostatnio nie zaznała zbyt wiele radości, a człowiek zawsze powinien mieć coś, co go cieszy. Chciał, żeby się rozluźniła i przestała się pilnować w jego towarzystwie, by śmiała się i żartowała, by flirtowała, by się z nim kochała. Widział już przebłyski jej cierpkiego poczucia humoru i pragnął zobaczyć więcej.

Był na najlepszej drodze do obsesji, to nie ulegało wątpliwości. Mógł jeszcze stracić głowę i umarłby szczęśliwy.

Dżentelmen nie planowałby uwiedzenia kobiety, którą miał zlikwidować, ale on nigdy nie był dżentelmenem. Dorastał jako nieokrzesany teksański zabijaka, nie chciał słuchać dorosłych, którzy wiedzieli lepiej.

Ożenił się z Amy, gdy oboje mieli po osiemnaście lat i ledwie skończyli szkołę średnią, został ojcem jako dziewiętnastolatek, ale jakoś nie zdołał się ustatkować. Nigdy nie zdradził Amy, bo była świetną dziewczyną ale też nigdy tak naprawdę nie był przy niej. Teraz, gdy był starszy, bardziej odpowiedzialny, było mu wstyd, że praktycznie zostawił ją samą z dwójką dzieci. Najlepsze, co mógł o sobie powiedzieć, to to, że utrzymywał swoją rodzinę, nawet po rozwodzie.

Od tamtej pory mnóstwo podróżował, wyrobił się, ale umiejętność zamawiania potraw w trzech językach jeszcze nie czyniła z niego dżentelmena. Wciąż był niepokorny i nie lubił zasad, za to lubił Lily Mansfield. Nieczęsto spotykał kobiety, które potrafią bronić swojego zdania, a Lily potrafiła; miała równie silną osobowość jak on. Wyzaczyła sobie cel i realizowała go, choćby się waliło i paliło. Miała kręgosłup ze stali, ale jednocześnie miała w sobie prawdziwie kobiece ciepło i delikatność. Dowiedzenie się wszystkiego o niej zajęłoby mężczyźnie całe życie. On nie miał całego życia, ale chciał wykorzystać ten czas, jaki miał. Zaczynał myśleć, że kilka dni z Lily byłoby więcej warte niż dziesięć lat z jakąkolwiek inną kobietą.

Pytanie za milion dolców brzmiało: co potem?

Blanc zeszywniał, gdy jego telefon zadzwonił następnego dnia wczesnym rankiem.

- Kto to może być? - zapytała jego żona, zirytowana, że przerwano im śniadanie.

- Pewnie z biura - odparł, wstając, by odebrać na dworze. - Blanc - powiedział, wcisnąwszy guzik.

- Monsieur Blanc. — Głos był miły i spokojny; nie słyszał go wcześniej. - Tu Damone Nervi.

Czy ma pan numer, o który prosił mój brat?

- Bez nazwisk proszę - rzucił Blanc.

- Oczywiście. Ten jeden raz uznałem to za konieczne, jako że nigdy nie rozmawialiśmy. Czy ma pan numer?

- Jeszcze nie. Najwyraźniej są jakieś trudności...

- Proszę go zdobyć. Dzisiaj.

- Jest sześciogodzinna różnica czasu. Będę go miał najwcześniej po południu.

- Będę czekał.

Blanc rozłączył się i przez chwilę stał z zaciśniętymi pięściami. Niech diabli wezmą tych Nervi! Damone mówił lepiej po francusku niż brat, ale pod płaszczykiem ogłady obaj byli zwykłymi barbarzyńcami.

Wiedział, że będzie musiał dać im ten numer, ale chciał też uświadomić Rodrigowi, że dzwonienie do człowieka z CIA to bardzo zły pomysł i że może się to skończyć śledztwem, zdemaskowaniem jego, Blanca, i jego waszyngtońskiego informatora. Może wysłannikowi CIA było wszystko jedno, kto go zatrudnia, ale Blanc nie dałby sobie za to uciąć ręki.

Wrócił do domu i spojrzał na żonę, z włosami wciąż potarganymi po wstaniu z łóżka, w szlafroku zawiązanym w szczupłej talii. Sypiała w skąpych koszulkach nocnych, bo wiedziała, że on to lubi, choć zimą kładła dodatkowy koc po swojej stronie łóżka, bo marzła. Co by było, gdyby coś jej się stało? Gdyby Rodrigo spełnił groźby, które przed laty wypowiedział jego ojciec? Nie zniósłby tego.

Musiał im dać ten numer. Będzie zwlekał tak długo, jak się da, ale ostatecznie nie miał wyboru.

## Rozdział 18

W środku nocy Swain wpadł na genialny pomysł: zamiast dowiadywać się, kto instalował

Nervim system zabezpieczeń i włamywać się do biura, by zdobyć plany, może skorzystać z możliwości, które miał w zasięgu ręki. Chłopaki - i dziewczyny - ze swoimi zabawkami potrafili znaleźć praktycznie wszystko i dostać się wszędzie. Jeśli to było gdzieś w komputerze, a ten komputer był podłączony do sieci, mogli to zdobyć. Było raczej logiczne, że firma ochroniarska, z której usług korzystał Nervi, na pewno jest wyposażona we wszelkie najnowocześniejsze bajery, a to oznaczało, że jest skomputeryzowana. Chroniona hasłem, owszem, ale co to za problem? Hakerzy na usługach Langley przejmą się tym mniej niż ukąszeniem komara.

No i to oni odwałą całą robotę, a nie on. Uznał, że to świetny pomysł. Był z niego tak zadowolony, że aż usiadł, zapalił nocną lampkę, zdjął komórkę z ładowarki i zadzwonił od razu. Weryfikacja dłużyła mu się bardziej niż zwykle, ale w końcu połączono go z kimś, kto miał jakiś autorytet.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedziała kobieta. Przedstawiła się, ale Swain był tak zamyślony, że nie zapamiętał jej nazwiska. - Mamy tu straszny kocioł, więc nie wiem, kiedy... Chwileczkę... Mam tu napisane, że właścicielem tego laboratorium był zmarły Salvatore Nervi, a teraz są nimi Rodrigo i Damone Nervi. Znajdują się na liście informatorów. Dlaczego chce pan złamać ich system zabezpieczeń?

- Być może już niedługo przestaną być informatorami - odparł Swain. - Chodzą słuchy, że właśnie odebrali dostawę wzbogacanego plutonu. - To brzmiało na tyle groźnie, by skłonić kogoś do działania.

- Czy napisał pan raport na ten temat?

- Tak, kilka godzin temu, ale nikt do mnie nie oddzwonił...

- To z powodu pana Vinaya. Mówiłam, że mamy tu kocioł.

- Co jest z panem Vinayem? - Jezu, czyżby zdjęli Franka ze stanowiska?

- Nie słyszał pan?

Widocznie nie, inaczej by nie pytał.

- O czym nie słyszałem?

- Dziś rano miał wypadek samochodowy. Leży w Bethesda, jest w stanie krytycznym. Na razie zastępuje go wicedyrektor, do czasu jego powrotu, jeśli w ogóle wróci. Podobno lekarze nie wyrażają się zbyt optymistycznie.

- Cholera. - Ta wiadomość była jak cios w splot słoneczny. Pracował z Frankiem Vinayem od lat i szanował go jak nikogo innego w tej fabryce ogórków. Frank chodził na paluszkach, gdy miał do czynienia z politykami, ale jeśli chodzi o oficerów terenowych, zawsze mówił prosto z mostu i zawsze był gotów nadstawić za nich karku. W Waszyngtonie takie zachowanie było nie tylko niezwykle, ale wręcz samobójcze, patrząc pod kątem kariery. To, że Frank nie tylko przetrwał, ale i awansował, najpierw na zastępcę, a potem na dyrektora operacji, było najlepszym sprawdzianem jego wartości - i jego umiejętności tanecznych.

- Ale wracając do rzeczy - powiedziała kobieta - zobaczę, co się da zrobić.

Swain musiał się tym zadowolić, bo wyobrażał sobie tę niepewność i walkę o stołki, jaka się teraz toczyła w Firmie. Znał zastępcę dyrektora, Garvina Reeda; dobry był z niego chłop, ale nie mógł się równać z Frankiem Vinayem. Frank zdążył zapomnieć więcej o zawodzie szpiega, niż Garvin kiedykolwiek wiedział, a poza tym był geniuszem, jeśli chodziło o rozumienie ludzi i dostrzeganie schematów tam, gdzie nie widział ich nikt inny. Swain też bał się o swoją pozycję. Garvin mógł mieć inny pomysł niż Frank na rozwiązanie problemu Lily. Mógł mieć też inne niż Frank spojrzenie na Nervich. Swain czuł się, jakby odcięto linę wiążącą go ze statkiem macierzystym i teraz dryfował sam po oceanie. Wiedział, że stąpa po cienkim lodzie, odkładając dokończenie swojej misji, ale teraz słyszał, jak lód zaczyna pod nim trzeszczeć.

Pieprzyć to. Będzie się trzymał tego samego kursu, dopóki go nie odwołają albo nie każą mu

zmienić misji - wprawdzie sam ją już zmienił, a raczej odłożył, ale nie wiedział o tym nikt oprócz niego. Kiedy masz wątpliwości, przyjij naprzód. Cóż, pewnie kapitan „Titanica” wyznawał tę samą zasadę.

Źle spał przez resztę nocy, więc rano obudził się w zrzędlwym humorze. Dopóki komputerowcy się nie odezwą, nie miał nic do roboty poza jeżdżeniem wokół laboratorium i wypinaniem gołego tyłka do strażników. A że było zimno, tyłek by mu zmarzł, czyli wypinanie odpadało, chyba że zostałby poważnie sprowokowany.

Pod wpływem impulsu chwycił telefon i wybrał numer komórki Lily, tak tylko, żeby sprawdzić, czy odbierze.

- *Bonjour* - powiedziała; czyżby nie miała identyfikacji numerów w swoim aparacie? To raczej niemożliwe, więc pewnie odezwała się po francusku z nawyku albo z ostrożności.

- Cześć. Jadłaś już śniadanie?

- Nie, nie jadłam. Leżę jeszcze w łóżku.

Spojrzał na zegarek: parę minut do szóstej. Wybaczył jej lenistwo. Prawdę mówiąc, cieszył się, że ją obudził, bo jej głos był zaspany i miękki, bez zwykłej szorstkości. Swain zastanawiał się, w czym sypia - może w skąpej, obcislej koszulce na ramiączka i majteczkach, a może nago. Z pewnością nie włożyłaby niczego jedwabnego i przezroczystego. Próbował wyobrazić ją sobie w koszuli nocnej, ale jakoś nie mógł. Za to wyobraził ją sobie nagą. Tak doskonale, że jego wacuś ożywił się i zaczął rosnać, i potrzeba było naprawdę silnej woli, by utrzymać go pod kontrolą.

- Co masz na sobie? - spytał. Roześmiała się.

- Czy to obsceniczny telefon?

- Może być. Jak tak dalej pójdzie, zaraz zacznę sapać. Mów, co masz na sobie. - Wyobrażał ją sobie, jak siedzi oparta o poduszki, z kołdrą pod pachami, odgarniając potargane włosy z twarzy.

- Długą flanelową koszulę.

- Kłamaczucha. Nie jesteś flanelowym typem kobiety.

- Miałaś jakiś konkretny powód, żeby zadzwonić, czy tylko chciałaś mnie obudzić i spytać, w co jestem ubrana?

- Miałem, ale jakoś zapomniałem. No powiedz.

- Nie uprawiam seksu przez telefon. - W jej głosie brzmiało rozbawienie.

- Pięknie proszę, no, bądź kochana i powiedz. Znow się roześmiała.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Bo wyobrażnia mnie zabija. Byłaś tak fajnie zaspana, kiedy odebrałaś, i wyobraziłem sobie, jaka jesteś mięciutka i ciepłutka pod kołderką. Wszystko mi od tego urosło. - Zerknął ze złością na swoją erekcję.

- To możesz sobie przestać wyobrażać. Nie sypiam goła, jeśli o to pytasz.

- To w co jesteś ubrana? Naprawdę muszę to wiedzieć, żeby moje fantazje były precyzyjne.

- W piżamę.

Do diabła, zapomniał o piżamie.

- Taką z szortami? - spytał z nadzieją.

- W paździeniku przechodzę na długie spodnie, a potem znow na krótkie w kwietniu.

Przekłuła go jak balon. Wyobraził ją sobie w męskiej piżamie i efekt już nie był ten sam. Westchnął.

- Mogłaś przynajmniej powiedzieć, że świecisz gołym tyłkiem - burknął. - Co by ci szkodziło? Tak dobrze się bawiłem.

- Może trochę za dobrze - rzuciła sucho.

- Jak dla mnie to za krótko. - Jego erekcja opadała, kompletnie zmarnowana.

- Przykro mi, że nie byłam bardziej pomocna.
- Nic nie szkodzi. Możesz mi to wynagrodzić osobiście.
- Chciałbyś.
- Kotku, nie masz pojęcia, czego bym chciał. A jeśli chodzi o powód mojego telefonu...

Roześmiała się na całe gardło, a on poczuł wiewiórki w brzuchu. Naprawdę stado wiewiórek skakało mu we wnętrznościach, bo ją rozśmieszył. Znowu.

- Nie mam dzisiaj nic do roboty i nudzę się. Może pójdziemy do Disneylandu?
- Co? - zapytała tępo, jakby mówił w obcym języku.
- Do Disneylandu. No wiesz, tego zaraz za miastem. W Stanach nigdy w żadnym nie byłem.

A ty byłaś?

- Tak - odparła. - Tina i ja dwa razy poszliśmy tam z Zią. Averill nie chciał iść, bo nie lubił stać w kolejkach.

- Potrzeba prawdziwego twardziela, żeby stać w kolejkach.

- I nie narzekać - dodała.

- I nie narzekać - przyznał, bo cóż innego mógł zrobić? - Zleciłem komuś sprawdzenie tych zabezpieczeń w laboratorium, ale dziś raczej się niczego nie dowiem. Ja mam czas, ty masz czas, więc po co gapić się na ściany, skoro można obejrzeć pałac Kopciuszka?

- Śpiącej Królowy, nie Kopciuszka.

- Wszystko jedno. Osobiście zawsze uważałem, że Kopciuszek jest ładniejszy od Śpiącej Królowy, bo jest blondynką. Mam słabość do blondynek.

- Nie zauważyłam. - Mówiła takim tonem, jakby miała się znów roześmiać.

- Spójrz na to w ten sposób: czy ktoś cię będzie szukał w Disneylandzie?

Lily milczała, zapewne rozważając propozycję. Nie mógł jej powiedzieć, że trudno mu usiedzieć na miejscu, że martwi się o Franka i że chyba zwariuje, jeśli będzie musiał spędzić cały dzień w pokoju hotelowym. Nie należał do fanów parków rozrywki, ale zawsze to było coś do roboty, a w dodatku nie musieliby ciągle oglądać się przez ramię. Nervi nigdy by nie wpadł na to, żeby kazać swoim ludziom pilnować wejść do Disneylandu, bo jaki idiota przerywałby śmiertelną zabawę w kotka i myszkę, aby się przejechać po Górze Grzmotów?

- Dzisiaj ma być ładna pogoda. Chodźmy - namawiał. - Będzie wesoło. Pojeździmy filiżankami, zakręci nam się w głowach i puścimy pawia.

- Brzmi cudownie, nie mogę się doczekać. - Próbowwała tłumić chichot, ale i tak słyszał ciche, gulgotające dźwięki, które wydawała.

- To jak, pójdziesz?

Westchnęła.

- Dlaczego nie? Jeszcze nie wiem, czy ten pomysł jest durny czy genialny, ale pójdę.

- Świetnie. Więc włóż kapelusz i ciemne okulary i przemknij się tutaj, to zjemy śniadanie, zanim wyruszymy. Już nie mogę się doczekać, żeby sprawdzić, na co stać ten śliczny samochodek, który wynająłem zamiast jaguara. Ma dwieście dwadzieścia pięć koni i chciałbym pogonić przynajmniej dwieście z nich.

- Teraz wiem, dlaczego zadzwoniłeś. Chcesz jeździć jak wariat i potrzebujesz kobiety, żeby patrzyła, jak się popisujesz, i wydawała odpowiednie ochy i achy.

- Zrób mi tę przyjemność. Ostatnio trochę mi brakowało ochów i achów.

- Zrobię, co w mojej mocy. Będę u ciebie około ósmej; jeśli zgłodniejesz wcześniej, to zamawiaj. Ja mogę zjeść później.

Ten dwugodzinny margines nie powiedział mu absolutnie nic na temat jej miejsca pobytu. W dwie godziny mogła dojechać do Bristolu z każdego miejsca w Paryżu. Przez tyle czasu mogła tu

dotrzeć nawet z Calais.

- Zaczekam na ciebie. Powiedz mi, co chcesz, to zamówię jakieś dwadzieścia minut przed ósmą.

Chciała tylko ciastko i kawę; Swain postanowił dodać trochę protein do jej zamówienia. Gdy już miała się rozłączyć, powiedział: - Atak w ogóle...

- Co?

- Gdybyś była ciekawa, to ja śpiam nago.

Lily zamknęła komórkę, wpatrywała się w nią chwilę, po czym padła na poduszki i wybuchnęła śmiechem. Nie pamiętała, kiedy ktoś żartował z nią i flirtował z takim zapałem; być może nigdy. To było miłe uczucie, tak jak miło było się śmiać. Więc jednak zostało w niej jeszcze odrobinę życia. Czuła się nawet trochę winna, bo wiedziała, że Zia już nigdy nie będzie się śmiała.

Ta myśl sprawiła, że znajomy ból ścisnął jej serce. Wiedziała, że ten ból nigdy nie odejdzie, ale może będą chwile, kiedy będzie mogła choć na chwilę o nim zapomnieć. Dziś spróbuje zapomnieć.

Wstała z łóżka, przeciągnęła się i wykonała zestaw ćwiczeń, które robiła codziennie, by odzyskać siły. Czuła się coraz lepiej, jej kondycja poprawiała się z każdym dniem. Po półgodzinnej gimnastyce była złana potem, ale nie brakowało jej tchu: stara pompa jakoś się trzymała. Poszła pod prysznic i nie musiała się rozbierać, bo sypiała nago. Okłamanie Swaina wydało jej się lepszym pomysłem niż wyznanie prawdy, a poza tym miała niezłą zabawę.

Zabawa. Znowu to słowo. Jakoś często się pojawiała w połączeniu ze Swainem. Przedtem nie zastanawiała się, czy sypiał bez ciuchów, ale teraz wyobraźnia podsunęła jej obraz Swaina, budzącego się, przeciągającego z twarzą ciemną od zarostu. Jego skóra miała ciepły, piżmowy zapach, a jego poranna erekcja sterczała w górę, domagając się uwagi...

Przez chwilę niemal czuła ten męski zapach; wspomnienie było tak świeże i wyraźne, że przez chwilę dziwiła się, skąd wie, jak on pachnie. Ale przypomniała sobie, jak płakała na jego ramieniu. Wtedy musiała podświadomie zapamiętać zapach i jej mózg zachował to wspomnienie do dalszego użytku.

Nie mogła uwierzyć, że zgodziła się spędzić z nim dzień - i to w Disneylandzie. Ostatniego lata Zia nie chciała tam iść. Jest za stara na te dziecinady, stwierdziła z miażdżącą pogardą, na jaką stać tylko trzynastolatkę, ignorując fakt, że ludzie chodzący do parków rozrywki są w większości znacznie starsi od niej.

Było tam mnóstwo Amerykanów, co dziwiło Lily, bo można by sądzić, że jeśli jakiś Amerykanin chce iść do Disneylandu, to któryś z parków w Stanach ma o wiele bliżej niż ten podparyski. Ale dzięki temu ona i Swain nie będą rzucali się w oczy; będą po prostu jeszcze jedną amerykańską parą.

Wysuszyła włosy i nagle przyłapała się na tym, że grzebie w kosmetyczce w poszukiwaniu przyborów do makijażu. Z rozbawieniem stwierdziła, że chce ładnie wyglądać dla niego, i że sprawia jej to przyjemność. Zawsze odstawiała się na randki z Salvatore, ale to przypominało raczej zakładanie teatralnej maski. Tym razem naprawdę czuła się, jakby szła na randkę, i była równie podekscytowana jak w szkole średniej.

Jako że zawsze unikała słońca, miała ładną cerę. Nie potrzebowała podkładu, lecz tuszu i owszem. Miała ładne, długie rzęsy, ale bez tuszu były jasnobrazowe i przez to prawie niewidoczne. Podkreśliła delikatnie oczy, nałożyła lekkie cienie, wtarła odrobinę różu w policzki i trochę więcej w usta. Cienka warstwa pudru i tusz na rzęsach dopełniły dzieła.

Lily patrzyła na siebie w lustrze, zakładając kolczyki - maleńkie złote kółka, które wydały jej się odpowiednie do parku rozrywki. Wiedziała, że nigdy nie będzie naprawdę ładna, ale w lepsze

dni wyglądała bardziej niż znośnie. A dziś był dobry dzień.  
Przy odrobinie szczęścia mógł być jeszcze lepszy.

## Rozdział 19

Im bliżej byli Disneylandu, tym bardziej spięta była Lily; gdy jej entuzjazm zaczął opadać, powróciły wspomnienia.

- Nie jedźmy do Disneylandu - wybuchnęła nagle. Swain uniósł brwi.

- Dlaczego nie?

- Zbyt wiele wspomnień o Zii.

- Będziesz unikać wszystkiego, co ci o niej przypomina? - Jego ton był rzeczowy, nie było w im wyzwania.

- Nie wszystkiego - odparła. - I nie na zawsze. Tylko nie... po prostu nie teraz.

- Okej. To gdzie chcesz jechać?

- Nie wiem, czy w ogóle chcę gdziekolwiek jechać. Przecież musi być coś, co możemy zrobić, zamiast beczynnienie czekać, aż twój przyjaciel znajdzie informacje o tym systemie w laboratorium.

- Nie przychodzi mi do głowy nic poza jeżdżeniem w tę i z powrotem przed bramą laboratorium, żeby ochroniarze mogli się dobrze przyjrzeć temu wozikowi.

Czy ten facet nie potrafi wybrać samochodu, który nie rzuciłby się w oczy? Wprawdzie wóz był szary, tak jak jaguar, ale renault megane sport nie jest zbyt popularnym modelem. Cóż, przynajmniej nie wybrał czerwonego.

- Ile może być sposobów dostania się do budynku? - zaczęła się zastanawiać. - Drzwi i okna, oczywiście. Można też wejść przez dziurę w dachu...

- Myślisz, że nikt by nie zauważył kobiety z piłą łańcuchową na dachu?

- ...ale to raczej nierealne - dokończyła, posyłając mu złe spojrzenie. - No to może od dołu? Kompleks musi być podłączony do sieci kanalizacyjnej.

Swain się zamyślił.

- To jest jakaś możliwość. Na filmach zawsze wygląda to, jakby chlapali się w wodzie, lecz biorąc pod uwagę, co się spuszcza do ścieków, pewnie chlapią się w czymś innym.

- Stary Paryż stoi na całym labiryncie podziemnych tuneli, lecz laboratorium jest na obrzeżach, więc w pobliżu pewnie nie ma żadnego przyzwoitego tunelu.

- A tak z ciekawości, na wypadek gdybyśmy wylądowali w ściekach: co to właściwie za laboratorium? Co tam robią?

- Badania biologiczne.

- A jak się pozbywają odpadów? Są najpierw jakoś neutralizowane, żeby zabić te wszystkie małe paskudztwa?

Lily westchnęła. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że odpady były neutralizowane, nim trafiały do ścieków, a w takim przypadku laboratorium nie miało bezpośredniego połączenia z kanalizacją. Pewnie gromadzono je w jakimś zbiorniku, gdzie były poddawane obróbce, i dopiero stamtąd szły do kanalizacji. Rozsądek podpowiadał też, że lepiej nie ryzykować kontaktu z surowymi odpadami.

- Ja głosuję za trzymaniem się z dala od ścieków - powiedział Swain.

- Popieram. Drzwi i okna są najlepsze. Albo... możemy znaleźć dwa duże pudła i wysłać się do laboratorium. - Ten pomysł przyszedł zupełnie znikąd.



- Hm. - Swain przetrwał to chwilę. - Musielibyśmy się dowiedzieć, czy wszystkie paczki i pudła nie są prześwietlane albo coś w tym stylu, czy są otwierane natychmiast, czy laboratorium dostaje jakiegokolwiek duże przesyłki... Bo wolelibyśmy chyba wyjść z tych pudeł późno w nocy, kiedy na miejscu jest mniej ludzi. A może to laboratorium pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę?

- Nie wiem, ale trzeba to sprawdzić. Musimy to wiedzieć, nawet jeśli zdobędziemy plany systemu zabezpieczeń.

- Przejadę się tam wieczorem i sprawdzę, ile samochodów stoi na parkingu, spróbuję się zorientować, ile osób pracuje po godzinach. Powinienem był to zrobić zeszłej nocy - dodał. - Tymczasem zastanówmy się, co zrobić z dzisiejszym dniem. Disneyland odpada. Mamy wrócić do naszych pokoi i nudzić się do wieczoru? Zakupy i łażenie po Paryżu raczej bym odradzał, skoro cię rozpracowali.

Nie chciała wracać do swojej kawalerki. Stare mieszkania bywają urokliwe, ale to nie miało tej zalety. Było tylko wygodne i bezpieczne.

- Może po prostu pojeździmy. I zatrzymamy się na lunch, kiedy zgłodniejemy.

Wciąż jechali na wschód. Gdy zostawili już za sobą Paryż i jego zapchane ulice. Swain wybrał prosty odcinek drogi i pogonił swoje konie mechaniczne. Minęło wiele czasu, od kiedy Lily ostatni raz jechała szybko dla samej przyjemności, więc teraz usiadła wygodniej, zapięła pasy poczuła ten dreszczyk niepokoju, od którego serce zaczyna bić szybciej. Czuła się jak nastolatka, kiedy razem z siódmką czy ósemką przyjaciół wbijali się do jednego auta i pędzili autostradą. Cud, że wszyscy przeżyli szkołę średnią.

- Jak trafiłaś do tego biznesu? - zapytał Swain. Spojrzała na niego, wyrwana z zamyślenia.

- Jedziesz za szybko, żeby rozmawiać. Uważaj na drogę. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i trochę zwolnił; wskazówka opadła do stu kilometrów na godzinę.

- Potrafię jednocześnie chodzić i żuć gumę - zapewnił.

- Żadna z tych czynności nie wymaga myślenia. Rozmowa i prowadzenie auta to co innego.

- Jak na kogoś pracującego w zawodzie, w którym ciągle podejmuje się ryzyko, nie jesteś zbyt ryzykantką - zauważył.

Lily patrzyła na migający za oknem krajobraz.

- W ogóle nie jestem ryzykantką - odparła. - Wszystko starannie planuję, nie zostawiam niczego przypadkowi.

- A kto wypił wino, wiedząc, że jest zatrute i modląc się, by dawka nie była śmiertelna? Kto jest ścigany po całym Paryżu, a mimo to siedzi w mieście, bo nie dopełnił zemsty?

- To są wyjątkowe okoliczności. - Nie wspomniała o ryzyku, jakie podjęła, decydując się mu zaufać, ale był na tyle bystry, by samemu wpaść i na to.

- Czy wydarzyło się coś niezwykłego, że zaczęłaś zabijać ludzi?  
Milczała dłuższą chwilę.

- Nie uważam się za morderczynię - powiedziała wreszcie. - Nigdy nie skrzywdziłam niewinnego człowieka. Dokonywałam tylko usankcjonowanych zabójstw, które mi zlecił mój kraj. Kiedy byłam młoda, nie myślałam tak, ale teraz wiem, że są ludzie tak źli, że nie zasługują na życie. Hitler nie był jednorazowym fenomenem. Weź Stalina, Pol Pota. Idi Amina, Baby Doca, bin Ladena. Nie uważasz, że świat byłby lepszy bez nich?

- Tak jak bez setek lokalnych kacyków, baronów narkotykowych, zboczeńców i pedofilów. Zgadza się. Ale czy naprawdę myślałaś o tym wszystkim, kiedy wykonałaś pierwsze zlecenie?

- Nie. Osiemnastolatki zwykle nie snują poważnych filozoficznych rozważań.

- Osiemnaście lat. Rany, to strasznie młodo.

- Wiem. Myślę, że właśnie dlatego mnie wybrano. Wyglądałam jak wiejski podłotek -

powiedziała, uśmiechając się słabo. - Świeża, niewinna buzia, ani grama wyrafinowania, choć wtedy wydawało mi się, że jestem strasznie wyrobiona i zblazowana. Nawet mi pochlebilo, że się do mnie zwrócono.

Pokręcił głową na myśl o takiej naiwności. Nie kontynuowała, więc ponaglił ją: - Mów dalej.

- Zauważyli mnie, bo wstąpiłam do klubu strzeleckiego. Chłopak, w którym się wtedy kochałam na zabój, był zapalonym myśliwym i chciałam zrobić na nim wrażenie znajomością rodzajów broni, kalibrów, zasięgów i tak dalej. Okazało się, że jestem cholernie dobra; pistolet leżał mi w dłoni jak przyrośnięty. Nie wiem, skąd mi się to wzięło - powiedziała, patrząc na swoje ręce, jakby w nich szukała odpowiedzi. - Mój tata nie był myśliwym, nigdy nawet nie był w wojsku. Ojciec matki, prawnik, najchętniej siedział w domu, a mój drugi dziadek pracował w fabryce Forda w Detroit. Czasami chodził na ryby, ale o ile wiem, nigdy nie polował.

- To pewnie wyjątkowa mieszanka genów. Twojego taty nie interesowało polowanie, ale to nie znaczy, że nie miał wrodzonego talentu strzeleckiego. No i przecież mogłaś odziedziczyć to po matce.

Lily się roześmiała.

- To mi nigdy nie przyszło do głowy. Mama była bardzo łagodną osobą, ale osobowość nie ma nic wspólnego z wrodzonymi talentami, prawda?

- O ile wiem. nie. Ale wróćmy do klubu strzeleckiego.

- Nie ma wiele do opowiadania. Ktoś zauważył, jak strzelam, wspomniał o tym komuś innemu i któregoś dnia przyszedł porozmawiać ze mną miły pan w średnim wieku. Najpierw opowiedział o tamtym człowieku i o ludziach, których zabił, pokazując mi na dowód wycinki z gazet, kopie raportów policyjnych i tym podobne rzeczy. Kiedy już byłam odpowiednio przerażona, zaproponował mi mnóstwo pieniędzy. Odmówiłam, ale nie mogłam przestać myśleć o tym wszystkim, co mi powiedział. Musiał to przewidzieć, bo zadzwonił dwa dni później, a ja się zgodziłam. Miałam osiemnaście lat. - Wzruszyła ramionami. - Przeszłam błyskawiczny kurs. Jak powiedziałam, wyglądałam na takiego dzieciaka, że nikt nie postrzegал mnie jako zagrożenia. Bez problemu zbliżyłam się do tego człowieka, zrobiłam, co miałam zrobić, i uciekłam. Przez tydzień rzygałam za każdym razem, kiedy o tym pomyślałam. Koszmary miałam o wiele dłużej.

- Ale kiedy miły pan zaproponował ci kolejne zadanie, przyjął je.

- Przyjęłam. Powiedział mi, jaką przysługę oddałam krajowi tym pierwszym razem, a ja wiedziałam, że mówił szczerze.

- A miał rację?

- Tak - odparła cicho. - Wiem, że to, co robiłam, jest niezgodne z prawem. I muszę żyć z tym, kim jestem. Ale on miał rację, więc tak naprawdę wszystko sprowadzało się do tego, że byłam gotowa odwalić brudną robotę. Ktoś musi to robić.

Swain sięgnął po jej dłoń, uniósł do ust i delikatnie pocałował.

Lily zamrugnęła zdumiona, otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zamknęła je bez słowa i skierowała spojrzenie na krajobraz za oknem. Swain roześmiał się, odłożył jej dłoń z powrotem na kolana, po czym przez czterdzieści radosnych minut koncentrował się wyłącznie na jeździe - tak szybkiej, jak się dało.

Zatrzymali się na lunch w małej kafejce z ogródkiem w pierwszym miasteczku, do którego zajechali. Swain poprosił o stół osłonięty od wiatru, więc było im całkiem znośnie na dworze. Lily zjadła sałatkę z grillowanym kozim serem, a Swain kotlety jagnięce; oboje wypili też po kieliszku wina i filiżance mocnej kawy. Gdy siedzieli nad kawą, Lily zapytała:

- A jak było z tobą? Jaka jest twoja historia?

- Całkiem zwyczajna. Byłem teksaskim chłopakiem z Dzikiego Zachodu, który nie potrafił

usiedzieć na miejscu, a wielka szkoda, bo ożeniłem się i mam dwójkę dzieci.

- Jesteś żonaty? - zapytała zdumiona.

Pokręcił głową.

- Rozwiedziony. Amy, moja była żona, uznała, że nigdy się nie ustatkuję. Była już zmęczona samotnym wychowywaniem dzieci, gdy ja ciągle siedziałem gdzieś za granicą, robiąc rzeczy, o których nie chciała wiedzieć. Nie mam jej tego za złe. Do diabła, ja sam bym się ze sobą rozwiódł. Teraz, kiedy jestem starszy, wiem, jakim byłem dupkiem, i mam ochotę skopać sobie tyłek za to, że przegapiłem, jak moje dzieciaki dorastają. Nie odzyskam już tych lat. Na szczęście Amy dobrze je wychowała. Wyrosły na wspaniałych ludzi, ale nie dzięki mnie.

Sięgnął po portfel, wyjął z niego dwa zdjęcia i położył na stole przed Lily. Były to fotografie z wręczenia świadectw ukończenia szkoły średniej; oboje, chłopak i dziewczyna, byli bardzo podobni do mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stolika.

- To moja córka Chrissy i mój syn Sam.

- Ładne dzieciaki.

- Dziękuję - odparł. Doskonale wiedział, jak bardzo są do niego podobni. Podniósł zdjęcia i przyglądał im się chwilę, nim schował je z powrotem do portfela. - Chrissy urodziła się, kiedy miałem dziewiętnaście lat. Byłem o wiele za młody i za głupi na małżeństwo, a tym bardziej na dziecko. Młodzi i głupi nie słuchają ludzi, którzy wiedzą więcej od nich. Ale nawet gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to ponownie, bo nie wyobrażam sobie, że mógłbym nie mieć moich dzieci.

- Jesteś z nimi żyty?

- Nie tak jak ich matka. Ona jest dla nich o wiele ważniejsza, była przy nich, kiedy mnie nie było. Lubią mnie, nawet kochają, bo jestem ich ojcem, ale nie znają mnie zbyt dobrze. Byłem fatalnym mężem i ojcem. Nie okrutnym, po prostu wiecznie nieobecny. Najlepsze, co można o mnie powiedzieć, to że zawsze wspierałem ich finansowo.

- To i tak więcej, niż robią niektórzy mężczyźni.

Wymamrotał swoją opinię o tych mężczyznach, coś, co zaczynało się od „głupie”, a kończyło na „sukinsyny”, z kilkoma jeszcze mniej pochlebnymi określeniami pomiędzy.

Lily była wzruszona, że tak się nie oszczędzał. Popelniał błędy, ale potrafił je dostrzec i żałować. W miarę upływu lat docenił wszystko, co przegapił w życiu swoich dzieci, i był wdzięczny byłej żonie za minimalizację szkód, jakie on im wyrządził swoją nieobecnością.

- A teraz myślisz, żeby się ustatkować, wrócić do domu i osiąść gdzieś blisko dzieci? Czy to dlatego wyjechałeś z Ameryki Południowej?

- Nie, wyjechałem stamtąd, bo siedziałem po samą szyję w bajorze głodnych aligatorów. - Wyszczerył zęby w uśmiechu. - Lubię mieć trochę podniety w życiu, ale czasami człowiek potrzebuje się wdrapać na drzewo i ocenić sytuację.

- Więc czym się właściwie zajmujesz?

- Jestem swego rodzaju omnibusem. Ludzie chcą, żeby coś się stało, i wynajmują mnie, żebym do tego doprowadził.

To wyjaśnienie zostawiało mnóstwo miejsca na domysły, ale Lily czuła, że niczego bardziej konkretnego nie usłyszy. Uznała, że nie musi znać wszystkich szczegółów z jego życia. Wiedziała, że Swain kocha swoje dzieci, że działa w szarej strefie, ale ma sumienie, że lubi szybkie samochody i że potrafi ją rozbawić. I że chce jej pomóc. Na razie to jej wystarczało.

Po lunchu trochę pospacerowali. Swain zauważył sklep ze słodyczami i natychmiast do niego wszedł. Kupił tuzin kawałków czekolady o różnych smakach, a potem, gdy tak się przechadzali, wtykał po kawałku na przemian w jej i w swoje usta, aż zjedli wszystkie. Gdzieś po drodze wziął ją za rękę i nie puścił już do końca spaceru.

Ten dzień wydawał się dziwnie oderwany od rzeczywistości, jakby znaleźli się w mydlanej bańce. Zamiast wyteżać umysł, planując jak pokonać Rodriga, spacerowała po małym miasteczku i gapiała się na wystawy sklepowe. Była wolna od zmartwień i stresów; przystojny facet trzymał ją za rękę i prawdopodobnie zamierzał ją uwieść. Nie zdecydowała jeszcze, czy się zgodzi, ale nie przejmowała się tym. Wiedziała, że jeśli odmówi, Swain nie będzie się dąsał. Po prostu wzruszy ramionami i znajdzie sobie inną rozrywkę.

Od miesiący żyła w nieustannym napięciu i dopiero teraz, gdy mogła się rozluźnić, zdała sobie sprawę, jak ten stres ją wyczerpał. Dziś nie chciała przywoływać bolesnych wspomnień. Chciała po prostu być.

Gdy wrócili do samochodu, rześki dzień zamieniał się w zimny wieczór. Lily sięgnęła, by otworzyć drzwi, ale Swain złapał jej rękę i delikatnie przyciągnął ku sobie. Ujął jej twarz w dłonie, uniósł do góry i pochylił się do pocałunku.

Nie protestowała. Złapała go tylko za nadgarstki i trzymała, gdy ją całował. Jego usta były zaskakująco delikatne, pocałunek raczej czuły niż zaborczy. Smakował czekoladą.

Czuła, że ten pocałunek jest początkiem i końcem, że Swain nie chce niczego więcej - przynajmniej na razie. Nie będzie próbował zderzeć z niej ciuchów ani przyszpilić jej do samochodu. To ona delikatnie zachęciła go językiem, prosząc o więcej. I dał jej więcej, lecz nie atakując zbyt gwałtownie; uczyli się swojego smaku, dotyku, sprawdzali, czy pasują do siebie. W końcu uwolnił jej usta, uśmiechnął się i otworzył przed nią drzwi.

- Dokąd teraz? - spytał, gdy wsiadł do samochodu. - Z powrotem do Paryża?

- Tak - odparła z żalem. Ten dzień był miłą chwilą ucieczki, ale już się skończył.

## Rozdział 20

Późnym popołudniem Georges Blanc dostał kolejny telefon od Damone'a Nerviego. Siedział w samochodzie, nie obawiał się więc, że zostanie podsłuchany - było to małe błogosławieństwo, na razie jedyne, jakie widział w tej sytuacji. Zjechał na pobocze i odebrał. Damone mówił bardzo spokojnym tonem.

- Jestem rozsądniejszy niż mój brat, ale nie jestem człowiekiem, którego można bezkarnie ignorować. Czy ma pan informację, o którą prosiłem?

- Tak, ale... - Blanc zawahał się i w końcu skoczył w przepaść. - To tylko rada, mam jednak nadzieję, że pan z niej skorzysta i nie użyje tego numeru.

- Dlaczegoż to?

Blanc stwierdził z ulgą, że Damone jest bardziej zaciekawiony niż zagniewany. Zaczerpnął powietrza.

- Ten numer można było zdobyć tylko w jeden sposób: musiał go zdradzić ktoś z CIA. Człowiek, do którego pan chce zadzwonić, pracuje dla Agencji. Sądzi pan, że nie będzie ciekaw, skąd pan ma numer jego komórki? Czy może być tak głupi, że nie skojarzy faktów? Pytanie, jakie pan musi sobie zadać, brzmi: czy ten człowiek jest lojalny wobec przełożonych, czy nie doniesie o tym swoim mocodawcom? I czy oni nie rozpoczną śledztwa? Jeśli pan skorzysta z tego numeru, monsieur, może pan zniszczyć i mojego informatora, i mnie.

- Rozumiem. - W słuchawce przez chwilę panowała cisza, gdy Damone rozważał konsekwencje. Wreszcie powiedział: - Rodrigo jest niecierpliw; myślę, że będzie lepiej, jeśli się o tym nie dowie. Jego pragnienie działania mogłoby przewyższyć ostrożność. Powiem mu, że ta osoba miała zaopatrzyć się w telefon tutaj i jeszcze się z nikim nie kontaktowała.

- Dziękuję, monsieur. Dziękuję. - Blanc przymknął oczy z ulgą.

- Ale - ciągnął Damone - wydaje mi się, że teraz pan jest mi winien przysługę.

Blanc nie mógł zapomnieć, że - rozsądny czy nie - Damone mimo wszystko jest Nervim, a więc człowiekiem niebezpiecznym. Żołądek znów zacisnął mu się w twarde węzeł. Cóż miał począć? Musiał się zgodzić.

- Tak - powiedział ponuro.

- To poufna sprawa. Chciałbym, aby pan coś dla mnie zrobił. Coś, o czym nie wolno panu nikomu powiedzieć. Zależy od tego życie pańskich dzieci.

Łzy zapiekły Blanca pod powiekami; otarł oczy. Jego serce łomotało tak mocno, że niewiele brakowało mu do omdlenia. Od początku doskonale zdawał sobie sprawę, do jakiej brutalności zdolna jest rodzina Nervich.

- Rozumiem. Co mam zrobić?

Byli już niedaleko hotelu, gdy Swain powiedział:

- Pozwól się zawieźć do domu. Nie powinnaś jeździć metrem, skoro jesteś znacznie bezpieczniejsza w samochodzie.

Lily zawahała się, instynktownie wzdrygając się przed zdradzeniem lokalizacji swojego mieszkania.

- Rano jechałam metrem - przypomniała mu. - A poza tym metro jest szybsze. - Zgodnie z sugestią Swaina włosy schowała pod kapeluszem i założyła ciemne okulary, na wypadek gdyby szpicle Rodriga obserwowali stacje. W Paryżu jest mnóstwo stacji metra i obstawienie ich wymagałoby wielu ludzi, ale przecież Rodrigo nie musiał osobiście zapewniać odpowiedniej liczby szpiegów. Ze swoimi wpływami mógł kazać to zrobić innym.

- Tak, ale rano świeciło słońce, a teraz jest ciemno. W okularach będziesz wyglądać podejrzanie. - Uśmiechnął się. - A poza tym chciałbym wypróbować twoje łóżko i upewnić się, że się w nim zmieszczę.

Lily przewróciła oczami. Jeden pocałunek, a on już myśli, że wskoczy z nim do łóżka? Podobało jej się to całowanie, ale była tylko trochę oczarowana, nie kompletnie głupia.

- Nie zmieścisz się - odparła - więc nie ma sensu, żebyś je oglądał.

- To zależy. Jest za wąskie czy za krótkie? Jeśli tylko wąskie, to żaden problem, bo i tak leżelibyśmy warstwowo. Ale jeśli jest krótkie, to powinienem przemyśleć moją fascynację tobą. bo coś musi być nie tak z kobietą, która kupuje łóżko, w którym facet nie może się wyciągnąć.

- Jedno i drugie - powiedziała, usiłując powstrzymać chichot. Nie chichotała, odkąd przestała być nastolatką. - Jest krótkie i wąskie. Kupiłam je z zakonu.

- To zakonnice sprzedają swoje łóżka?

Urządzają wielkie wyprzedaże na cele charytatywne.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, zupełnie nieprzejęty jej odmową. Wszystkie jego przymówki i sugestie były tak skandaliczne, że musiały być wypowiedzane żartem, ale gdyby potraktowała któryś z tych żartów poważnie, pewnie skwapliwie skorzystałby z okazji.

Odwrócił jej uwagę od swojej pierwszej propozycji, ale nie zapomniła o niej. Na jednej szali musiała położyć wrodzoną ostrożność i niechęć zdradzenia swojej kryjówki, a na drugiej ryzyko jazdy metrem. Czasami nie będzie mogła uniknąć jazdy kolejką, ale po co kusić los, skoro nie było takiej konieczności? Tak naprawdę musiała po prostu zdecydować, kogo uważa za bardziej niebezpiecznego: Swaina czy Rodri-ga? Nie było porównania. Jak na razie Swain stał niewzruszenie po jej stronie, nawet jeśli do pomocy nie skłaniał go żaden ważny powód poza nudą i chęcią przespania się z nią.

- Mieszkam na Montmartrze - powiedziała. - To ci nie po drodze.

Wzruszył ramionami.

- I co z tego?

Skoro on się tym nie przejmował, dlaczego ona miałaby to robić? Bezpieczeństwo było jedynym powodem, dla którego pozwalała się odwieźć - metro jest o wiele wygodniejszym sposobem poruszania się po Paryżu - ale był to ważny powód.

Powiedziała mu, dokąd ma jechać, i usadowiła się wygodnie; niech Swain się martwi o przebijanie się przez zatłoczone ulice. Robił to ze zwykłą werwą, wykrzykując obelgi i wykonując najróżniejsze gesty. Trochę za bardzo wczuł się w sytuację i wdepnął gaz, gdy grupa turystów usiłowała przejść mu przed maską. Ponieważ był to Paryż, samochód jadący obok też przyspieszył. Oba auta pędziły prosto na tęą kobietę w średnim wieku; Lily aż się zachłysnęła z przerażenia. Kobiecie oczy wyszły na wierzch na widok dwóch samochodów prujących w jej kierunku.

- Kur...! - wrzasnął Swain. - Ty sukinsynu! - Skręcił ostro w stronę jadącego obok auta; spanikowany kierowca odbił w lewo, wciskając hamulec. Swain zredukował bieg i śmignął w lukę między pieszą a samochodem, który zarzuciło w ostry poślizg, tuż przed kobietą usiłującą dostać się z powrotem na chodnik.

Rozległ się pisk hamulców i Lily odwróciła się, by zobaczyć, czy zostawiają za sobą krwawą jatkę. Samochód, który próbował zablokować im zjazd na lewy pas, stał bokiem na środku jezdni, w otoczeniu innych aut stojących pod różnymi kątami. Ryczały klaksony, a wściekli kierowcy wyskakiwali z wozów, wymachując rękami i potrząsając pięściami. Nie zobaczyła żadnych ciał na jezdni, więc widocznie piesi uszli z życiem.

- Wypuść mnie - rzuciła wściekle. - Będę bezpieczniejsza w metrze wśród zbirów Rodriga niż z tobą w samochodzie!

- Miałem miejsce, żeby ich ominąć, dopóki ten dupek obok mnie nie przyspieszył - bronił się zmieszany Swain.

- Oczywiście że przyspieszył! - wrzasnęła. - To jest Paryż! Prędeż by umarł, niż puścił cię przodem!

Klapnęła na siedzenie, sapiąc ze złości. Kilka minut później powiedziała:

- Prosiłam cię, żebyś mnie wypuścił.

- Przepraszam - rzekł skruszony. - Będę bardziej uważał. Obiecuję.

Ponieważ najwyraźniej nie zamierzał stanąć, uznała, że musi siedzieć w samochodzie z tym wariatem. Jedyną alternatywą było zastrzelenie go, i alternatywa ta stawała się z każdą minutą bardziej kusząca. Biedna kobieta! Gdyby miała słabe serce, taki strach mógł ją zabić. Ale wyglądała na zdrową, bo wyszła z powrotem na jezdnię, dziarsko potrząsała pięścią i ciskała wzrokiem gromy w ich tylne światła.

Po pięciu minutach ostrożnej jazdy i głuchej ciszy w samochodzie Swain spytał:

- Widziałas jej twarz?

Lily wybuchnęła śmiechem. Obraz czerwonej twarzy kobiety, z wybałuszonymi ze strachu oczami, wyrył się w jej pamięci. Próbowwała się opanować, bo to, co zrobił, wcale nie było zabawne i nie chciała, aby myślał, że już jest po sprawie.

- Nie mogę uwierzyć, że się śmiesz - mruknął z dezaprobatą, choć i jemu drgały kąciki ust. - Bardzo nieładnie.

Miał rację, nawet jeśli tylko się droczył. Całą siłą woli zmusiła się do powagi.

Ale popełniła błąd, bo spojrzała na Swaina. Jakby tylko na to czekał, wybałuszył oczy, doskonale imitując wyraz twarzy kobiety, i Lily znów dostała ataku śmiechu. Kiwała się na siedzeniu, trzymając się za brzuch. By ukarać Swaina, walnęła go w ramię, ale w jej ciosie nie było ani odrobiny siły.

Skręcił ostro z głównego bulwaru i jakimś cudem znalazł miejsce, by zaparkować samochód. Lily przestała się śmiać.

- Co się dzieje? - spytała zaniepokojona, szukając wzrokiem zagrożenia i sięgając do kabury na kostce.

Swain wyłączył silnik i złapał ją za ramiona.

- Niepotrzebny ci pistolet - rzucił i pociągnął ją ku sobie. Pocałował ją gwałtownie, dziko, przytrzymując lewą dłonią tył jej głowy, a prawą miętosił jej piersi. Lily pisnęła, zaskoczona, lecz już po chwili zatonęła w pocałunku. Drażek zmiany biegów wbijał jej się w biodro, a kolano miała zgięte pod niewygodnym kątem, ale nie dbała o to.

Tak dawno nie czuła pożądania, że kompletnie ją zaskoczyło. Nie zdawała sobie sprawy, jak była wygodniała, jak bardzo pragnęła znaleźć się w czyichś ramionach. Otworzyła usta i otoczyła rękami jego szyję.

Kochał się tak samo, jak prowadził, szybko i z entuzjazmem. Ledwie się zatrzymał przy drugiej bazie i od razu przeszedł do trzeciej, wsuwając Lily dłoń między nogi i pieszcząc delikatnie. Odruchowo złapała go za nadgarstek, ale jakoś zabrakło jej woli, by odepchnąć jego rękę. Gdy położył nasadę dłoni na szwie jej majteczek i zaczął poruszać nią w przód i w tył, całkiem zmiękla.

Uratowało ją tylko to, że byli w samochodzie. Nagle poczuła skurcz w zgiętej nodze; oderwała się od jego ust, by móc ją wyprostować, ale przeszkadzał jej zapięty pas i ramiona Swaina. Jęknęła z bólu i zagryzła zęby.

- Co się dzieje? - zapytał, próbując posadzić ją prosto na fotelu. Miotali się jak wściekli, tłukąc łokciami w kierownicę, konsolę i deskę rozdzielczą, przeszkadzając sobie nawzajem i ogólnie robiąc z siebie idiotów. W końcu Lily zdołała wywalczyć wygodną pozycję i wyciągnęła obolałą nogę tak daleko, jak się dało. Było mało miejsca, zwolniła więc zapadkę i odsunęła fotel maksymalnie do tyłu.

Sapiąc i z trudem chwytając oddech, zaczęła masować udo.

- Skurcz - wymamrotała. Jej zaciśnięte w supeł mięśnie zaczęły się rozluźniać i ból zelżał. - Jestem za stara na takie zabawy w sportowym samochodzie - powiedziała, wzdychając. Oparła głowę o zagłówek i zaśmiała się. - Mam nadzieję, że nikt nie sfilmował tej komedii.

Swain wciąż siedział zwrócony ku niej; latarnie oświetlały jego twarz, na której gościł dziwnie czuły uśmiech.

- Myślisz, że ktoś mógłby chcieć nas szantażować takim nagraniem?

- No jasne. Pomyśl, jak ucierpiałyby nasza reputacja. A w ogóle to jak do tego doszło?

Jego uśmiech stał się kwaśny.

Wróciła do swojego mieszkania na drugim piętrze. Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi na klucz i westchnęła ciężko. Niech go diabli. Przełamywał wszystkie linie jej obrony, i wiedzieli o tym oboje.

Gdy tylko Swain wydostał się z labiryntu uliczek Montmartre'u, włączył komórkę i sprawdził wiadomości. Nie było żadnych, więc zadzwonił do Langley i poprosił o połączenie z biurem dyrektora Vinaya; może jego asystentka jeszcze siedziała przy biurku, choć w Waszyngtonie dochodziła już piąta. Rozpoznał jej głos, odetchnął z ulgą.

- Mówi Lucas Swain. Czy może mi pani powiedzieć, jak się czuje dyrektor? - Wstrzymał oddech, modląc się, by Frank jeszcze żył.

- Wciąż jest w stanie krytycznym - odparła. Głos jej drżał. - Nie ma żadnej bliskiej rodziny, tylko dwie siostrzenice i siostrzeńca, którzy mieszkają w Oregonie. Skontaktowałam się z nimi, ale nie wiem, czy któreś będzie mogło przyjechać.

- A jakie są rokowania?  
- Lekarze twierdzą, że jeśli przeżyje dwadzieścia cztery godziny, to jego szanse wzrosną.  
- Czy nie ma pani nic przeciwko, żebym zadzwonił ponownie po najnowsze wieści?  
- Oczywiście, że nie. Ale chyba nie muszę panu mówić, że w tej sprawie potrzebna jest ogromna dyskrecja?

- Nie, proszę pani.

Podziękował jej, rozłączył się i wyszeptał krótkie dziękczynienie. Dziś udało mu się zająć myśli - nie tylko swoje, ale i Lily - czym innym, lecz świadomość, że Frank może umrzeć, cały czas go dręczyła. Nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby nie Lily. Samo przebywanie z nią, rozśmieszanie jej pozwoliło mu skupić się na czym innym niż zmartwienia.

Serce mu się krajało na myśl, że jako osiemnastolatka — w tym wieku był teraz jego syn - została zwerbowana, by zabić z zimną krwią. Boże, ktokolwiek jej to zrobił, sam zasługiwał na kulkę. Ten człowiek okradł ją z normalnego życia, kiedy była jeszcze zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę, jak wysoką zapłaci za to cenę. Rozumiał, że mogła być postrzegana jako zabójca doskonały - młoda, świeża i niewinna - ale to nie było żadne usprawiedliwienie. Jeśli kiedykolwiek wydobędzie z niej nazwisko tego człowieka - zakładając, że podała jej prawdziwe nazwisko, a nie pseudonim - to wytropi tego gnoja bez względu na wszystko.

Zadzwoniła jego komórka. Zmarszczył brwi, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Miał nadzieję, że to nie asystentka Franka dzwoni, by mu powiedzieć, że Vinoy właśnie zmarł...

Spojrzał na numer na wyświetlaczu. Był to francuski numer. Kto, u diabła, mógł dzwonić? Nie była to Lily - ona użyłaby swojej komórki - a nikt inny nie znał jego numeru. Otworzył klapkę i przytrzymał aparat między brodą a ramieniem, wciskając jednocześnie sprzęgło i redukując bieg, by skrócić.

- Tak?

Jakiś mężczyzna powiedział cicho:

- W kwaterze głównej CIA jest wtyczka, człowiek, który przekazuje informacje Rodrigowi Nerviemu. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

- Kto mówi? - zapytał Swain osłupiały, ale nie było odpowiedzi. Rozmówca się rozłączył.

Swain z przekleństwem na ustach zamknął telefon i wsunął go do kieszeni. Wtyczka? Cholera! Nie mógł w to wątpić, bo jak inaczej ten Francuz zdobyłby jego numer? Dzwoniący z pewnością był Francuzem - mówił po angielsku z francuskim akcentem. Ale nie paryskim; Swain wyłapał paryski akcent w ciągu jednego dnia.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Czy wszystko, o co poprosił, zostało przekazane do Rodriga Nerviego? Jeśli tak, każda akcja, jaką podjęliby z Lily, zaprowadzi ich prosto w pułapkę.

## Rozdział 21

Swain chodził w tę i z powrotem po swoim pokoju; jego zwykle dobroduszną minę zastąpił zimny, twardy wyraz. Wtyczką w Langley mógł być każdy: asystentka Franka, Patrick Washington, którego Swain lubił tak bardzo, że raz z nim nawet porozmawiał, którykolwiek z analityków, oficerowie śledczy, do diabła, nawet zastępca dyrektora Garvin Reed. Jediną osobą, której ufał na sto procent, był Frank Vinay, a on leżał w szpitalu w stanie krytycznym i mógł nie dożyć jutra. Po tej rewelacji tajemniczego informatora Swain musiał wziąć pod uwagę możliwość, że wypadek samochodowy Franka mógł jednak nie być wypadkiem.

- Wspominałem ci już, że mnie kręci, kiedy się śmiejesz?

- Nie. Na pewno bym to pamiętała.



Mylił się, mówiąc że nie potrzebowała pistoletu. Powinna była go zastrzelić, nim pozwoliła mu się tak całować, bo teraz nie była już pewna, czy zdoła przetrwać dzień bez jego pocałunków. Przesunęła siedzenie na poprzednią pozycję i przygładziła włosy.

- Mógłbyś się postarać i przejechać resztę drogi bez straszenia przechodniów, narażania nas na śmierć i robienia postojów, żeby się na mnie rzucić? Chciałabym dotrzeć do domu przed północą.

- Podobało ci się, jak się na ciebie rzuciłem. Przyznaj. - Sięgnął po jej lewą dłoń i splótł palce z jej palcami. - Gdyby nie ten skurcz, podobałoby ci się o wiele bardziej.

- Niezależnie od tego, jak bardzo mi się to podobało, nie pójdę do łóżka z facetem, którego poznałam parę dni temu. Więc nie rób sobie nadziei i opanuj żądze.

- Za późno, i w przypadku nadziei, i żądz.

Słumiła śmiech, przygryzając wewnątrz policzków. Swain delikatnie ścisnął jej dłoń; w końcu puścił ją i zapalił silnik. Zawrócił i zjechał z powrotem na główny bulwar.

Kiedyś na Montmartrze roilo się od artystów wszelkiej maści, ale dzielnica najlepsze czasy miała już za sobą. Pełno tu było wąskich, krętych jednokierunkowych uliczek z rynsztokami pośrodku, budynków stłoczonych jeden obok drugiego i turystów poszukujących nocnego życia. Lily prowadziła Swaina przez ten labirynt, aż w końcu powiedziała:

- Tutaj, te niebieskie drzwi. To moja kamienica.

Zatrzymał się przed wejściem. Nie było miejsca, by zaparkować samochód, nie blokując ulicy, więc nie mógł wejść z nią na górę. Pochyliła się i cmoknęła go w policzek.

- Dziękuję za dzisiejszy dzień. Było fajnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. To do jutra?

Zawahała się.

- Zadzwoń. Zobaczymy - odparła. Może do jutra jego znajomy zdobędzie informacje na temat zabezpieczeń laboratorium. Ale równie dobrze Swain mógł wyskoczyć z kolejną dziwną propozycją, która z jakiegoś powodu wyda jej się kusząca.

Patrzył za nią, gdy szła do budynku, i zatrąbił lekko, nim odjechał. Lily weszła na górę; wspinała się po schodach wolniej niż kiedyś, ale i tak była zadowolona, że zdyszała się tylko trochę, nim dotarła do Skoro on na to wpadł, to pewnie kilka tysięcy pozostałych oficerów z Langley wpadło na to samo. Ale co, jeśli szpieg zajmował pozycję, która umożliwiała mu odwrócenie podejrzeń od wypadku?

Problem w tym, że wypadki samochodowe nie są najskuteczniejszą metodą wyeliminowania kogoś; zdarzało się, że ludzie wychodzili cało z kompletnie skasowanych samochodów. Z drugiej strony, jeśli zamierza się kogoś zabić i nie chce się, aby ktokolwiek podejrzewał umyślne działanie, najlepiej zaaranżować to tak, by wyglądało na wypadek samochodowy. Wiarygodność takiej aranżacji zależała od pewności ludzi biorących w niej udział i od ilości zaangażowanych pieniędzy.

Ale jak ktoś mógł sfigować wypadek, w którym ucierpiał dyrektor operacji? Przy waszyngtońskim ruchu przewidzenie, gdzie dokładnie ktoś będzie się znajdował w danej chwili, było praktycznie niewykonalne - w grę wchodziły stłuczki, usterki mechaniczne, przebite opony, które opóźniały i zmieniały kierunki ruchu innych jadących. Jeśli dodać do tego czynnik ludzki - na przykład przespany budzik czy przystanek na kawę - Swain nie bardzo widział, jak można by coś takiego przeprowadzić, jak ktoś zdołałby tak precyzyjnie wyliczyć czas.

A poza tym - za to Swain dałby sobie uciąć rękę - kierowca Franka nie jeździł codziennie tą samą trasą. To była podstawa. Vinay by na to nie pozwolił.

Więc, logicznie rzecz biorąc, ten wypadek musiał być tylko wypadkiem.

Ale skutek był taki sam. Frank został wykluczony z gry, był nieosiągalny. Swain od lat

siedział głównie w terenie, rozpracowując wszelkiej maści powstańców i bojówki w Ameryce Południowej; w kwaterze głównej CIA spędził naprawdę niewiele czasu. Nie znał tam zbyt wielu ludzi, a oni nie znali jego. Rzadkie kontakty z centralą uważał zawsze za plus, ale teraz postawiło go to w trudnej sytuacji, bo nikogo nie znał na tyle dobrze, by móc mu zaufać.

Więc nie będzie już pomocy z Langley, nie będzie więcej próśb o informacje. Swain próbował rozpatrzeć pod wszystkimi kątami, co to oznacza dla jego misji. Uznał, że ma dwie możliwości — natychmiast wykonać zleczone zadanie, a potem modlić się, by Frank przeżył i wytropił tę cholerną wtyczkę; albo zostać tutaj, rozpracować z Lily system zabezpieczeń Nervich i od tego końca spróbować się dowiedzieć, kim jest szpieg. Wolał tę drugą. Po pierwsze, już był w Paryżu, a po drugie, choćby zabezpieczenia kompleksu Nervich okazały się nie wiadomo jak dobre, będą niczym w porównaniu z zabezpieczeniami w Langley.

No i pozostawała jeszcze Lily. Podobała mu się od samego początku, ale im więcej czasu z nią spędzał, im lepiej ją poznawał, tym bardziej go pociągała. Angażował się w to bardziej, niż kiedykolwiek planował, ale wciąż nie dość głęboko. Chciał więcej.

Tak, zostanie tutaj i zrobi, co w jego mocy, by samodzielnie rozpracować tę sprawę. Zgodził się uczestniczyć w planowanym przez Lily włamaniu do laboratorium z czystej ciekawości - z ciekawości i z chęci dobrania jej się do majtek - ale teraz musiał się do tego wziąć na poważnie. No i nie był całkiem sam; miał Lily, która nie jest nowicjuską, i miał swojego tajemniczego informatora. Kimkolwiek jest ten człowiek, ma na tyle wysoką pozycję, by wiedzieć, co się dzieje, a ostrzegając Swaina, dowiódł, że stoi po dobrej stronie mocy.

Dzięki sprytniej funkcji komórki umożliwiającej identyfikację przychodzących połączeń znał numer tego faceta. W dzisiejszych czasach człowiek właściwie nie może wykonać ruchu, nie zostawiając jakiegoś elektronicznego czy papierowego śladu. Czasami było to błogosławieństwem, a czasami przekleństwem - zależnie od tego, czy było się szukającym czy poszukiwanym.

Może ten mężczyzna zna nawet nazwisko wtyczki, chociaż Swain wątpił w to. Skoro postanowił go ostrzec, to raczej podały mu i nazwisko, gdyby je znał.

Nigdy jednak nie wiadomo, ile informacji tak naprawdę ktoś posiada, nawet o tym nie wiedząc, ile skrawków i fragmentów, których nie potrafi połączyć w sensowną całość. Jedyńy sposób, by się tego dowiedzieć, to zapytać.

Nie chciał oddzwaniać do tajemniczego informatora ze swojej komórki, bo gdyby facet wolał z nim nie rozmawiać, nie odebrałyby połączenia, widząc jego numer na wyświetlaczu. Nie chciał też, by informator wiedział, że zatrzymał się w Bristolu; tak było po prostu bezpieczniej. W dniu przyjazdu do Francji kupił kartę telefoniczną; nie sądził, że jej kiedykolwiek użyje, ale wolał ją mieć na wszelki wypadek, gdyby na przykład niespodziewanie wyczerpała mu się bateria w komórce. Teraz wyszedł z hotelu, ruszył ulicą Faubourg-Saint-Honore. minął pierwszą budkę telefoniczną i zdecydował się na następną, kawałek dalej.

Uśmiechał się, wybierając numer, ale nie był to wesoły uśmiech. Słuchając sygnału w słuchawce, spojrzął na zegarek: pierwsza czterdzieści trzy w nocy. Pewnie wyciągnie gościa z łóżka; należało mu się za to, że tak się niegrzecznie rozłączył.

- Halo?

Ton był nieufny, ale Swain rozpoznał głos.

- Cześć - rzucił wesoło. - Chyba panu nie przeszkadzam? Proszę się nie rozłączać. Jeśli będzie pan grzeczny, to skończy się na telefonie. Ale jeśli się pan rozłączy, odwiedzę pana osobiście.

Mężczyzna milczał przez chwilę.

- Czego pan chce? - spytał wreszcie po francusku.

- Niczego specjalnego. Po prostu muszę wiedzieć wszystko, co pan wie.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Swain usłyszał, że mężczyzna rozmawia po cichu z jakąś kobietą. Choć odsunął słuchawkę od ust, Swain wychwycił coś w rodzaju „odbioru na dole”.

Więc był w domu.

Mężczyzna wrócił do rozmowy.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytał rzeczowo. Ściemnia na użytek żony, pomyślał Swain.

- Na dobry początek może mi pan podać nazwisko.

- Wtyczki? - Widocznie był już poza zasięgiem "słuchu żony, bo przeszedł na angielski.

- To też, oczywiście, ale myślałem o pańskim. Mężczyzna znów milczał przez chwilę.

- Byłoby lepiej, gdyby go pan nie znał.

- Lepiej dla pana, a mnie nie zależy, żeby panu było lepiej.

- Ale mnie zależy, monsieur. - Zabrzmiało to stanowczo, facet nie był jednak byle mięczakiem. - Ryzykuję życie swoje i swojej rodziny. Rodrigo Nervi nie jest człowiekiem, który puściłby płazem zdradę.

- Pracuje pan dla niego?

- Nie. Nie w tym sensie.

- Albo panu płaci, albo nie. Czyli?

- Ja mu przekazuję pewne informacje, a on nie zabija mojej rodziny. Tak, płaci mi. Te pieniądze obciążają mnie jeszcze bardziej. - W cichym głosie zabrzmiała gorycz. - Ale traktuję to jako odszkodowanie i nie chcę o tym mówić.

- Rozumiem. - Swain przestał zgrywać cwanego twardziela i trochę złagodził ton. - Zastanawia mnie jedna rzecz. Skoro Nervi zdobył informacje na mój temat, musiał wiedzieć, że tu jestem. W jaki sposób dowiedział się o moim istnieniu?

- Próbował ustalić tożsamość jednej z waszych kontraktowych agentek. O ile wiem, wyłapał ją program do identyfikacji twarzy. Szpieg udostępnił Nerviemu jej dossier; była w nim notka, że wysłano pana, by zapobiegł pan dalszym problemom, jakich mogłaby przysporzyć.

- Skąd wiedział, że to agentka kontraktowa?

- Nie wiedział. Sprawdzał kilka różnych baz identyfikacyjnych.

Więc to stąd Rodrigo miał zdjęcie Lily bez charakteryzacji. I jej prawdziwe nazwisko.

- Czy Nervi zna moje nazwisko?

- Nie potrafię powiedzieć. Jestem łącznikiem między CIA a Nervim, ale nie podawałem mu pańskiego nazwiska. Poprosił mnie tylko o pański telefon.

- Dlaczego?

- Żeby zaproponować panu interes, o ile wiem. Dużo pieniędzy w zamian za wszelkie informacje na temat miejsca pobytu tej kobiety.

- Na jakiej podstawie sądzi, że przyjmę taką ofertę?

- Pan jest siłą najemną, tak?

- Nie - odparł Swain.

- Nie jest pan agentem kontraktowym?

- Nie. - Nie powiedział nic więcej. Skoro przysłało go CIA, a nie był najemnikiem, mógł być tylko oficerem terenowym. Ten człowiek jest zapewne na tyle bystry, by się tego domyślić.

- Aha. - W słuchawce dał się słyszeć świszczący wdech. - Więc podjąłem właściwą decyzję.

- To znaczy?

- Nie dałem mu pańskiego numeru.

- Mimo że pańska rodzina jest zagrożona?

- Jestem kryty. Rozmawiałem z młodszym bratem Rodriga, Damonem, który jest... z trochę innej gliny. Inteligentny i rozsądny. Uświadomiłem mu ryzyko, jakim byłby kontakt z osobą

pracującą w CIA. Gdy wytłumaczyłem, że ów człowiek domyśli się, że jego telefon musiał zdradzić ktoś z Agencji, a co więcej, może być bardzo lojalny wobec swojego kraju, Damone uznał moją rację. Obiecał powiedzieć Rodrigowi, że ten wysłannik CIA, czyli pan, kupił sobie telefon tu w Paryżu, i nie kontaktował się jeszcze z kwaterą główną, więc numer jest nieosiągalny.

To miało sens. Rodrigo zapewne nie wiedział, że oficerowie terenowi poza granicami kraju używają albo bezpiecznych komórek, albo telefonów satelitarnych.

Z całego tego wyjaśnienia wynikało jeszcze jedno: aby jego rozmówca mógł przekazywać Nerviemu informacje z CIA, musiał zajmować pozycję, która pozwalała mu je uzyskiwać.

- Skąd pan jest? - zapytał Swain. - Z Interpolu?

Usłyszał kolejny świszczący wdech i pomyślał triumfalnie: bingo! Trafiony, zatopiony. Wyglądało na to, że Salvatore Nervi wtykał paluchy w mnóstwo zakazanych miejsc.

- Czyli teraz odgrywa się pan na Nervim, nie narażając rodziny. Bo nie może pan otwarcie odmówić jego prośbom?

- Mam dzieci, monsieur. Może pan nie rozumie...

- Ja też mam dzieci, więc doskonale rozumiem.

- Zabiłby je bez wahania, gdybym nie współpracował. Zresztą tym razem też nie odmówiłem; to jego brat podjął decyzję.

- A skoro i tak znał pan mój numer, pomyślał pan, że użyje go w dobrej sprawie i anonimowo ostrzeże mnie przed szpiegiem.

- *Oui*. Dochodzenie wszczęte na podstawie wewnętrznych podejrzeń jest traktowane zupełnie inaczej niż podjęte na podstawie informacji z zewnątrz.

- Zgadza się. - Ten facet chciał, żeby szpieg został złapany; chciał, by ten kanał kontaktu został zamknięty. Musiał się czuć winny, przez lata przekazując informacje, i pragnął się choć trochę zrehabilitować. - Jak duże szkody pan wyrządził?

- Jeśli chodzi o bezpieczeństwo wewnętrzne, bardzo niewielkie, monsieur. Gdy jestem o nie proszony, muszę przekazać przynajmniej *soupcou* wiarygodnej informacji, ale zawsze usuwałem istotne fragmenty.

Swain przyjął to do wiadomości. Ostatecznie facet miał sumienie, bo inaczej by go nie ostrzegł.

- Zna pan nazwisko wtyczki?

- Nie, nigdy nie używaliśmy nazwisk. On mojego też nie zna. To znaczy prawdziwego nazwiska. Mamy identyfikatory.

- Więc jak przekazuje panu informacje? Zakładam, że przesyła je ustalonymi kanałami, żeby wszystkie zeskanowane i przefaksowane dokumenty docierały tylko do pana.

- Założyłem fikcyjną tożsamość na moim domowym komputerze, na potrzeby przesyłek elektronicznych, które zresztą stanowią większość przekazywanych danych. Bardzo rzadko używamy faksu. Takie rzeczy można namierzyć, zakładając oczywiście, że ktoś wie, czego szukać. Do konta mam dostęp z mojego... uciekło mi słowo. Kieszonkowy komputer, w którym notuje się terminy...

- Palmtop.

- *Oui*. Palmtop.

- A kontaktowy numer telefonu...

- To numer komórki, bo zawsze jest pod nim dostępny.

- Czy kazał pan namierzyć ten numer?

- My nie prowadzimy dochodzeń, monsieur, my tylko koordynujemy.

Swain wiedział, że status Interpolu zabrania tej instytucji prowadzenia własnych dochodzeń. Facet właśnie potwierdził, że jest z Interpolu.

- Jestem pewien, że ta komórka została zarejestrowana na fałszywe nazwisko - ciągnął Francuz. - Sądzę, że bez trudu mógł zrobić coś takiego.

- Rzeczywiście, to żaden problem - przyznał Swain, masując nasadę nosa. Nietrudno zdobyć fałszywe dokumenty, zwłaszcza w ich zawodzie. Lily, uciekając przed Rodrigiem, użyła trzech różnych paszportów. Dla kogoś pracującego w Langley musiało to być jeszcze łatwiejsze.

Jak można by przyszpilić tego faceta? - zastanawiał się.

- Jak często się kontaktujecie? - spytał.

- Czasami nie kontaktujemy się przez kilka miesięcy. Ale w ciągu ostatnich kilku dni dwa razy.

- Więc trzeci kontakt w tak krótkim czasie byłby czymś niezwykłym?

- Tak. Ale czy on by coś podejrzewał? Naprawdę nie wiem. Coś panu przyszło do głowy?

- Przyszło mi do głowy, monsieur, że jest pan między młotem a kowadłem, i bardzo chciałby się stamtąd wydostać. Mam rację?

- Między młotem a... Ach, rozumiem. Rzeczywiście bardzo bym chciał.

- Będzie mi potrzebne nagranie następnej pańskiej rozmowy z nim. Jeśli pan chce, proszę wyłączyć nagrywanie, kiedy pan będzie mówił. Treść rozmowy nie jest ważna, tylko głos.

- Będzie pan miał ślad głosowy.

- Potrzebuję też urządzenia, którego pan użyje do zapisu. Wtedy wystarczy tylko, że dopasuję głos do osoby. - Analiza głosu była niezawodną metodą; wraz z analizą twarzy używano jej do odróżniania Saddama Husajna od jego sobowtórów. Głos jest wytworem niepowtarzalnego układu krtani, strun głosowych, dróg oddechowych i ust, więc trudno go imitować. Nawet paradyści nie potrafią idealnie naśladować czyjegoś głosu. Odchylenia wynikają z różnic mikrofonów, urządzeń rejestrujących, odtwarzaczy i tak dalej. Posiadanie tego samego urządzenia rejestrującego eliminuje ten problem.

- Zrobię to - powiedział Francuz. - To zagrożenie dla mnie i moich bliskich, ale przy pańskiej pomocy ryzyko jest do zaakceptowania.

- Dziękuję - odparł Swain. - Czy chce pan pójść krok dalej i całkowicie wyeliminować to zagrożenie?

Po bardzo długiej chwili ciszy mężczyzna spytał:

- Jak by pan to zrobił?

- Ma pan kontakty, którym może ufać?

- Oczywiście.

- Kogoś, kto mógłby zdobyć specyfikację systemu zabezpieczeń pewnego kompleksu?

- Specyfikację?

- Dokumentację. Szczegóły techniczne.

- Domyślam się, że ten kompleks należy do organizacji Nervich?

- Tak. - Swain podał mu nazwę i adres laboratorium.

- Zobaczę, co się da zrobić.

## Rozdział 22

Lily uśmiechnęła się, gdy następnego ranka zadzwoniła jej komórka. Spodziewała się kolejnej dawki wygłaszanych pół żartem pół serio obscenicznych propozycji Swaina, odebrała więc, nie patrząc na wyświetlacz.

- Halo!

- Mademoiselle Mansfield? - Głos, który usłyszała, nie należał do Swaina. Był elektronicznie zniekształcony, by nie dało się rozpoznać rozmówcy; słowa brzmiały, jakby dochodziły z dna

beczki.

Lily zdreptała ze strachu i już miała się rozłączyć, ale błyskawicznie odzyskała spokój i rozsądek. To, że ktoś miał numer jej komórki, nie znaczyło jeszcze, że wiedział, gdzie jej szukać. Telefon był zarejestrowany na jej prawdziwe nazwisko; mieszkanie i wszystko, co się z nim wiązało, było na nazwisko Claudii Weber. Prawdę mówiąc, uspokoiło ją, że rozmówca zwrócił się do niej per „Mansfield”; jej fałszywa tożsamość wciąż była bezpieczna.

Kto miał dostęp do tego numeru? Była to jej prywatna komórka, której używała wyłącznie do załatwiania spraw osobistych. Numer znali Tina, Averill i Zia; no i Swain. Kto jeszcze? Kiedyś miała spory krąg znajomych, ale to było jeszcze w czasach „przedkomórkowych”; od dnia, gdy znalazła Zię, krąg znajomych kurczył się, w miarę jak coraz więcej czasu poświęcała dziecku, a zmalął jeszcze bardziej po katastrofie z Dmitrim. Nie przychodził jej do głowy nikt poza Swainem, kto mógłby znać ten telefon.

- Mademoiselle Mansfield? - powtórzył zniekształcony głos.

- Tak - odparła, zmuszając się do spokoju. - Skąd pan ma ten numer?

Zignorował pytanie.

- Pani mnie nie zna, ale ja znałem pani przyjaciół, Joubranów. - Mówił po francusku.

Słowa brzmiały dziwnie, nawet pomijając zniekształcenie maskujące głos, jakby ten ktoś miał problem z mówieniem. Lily zeszytniała jeszcze bardziej na wzmiankę o jej przyjaciółach.

- Kim pan jest?

- Proszę wybaczyć, ale to musi pozostać tajemnicą.

- Dlaczego?

- Tak jest bezpieczniej.

- Bezpieczniej dla kogo? - zapytała cierpko.

- Dla nas obojga.

Okej, mogła to uznać.

- Dlaczego pan dzwoni?

- To ja wynająłem pani przyjaciół, by zniszczyli laboratorium. Nie chciałem, żeby stało się to, co się stało. Nikt nie miał zginąć.

Lily po omacku znalazła krzesło za plecami i opadła na nie. Chciała odpowiedzi i oto bez ostrzeżenia odpowiedzi same do niej przysły. Przysłowie „darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby” walczyło w jej umyśle z innym, „strzeż się Danajów, gdy przynoszą dary”. Kim był ten człowiek: koniem czy Danajem?

- Dlaczego pan ich wynajął? - spytała po chwili. - I dlaczego dzwoni pan do mnie?

- Pani przyjaciele odnieśli sukces... tymczasowy. Niestety badania podjęto na nowo i należy je powstrzymać. Pani pragnie zemsty. Dlatego zabiła pani Salvatore Nerviego. Więc chciałbym panią wynająć, by dokończyła tę misję.

Zimny pot pociekł jej po kręgosłupie. Skąd on wiedział, że zabiła SaWatore? Oblizła zaschnięte nagle usta, ale postanowiła nie drążyć tego tematu. Skoncentrowała się na reszcie jego wypowiedzi. Ten mężczyzna chciał ją wynająć do czegoś, co i tak planowała. Chciało jej się śmiać z ironii losu, tyle że czuła raczej gorycz niż rozbawienie.

- Na czym dokładnie polega ta misja?

- Istnieje pewien wirus, wirus ptasiej grypy. Doktor Giordano zmodyfikował go tak, by mógł przenosić się z człowieka na człowieka, wywołać pandemię i tym samym ogromny popyt na szczepionkę, którą również opracował. Ludzie nie mają odporności na tego wirusa, bo rodzaj ludzki nie zetknął się z nim nigdy wcześniej. Aby wywołać jeszcze większą panikę, doktor Giordano zmodyfikował wirusa w taki sposób, by największą szkodę wyrządzał dzieciom,

których system odpornościowy nie jest jeszcze w pełni rozwinięty. Umrą miliony, mademoiselle. To będzie epidemia większa niż ta w tysiąc dziewięćset osiemnastym, kiedy to, według szacunków, zmarło kilkadziesiąt milionów ludzi.

Największą szkodę wyrządza dzieciom. Lily poczuła mdłości na myśl, że miała rację - zagrożenie życia Zii popchnęło Averilla i Tinę do tej akcji, która skończyła się ich śmiercią. Miała ochotę krzyknąć, że to niesprawiedliwe, że to okrutny żart losu. Zaciśnęła pięści, walcząc o samokontrolę, o poskromienie furii i bólu, które wzbierały w jej gardle niczym lawa.

- Wirus został już udoskonalony. Gdy tylko szczepionka będzie gotowa, paczki z wirusem zostaną wysłane do największych miast świata, gdzie ludzie mają ze sobą najczęstszy kontakt. Grypa rozprzestrzeni się błyskawicznie. Wybuchnie światowa panika, umrą miliony ludzi. Wtedy doktor Giordano ogłosi, że opracował szczepionkę przeciw ptasiej grypie, a organizacja Nervich będzie mogła dyktować ceny. Zbiją niewyobrażalną fortunę.

Bez wątpienia. To była klasyka: zyskać kontrolę nad towarem, a potem stworzyć popyt. De Beers robili tak z diamentami - ograniczając liczbę kamieni na rynku, sztucznie zawyżali ceny. Diamenty wcale nie są takie rzadkie, ale ich podaż jest starannie kontrolowana. Podobnie było z ropą naftową i OPEC, tyle że w przypadku ropy świat sam stworzył popyt.

- Skąd pan to wszystko wie? - zapytała gniewnie. - Dlaczego nie doniósł pan o tym władzom?

Nastąpiła chwila ciszy; w końcu zmodulowany głos powiedział:

- Salvatore Nervi miał rozmaite powiązania polityczne, wielu ludzi na wysokich stanowiskach było mu winnych przysługi. Dlatego musiałem wynająć zawodowców.

Niestety miał rację. Wielu wpływowych polityków siedziało w kieszeni Salvatore, zapewniając mu nietykalność.

Lily nie miała pojęcia, z kim rozmawia. Nie wiedziała, czy ten człowiek mówi prawdę, czy może to Rodrigo zdobył numer jej komórki i podstępem chciał ją wywabić z kryjówki.

- Zrobi pani to? - zapytał.

- Jak mogę się zgodzić, skoro nie wiem, kim pan jest? Jak mogę panu zaufać?

- Rozumiem, że to trudna sytuacja, ale nic na to nie poradzę.

- Nie jestem jedyną osobą, którą może pan wynająć.

- Nie, ale pani ma najsilniejszą motywację, a poza tym jest pani na miejscu. Nie mogę marnować czasu na szukanie kogoś innego.

- Tina Joubran była ekspertem od systemów zabezpieczeń. Ja nie jestem.

- Nie musi pani być. To ja dostarczyłem Joubranom szczegółowe informacje o systemie w laboratorium.]

- Na pewno został zmieniony po sierpniowym incydencie.

- Owszem, został. Te informacje również zdobyłem.

- Skoro pan to wszystko wie, widocznie pracuje pan w laboratorium. Mógłby pan sam zniszczyć wirusa.

- Są powody, dla których nie mogę tego zrobić.

Znów wychwyciła tę dziwną trudność, z jaką mówił, i przyszło jej do głowy, że może jej rozmówca jest niepełnosprawny.

- Zapłacę pani milion dolarów.

Lily potarła czoło. Coś było nie tak, suma była o wiele za duża. Jej wewnętrzny alarm rozdzwonił się na całego.

- Jest jeszcze jedna sprawa - ciągnął mężczyzna. - Doktor Giordano również musi zostać zabity. Jeśli przeżyje, powtórzy swój sukces z jakimś innym wirusem. Wszystko musi ulec zniszczeniu: doktor, jego dokumentacja badawcza, pliki komputerowe, sam wirus. Wszystko. To

był błąd, który popełniłem za pierwszym razem. Nie byłem dokładny.

Nagle milion dolarów przestał się wydawać wygórowaną sumą. Wszystko, co powiedział ten człowiek, było rozsądne i wyjaśniało wiele jej wątpliwości, ale wrodzona ostrożność nie pozwalała Lily mu zaufać.

- Nie mogę w tej chwili podjąć decyzji - powiedziała. - Muszę przemyśleć kilka spraw.

- Rozumiem. Podejrzewa pani, że to może być pułapka. Mądrze pani robi, biorąc pod uwagę różne ewentualności, ale liczy się również czas. Sądzę, że zadanie, które pani zaproponowałem, i tak było pani celem, a z moją pomocą ma pani większe szanse powodzenia. Im dłużej pani czeka, tym większe niebezpieczeństwo, że Rodrigo Nervi panią wyśledzi. Jest inteligentny i bezwzględny, a pieniądze nie są dla niego przeszkodą. Ma ludzi w całym Paryżu, w całej Europie, w sklepach i na komisariatach policji, więc wcześniej czy później panią znajdzie. Za pieniądze, które pani zapłaci, będzie pani mogła skutecznie zniknąć.

Miał rację. Milion dolarów ogromnie poprawiłby jej sytuację. Mimo to nie mogła z miejsca przyjąć tej oferty, nie mogła zignorować ewentualności, że to przynęta, która ma ją zaślepić i wciągnąć w pułapkę.

- Proszę to wszystko przemyśleć. Jutro znów do pani zadzwonię. I muszę mieć pani odpowiedź albo rozważyć inne opcje.

Rozłączył się. Lily odruchowo sprawdziła listę połączeń, ale nie zdziwiła się, widząc, że identyfikacja numeru została zablokowana; człowiek, który dysponował milionem dolarów na wynajęcie sabotażysty, bez wątpienia mógł sobie też pozwolić na wielowarstwowe zabezpieczenia.

Ale czy ktoś tak bogaty może być pracownikiem laboratorium? Mało prawdopodobne. Więc skąd miał te informacje? W jaki sposób zdobył plany systemu ochrony?

Od tego, kim był i jak zdobył informacje, zależało wszystko. Mógł być partnerem Salvatore i wystraszył się na myśl o wszystkich niewinnych ludziach, którzy zginą - choć doświadczenie mówiło jej, że osobnicy tacy jak Nervi i jemu podobni mają gdzieś, kto umrze i ile będzie ofiar, byle tylko oni osiągnęli cel.

A może zadzwonił do niej sam Rodrigo i powiedział prawdę o swoim przedsięwzięciu, by ją zwabić w pułapkę? Był wystarczająco inteligentny i zuchwały, by uknuć i przeprowadzić taką intrygę, z najdrobniejszymi szczegółami, które nadawały jej pozory wiarygodności - jak na przykład prośba, żeby zabiła doktora Giordano.

Miał też środki, by zdobyć numer jej komórki.

Ręce jej się trzęsły, gdy wybierała numer Swaina.

Odebrał po trzecim sygnale, wyraźnie zaspany.

- Dzień dobry, ślicznotko.

- Coś się wydarzyło - oznajmiła, ignorując jego pozdrowienie. - Muszę się z tobą zobaczyć.

- Mam po ciebie wpaść czy chcesz przyjechać tutaj? - spytał, natychmiast przytomniejąc.

- Przyjedź po mnie - odparła. Ostrzeżenie jej rozmówcy, że Rodrigo ma ludzi w całym Paryżu, trochę ją wystraszyło; czuła się w miarę bezpieczna w metrze z zakrytymi włosami i w ciemnych okularach, ale fakt, że tak łatwo wytropił ją ktoś, kto najwyraźniej wiedział o wszystkim, wytrącił ją z równowagi. Większość paryżan korzystała z metra, bo korki były koszmarnie. Zaopatrzenie ludzi w rysopis i postawienie ich, by obserwowali pociągi, nie wymagało geniuszu.

- Zależnie od ruchu, będę u ciebie za... och, od dwóch godzin do dwóch dni.

- Zadzwon, jak będziesz blisko; wyjdę na ulicę - powiedziała i rozłączyła się, nie odpowiadając na jego żart.

Wzięła prysznic i ubrała się w swoje dyżurne spodnie i botki. Wyjrząwszy za okno, przekonała się, że dzień jest na szczęście słoneczny, więc nie będzie wyglądała dziwnie w



ciemnych okularach. Upięła włosy, by móc je przykryć kapeluszem, usiadła przy małym stoliku i starannie sprawdziła broń, po czym włożyła do torebki dodatkową amunicję. Ten telefon porządnie ją wystraszył, a to nie zdarzało jej się często.

- Dojadę za pięć minut - zaanonsował się Swain godzinę i piętnaście minut później.

- Będę czekać - odparła Lily. Włożyła kurtkę i kapelusz, wsunęła na nos okulary, złapała torebkę i zbiegła po schodach. Usłyszała odgłos potężnego silnika samochodu prującego wąską, krętą uliczką z wariacką prędkością; nagle srebrne auto wpadło w jej pole widzenia i zatrzymało się z piskiem hamulców wprost przed nią. Było już w ruchu, nim zdążyła zamknąć drzwi.

- Co się dzieje? - zapytał Swain bez zwykłej dla siebie przekory w głosie. On też miał ciemne okulary, a auto prowadził szybko, ale bez wygłupów.

- Ktoś zadzwonił do mnie na komórkę - wyjaśniła, zapinając pas. - Nie dawałam numeru nikomu oprócz ciebie, więc odebrałam, nie patrząc na wyświetlacz. Zresztą i tak niewiele by mi z tego przyszło, bo identyfikacja była zablokowana. Głos był elektronicznie zniekształcony, ale to był mężczyzna. Zaproponował mi milion dolarów za zniszczenie laboratorium i zabicie prowadzącego je doktora.

- Mów dalej - powiedział Swain, redukując bieg przed ostrym zakrętem.

Lily opowiedziała mu przebieg całej rozmowy, ze wszystkimi szczegółami, jakie zdołała zapamiętać. Kiedy doszła do części o wirusie ptasiej grypy, Swain mruknął cicho: „Jasna cholera” i wysłuchał reszty już bez komentarzy.

Gdy skończyła, powiedział:

- Jak długo rozmawialiście?

- Jakies pięć minut. Może trochę dłużej.

- Więc na tyle długo, by można było namierzyć twoją pozycję. Nie dokładną, ale mniej więcej okolicę. Jeśli to był Nervi, może sygnąć na ten teren ludzi, którzy zaczną pokazywać twoje zdjęcie i w końcu trafią.

- Nie zawierałam tutaj żadnych znajomości. Mieszkanie jest wynajęte od kogoś, kto wyjechał z kraju.

- To nie zaszkodzi, ale twoje oczy są bardzo charakterystyczne. Każdy, kto cię widział, musiał je zapamiętać.

- Dzięki - odparła kwaśno.

- Myślę, że powinnaś zabrać z mieszkania wszystko, czego potrzebujesz i zatrzymać się u mnie. A już na pewno do czasu, kiedy ten człowiek znów zadzwoni. Jeśli to Nervi i dokona kolejnego namiaru, wyjdzie mu zupełnie inna dzielnica i to go zmyli.

- Pomyśli, że zmieniam miejsce pobytu, a nie siedzę w jednym konkretnym.

- Możliwe też, że zakłócenia powodowane przez sam hotel nie pozwolą wychwycić sygnału. Budynki potrafią strasznie utrudnić życie elektroniczne.

Zatrzymać się u niego. To był niezły plan; byliby razem, nie musiałyby się meldować, no i kto by jej szukał w luksusowym hotelu?

Pomysł miał sporo plusów i tylko jeden minus: wciąż miała opory przed zbliżeniem, a nie była na tyle naiwna, by sądzić, że do tego nie dojdzie, jeśli będą sypiać w tym samym pokoju. Miała wprawdzie większe zmartwienia niż pójście z nim do łóżka, jednak wciąż się wahała.

Swain posłał jej spojrzenie mówiące wyraźnie, że odgadł jej myśli, ale nie zaczął zapewniać, że będzie trzymał łapy przy sobie i nie spróbuje wykorzystać sytuacji. Oczywiście, że wykorzysta.

- Zgoda - rzekła wreszcie.

Nie triumfował; nawet się nie uśmiechnął. Powiedział tylko:

- Dobrze. A teraz opowiedz mi jeszcze raz o wirusie grypy. Znam w Atlancie kogoś, kto

będzie mógł mi powiedzieć, czy to wszystko jest prawdopodobne, zanim polecimy ratować świat przed jakimś pomysłem wyssanym z palca.

Powtórzyła wszystko, co zapamiętała, a tymczasem on przedzierał się przez wąskie uliczki Montmartre'u. Zatrzymując samochód, spytał:

- Chcesz pojeździć w kółko przez kilka minut, kiedy ja pójde do mieszkania i sprawdzę, czy nikogo tam nie ma?

Lily poklepała się po cholewce buta.

- Dzięki, ale sama to mogę zrobić.

- No to ja będę krążył, na ile da się krążyć po tym labiryncie, i w międzyczasie wykonam telefon.

- Dobra.

Weszła po schodach, z których schodziła niecałe pół godziny temu. Gdy opuszczała mieszkanie, wyrwała włos, zmoczyła go i przylepiła między drzwiami a futryną kilka centymetrów nad podłogą. Teraz schyliła się i odetchnęła z ulgą, widząc, że włos jest na miejscu. Otworzywszy drzwi, pospiesznie zebrała ubrania i przybory toaletowe. Jeden Bóg wiedział, kiedy - i czy w ogóle - będzie mogła wrócić po resztę rzeczy.

## Rozdział 23

Chyba każdy ma kilkoro przyjaciół, których numer telefonu pamięta przez całe życie. Jednak Micah Sunner nie należał do tej grupy, więc kiedy Lily poszła do mieszkania po rzeczy, Swain, klucząc po wąskich uliczkach, usiłował przebrnąć przez niekończące się elektroniczne menu informacji telefonicznej w Stanach. Nie miał nic do pisania, a już tym bardziej trzeciej ręki, którą mógłby to zrobić. Gdy komputerowy głos zapytał, czy życzy sobie, by go połączyć, mruknął „tak, do cholery”, i wcisnął guzik odpowiadający w menu komendzie „tak, do cholery”.

Po piątym sygnale zaczął wątpić, czy ktokolwiek odbierze. Ale po szóstym usłyszał szamotaninę ze słuchawką i chwilę później mocno zaspany głos:

- Tak, słucham.

- Micah? Tu Lucas Swain.

- A niech mnie. - Rozległo się potężne ziewnięcie. - Nie odzywałeś się od wieków. I wcale nie jestem zachwycony, że się odzywasz teraz. Wiesz, która jest godzina?

Swain spojrzał na zegarek.

- Policzmy; tu jest dziewiąta, więc u was będzie... trzecia nad ranem, tak?

- Dupek. - Stwierdzenie to przeszło w kolejne ziewnięcie. - Okej, więc dlaczego mnie budzisz? Mam nadzieję, że to coś ważnego.

- Nie mam pojęcia, czy jest ważne czy nie. - Swain trzymał telefon między brodą a ramieniem, by móc zmieniać biegi. - Co wiesz o ptasiej grypie?

- O ptasiej grypie? Jaja sobie robisz czy co?

- Nie, jestem poważny jak atak serca. Czy ptasia grypa jest niebezpieczna?

- Nie dla dzikiego ptactwa, ale dla domowego owszem. Pamiętasz, jak mówili w wiadomościach kilka lat temu... to był chyba dziewięćdziesiąty siódmy... że w Hongkongu pojawiło się ognisko ptasiej grypy i wybili prawie dwa miliony sztuk drobiu, żeby je zlikwidować?

- Tam, gdzie wtedy pracowałem, trudno trochę było o telewizor. Więc toto zabija ptaki?

- Tak. Nie sto procent, ale sporo. Problem w tym, że czasem wirus mutuje i przenosi się z ptaków na człowieka.

- Czy to bardziej niebezpieczne niż zwykła grypa?

- Znacznie bardziej. To wirus, którego organizm nie spotkał nigdy wcześniej, więc system odpornościowy nie ma mechanizmów obronnych i chorujesz jak wszyscy diabli. I umierasz albo nie.

- To pocieszające.

- Do tej pory mieliśmy szczęście. Było kilka mutacji, które umożliwiły zarażenie się człowieka od ptaków, ale żaden z wirusów nie dokonał magicznej sztuczki, która pozwalałaby mu na przenoszenie się z człowieka na człowieka. Jak powiedziałem, do tej pory. Już dawno powinien się pojawić zmutowany wirus, który zaatakuje ludzkość, ale ten z Hongkongu nie wygląda na mutanta; to raczej zwykły wirus ptasiej grypy. Chociaż atakuje również ludzi. Jeśli dojdzie do niewielkiej mutacji, która jest potrzebna do przenoszenia się wirusa między ludźmi, znajdziemy się w poważnych tarapatkach, bo będziemy mieć na niego znacznie mniejszą odporność niż na jakikolwiek szczep, z jakim zetknęliśmy się w przeszłości.

- A co ze szczepionką na to świństwo? - Swain wyjechał zza zakrętu i zobaczył kamienicę Lily, ale Lily nie stała na ulicy z całym swoim ziemskim dobytkiem, minął więc budynek, by wykonać kolejną pętlę.

- Nie będzie szczepionki. Nowe wirusy uderzają błyskawicznie, a szczepionki testuje się miesiącami, zanim można je wprowadzić do masowego użytku. Zanim opracujemy skuteczną szczepionkę, umrze mnóstwo ludzi. W przypadku ptasiej grypy o szczepionkę jest jeszcze trudniej niż przy zwykłych rodzajach grypy, bo hoduje się ją w jajach, a - uwaga, uwaga - ptasia grypa zabija jaja.

- Czy CDC mocno się tym martwi?

- Chyba żartujesz. Grypa uśmierca o wiele więcej ludzi niż egzotyczne choroby, którym media poświęcają najwięcej uwagi, na przykład gorączka krwotoczna.

- Więc gdyby jakieś laboratorium opracowało szczepionkę z wyprzedzeniem, a potem wypuściło wirusa, mogłoby zarobić spore pieniądze?

- Czekaj no, Swain. - Z głosu Micaha wyparowała cała senność. - Czy ty mówisz o tym, o czym myślę? To prawdopodobny scenariusz?

- Dopiero o tym usłyszałem, jeszcze nie sprawdziłem. Nie wiem, czy jest w tym choćby ziarno prawdy. Najpierw chciałem się dowiedzieć, czy to prawdopodobne.

- Prawdopodobne? To genialne, ale to najgorszy koszmar. Od kilku lat gramy w rosyjską ruletkę, po świecie krążą tylko zwykłe szczepy ptasiej grypy, ale wstrzymujemy oddech i próbujemy opracować niezawodną metodę produkcji szczepionki, zanim jeden z tych cholernych mikrobow rzuci się na ludzkość. W skali całego świata, nawet przy zastosowaniu leków przeciw wirusowych i wszelkich metod leczenia powikłań, umrą miliony.

- Czy dzieci ucierpią najbardziej?

- Oczywiście. Dzieci nie mają w pełni rozwiniętego systemu odpornościowego. Nie miały kontaktu z tak wieloma mikroorganizmami jak dorośli.

- Dzięki, Micah, to właśnie chciałem wiedzieć. - Co prawda nie to wolałby usłyszeć, ale teraz przynajmniej wiedział, z czym ma do czynienia.

- Nie rozłączaj się! Swain, czy coś takiego się kroi? Musisz mi powiedzieć, nie możesz pozwolić, żeby coś takiego dopadło nas bez ostrzeżenia.

- Nie pozwolę. - A przynajmniej taką miał nadzieję. Wiedział, że musi podjąć jakieś kroki na wypadek niepowodzenia. - To tylko plotka, nic konkretnego. Sezon grypowy już się zaczął, tak?

- Tak, i na razie wygląda jak każdy inny. Ale jeśli się dowiesz, że jakiś drań zamierza zbić fortunę na takim wirusie, musimy o tym wiedzieć.

- Będziesz pierwszy - skłamał Swain. - Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu i powiem,

co jest grane. - Owszem, zadzwoni, ale Micah nie będzie pierwszy.

- Nawet o trzeciej nad ranem - burknął Sunner.

- Masz to jak w banku. Dzięki, stary.

Swain rozłączył się i schował telefon do kieszeni. Cholera. Więc plan, o którym mówił rozmówca Lily, był nie tylko prawdopodobny, ale stanowił realny problem. Próbował wymyślić jakiś alternatywny sposób załatwienia tej sprawy. Nie mógł zadzwonić do Langley, bo Frank był wyłączony z gry, w Firmie działa jakiś cholerny szpieg, który przekazuje informacje Rodrigowi Nerviemu, a on nie wiedział, komu może ufać. Gdyby Frank był tam, gdzie powinien być... cóż, wystarczyłby jeden telefon i całe to cholerne laboratorium poszłoby z dymem jutro rano. Ale Franka nie było, więc Swain sam musiał je puścić z dymem.

Mógł podać Micahowi szczegóły, ale co mogło zrobić CDC? Najwyżej zaalarmować Światową Organizację Zdrowia. Nawet gdyby WHO zrobiła nalot, a nikt z miejscowych struktur policji nie dałby cynku Nerviemu, to owszem, znaleźliby wirusa, ale przecież laboratorium pracowało nad szczepionką, więc wirus był potrzebny do testów. To był bardzo zręczny plan, logicznie wyjaśniający obecność dymiącego pistoletu. Nie mógł go nie podziwiać.

Wrócił pod kamienicę; tym razem Lily stała przed wejściem z dwiema torbami podróżnymi i znajomą torebką na ramieniu.

Schował torby do bagażnika. Były dość ciężkie, a Lily miała lekką za-dyszkę; no tak, mówiła przecież o swojej uszkodzonej przez truciznę zastawce. Uświadomił sobie, że minęły ledwie dwa tygodnie od dnia, kiedy zabiła Salvatore Nerviego i sama omal nie umarła. Nawet jeśli uszkodzenie serca było minimalne, nie mogła odzyskać pełni sił przez tak krótki czas.

Przyjrzał jej się uważnie, otwierając przed nią drzwi samochodu. Wargi jej nie zsiniały, a niepomalowane paznokcie były różowe. Nie była nie-dotleniona. Biegała z ciężarami w tę i z powrotem na drugie piętro, więc to normalne, że się zmęczyła. Każdy by się zmęczył. Uspokojony, zatrzymał ją nim wsiadła. Gdy spojrzała na niego pytająco, pocałował ją.

Przywarła do niego z tak skwapliwą akceptacją, że jego serce wierzgnęło i ruszyło galopem. Jednak na ulicy nie mógł jej pocałować tak, jakby chciał, więc zadowolił się krótkim muśnięciem. Na jej usta wypłynął jeden z tych kobiecych uśmiechów, na widok których facet czuje się skołowany i szczęśliwy jednocześnie; w końcu wsiadła do samochodu i zamknęła za sobą drzwi.

- Cholera - mruknął Swain, siadając za kierownicą. - Chyba będę musiał się pozbyć tego wozu.

- Bo ktoś mógł widzieć, jak do niego wsiadam?

- Tak. Pewnie wyglądamy jak para wyjeżdżająca na urlop, ale lepiej nie ryzykować. Hm, co by tu wynająć tym razem?

- Może coś mniej rzucającego się w oczy, na przykład czerwonego lamborghini? - To było nie fair, bo renault megane daleko do lamborghini, choć rzeczywiście jest zauważalny.

Roześmiał się, słysząc jej docinek.

- Tak, lubię dobre auta. Zbij mnie za to.

- Skontaktowałeś się ze swoim znajomym w Stanach?

- Tak. Trochę się boczył z powodu wczesnej pory. Zła wiadomość jest taka, że ta historia z wirusem jest nie tylko prawdopodobną ale jest największym koszmarem CDC.

- A dobra?

- Nie ma żadnej. Może tylko to, że Nervi nie wypuści wirusa, dopóki szczepionka nie będzie gotowa, bo przecież zechce się zaszczepić pierwszy, nie? A opracowanie szczepionki trwa miesiącami. Skoro twoi przyjaciele w sierpniu narobili tyle szkód, że szalony doktorek musiał zacząć od nowa, to chyba możemy założyć, że nie wypuszczą wirusa podczas tego sezonu

grypowego. Poczekają do przyszłego roku.

Lily odetchnęła z ulgą.

- Tak, to logiczne. - Zawahała się. - Wiesz, pomyślałam sobie, że to nie jest coś, co musimy załatwić sami. Wprawdzie nie jestem w tej chwili w najlepszych stosunkach z CIA, ale przecież mogę zadzwonić do mojego kontaktu i dać im znać, co się dzieje. Poradzą sobie z tą sprawą o wiele lepiej niż my dwoje.

- Na litość boską nie rób tego! - zachnął się Swain. Rozumowanie Lily było słuszne, ale nie wiedziała o szpiegu, a on nie mógł jej o nim powiedzieć, nie pogrążając siebie.

- Dlaczego nie? - W jej tonie brzmiała raczej ciekawość niż podejrzliwość, ale czuł, że jej jasnoblękitne oczy wwiercają się w niego jak lasery. Mogłaby ciąć stal tym swoim spojrzeniem.

Nie miał na podorędziu sensownego wyjaśnienia, więc przez ułamek sekundy myślał, że cała ta historia zaraz wybuchnie mu w twarz, ale nagle doznał przebłysku geniuszu. Przecież mógł jej podać najważniejsze fakty, niczego nie zdradzając. Wszystko zależało od właściwego sformułowania.

- Wiesz, że Nervi ma kontakty w Agencji.

- Jest dla nich cennym informatorem, ale...

- Jest też bardzo bogatym człowiekiem. Jakie jest ryzyko, że ma tam kogoś w kieszeni? - Było to wyjaśnienie proste i zgodne z prawdą. Po prostu przemilczał parę szczegółów.

Usiadła prosto i się zamyśliła.

- Spore - odparła. - Więc nie odważymy się do nikogo z tym pójść, tak?

- Nikt mi nie przychodzi do głowy. On wszędzie ma płatnych informatorów. Odpada francuska policja, odpada Interpol... - Wzruszył ramionami. - Zdaje się, że musimy sami uratować świat.

- Ja nie chciałam ratować świata - burknęła Lily. - To była sprawa osobista.

Nie mógł się nie roześmiać, bo rozumiał, o co jej chodzi. Do tej pory tylko chciała zniszczyć organizację Nervich, a teraz musiała to zrobić.

Zadanie było o wiele trudniejsze, niż sobie wyobrażał na początku. Skoro w grę wchodził kontakt ze śmiertelnym wirusem, zabezpieczenia będą równe tym w CDC w Atlancie. Aby się dostać do środka, nie wystarczą tylko informacje o systemie zabezpieczeń; będą potrzebowali pomocy kogoś wewnątrz. A uzyskanie takiej pomocy będzie piekielnie trudne.

- Chyba będziemy musieli zaryzykować i założyć, że ten facet, który się z tobą skontaktował, mówił prawdę - powiedział. - Inaczej mamy przechłapano.

- Myślałam dokładnie to samo - odparła. Czasami aż go przerażało, że ich mózgi funkcjonowały w ten sam sposób i w tym samym tempie. - Z powodu wirusa zabezpieczenia będą wielowarstwowe, a sam wirus trzymany w ścisłej izolacji. Potrzebujemy kogoś wewnątrz.

- Będziesz musiała się z nim spotkać. To jedyny sposób, by się dowiedzieć, czy to nie jest sam Rodrigo Nervi. Jeśli to on, natychmiast wykorzysta okazję, że sama chcesz do niego przyjść. O mnie nie wie... No, może mieć jakieś podejrzenia po tej strzelaninie w parku, ale nie wie, jak wyglądam ani kim jestem, więc będę mógł cię osłaniać.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Jeżeli to Rodrigo, będzie go osłaniać tyłu ludzi, że nic nie zrobisz. Oczywiście zgadzam się, że to jedyny sposób. Ale jeśli to on i jeśli mnie złapią, to wyświadczyć mi przysługę i zabij mnie. Nie pozwól, żeby mnie wzięli żywcem, bo przypuszczam, że Rodrigo zechce się trochę ze mną zabawić, zanim mnie uśmierci. A ja wolałabym darować sobie te zabawy.

Swainowi ścisnął się żołądek na myśl, że Nervi mógłby ją dostać w swoje łapy. Owszem, musiał podjąć kilka trudnych decyzji, ale w tym przypadku nie miał wyboru.

- Nie dopuszczę do tego - powiedział cicho.

- Dzięki. - Jej uśmiech odrobinę się rozjaśnił, jakby dostała prezent, a jego żołądek zwinął się w twardy supeł.

Żadne z nich nie jadło jeszcze śniadania, więc zatrzymali się w knajpce z ogródkiem i zamówili kawę i brioski. Swain patrzył, jak Lily je, i serce łomotało mu głucho na myśl, że może to ostatni dzień, jaki mają dla siebie. Pętla wokół niej zaciskała się coraz bardziej. Jeśli tajemniczym informatorem był Rodrigo Nervi, dowiedzą się o tym dopiero w chwili, gdy będzie za późno.

Żałował, że nie mogą tego przeprowadzić w inny sposób, ale nie było innego sposobu. Lily musiała przyjąć propozycję tego człowieka, kiedy on jutro zadzwoni, umówić się na spotkanie i na nie przyjść. A potem... okaże się, czy to Nervi, czy ktoś inny. Boże, modlił się, spraw, żeby to był ktoś inny. Pragnął więcej niż jednego dnia z nią. Pragnął więcej niż jednej nocy.

Rozpoczął każde zadanie ze świadomością, że może być ostatnie, bo kiedy ma się do czynienia z ludźmi stosującymi przemoc, ta przemoc czasem obraca się przeciwko tobie. Lily była taka sama; pędziła na linię frontu i przyjmowała ryzyko. Świadomość, że robiła to z wyboru, nie sprawiała jednak, że było mu łatwiej.

Ale jeśli na miejscu spotkania pojawią się Nervi i jego oprychy, i jeśli on, Swain, straci Lily, to przysięgał Bogu, że ten sukinsyn za to zapłaci. Słono.

## Rozdział 24

Swain zwrócił swojego megane i, pod naciskiem Lily, w innej wypożyczalni wynajął niebieskiego czterocylindrowego fiata.

- Nie! - jęknął przerażony, kiedy mu powiedziała, co ma wypożyczyć. - Weźmy raczej mercedesa. Po mieście jeździ pełno mercedesów. - Rozpromienił się. - Albo porsche. Możemy potrzebować tych paru koni. Albo bmw. Może być jedno albo drugie.

- Fiat - uparła się.

- Gesundheit.

Jej wargi drgnęły, ale zdołała się nie roześmiać.

- Przecież nie chcesz niczego, co rzuca się w oczy.

- Właśnie że chcę - rzucił krnąbrnie. - Nieważne, komu się rzucę w oczy, bo nikt nie wie, kim jestem. Gdybym ja kogoś szukał, patrzyłbym na ludzi, którzy jeżdżą fiatami, bo to się właśnie wypożycza, jeśli nie chce się zostać zauważonym.

Stosując tę teorię, sama założyła wściekle rudą perukę. Ale był taki zabawny, że chciała go zobaczyć za kierownicą któregoś z mniejszych fiatów choćby przez jeden dzień, tylko po to, by posłuchać, jak bardzo kreatywny potrafi być w narzekaniach.

- Zaczęłeś od jaguara, dzisiaj przyjechałeś po mnie megane i ktoś mógł to widzieć, więc każdy, kto cię szuka, pewnie już wie, że lubisz szybkie auta. Fiat będzie ostatnią marką jaka im przyjdzie do głowy.

- Co ty powiesz - burknął.

- Fiaty to dobre samochody. Możemy wziąć trzydrzwiowego stilo, to właściwie sportowe autko...

- Czyli będę mógł nim pedałowac dwadzieścia na godzinę zamiast dziesięciu?

Musiała przygryźć policzek, by się nie roześmiać, tak zabawny był obrazek, który stanął jej przed oczami: Swain na trójkołowym rowerku, z kolanami koło uszu, pedałowujący jak szalony.

Był tak naburmuszony, że w ogóle nie chciał podejść do lady w wypożyczalni, dopóki Lily nie odwróciła się i nie syknęła:

- Chcesz, żebym zapłaciła swoją kartą? Rodrigo dowie się o tym, nim minie godzina.

- Mojej karcie może się ze wstydu skończyć termin ważności, kiedy zapłacę nią za coś takiego - odgryzł się, ale w końcu zachował się jak facet. Nawet nie mrugnął, kiedy pracownik przyprowadził samochód i zaczął wyliczać wyposażenie. Fiat stilo był szybkim, małym samochodzikiem z przyzwoitym przyspieszeniem, ale Lily widziała, że zdaniem Swaina żałośnie brakuje mu mocy.

Schował jej bagaże do tyłu; tymczasem ona zajęła miejsce pasażera i zapięła pas. Swain, zanim wszedł, odsunął fotel kierowcy, by zrobić sobie miejsce na nogi.

Przekręcił kluczyk i uruchomił silnik.

- Zobacz, ma GPS - wskazała Lily.

- Niepotrzebny mi GPS. Umiem czytać mapę. - Wrzucił bieg i przyspieszając, wydobył przez nos wysoki jękliwy dźwięk.

Na nieszczęście dźwięk ten dokładnie odpowiadał odgłosowi silnika, więc Lily nie wytrzymała. Próbowwała ukryć śmiech, zakrywając usta i odwracając się do okna, ale Swain zobaczył jej trzęsące się ramiona:

- Cieszę się, że chociaż ciebie to bawi - rzucił cierpko. - Mieszkam w Bristolu; nie sądzisz, że ktoś uzna za dziwne, że jeżdżę fiatem?

- Ależ z ciebie snob. Mnóstwo ludzi wynajmuje wozy, które mało pałą.

- Dopóki nie muszą skądś zwiewać i nie są ścigani przez samochody z większymi silnikami. - Miał strasznie ponurą minę. - Czuję się jak wykastrowany. Pewnie wcale mi nie stanie, dopóki będę tym jeździł.

- Nie martw się - uspokoiła go. - Jeśli rzeczywiście tak będzie, to jutro pozwolę ci wybrać samochód, jaki tylko będziesz chciał.

Jak za dotknięciem różdżki jego twarz rozjaśniła się; zaczął szczerzyć zęby, ale jego uśmiech zmienił się w bolesny grymas, gdy dotarło do niego, jaki dała mu wybór.

- Niech cię licho - jęknął. - Jesteś wcielonym złem. Pójdiesz do piekła za wymyślenie czegoś tak szatańskiego.

Spojrzała na niego niewinnie i wzruszyła ramionami. To on sprowadził rozmowę na seksualne tory; jeśli nie podobał mu się jej wynik, sam był sobie winien.

Była zdumiona, że potrafi się tak dobrze bawić, biorąc pod uwagę, z kim i czym mieli się zmierzyć. Zupełnie jakby zawarli milczącą umowę, że dzisiejszy dzień będą mieli wyłącznie dla siebie, bo mógł to być ich ostatni wspólny dzień. Znała kilku agentów kontraktowych, którzy ze względu na charakter swojej pracy żyli wyłącznie chwilą. Ona nigdy tego nie robiła, ale dziś dostrzegła urok niemyślenia o jutrze. Czuliła żal, widząc w twarzy Swaina potwierdzenie tego, co mogłoby być między nimi, gdyby mieli szansę dać temu się rozwinąć. Przy nim topniała jak wosk. przepelniały ją uczucia tak ciepłe, że niemal przerażające. Mogłabym go kochać, pomyślała. Może już go kochała, tak troszeczkę, za poczucie humoru i czystą *joie de vivre*, która i jej duszę zdołała po-dźwignąć z otchłani. Potrzebowała śmiechu, a on jej go dał.

- Renegocjujmy to - powiedział. - Jeśli mi stanie, to w nagrodę jutro będę mógł wybrać inny samochód.

- A jeśli nie, będziesz musiał jeździć tym, dopóki to się nie zmieni? Prychnął i bardzo zadowolony z siebie odparł:

- Jasne, jakby to było możliwe.

- Więc gdzie tu negocjacje? - Poglaskała siedzenie. - Mnie się podoba to autko. Zaczynam je lubić. W przeciwieństwie do ciebie, moja seksualność nie jest sprzężona z silnikiem.

- Faceci nic nie mogą na to poradzić. Rodzimy się z drążkiem zmiany biegów i to jest nasza ulubiona zabawka od chwili, kiedy ręce urosną nam wystarczająco, by go dosięgnąć.

- Ten samochód też ma drążek - zauważyła zgodnie z prawdą.  
- Nie wyjeżdżaj ze szczegółami technicznymi. Nie ma tu testosteronu. - Znów wydał ten gwizdzący jęk. - Słyszysz? To sopran. Czterocyldrowy sopran.

- To świetny samochód do jazdy po mieście. Bardzo zwrotny, ekonomiczny, niezawodny.  
Swain się poddał.

- No dobra. Wygrałaś. Pojeżdżę nim, ale będę potrzebował terapii, by złagodzić emocjonalne szkody, na jakie mnie narażasz.

Lily patrzyła prosto przed siebie. - Masaż?

- Hm. - Zastanawiał się chwilę. - Może być. Ale będę potrzebował długiej terapii.

- Myślę, że dam sobie radę.

Uśmiechnął się i puścił do niej oko, a jej nagle przyszło do głowy, czy aby sama siebie nie przechytrzyła i nie dała się namówić na coś, na co nie była zdecydowana na sto procent. Na dziewięćdziesiąt osiem owszem, ale nie na sto. Ta wieczna nieufność wciąż nie dawała jej spokoju.

Swain w niesamowity sposób potrafił wychwytywać długość jej fali. Nagle całkiem spoważniał.

- Nie daj się wmanewrować w nic, czego nie chciałaś robić – rzekł cicho. - Jeśli nie chcesz się ze mną przespać, wystarczy powiedzieć nie.

Wyrzała przez okno.

- Miałaś kiedyś tak, że jednocześnie chciałaś czegoś i bałaś się tego?

- Jak na kolejce górskiej, kiedy strasznie chcesz się przejechać, ale masz żołądek w gardle na myśl o pierwszym dużym spadku?

Nawet jego niepokoje wiązały się z zabawą pomyślała i uśmiechnęła się lekko.

- Kiedy ostatni raz związałam się z kimś, on próbował mnie zabić - powiedziała to lekkim tonem, ale smutek i napięcie, które wciąż nie wypuszczały jej ze swoich szponów, bynajmniej nie były lekkie.

Swain gwizdnął przez zęby.

- Fakt, to każdemu mogło zepsuć dzień. Był szalony z zazdrości czy co?

- Nie, został wynajęty, by to zrobić.

- Rany, kotku - rzucił ze szczerym smutkiem w głosie. - Strasznie mi przykro. Teraz rozumiem, dlaczego jesteś taka ostrożna.

- To łagodnie powiedziane - mruknęła.

- Strach przed zbliżeniem?

- Dość potężny.

Zawahał się, jakby nie był pewien, czy chce to wiedzieć.

- Jak potężny?

Wzruszyła ramionami:

- To było sześć lat temu.

Bezwiednie szarpnął kierownicę i samochód zatoczył się na jezdni, aż kierowca za nimi wcisnął ostrzegawczo klakson.

- Sześć lat? - W jego głosie brzmiało niedowierzanie. - Nie byłaś z nikim od sześciu lat? Jasna cholera. To... to już chyba przesada z tą ostrożnością.

Mógł tak myśleć, bo nie uniknął o włos śmierci z ręki ukochanej osoby. Aż do straty Zii Lily była pewna, że nic nie może boleć bardziej niż zdrada Dmitrija.

Swain milczał przez chwilę i w końcu powiedział:

- Czuję się zaszczycony.

- Nie czuj się - odparła. - Nie bylibyśmy tak blisko, gdyby nie zmusiły nas do tego



okoliczności. Gdybyśmy się spotkali na gruncie towarzyskim, splawiłabym cię bez zmruczenia oka.

Podrapał się w nos.

- Mój urok by cię nie skusił?

- Nawet bym nie wiedziała, że jesteś czarujący. Nie podszedłbyś na tyle blisko.

- Może to zabrzmiało okrutnie, ale w takim razie cieszę się, że do ciebie wtedy strzelali. Pewnie było nam przeznaczone, żebym siedział tam, nie mając nic do roboty, akurat w chwili, kiedy wplątałaś się w strzelaninę, w której nie miałaś szans.

- Albo był to czysty przypadek. I jeszcze się okaże, czy miałaś tarta czy pecha. - Ona też dopiero się o tym przekona, choć wiedziała, że powinna doceniać małe błogosławieństwa, bo nawet jeśli sytuacja stanie się beznadziejna, to przynajmniej miała okazję zdrowo się pośmiać.

- Ja już wiem - odparł. - To był największy fart, jakiego miałem od bardzo długiego czasu.

Patrzyła na niego i zastanawiała się, jakby to było być nim - optymistą pogodzoną z całym światem. Nie czuła się tak, odkąd skończyła osiemnaście lat, choć bywała szczęśliwa, kiedy miała Zię.

Po śmierci Zii spokój i szczęście stały się jej całkowicie obce. Była skoncentrowana na jednym celu, myślała tylko o zemście. Teraz w jej życiu pojawił się Swain, a jej cel z osobistej zemsty zmienił się w coś tak potężnego i ważnego, że ledwie ogarniała go umysłem. Własne uczucia stały się nieważne, a rzeczywistość kompletnie zmieniła perspektywę. Wiedziała, że choć nigdy nie przestaje się opłakiwać utraconych bliskich, z czasem to koszarne, przeżerające wnętrzości cierpienie zmienia się w tępy, głuchy ból, potem zaś zostaje tylko pogodzenie się ze stratą i wspomnienia dobrych chwil. Teraz, gdy przestała się skupiać na sobie samej, na swojej stracie i skoncentrowała na czymś zewnętrznym, ból stał się mniej dotkliwy i mniej przytłaczający.

Nie wiedziała, jak długo wytrzyma ten bezpieczny bąbel, w którym się znalazła, ale była wdzięczna za każdą chwilę. I dziękowała w duchu Swainowi, bo tę zmianę nastroju zawdzięczała w ogromnej mierze jego osobowości. Już sam widok jego leniwego, luźnego kroku mógł poprawić humor.

Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

- Przestań się zamartwiać. Wszystko będzie dobrze.

Roześmiała się smutno.

- Chcesz powiedzieć, że mój tajemniczy rozmówca nie okaże się Rodrigiem, powie nam wszystko, co potrzebujemy wiedzieć o zabezpieczeniach laboratorium, wejdziemy do środka bez żadnego problemu, zniszczymy wirusa, zabijemy doktora Giordano, żeby nie mógł tego zrobić jeszcze raz, i uciekniemy, nim ktokolwiek się zorientuje, że to my?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Może nie wszystko - odparł. - Ale musisz wierzyć, że wszystko wyjdzie na dobre, w taki czy inny sposób. Nie możemy nawalić, ergo, nie nawalimy.

- Siła pozytywnego myślenia?

- Nie odrzucaj jej. W moim przypadku jak do tej pory działała. Na przykład od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, byłem pewien, że dobiórę się do ciebie, no i proszę.

Znów znaleźli się w martwym punkcie; mieli do zrobienia tysiąc rzeczy, a tego dnia nie mogli zrobić nic. Znajomy Swaina, ekspert od systemów zabezpieczeń, nie odezwał się, ale teraz, kiedy wiedzieli, na co się porywają, oboje zdawali sobie sprawę, że przeciętny ekspert w życiu nie widział takich środków ochrony, jakie mogą zastać w laboratorium Nervich.

Zanim pojechali do hotelu, wpadli do kafejki internetowej, by sprawdzić informacje na temat

grypy. Było tego tyle, że dla oszczędności czasu zapłacili za dwa osobne stanowiska i podzielili się wynikami poszukiwań.

W pewnej chwili, już po południu, Swain spojrzął na zegarek, wyjął komórkę i wstukał długą serię cyfr. Ze swojego miejsca Lily nie słyszała. co mówił, ale minę miał poważną. Rozmawiał krótko, a kiedy skończył, rozmasował czoło, jakby bolała go głowa.

Jej komputer wczytywał akurat obszerną stronę, podeszła więc do Swaina.

- Coś się stało?

- Mój przyjaciel w Stanach miał wypadek samochodowy. Dzwoniłem, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie.

- I jak?

- Bez zmian. Przeżył pierwsze dwadzieścia cztery godziny, więc lekarze są trochę lepszej myśli niż wczoraj. Ale ciągle na dwoje babka wróżyła.

- Chcesz tam jechać? - spytała. Nie wiedziała, co bez niego pocznie, ale jeśli to był naprawdę bliski przyjaciel...

- Nie mogę - odparł krótko.

Zrozumiała, że dosłownie nie mógł jechać, bo jest w Stanach persona non grata i nie zostałby wpuszczony. Dotknęła współczująco jego ramienia. Ona też pewnie już nigdy nie będzie mogła pojechać do domu.

Swain przewijał właśnie stronę CDC. Początkowo nie znalazł niczego ciekawego, ale wytrwale klikał w powiązane linki i wreszcie mruknął z zadowoleniem, gdy na ekranie pojawiła się długa lista.

- Co masz? - zapytała Lily, pochylając się nad jego ramieniem.

Zniżył głos, by nikt nie mógł słyszeć, o czym rozmawiają.

- Listę czynników zakaźnych i środki ostrożności stosowane w przypadku każdego z nich. - Ruchem głowy wskazał jej komputer. - A ty?

- Symulację liczby zachorowań i zgonów w razie kolejnej pandemii. Nic użytecznego.

- Na mojej liście powinno być wszystko, co potrzebujemy wiedzieć. Jeśli nie, mój znajomy w Atlancie uzupełni luki. Powinienem był go wypytać dokładniej, ale nie miałem czasu o tym pomyśleć, a poza tym, kiedy zadzwoniłem, u niego była trzecia rano. Nie miał nastroju do rozmowy.

- Nie dziwię się mu.

- Ja też. - Jej dłoń wciąż spoczywała na jego ramieniu; przykrył ją swoją. - Weźmy to do hotelu i poczytajmy. Zamówimy jedzenie do pokoju, a ty się rozpakujesz i rozgościsz.

- Będziemy musieli zgłosić w recepcji, że teraz w twoim pokoju mieszkają dwie osoby.

- To żaden problem. Powiem, że żona do mnie dołączyła. Ale nie zdejmuj okularów. Jeśli nie pokażesz oczu nikomu z obsługi, powinno być w porządku.

- Będę głupio wyglądać, siedząc w ciemnych okularach w hotelowym pokoju. Łatwiej by było z kolorowymi soczewkami.

- Masz rację. Kiedy przyjdzie obsługa, po prostu schowaj się w łazience. Oprócz kelnera i pokojówek nikt nam nie będzie przeszkadzał. - Wylogował się i zebrał wydrukowane strony. Lily zrobiła to samo.

Wyszli na ulicę. Dzień był słoneczny, ale chłodny i wietrzny, więc wiele osób miało czapki i rękawiczki. Lily naciągnęła głębiej kapelusz, by przykryć włosy, i ruszyli do samochodu, zaparkowanego kawałek dalej.

Swain powstrzymał się od dalszych niepoehlebnych komentarzy na temat fiata, choć kilka razy wydał pod nosem ten wysoki, bzyccący dźwięk. Nim dotarli do hotelu, słońce zaszło i

zaczął zapadać zmrok, więc ciemne okulary Lily stały się zbędne. Przypomniała sobie, że ma jeszcze okulary z różowymi szklami, które wykorzystała jako element przebrania w Londynie. Wyłowiła je z torby. Szklka były na tyle jasne, że widziała coś przed sobą. ale wystarczyły, by zamaskować kolor jej oczu.

Wsunęła okulary na nos i odwróciła się do Swaina.

- Jak wyglądam?

- Seksownie i stylowo. - Uniósł kciuk do góry. - Przymykaj trochę powieki, jakbyś była skołowana po locie, i będzie okej.

Miał rację. Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, gdy szli przez hol; on niósł jej bagaże, a ona podążała za nim. Kiedy znaleźli się w pokoju, zadzwonił do recepcji i poinformował, że przyjechała jego żona. Potem w biurze obsługi poprosił o dodatkowe ręczniki. Lily zajęła się rozpakowywaniem rzeczy; bieliznę włożyła do szuflad, resztę ubrań rozwiesiła w szafie obok, a swoje przybory toaletowe wyłożyła w łazience.

Gdy stawiała swoje buty obok jego mokasynów na dnie szafy, dotarło do niej, że teraz naprawdę z nim żyje, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że Swain na nią patrzy.

- Będzie dobrze - powiedział łagodnie i otworzył ramiona.

## Rozdział 25

Lily podeszła do Swaina i wtuliła głowę w zagłębienie między jego szyją a ramieniem. Objął ją i pocałował w czubek głowy.

- Nie musimy się dzisiaj kochać - szepnął. - Jeśli nie chcesz, może my poczekać.

- Naprawdę? - spytała cicho. - W normalnych okolicznościach czekałabym o wiele dłużej, bo dwa pocałunki i jedna obłapka nie czynią jeszcze związku...

Wybuchnął śmiechem.

- Pewnie nie, ale choć znamy się dopiero kilka dni, czuję się, jakbym znał cię o wiele dłużej. Może z tydzień - zażartował. - Naprawdę dobieierałem się do ciebie tylko raz?

- O ile pamiętam.

- Więc rzeczywiście tylko raz, bo na pewno byś pamiętała kolejne. - Powiódł dłonią po jej plecach w górę i w dół, by rozluźnić spięte mięśnie.

- Dzisiejsza noc może być jedyną, jaką mamy - powiedziała. Ta myśl nie dawała jej spokoju przez cały dzień. Nie mogła sobie pozwolić na poznanie go lepiej, na powolne rozwijanie związku. W obliczu tego, co miało się stać jutro, decyzja była prosta. Jutro mogła zginąć, a nie chciała ostatniej nocy na świecie spędzić sama. Nie chciała umrzeć, nie wiedząc, jak to jest kochać się z nim, jak to jest zasnąć w jego ramionach, tak blisko, by słyszeć bicie jego serca.

- Pamiętaj o sile pozytywnego myślenia - odparł. - To pierwsza noc, nie jedyna.

- Zawsze byłeś taką Polyanną?

- Polyanna we wszystkim widziała coś dobrego. A ja nie widzę niczego dobrego w tym fiacie. Zaskoczona tą nagłą zmianą tematu zachichotała.

- A ja owszem. Porządnie się uśmiałam z twojego marudzenia.

Zesztywniał.

- Chcesz powiedzieć, że wybrałaś ten samochód tylko po to, żeby mnie wkurzyć?

Nie zaprzeczyła; westchnęła tylko z zadowoleniem, ocierając policzek o jego pierś.

- Chciałam po prostu popatrzeć, jak nim jeździsz. To całkiem dobry samochód. Miałam kiedyś fiata, więc wiem, że są niezawodne i ekonomiczne. Ale ty zachowujesz się, jakbyś cierpiał katusze.

- Będziesz musiała za to zapłacić - powiedział, kręcąc głową. -1 to nie masażem, który mi obiecałaś. Muszę to przemyśleć.

- Tylko nie myśl za długo.

- Dowiesz się dziś w nocy - obiecał, unosząc jej Twarz do gorącego pocałunku, który trwał i trwał, coraz gorętszy i głębszy. Tym razem nie spieszył się, głaszcząc jej piersi. Obejmował je dłońmi, drażnił sutki przez warstwy ubrania. Lily spodziewała się, że zaraz rzuci ją na łóżko, ale on nawet nie wsunął ręki pod jej bluzkę. Cieszyła się z tego; daleko jej było do podniecenia. Ale jego pieszczoty były przyjemne, a kiedy ją puścił, była bardziej rozgrzana i rozluźniona, niż kiedy zaczął.

Energiczne pukanie do drzwi zapowiedziało pokojówkę ze stertą ręczników. Swain otworzył jej i odebrał ręczniki, jednocześnie wręczając napiwek; nie wpuścił pokojówki, choć chętnie sama ułożyłaby ręczniki w łazience.

- Przeczytajmy te wszystkie wydruki i zobaczymy, co tu mamy - powiedział, odkładając ręczniki i wskazując kartki wydrukowane w kafejce.

Lily spodobało się, że stawiał pracę przed zabawą. Dołączyła do niego w aneksie wypoczynkowym, gdzie na stoliku do kawy leżały porozrzucane papiery.

- Ebola... Marburg... nie potrzebujemy tego wszystkiego - mruzczał, rzucając jedną kartkę po drugiej na podłogę.

Lily podniosła stosik kartek i zaczęła je sortować, szukając jakichkolwiek informacji na temat grypy.

- Tutaj - powiedziała po chwili. - „Postępowanie z wirusem grypy w warunkach laboratoryjnych”. Zobaczymy... „Zakażenia związane z pracami laboratoryjnymi nie są udokumentowane, ale należy uważać na fretki”.

- Co? - zapytał zdumiony.

- Tu jest tak napisane. Najwyraźniej zakażone fretki stosunkowo łatwo zarażają ludzi i vice versa. My chorujemy przez nie, a one przez nas. I słusznie - stwierdziła roztropnie. - Co jeszcze... „Genetycznie zmieniony wirus... potencjał nieznany. Zaleca się drugi poziom zabezpieczeń biologicznych”. Co to jest drugi poziom zabezpieczeń biologicznych?

- Mam to... gdzieś tutaj. - Szybko przejrzał plik kartek. - Jest. „Zagrożenie uznaje się za umiarkowane. Personel laboratorium musi być przeszkolony w obchodzeniu się z wirusami, podczas prowadzenia prac wstęp do laboratorium jest ograniczony”. A my chyba możemy założyć, że wstęp do laboratorium Nervich jest ograniczony przez cały czas. „Personel musi myć ręce... w strefie nie wolno spożywać posiłków ani napojów. .. odpady są odkażane przed usunięciem”... Dobrze wiedzieć. Więc jednak moglibyśmy bezpiecznie wejść do ścieków.

- I tak się cieszę, że tego nie zrobiliśmy.

- Może jeszcze będziemy musieli.

Zmarszczyła nos na tę myśl. Choć kanały były jej pomysłem i wykorzystałaby tę drogę, gdyby nie było innego wyjścia, wołałaby jednak nie.

- „Strefa musi być oznaczona symbolem zagrożenia biologicznego” - ciągnął Swain. - „Należy zachować szczególną ostrożność przy po sługiwaniu się ostrymi narzędziami”... Zawracanie gitary, to wszystko zalecenia dla personelu przy zadawaniu się z mikrobami. „Drzwi laboratoriów muszą być wyposażone w zamki, nie jest wymagany żaden szczególny system wentylacyjny”. Hm. - Odłożył kartki i podrapał się po brodzie. - To wygląda na zwykłe laboratorium, żadnych śluz powietrznych, skanerów siatkówki czy odcisków palców, nic w tym rodzaju. Jeśli doktor Giordano trzyma się tych zaleceń, będziemy mieli do czynienia co najwyżej z drzwiami zamkniętymi na klucz.

- I z całym mnóstwem uzbrojonych ludzi. - Machnął ręką. - To żaden problem. - Rzucił papiery na stolik i rozparł się w fotelu, splatając palce za głową. - Jestem naprawdę zaskoczony. Myślałem, że kiedy w grę wchodzi zaraźliwe mikroby, ma się do pokonania najróżniejsze przeszkody, ale to wszystko to są głównie wewnętrzne środki ostrożności, nie zewnętrzne zabezpieczenia.

Spojrzeni po sobie i wzruszyli ramionami.

- Wróciliśmy do punktu wyjścia - powiedziała Lily. - Potrzebujemy informacji na temat zewnętrznych zabezpieczeń. A jak już wejdziemy, będziemy się rozglądać za drzwiami ze znakiem zagrożenia biologicznego.

- Tak, cel mamy zaznaczony krzyżykiem - przyznał Swain. Oboje wiedzieli, że to nie będzie takie proste. Po pierwsze, laboratorium mogło się znajdować w dowolnym miejscu wielkiego kompleksu. Nawet pod ziemią, co ograniczałoby im możliwości ucieczki.

Skoro dowiedzieli się już wszystkiego, co chcieli wiedzieć - a było tego o wiele mniej, niż się spodziewali - nie mieli potrzeby trzymać wydruków. Swain podniósł te, które rzucił na podłogę, Lily pozbierała resztę i wyrzucili wszystko do śmieci.

Lily nie wiedziała, czym się zająć. Godzina była wczesna, nie jedli jeszcze nawet kolacji. Nie chciała na razie brać prysznic, a Swainowi na szczęście najwyraźniej nie spieszyło się, by zaciągnąć ją do łóżka. W końcu wzięła książkę, którą sobie przywiozła, zrzuciła buty i zwinęła się na kanapie, by poczytać.

Swain wstał.

- Idę do recepcji po gazety. Chcesz coś?

- Nie, dzięki.

Wyszedł. Lily policzyła do trzydziestu, również wstała i szybko przeszukała jego rzeczy. Bielizna była schludnie poukładana w szufladzie, między bokserkami nic nie zostało schowane. Obmacała kieszenie wszystkich ubrań wiszących w szafie, ale też niczego nie znalazła. Wyciągnęła jego skórzany worek marynarski. Nie wyglądało na to, by miał jakieś ukryte kieszenie czy podwójne dno; w środku był tylko dziewięćmilimetrowy heckler & koch schowany do kabury. Na nocnej szafce leżał thriller, przeczytany mniej więcej do połowy. Lily przekartkowała książkę, ale nic nie wsunęło między strony.

Przejechała rękami pod materacem dookoła łóżka i zajrzała pod nie. Na łóżku leżała skórzana kurtka Swaina. Lily przeszukała kieszenie i w wewnętrznej, zasuwanej, znalazła paszport, ale paszport już widziała, więc nie wyjmowała go.

Nic nie wskazywało, by Swain był kimś innym, niż twierdził. Uspokojona wróciła na kanapę i zabrała się do czytania.

Swain wrócił pięć minut później, niosąc dwie grube gazety i małą plastikową torbę.

- Podałem się wazektomii, kiedy urodziło się moje drugie dziecko - powiedział - ale i tak kupiłem kilka prezerwatyw, żebyś czuła się pewniejsza.

- A robiłeś coś ryzykownego? Znaczą, seksualnie.

- Raz robiłem to na stojąco w hamaku, ale miałem wtedy siedemnaście lat.

- Nieprawda. W hamaku może, ale na stojąco na pewno nie.

Wyszczerzył zęby.

- Masz rację. Spadłem na tyłek, co dość gwałtownie podziałało na mój nastrój i ostatecznie tamtego dnia już sobie nie pobzykałem.

- Wyobrażam sobie. Ona musiała boki zrywać.

- Nie, wrzeszczała. To ja się śmiałem. A nawet siedemnastolatek nie da rady utrzymać wacka na baczność, kiedy się zwija ze śmiechu. Nie wspominając już, że wyglądałem jak idiota, a dziewczyny w tym wieku są bardzo wyczulone na kwestie wizerunku i takie tam. Uznała, że

jestem obciachowy, i poszła sobie cała obrażona.

Powinna była się domyślić, że to on się śmiał.

- Jeszcze jakieś ryzykowne akcje?

Swain usadowił się w najbliższym fotelu, wyciągnął nogi i oparł je na stoliku.

- Pomyślmy. Zaraz potem Amy i ja zaczęliśmy ze sobą chodzić i byłem jej wierny od pierwszego dnia do rozwodu. Potem miałem parę bliskich przyjaciółek, związki trwające od dwóch miesięcy do dwóch lat, ale żadnych przypadkowych kontaktów. Przeważnie siedziałem w miejscach, gdzie nie było dzikiego życia nocnego, a kiedy bywałem w bardziej cywilizowanych rejonach, nie chciało mi się spędzać czasu na szlajaniu się po knajpach.

- Jak na kogoś, kto większość dorosłego życia spędził w dziczy, jesteś raczej wyrafinowany - mruknęła, nagle nieufna, gdy dotarł do niej ten dysonans. Powinna była zauważyć to wcześniej, ale i teraz nie zaniepokoiła się zbytnio, bo jego broń leżała w worku marynarskim w szafie - a jej nie.

- Bo mówię po francusku i mieszkam w luksusowych hotelach? Zatrzymuję się w takich miejscach, kiedy mogę, bo bywały chwile, kiedy między mną i niebem było wyłącznie powietrze. Lubię jeździć szpanerskimi autami, bo czasami musiałem się telepać na końskim grzbiecie, pod warunkiem że w ogóle były konie.

- Ale francuski chyba nie jest zbyt powszechny w Ameryce Południowej.

- Zdziwiłabyś się. Nauczyłem się go od francuskiego ekspatrianta w Kolumbii. Ale mój hiszpański jest o wiele lepszy, znam też portugalski i trochę niemiecki. - Uśmiechnął się krzywo.

- Najemnicy z konieczności są poliglotami.

Nigdy tak naprawdę nie powiedział jej wprost, że jest najemnikiem," choć domyślała się, że musi być kimś w tym rodzaju. „Ludzie chcą, żeby coś się stało, i wynajmują mnie, żebym do tego doprowadził” - tak to określił, a ona ani przez chwilę nie sądziła, że może chodzić na przykład o fuzje przedsiębiorstw. Jej niepokój zniknął. Oczywiście, że musiał znać kilka języków.

- Małżeństwo z tobą musiało być piekłem - powiedziała, myśląc o jego byłej żonie, siedzącej samotnie w domu z dwójką małych dzieci. Pewnie nigdy nie wiedziała, gdzie on jest ani co robi i czy kiedykolwiek wróci, czy też zginie w jakiejś zapadłej dziurze na końcu świata, a ciało nigdy nie zostanie odnalezione.

- Raczej tak - rzucił z błyskiem w oczach. - Ale kiedy jestem na miejscu, bardzo rozrywkowy ze mnie facet.

Co do tego nie miała wątpliwości. Wiedziona impulsem, wstała, usadowiła się na jego kolanach, i objawszy go za szyję, wtuliła się w niego. Skórę miał ciepłą, kark twardy od mięśni. Podparł jej plecy lewą ręką, a prawą zaczął głaskać jej biodro i udo. Lily pocałowała go pod brodą.

- A to za co? - spytał i, nie czekając na odpowiedź, obdarzył ją jednym z tych leniwych, głębokich pocałunków, od których topniała jak воск.

- Za to, że jesteś rozrywkowym facetem — mruknęła i przylgnęła do jego ust na kolejnych kilka sekund. Tym razem jego wargi były bardziej stanowcze, język bardziej zaborczy. Położył dłoń na jej talii i wsunął pod bluzkę. Lily wstrzymała oddech, gdy podsunął do góry jej stanik i chwycił pierś. Jego dłoń niemal parzyła jej chłodną skórę, kciuk delikatnie pieścił sutek.

Wzięła głęboki oddech, gdy ciepła fala zaczęła ogarniać jej lędźwie. Zapomniała już, jak to jest, gdy pożądanie powoli rozchodzi się po jej ciele, sprawiając, że skóra staje się wrażliwsza. Miała ochotę ocierać się o niego jak kot.

Chciała, żeby się pospieszył, żeby ten pierwszy raz był już za nimi, bo wtedy mogłaby się rozluźnić, ale Swain najwyraźniej nie zamierzał się spieszyć. Głaskał jej piersi, aż stały się tak wrażliwe, że niemal bolesne, a potem naciągnął jej stanik i objął ją mocno. Wiedziała, że jest

podniecony - chyba że miał w kieszeni zapasowy pistolet, i to, sądząc po kształcie, wielki dziesięciostrzałowy magnum kaliber 44 — lecz odsunął się wolno, pocałował ją w czubek nosa i powiedział:

- Nie ma pośpiechu. Zjemy kolację, trochę się zrelaksujemy. Nie zabije mnie, jak trochę poczekam.

- Nie, ale może ja cię zabiję - wypaliła, siadając prosto i patrząc na niego gniewnie.

Uśmiechnął się.

- Bądź cierpliwa. Znasz przysłowie „cierpliwość jest panią rzeczy”? Ja mam własną wersję.

- Tak? Jaką?

- Cierpliwość jest panią dobrych orgazmów.

Należał mu się klaps, bez dwóch zdań.

- Trzymam cię za słowo - powiedziała, wstając z jego kolan. Wzięła hotelowe menu i rzuciła mu. - Zamawiaj.

Zamówił więc homara i małże, butelkę schłodzonego beaujolais i szarlotkę. Musieli poczekać na zamówienie, więc Lily wróciła do lektury. Swain przejrzał obie gazety, a potem zadzwonił z komórki do Stanów, by spytać, jak się czuje jego przyjaciel, który miał wypadek. Zrobił smutną minę, bo nic się nie zmieniło.

Więc jednak nie jest taki beztroski, pomyślała. Były chwile, kiedy pogrążał się w zadumie, a w jego oczach nie było ani odrobiny humoru; widywała też u niego przebliski zimnej, ponurej determinacji. Bez niej nie odniósłby sukcesu w wybranym zawodzie, chociaż chyba nikt nie decydował się z góry na bycie najemnikiem, raczej stawał się nim stopniowo. Najwyraźniej nieźle na tym zarabiał, a to oznaczało, że jest dobry. Ten sympatyczny, czarujący sposób bycia był tylko częścią jego osobowości; druga część była śmiertelnie niebezpieczna.

Lily od lat unikała związków z „normalnymi” mężczyznami - takimi, którzy wykonywali zwykłe zawody i mieli zwykłe problemy. Taki mężczyzna nie zrozumiałaby, jak ona może robić to, co robi; bała się też, że zdominowałaby go w intymnym związku. Musiała być silna i zdecydowana, a nie były to cechy, które się dało wyłączać i włączać na zawołanie. Jeśli chodziło o sferę uczuć, nie chciała dominować; chciała partnerstwa, to zaś oznaczało, że potrzebuje kogoś o równie silnej osobowości. W Swainie wyczuwała swobodę i pewność siebie, której ona w żaden sposób nie zagrażała. Nie musiała łechtać jego ego ani tonować własnej osobowości, by nie czuł się onieśmielony. Swain chyba nigdy w życiu nie czuł się onieśmielony. Pewnie był zadziornym łobuzem już jako mały chłopiec.

Im dłużej go obserwowała, tym więcej miała dla niego szacunku. Zakochiwała się szybko i mocno, wpadała w tę przepaść, a pod nią nie było żadnej siatki bezpieczeństwa.

## Rozdział 26

Gdy zjedli, Swain oglądał Sky News, a Lily czytała. Nie okazywał śladu niecierpliwości, jakby byli parą od lat, ale pamiętała erekcję napierającą na jej biodro i wiedziała, że jest inaczej. Facet nie twardnieje jak skała, kiedy nie jest zainteresowany. Po prostu dawał jej czas na oswojenie, nie wywierał presji; wiedział, że w końcu pójdą do łóżka i wtedy stanie się to, co nieuniknione. Ona też to wiedziała i sama ta świadomość ekscytowała ją. Nie mogła patrzeć na niego, nie myśląc, że wkrótce będzie nagi, że poczuje go w sobie i to wzbierające w niej napięcie znajdzie spełnienie. O dziesiątej powiedziała:

- Idę wziąć prysznic - i zostawiła go ze Sky News. Hotelowe kosmetyki w marmurowej

łazienki były najlepszych marek i pachniały bosko. Lily się nie spieszyła. Umyła włosy, ogoliła pachy i nogi - był to amerykański nawyk, którego nigdy nie zarzuciła - a w końcu wtarła w całe ciało pachnący balsam, wysuszyła włosy i umyła zęby. Niemal po godzinie włożyła jeden z grubych hotelowych szlafroków i mocno związała pasek, nim boso wróciła do pokoju.

- Jesteś z tych, co zajmują łazienkę całymi godzinami - rzucił Swain oskarżycielsko, wyłączając telewizor i wstając z fotela. Omiótł ją spojrzeniem, od lśniących włosów po czubki palców stóp. - Spodziewałem się, że wyjdiesz w piżamie i że będę mógł cię z niej rozebrać.

- Nie noszę piżam - odparła i ziewnęła. Zmarszczył brwi.

- Mówiłaś, że nosisz.

- Kłamałam. Sypiam nago.

- Chcesz powiedzieć, że zrujnowałaś mi świetną fantazję z czystej złośliwości?

- To nie był twój interes, co wkładam do spania - rzuciła z uśmiechem i podeszła do kanapy. Podniosła książkę i usiadła, podwijając nogi pod siebie. Była pewna, że błysnęła mu czym trzeba przed oczami - w każdym razie starała się - bo odwrócił się na pięcie i bez słowa po szedł do łazienki. Po jakichś trzydziestu sekundach usłyszała prysznic: teraz już mu się spieszyło.

Mierzyła mu czas, zerkając na budzik na nocnej szafce. Jego prysznic trwał niecałe dwie minuty. Potem przez czterdzieści siedem sekund słychać było wodę płynącą z kranu nad umywalką. Po kolejnych dwudziestu dwóch sekundach wyszedł z łazienki, wystrojony wyłącznie w wilgotny ręcznik obwiązany wokół bioder.

Lily spojrzała na jego świeżo ogoloną twarz.

- Nie do wiary, że ogoliłeś się tak szybko. Cud, że nie poderżnąłeś sobie gardła.

- Czymże jest przecięta tchawica wobec pójścia z tobą do łóżka? - zapytał, podchodząc. Wziął ją za rękę i pomógł wstać z kanapy. Pociągnął ją do łóżka, wyłączając po drodze lampy, aż w pokoju zapanował półmrok. Palila się tylko nocna lampka. Odrzucił kołdrę i odwrócił się ku Lily.

Ujął w dłonie jej twarz i pocałował. Poczowała smak pasty; jakimś cudem, szalejąc po łazience niczym tornado, zdążył również umyć zęby. Była pełna podziwu dla jego zręczności, bo poruszając się z taką prędkością, jeśli nawet nie poderżnął sobie gardła przy goleniu, powinien przynajmniej dziabnąć się w oko szczoteczką.

Mimo oczywistego dowodu, że sprawa jest niecierpiąca zwłoki, nie spieszył się z całowaniem. Lily objęła go i przycisnęła dłonie do jego pleców, czując gładką, wilgotną skórę, prężące się mięśnie. Gdzieś w trakcie pocałunku zgubił ręcznik, a pasek jej szlafroka się rozwiązał. Opuściła ręce i pozwoliła, by szlafrok zsunął się z jej ramion i opadł do stóp. Teraz między ich ciałami były już tylko westchnienia i oczekiwanie. Swain zgasił ostatnią lampę i ułożył Lily na chłodnym prześcieradle.

Położył się obok, pozwalając, by jej dłonie nauczyły się jego kształtów, nim oczy przywykną do ciemności. Czowała szorstkie włosy na jego piersi i jego twardy brzuch, wodziła dłońmi po muskularnych bicepsach i po mocnej krzywiźnie barków. On też był zajęty poznawaniem jej ciała. Głaskał jej pośladki, uda, aż w końcu przekreślił ją na plecy i zaczął całować po szyi; jego usta zsunęły się niżej, wzdłuż piersi i otoczyły brodawkę. Pieścił ją leniwie, delikatnie: Lily jęknęła z rozkoszy.

- Podoba mi się to - szepnęła, kładąc dłoń na jego głowie, by ją przytrzymać.

- Widzę. - Poświęcił tyle samo czasu drugiej brodawce, aż obie były mokre i twarde, sterczące niczym jagody.

- A ty co lubisz? - Delikatnie powiodła dłonią po jego brzuchu, musnęła koniuszek wzwiedzonego penisa, po czym zawróciła i odszukała płaskie sutki; drażniła je, aż i one się uniosły.



- Tak - rzucił ochryple. - Lubię to wszystko. - Bez śladu wstydu ujął jej dłoń i przesunął tam, gdzie najbardziej pragnął ją poczuć. Po chwili jednak wypuścił ze świstem powietrze i siłą oderwał jej rękę.

- Pozwól mi ochłonąć albo wszystko się skończy, zanim się na dobre zaczęło.

- Nadajesz się tylko na jedną rundę? - mruknęła. - Jestem wstrząśnięta.

Przyspilił jej dłonie po bokach głowy i dźwignął się nad nią.

- Ja ci dam jedną rundę.

Nareszcie poczuła na sobie jego ciężar; rozsunęła nogi, by mógł się między nimi ułożyć i objęła udami jego biodra. Uniosła się, chcąc poczuć to pierwsze, długie, penetrujące pchnięcie, ale poczuła tylko pieczenie i nic się nie stało. Swain wycofał się odrobinę i pchnął jeszcze raz. Tym razem nie zdołała powstrzymać syknięcia bólu, gdy jej ciało znów nie zdołało go przyjąć. Rozgoryczona, poczuła, że twarz jej płonie. Była zawstydzona swoją suchością.

- Zawsze trudno mi było poddać się chwili. Jakoś nie mogę przestać myśleć.

Roześmiał się, poruszając jej włosy oddechem. Musnął policzkiem jej skroń.

- Jeśli „niemyślenie” jest warunkiem koniecznym, to ja nie robię tego tak jak trzeba, bo nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek przestał myśleć. Chociaż nie. Przez jakieś dziesięć sekund nie myślę. - Przysunął usta do jej ucha i skubnął je zębami. - To ja powinienem przeprosić, kotku, że tak cię poganiałem. Kobieta, która nie kochała się od sześciu lat, potrzebuje czułości i troski, a ja ominąłem kilka bardzo ważnych kroków.

- Kroków? - To brzmiało tak, jakby mówił o programowaniu magnetowidu. Chciała się oburzyć, ale to pieszczotliwe kłusanie za bardzo ją rozpraszało.

- Mhm. - Skubał teraz jej szyję. - A raczej miejsc. Jak na przykład to tutaj. - Delikatnie ugryzł ją w miejsce, gdzie szyja łączyła się z barkiem; Lily wstrzymała oddech, gdy przyjemne uczucie przeszło ją niczym piorun.

- Zrób tak jeszcze raz.

Usłuchał bardzo chętnie, całując i gryząc jej szyję, aż jej oddech zmienił się w krótkie, płytkie sapnięcia. Te drobne ugryzienia były tak podniecające, że omal same nie doprowadziły jej do szczytowania. Chwycił między palce jej sutek; mocny, stały ucisk jeszcze przed chwilą byłby bolesny, ale teraz sprawił, że zaczęła jęczeć i wepchnęła pierś w jego dłoń.

Poruszał się w dół jej ciała; włożył koniuszek małego palca w jej pępek, ugryzł ją w bok, tuż nad biodrem, i w biodro, a w końcu wsunął dłonie pod nią i zaczął rytmicznie ścisnąć pośladki. Próbowwała go dosięgnąć, by odwzajemnić choć trochę pieszczot, jakimi ją raczył, ale on odepchnął jej dłonie.

- U mnie to tylko jeden krok i mamy go już z głowy - powiedział ochryple.

- Co to za krok? - zdołała spytać, choć trudno jej było mówić do rzeczy.

- Mnie wystarczy, że oddycham.

Musiła się roześmiać, a on ukarał ją, kłusając wewnętrzną stronę jej uda; pieszczota kazała Lily wstrzymać oddech i rozsunąć nogi jeszcze bardziej. Wiedziała, co zamierza, umierała z niecierpliwości, a mimo to pierwszy dotyk jego języka przeszył ją niczym piorun. Krzyknęła, wbijając pięty w materac i wyginając plecy w łuk. Swain chwycił ją i przyciągnął do siebie, by wejść głębiej, by skuteczniej pieścić ją językiem i palcami. Wrażenie było tak silne, że drżała jak pod napięciem, a wszystkie zakończenia nerwowe aż krzyczały z rozkoszy, która narastała z każdym jego powolnym ruchem.

Nawet kiedy była już gotowa, kiedy czuła wilgoć między nogami, nie przerwał pieszczot, aż zaczęła wić się na łóżku i błagać, by przestał albo nie przestawał, bo właściwie było jej już wszystko jedno. W końcu sapnęła:

- Już mogę. - Na wypadek, gdyby miał jakieś wątpliwości. Odwrócił głowę i pocałował

wnętrze jej dłoni.

- Jesteś pewna?

Wściekła usiadła na łóżku.

- Albo zrób to teraz, albo w ogóle nie rób! Zwariuję z tobą!

Roześmiał się i pchnął ją z powrotem na łóżko. Nim zdążyła odzyskać równowagę, był już na niej i wciskał się w nią powolnym, nieubłaganym ruchem. Gdy ją wypełnił, powietrze uciekło ze świstem z jej płuc.

Leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami, próbując ogarnąć cały ten żar, to uczucie wypełnienia.

Swain zaczął delikatnie poruszać się w niej w przód i w tył, pchnięcia stawały się coraz mocniejsze. Wydała z siebie zduszony dźwięk i przechyliła biodra, by wziąć go jak najgłębiej, by jak najmocniej poczuć tę doprowadzającą do szaleństwa pieśczętę. Drżała od stóp do głów, jej uda drżały, oddech zmienił się w szloch, który wiązał jej w gardle. Już prawie, prawie...

Z jej gardła wydobył się głuchy krzyk i nagle znalazła się w punkcie, z którego nie było już odwrotu. Potężne pulsujące fale rozeszły się z jej lędźwi, zmywając ostatnie strzępy samokontroli. Nareszcie, nareszcie doszła do tego miejsca, i to się działo, było potężniejsze niż cokolwiek, co zapamiętała, przesłaniało wszystko poza rozkoszą, która porwała ją jak tornado.

Jak przez mgłę zdała sobie sprawę, że płacze, choć nie wiedziała, dlaczego. Wciąż się trzęsła, tak wykończona i bezwładna, że nie mogła nawet unieść ręki. Ale nie musiała. Swain świetnie radził sobie sam. Jego pchnięcia były mocne i szybkie, sięgały do samego końca. Pot perlił się na jego skórze i on też teraz drżał, jak ona przed chwilą, drżał mu każdy mięsień, aż w końcu uderzył głęboko i dosięgnął własnego spełnienia. Zgubił rytm i z ochryplym krzykiem wygiął się do tyłu, pulsując w niej i wpijając palce w jej biodra tak mocno, że zostawiły ślady na skórze. W końcu osunął się powoli wstrząsany spazmami.

Jego płuca pracowały jak miechy, pompując potężne hausty powietrza. Lily wciąż z trudem chwytała oddech, a jej serce biło tak szybko, że była bliska omdlenia. Czuła pulsowanie krwi nawet w koniuszkach palców.

Pomyślała mętnie, że gdyby to miał być jej ostatni orgazm, to przynajmniej był mistrzostwem świata.

W końcu zdołała unieść rękę i otrzeć łzy z policzków. Dlaczego płakała, u licha? Dojście na szczyt nie było łatwe, ale przecież było warto.

Swain jęknął:

- Boże! Poczulem to nawet w palcach stóp. - Nie podniósł się z niej, tylko leżał tak, coraz cięższy i cięższy. Lily objęła go ramionami.

- Zaraz się podniosę - obiecał słabym głosem.

- Nie - zaprotestowała, ale on już stoczył się z niej z wysiłkiem, aż legł na boku. Położył dłoń na jej talii i przytulił ją do siebie tak blisko, jak się dało.

- Ogłaszam zakończenie pierwszej rundy - powiedział.

- Ja chyba nie mam siły na drugą - wysapała i w tej samej chwili zorientowała się, że Swain już śpi. Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. Po raz pierwszy od wieków czuła się bezpieczna - bezpieczna w jego ramionach.

## Rozdział 27

Lily obudziła się w objęciach Swaina; czuła się, jakby tu było jej miejsce. Żałowała, że nie może zatrzymać czasu w tej chwili, by nigdy nie stracić tego poczucia spełnienia i bezpieczeństwa. Starła się nie myśleć o katastrofie, jaką mógł przynieść ten dzień; wiedziała, że

zrobi, co musi zrobić, więc nie było sensu zawracać sobie tym głowy. Jeśli dopisze jej szczęście, dzisiejszą noc spędzi tak samo jak ostatnią.

Ku swemu zaskoczeniu przekonała się, że ma siłę na jeszcze dwie rundy. Swain obudził ją o drugiej nad ranem i włączył lampkę, bo tym razem chciał ją widzieć. Była zawstydzona swoim stanem - zasnęła bez prysznic i cała się kleiła - ale on udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że, pomijając wybór samochodów, nie jest wybredny.

- Seks jest brudny - powiedział z przekornym uśmiechem, przyciągając ją z powrotem, gdy próbowała wyjść z łóżka, by się umyć. - A poza tym to moja wina, więc dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu?

Światło nie przeszkadzało Lily, choć Swain jakimś sposobem odgadł, że za pierwszym razem ciemność ułatwi jej sprawę. Miała trzydzieści siedem lat, ale trzymała formę, więc nawet jeśli pewne okolice, co nieuniknione, zaczynały trochę obwisać, to było bardzo nieznaczne. A Swain z całą pewnością doceniał każdy centymetr jej ciała.

Za drugim razem orgazm przyszedł łatwiej, jakby przypomniawszy sobie, jak to się robi. Nie była już tak spięta, a Swain, głośno wyrażając zachwyty, sprawił, że naprawdę świetnie się bawiła. Potem wzięli razem prysznic. Swain rozłożył ręczniki na wilgotnych miejscach na prześcieradle, nim wrócili do łóżka i przespalili kolejne dwie godziny.

Trzeci raz, tuż po piątej, był długi i powolny. Lily, wyczerpana, padła z powrotem na łóżko i spała tak mocno, że nawet jeśli coś jej się śniło, nie pamiętała tego.

Teraz słońce wpadało przez szpary wokół ciężkich zasłon; była ciekawa, która jest godzina, ale nie na tyle, by chciało jej się przeturlać na bok i spojrzeć na zegarek.

Swain wydał niewyraźny pomruk i pocałował ją w kark.

- Dzień dobry - wymamrotał.

- Dzień dobry. - Uwielbiała ciepły dotyk jego muskularnego ciała; rozkoszowała się jego nogą wsuniętą między jej uda i ciężarem ręki, która objęła jej talię.

- Muszę jeszcze jeździć tym fiatem? - spytał. Widocznie ta kwestia była dla niego ogromnie ważna, skoro była to jego pierwsza myśl po przebudzeniu.

Lily poklepała go po ręce.

- Nie, możesz jeździć takim samochodem, jakim chcesz.

- Taki byłem dobry?

Zasługiwał na coś lepszego niż klepanie po ręce, sięgnęła więc do tyłu i poklepała go po tyłku.

- Niesamowity - odparła. - Masz bajeczną technikę i największego penisa, jakiego w życiu widziałam. Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie. To jest nagranie...

Ryknął śmiechem. Lily wymknęła się z łóżka i uciekła do łazienki, zanim zdążył się odgryźć. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i stanęła jak wryta, zdumiona miękkością swoich rysów. Odmłodziła ją jedna noc seksu?

Nie, nie chodziło o seks. Była to zasługa Swaina, czułości, jaką jej okazywał. Chodziło o bliskość, o więź, o poczucie, że nie jest już sama. Od miesięcy miała wrażenie, że jest odizolowana od świata, który widziała wokół siebie; nikt z tego świata nie mógł jej dotknąć, jakby otaczała ją fosa bólu i żalu. Swain wyrwał ją z tego jeziora samotności i pozwolił poczuć, że żyje.

Do diabła, ewidentnie się w nim zakochiwała. Przy wszystkim, co się działo, była to najgłupsza rzecz, jaką mogła zrobić, ale jak to powstrzymać? Nie mogła odejść, bo potrzebowała jego pomocy, ale przede wszystkim nie chciała odchodzić. Chciała wszystkiego, co mógł jej dać, każdej minuty. Nie mogła się nawet martwić, czy on zostanie z nią na zawsze, bo dla niej

wszystko mogło się skończyć dziś albo jutro. Miała tylko teraz - i to jej wystarczało.

W pokoju była tylko jedna łazienka, więc pospieszyła się, by i on mógł skorzystać. Kiedy wyszła - świeżo wykąpana i naga - Swain zawiesił senne spojrzenie na interesujących go punktach i pociągnął ją do siebie. Poczuła na brzuchu jego poranną erekcję i pożałowała, że jest taka obolała.

- Chcesz wziąć razem prysznic? - zapytał z ustami w jej włosach.
- Chyba będzie lepiej, jak się porządnie wymoczę w wannie - odparła z żalem.
- Obolała, co?
- Jeszcze jak.
- Przykro mi. Dwa razy było dość, tym ostatnim powinienem był trzymać łapy przy sobie.
- Ale to trzecim razem zapracowałeś sobie na zwolnienie z fiata.

Uśmiechnął się.

- W takim razie, warto było się poświęcić.  
- Czułam, że powiesz coś takiego - odparła, ale odwzajemniła uśmiech. - Miło wiedzieć, jakie masz priorytety.

- Czy powinienem był powiedzieć coś naprawdę miłego? - spytał po chwili.
- Owszem, i kompletnie nawaliłeś, jeśli chodzi o romantyczność.

Po kolejnej chwili trącił ją swoją erekcją.

- A to się liczy?
- Biorąc pod uwagę, że miałbyś to samo nawet beze mnie, to nie.
- Do tej pory już by oklapł. To ty go trzymasz na baczność. Widzisz? Jestem romantyczny.

Lily spojrzała w jego niebieskie oczy, w których błyszczały iskiereki ledwie wstrzymywanego śmiechu, ale że sama omal nie zhańbiła się chichotem, wybaczyła mu. Dała mu klapsa w tyłek i odsunęła się, by podnieść szlafrok.

- Rusz się, wielkoludzie. Jesteś głodny? Mam coś zamówić?

- Chętnie napiłbym się kawy, więc przy okazji możesz zamówić jedzenie. - Spojrzał na zegarek. - Zresztą i tak już prawie dziesiąta.

Tak późno! Lily zdała sobie sprawę, że tajemniczy rozmówca może zadzwonić w każdej chwili. Gdy Swain poszedł do łazienki, sprawdziła komórkę, którą zeszłego wieczoru nastawiła na ładowanie. Telefon był włączony, wskaźnik pokazywał mocny sygnał, więc nie przegapiła połączenia. Zdjęła komórkę z ładowarki i włożyła do kieszeni szlafroka.

Zamówiła do pokoju croissantsy i dżem, a do tego kawę i sok pomarańczowy. Swain nie wyraził ochoty na nic szczególnego poza tradycyjnym francuskim śniadaniem, więc na tym poprzestała. W kwestii jedzenia był zdumiewająco wyrafinowany i elastyczny. Przemilczał wiele ze swojej przeszłości, ale ona też nie powiedziała mu wszystkiego o sobie. Wystawił głowę z łazienki.

- Chcesz się moczyć teraz czy wolisz później?
- Później. Nie chcę przerywać kąpieli, żeby zjeść.
- To ja wezmę prysznic. - Zniknął z powrotem w łazience i po chwili Lily usłyszała szum wody.

Wyszedł tuż przed przybyciem kelnera ze śniadaniem; wyglądał wspaniale w czarnych spodniach i prostej białej koszuli bez kołnierzyka z rękawami podwiniętymi na muskularnych przedramionach. Podpisał rachunek i odprawił kelnera. Ledwie wrócił od drzwi, zadzwoniła komórka Lily.

Lily wyjęła telefon z kieszeni i zerknęła na wyświetlacz. Identyfikacja numeru była zablokowana.

- To chyba on - powiedziała i otworzyła aparat. - Tak, halo - rzuciła, przechodząc na

francuski.

- Czy podjęła pani decyzję?

Słyszając mechanicznie zniekształcony głos, kiwnęła głową na Swai-na, który podszedł i przystawił ucho do jej ucha. Lily odsunęła odrobinę telefon, by i on mógł słyszeć.

- Tak. Zrobię to, ale pod jednym warunkiem. Musimy się spotkać twarzą w twarz.

Chwila milczenia.

- To nie jest możliwe.

- Musi być możliwe. Pan mnie prosi, żebym zaryzykowała życie, ale sam niczego nie ryzykuje.

- Pani mnie nie zna. Nie rozumiem, w jaki sposób nasze spotkanie miałyby panią uspokoić.

Miał rację, ale ona już się trochę uspokoiła. Gdyby to był Rodrigo. natychmiast zgodziłby się na spotkanie. Wysłanie figuranta i wciąganie jej w pułapkę z pomocą kogoś, kogo nie znała, nie stanowiłoby problemu. Ten człowiek nie był Rodrigiem i nie pracował z nim.

Już chciała przyznać mu rację, że spotkanie nie jest konieczne, ale Swain kiwnął nagle ręką i samymi wargami powiedział: „spotkanie”, kiwając głową. Chciał, żeby upierała się przy spotkaniu.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego, ale wrzuciła ramionami i posłuchała go.

- Chcę zobaczyć pańską twarz. Pan moją zna, prawda?

Rozmówca zawahał się; teraz Lily była już pewna, że to nie Rodrigo.

- A jakie to ma znaczenie, czy zobaczy pani moją twarz? Mogę pani podać dowolne nazwisko i pani nie będzie wiedziała, czy jest prawdziwe.

Lily nie potrafiła wymyślić żadnego logicznego powodu, by obstawać przy swoim, postawiła więc na brak logiki.

- To mój warunek - rzuciła ostro. - Może się pan zgodzić albo nie. Usłyszała głębokie westchnienie.

- Zgadzam się. Będę przed wejściem do Jardin du Paiais Royal jutro o drugiej. Proszę włożyć czerwoną apaszkę, znajdę panią. I niech pani przyjdzie sama.

Swain pokręcił głową; jego mina wskazywała, że nie ustąpi w tej sprawie.

- Nie - powiedziała Lily. - Będzie ze mną przyjaciel. Nalega na to. Ja panu niczym nie zagrażam, monsieur, a mój przyjaciel chce być pewien, że i pan mi niczym nie zagrazi.

W słuchawce rozległ się śmiech, przekształcony przez elektroniczne urządzenie w chrapliwe szczekanie.

- Trudno się z panią negocjuje. Zgoda, mademoiselle. Czy ma pani jeszcze jakieś warunki?

- Tak - odparła z czystej przekory. - Niech pan też włoży czerwoną apaszkę.

Znów się roześmiał i przerwał połączenie. Lily zamknęła telefon i odetchnęła z ulgą.

- To nie Rodrigo.

- Na to wygląda. To dobrze. Może to rzeczywiście przełom.

- Dlaczego chcesz tam być?

- Bo człowiek, który tak bardzo nie chce się spotkać, ma coś do ukrycia i zwyczajnie mu nie ufam. - Puścił do niej oko. - Zgadnij, co to oznacza.

Lily zamrugnęła, wciąż tak skupiona na rozmowie i jej implikacjach, że kompletnie nie skojarzyła.

- Co? - spytała.

- To oznacza, że mamy cały dzień dla siebie. - Stuknął swoją filiżanką o jej filiżankę. - I noc.

Uśmiechnęła się i podszedłszy do okna, wyjrzała na jasny, zalany słońcem świat.

- Jeśli się znudzisz, możemy pojechać do Disneylandu - powiedziała. Czuli, że teraz mogłaby to zrobić, a wspomnienia Zii przyniosłyby jej radość zamiast cierpienia.

- A możesz tam pojechać nago? - zapytał i łyknął kawy. Wiedząc doskonale, do czego zmierza ta rozmowa, ściągnęła wargi i odparła:
- Raczej nie.
- Więc nie ruszę się z tego pokoju.

## Rozdział 28

Następny dzień, równie słoneczny jak poprzedni wywabił na ulice gromady turystów. I mnóstwo z nich poczuło nagłą potrzebę obejrzenia ogrodów Pałacu Królewskiego. Może odbywał się tam jakiś festiwal? Coś musiało przyciągnąć te tłumy.

Określenie „przed wejściem” okazało się mało precyzyjne. Ozdobna brama była ogromna, z trzech stron otaczały ją sklepy, restauracje i galerie sztuki. Do parku wchodziło się przez duży dziedziniec upstrzony pasiastymi kolumnami, które zapewne były artystyczną wizją... czegoś, ale stanowiły modernistyczny, bolesny zgrzyt wśród XVII-wiecznej architektury. Był też długi szereg wyższych, bardziej dostojnych kolumn, które jeszcze bardziej ograniczały pole widzenia. Wśród tych kolumn i tłumów spacerowiczów, z których wielu nosiło czerwone apaszki i szaliki, wypatrzenie jednej osoby było o wiele trudniejsze, niż Swain się spodziewał.

Ogólnie rzecz biorąc, uważał spotkanie tu za cholernie kiepski sposób nawiązania kontaktu, ale też trochę go to uspokajało. Zawodowiec wybrałby inne miejsce, co oznaczało, że mają do czynienia z kompletnym amatorem, może kimś, kto pracował w laboratorium Nervich i był zaalarmowany tym, co się tam działo. W takim wypadku mieli nad nim znaczną przewagę.

Lily stała obok Swaina, rozglądając się. Włożyła ciemne okulary, a do tego brązowe soczewki kontaktowe - na wypadek gdyby musiała zdjąć okulary - i ten sam kapelusz, który zwykle nosiła dla zamaskowania włosów. Swain spojrzął na nią złapał za rękę i przyciągnął do siebie.

Uważał się za nieskomplikowanego człowieka jeśli chodziło o pragnienia, potrzeby, sympatie i antypatie, ale sytuacja z Lily i uczucia jakie do niej żywił, bynajmniej nie były proste. Miał cholerny dylemat. Najlepsze, co mógł zrobić, to zajmować się jedną rzeczą naraz, według hierarchii ważności, i mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Ale z Lily nie mogło się ułożyć i serce mu się ścisnęło, ilekroć pomyślał o tym, co musiał zrobić.

Gdyby tylko mógł porozmawiać z Frankiem. Frank żył i był już przytomny, ale mocno otumaniony środkami uspokajającymi i wciąż leżał na OIOM-ie. Właściwie „przytomny” nie było odpowiednim określeniem na jego stan, bo, według słów asystentki, reagował na takie prośby, jak „ściśnij moją rękę”, i od czasu do czasu był w stanie wyszeptać „wody”. Dla Swaina „przytomny” oznaczało możliwość prowadzenia rozmów i spójny tok myślenia. Do tego Frankowi jeszcze dużo brakowało. Nie mógł rozmawiać przez telefon, nawet gdyby miał takowy w pokoju - a nie miał.

Musiało być jakieś inne rozwiązanie sprawy Lily. Chciał z nią porozmawiać; posadzić ją w fotelu, wziąć za rękę i powiedzieć, co się dzieje. To nie musiało wyglądać tak, jak zdecydował Frank.

Nie zrobił tego, bo wiedział, jak by zareagowała. W najlepszym razie poszłaby sobie i zniknęła. W najgorszym - próbowałyby go zabić. Biorąc pod uwagę jej przeszłość, a także jej ostrożność i nieufność, stawiał na ten gorszy scenariusz. Gdyby jeszcze nie została zdradzona przez kochankę, który próbował ją zabić... może miałaby jakąś szansę. Omal nie jęknął, gdy powiedziała mu o tym, bo zrozumiał, że w jej pojęciu byłaby to koszmarna powtórka z rozrywki. Skoro poprzednim razem ledwie uszła z życiem, raczej nie byłaby skłonna udzielić mu łaski

wątpliwości i pogadać, nim zaczniesz strzelać.

Podłamana utratą bliskich i zdradą niemal całkowicie zamknęła się w sobie, bo nie zdołałaby znieść kolejnego ciosu. Wiedział doskonale, że wyłącznie okoliczności rzuciły ją w jego ramiona, a on po prostu wykorzystał sytuację. Lily była spragniona kontaktów z drugim człowiekiem, nawet jeśli go unikała; jej życie było pozbawione śmiechu, zabawy, radości. Mógł jej dać przynajmniej to, choćby przez chwilę, i miał naprawdę cholerne szczęście, bo właśnie temu najtrudniej było jej się oprzeć.

Serce mu się krajało, gdy patrzył, jak rozkwitła przez tych kilka ostatnich dni. Nie łudził się, że przyczyną była jego niesamowita sprawność łóżkowa czy cudowna osobowość; dokonał tego zwykły ludzki dotyk, który wyciągnął ją ze skorupy, pozwolił jej się śmiać, żartować, przyjmować i dawać uczucie. Ale tych kilka dni nie mogło wymazać całych miesięcy, całych lat, które kształtowały jej osobowość; jej równowaga wciąż była tak delikatna, że najmniejsza oznaka zdrady zniszczyłaby zaufanie, które on budował między nimi.

Sam był w niezłym kłopotcie, bo był w to wplątany równie mocno jak ona. Jeśli on dotykał jej, to i ona dotykała jego. Te dwie ostatnie noce, kiedy się kochali, były... do diabła, to były najlepsze chwile w jego życiu. Wiedział, że utrata Lily złamie mu serce, a doprowadził sprawę do takiego punktu, że musiał ją stracić, niezależnie od tego, co zrobi - bo gdyby powiedział jej, kim jest, ona widziałaby w nim wyłącznie zdrajcę. Jasna cholera. Myślał, że sobie poradzi - że dostarczy rozrywki im obojgu na jakiś czas - ale nie wziął poprawki na to, jak ważna Lily stanie się dla niego. Nie wiedział też, jak była obolała psychicznie, co praktycznie determinowało jej reakcję, gdyby teraz się przed nią otworzył. Był arogancki i myślał małym mózgiem, zamiast dużym, a teraz oboje mieli za to zapłacić.

On zasługiwał, żeby zapłacić, ale Lily nie. W całej tej historii to ona była pozytywnym bohaterem. Co z tego, że zabiła informatora CIA; ten sukinsyn zasługiwał na śmierć, zwłaszcza w świetle tego, co planował zrobić z tym wirusem grypy. Wprawdzie ona wtedy o tym nie wiedziała, jej motywem była wyłącznie zemsta, ale dla Swaina to było dzielenie włosa na czworo. Tak naprawdę chodziło o to, że Lily nie zrezygnowała. Wciąż rzucała się na pierwszą linię, skłonna poświęcić życie w imię tego, co uznawała za słuszne. Niewielu ludzi ma w sobie tyle moralnej siły czy też zwykłego samozaparcia - jak tam kto wojał to nazwać.

Serce zaczęło mu łomotać, gdy zdał sobie sprawę, co się stało, jak strasznie dał się zaskoczyć.

- Jezu kochany - powiedział na głos. Mimo chłodnego dnia był zlany potem.

Lily spojrzała na niego zdziwiona. - Co?

- Zakochałem się w tobie.

Zagryzł zęby, by nie wyrzucić z siebie całej prawdy. Już to jedno wyznanie było jak skok w przepaść.

Przez ciemne okulary nie widział wyraźnie jej oczu; dostrzegł tylko, że zamrugała gwałtownie.

- Co? - powtórzyła, ale tym razem jakoś słabo.

Zadzwoniła jej komórka.

- Mam dość tych cholernych telefonów! - mruknęła, wyjmując aparat z kieszeni.

Swain złapał telefon.

- Doskonale cię rozumiem - burknął, spoglądając na wyświetlacz. Znał ten numer; dzwonił tam ledwie parę dni temu. Co, u diabła...? - Tym razem mamy numer - powiedział, by zamaskować niezręczną pauzę. Otworzył telefon i warknął: - Tak? O co chodzi?

- Ach... to chyba pomyłka.

- Nie wydaje mi się - odparł Swain. - Pan w sprawie spotkania?

Zapewne rozmówca też rozpoznał jego głos, bo nastąpiła długa chwila ciszy, tak długa, że Swain zaczął się zastanawiać, czy facet się nie rozłączył. W końcu powiedział:

- *Out.*

- Ja jestem tym przyjacielem, o którym była mowa - powiedział Swain, modląc się, by gość go nie zdradził. Francuz wiedział, że on jest z CIA; jeśli zapyta o to Lily, będzie po ptakach.

- Nie rozumiem.

Oczywiście że nie rozumiał, bo zakładał - i słusznie - że Swain został przysłany do Francji, żeby zająć się problemem w osobie Lily, a jednak najwyraźniej był jej współnikiem.

- Nie musi pan - odparł Swain. - Proszę mi tylko powiedzieć, czy spotkanie jest aktualne.

- *Oui.* Nie zdawałem sobie sprawy, że ten park będzie tak... Jestem przy centralnej sadzawce. Tu łatwiej się znaleźć.

- Będziemy tam za pięć minut - powiedział Swain i się rozłączył. Lily wyrwała mu telefon z ręki.

- Dlaczego to zrobiłeś? - rzuciła ostro.

- Żeby wiedział na pewno, że nie jesteś sama - odparł Swain. To był równie dobry powód jak każdy inny, a na dodatek jedyny, jaki mu przyszedł do głowy. - Czekaj na nas w centrum parku, przy sadzawce. - Wziął ją pod ramię, ale wyrwała rękę.

- Chwila.

Zatrzymał się i obejrzał na nią.

- Co? - Bał się, że będzie chciała rozmawiać o jego niespodziewanym wyznaniu, bo wiedział z doświadczenia, że kobiety lubią rozprawać o takich rzeczach do upadłego, ale jej myśli biegły w zupełnie innym kierunku.

- Myślę, że powinniśmy się trzymać pierwotnego planu. Ty zostajesz z tyłu i pilnujesz mnie. Rodrigo mógł się domyślić, że zbyt łatwa zgoda na spotkanie będzie dla nas podejrzana.

Pozwolić jej się spotkać sam na sam z facetem, który wiedział, że on jest z CIA? Nie ma mowy.

- To nie był Rodrigo - powiedział.

- Skąd wiesz?

- Bo ten człowiek nie zna tego parku; nie wiedział, że w pogodną sobotę wejście nie będzie dobrym miejscem na spotkanie. Myślisz, że Rodrigo by tego nie sprawdził? I rozejrzyj się; czy Rodrigo próbowałby porwać kobietę, kiedy dookoła jest tyle ludzi? Ten człowiek raczej ma uczciwe zamiary.

- Raczej, ale nie na pewno - zauważyła.

- Okej, więc spójrz na to z tej strony. Jeśli to Rodrigo, to czy obecność dodatkowej osoby powstrzyma go przed tym, co chce zrobić?

- Nie, ale uniemożliwi mu zrobienie tego bez ściągania uwagi.

- No właśnie. Zaufaj mi. Nie ryzykuję twojego życia ani nawet swojego. Rodrigo wybrałby na spotkanie jakieś odosobnione miejsce; byłby głupi, gdyby zrobił inaczej.

Lily przetrwała to i w końcu skinęła głową.

- Masz rację. Rodrigo nie jest głupcem.

Swain splótł palce z jej palcami i pociągnął Lily za sobą. Gdy poczuł w swojej dłoni jej drobną dłoń, jego żołądek znów wywinął salto, a jej zaufanie zaciążyło mu niczym kowadło. Boże, co on miał zrobić?

- A tak dla twojej wiadomości, to słyszałam, co powiedziałaś. - Po patrzyła na niego znad okularów.

Ścisnął krótko jej palce.

- No i?



- No i... cieszę się. - Ta prosta odpowiedź przeszła go niczym strzała. Większości kobiet słowa „kocham cię” przychodzi o wiele łatwiej niż mężczyznom, ale Lily nie była większością. Ona, aby kochać i przyznać się do tego, potrzebowała całej odwagi, jaką miała. Nigdy by się nie spodziewał, że będzie się przy niej czuł taki malutki, i nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Trzymając się za ręce, weszli do wielkiego ogrodu, który należał kiedyś do kardynała Richelieu. W samym środku znajdowała się ogromna sadzawka z fontanną. Wokół niej spacerowali ludzie. Niektórzy po prostu podziwiali ogrody, choć w listopadzie nie prezentowały się tak imponująco, jak jeszcze kilka miesięcy temu, inni przysiadali na cembrowinie i pozowali do zdjęć, by zabrać ze sobą do domów wakacyjne wspomnienia. Swain i Lily ruszyli wolnym krokiem wokół sadzawki, wypatrując samotnego mężczyzny w czerwonej apasce.

Wstał, gdy się zbliżyli. Swain szybko ocenił jego wygląd. Był to schludny, dobrze ubrany mężczyzna, miał niecały metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy i oczy i szczupłą twarz, której rysy krzyczały „Francuz!”

Sądząc po tym, jak leżała na nim szyta na zamówienie marynarka, był albo nieuzbrojony, albo tak jak Lily nosił kaburę na kostce. Miał ze sobą aktówkę, i ten szczegół wyróżniał go spośród spacerowiczów; była sobota, dziś nie widziało się pracowników biurowych. Nie został przeszkolony w technikach wywiadowczych, pomyślał Swain, bo inaczej wiedziałby, że powinien się raczej wtopić w tłum, niż wyróżniać z niego.

Ciemne oczy mężczyzny najpierw badawczo przyjrzały się twarzy Swaina, po czym przeniosły się na Lily. O dziwo, wyraz jego twarzy złagodniał.

- Mademoiselle - powiedział i złożył jej półukłon, jak najbardziej naturalny i pełen szacunku. Tak, to z pewnością był ten cichy głos, który zapamiętał Swain. Ale nie podobało mu się, jak ten gość patrzył na Lily, więc przyciągnął ją odrobinę bliżej do swego boku, jak to zwykle robią faceci, którzy chcą pokazać innemu mężczyźnie, że wkracza na ich osobiste terytorium.

Człowiek z Interpolu znał już jego nazwisko, ale chcąc zapobiec wpadce, której nie dałoby się wyjaśnić, Swain powiedział:

- Nazywam się Swain. Teraz pan zna jej nazwisko i moje. Jak brzmi pańskie?

Bystre ciemne oczy przyglądały mu się uważnie. Francuz nie wahał się dlatego, że nie był pewien, co robić, ale dlatego, że rozważał wszystkie ewentualności.

- Georges Blanc - przedstawił się wreszcie i wskazał swoją aktówkę. - Wszystko, co musicie wiedzieć o systemie, jest tutaj, ale po starannym przemyśleniu sprawy doszedłem do wniosku, że potajemne dostanie się do środka jest w tej chwili niewykonalne.

Swain rozejrzał się dookoła, upewniając się, że nikt ich nie słyszy.

- Powinniśmy iść w jakieś bardziej odosobnione miejsce - powiedział. Blanc też się rozejrzał i skinął ze zrozumieniem głową.

- Proszę wybaczyć - rzekł. - Nie bardzo wiem, jak postępować w takich sytuacjach.

Ruszyli ku linii starannie przystrzyżonych drzew. Swain nie przepadał za francuskimi ogrodami - wolał naturę w bardziej nieuporządkowanym stanie - ale musiał przyznać, że w spokojny dzień to otoczenie mogło działać kojąco. Po parku rozsiane były liczne kamienne ławki; znaleźli jedną z nich i Blanc zaprosił Lily, by usiadła. Postawił teczkę obok niej.

Swain złapał aktówkę i wcisnął ją z powrotem w ręce Francuza.

- Proszę to otworzyć - rzucił rozkazującym tonem.

Lily zerwała się na nogi, a Swain przesunął się tak, by znalazła się za jego plecami, sięgając jednocześnie pod połę kurtki. Jeśli w aktówce była bomba, może zdołałby osłonić Lily, choć wątpił, aby Blanc zdetonował ładunek, kiedy sam stał tak blisko. Ale jeżeli detonator miał nie Blanc, lecz ktoś, kto ich obserwował?

Blanc trochę się wystraszył, zarówno szybkości ruchów Swaina, jak i jego groźnej miny.

- To tylko papiery. - Wcisnął kciukami przyciski zamków. Klamerki odskoczyły; uniósł wieko i pokazał plik kartek w środku. Otworzył nawet wewnętrzną kieszeń, by Swain mógł do niej zajrzeć, i przekartkował papiery.

- Możecie mi ufać. - Mówiąc to, patrzył Swainowi w oczy, i Swain zrozumiał przekaz.

Zdjął dłoń z kolby pistoletu.

- Przepraszam - powiedział. - Po Rodrigu Nervim spodziewam się wszystkiego.

Lily walnęła go pięścią w plecy.

- Co ty wyprawiasz?

No jasne, jak mogłaby się nie wkurzyć za to, że próbował ją chronić. Gdyby wiedziała, co im może grozić, wepchnęłaby się na przód, żeby chronić jego. ale nie była przeszkolona w tych sprawach, tak samo jak Blanc, więc przez jakieś dwie sekundy nie rozumiała, o co Swainowi chodziło. Nie miał najmniejszego zamiaru przeproszać za coś, co sama by zrobiła, gdyby jej tylko przyszło do głowy. Spojrzał na nią przez ramię spod zmrużonych powiek.

- Jakoś to przeżyjesz.

Ostentacyjnie wyszła z za jego pleców i usiadła na ławce.

- Proszę usiąść, monsieur Blanc - zwróciła się do niego swoją doskonałą francuszczyzną.

Blanc zerknął z rozbawieniem na Swaina i zrobił, o co prosiła.

- Wspomniał pan, że potajemne dostanie się do laboratorium może być niewykonalne - powiedziała Lily, zachęcając go do mówienia.

- Tak, dodatkowe środki zewnętrznej ochrony utrudniły sprawę... zwłaszcza w nocy. Wtedy przy każdej bramie i w każdym korytarzu są dodatkowi strażnicy. Słabsza ochrona jest w ciągu dnia, kiedy w laboratorium przebywa więcej pracowników.

To logiczne, pomyślał Swain. Niekorzystne dla ich planów, ale logiczne.

- Wprowadzę was do środka w ciągu dnia - zaproponował Blanc.

- Jak pan to zrobi? - spytał Swain.

- Zaażyczyłem sytuację tak, że zatrudni was młodszy Nervi, Damone, który przyjechał ze Szwajcarii, by pomagać bratu. Czy pani go poznała, mademoiselle? - zapytał Lily.

Pokręciła głową.

- Nie, przebywał w Szwajcarii. O ile wiem, to jakiś geniusz finansowy. Ale dlaczego miałby kogokolwiek zatrudniać? A poza tym, czy nie Rodrigo o tym decyduje?

- Jak powiedziałem, Damone przyjechał tutaj, by wziąć na siebie część spraw administracyjnych. Życzy sobie, by niezależna firma obejrzała zabezpieczenia i upewniła się, że są rzeczywiście najlepsze. Ponieważ chodzi o bezpieczeństwo laboratorium, Rodrigo się zgadza.

- Rodrigo wie, jak wyglądam - przypomniała mu Lily. - Wszyscy jego pracownicy wiedzą.

- Ale nie zna pana Swaina, prawda? - odparł Blanc. - To się dobrze składa. A pani, zdaje się, ma sporą wprawę w charakteryzacji?

- Poniekąd - przyznała Lily zdziwiona, że o tym wiedział.

- Więc ten Damone nas zatrudni, nie widząc nas na oczy? - zapytał z powątpiewaniem Swain.

Blanc uśmiechnął się lekko.

- Powierzył mi znalezienie kogoś odpowiedniego. Ufa mi i nie będzie kwestionował mojego osądu. Sam Damone Nervi przeprowadzi was przez systemy zabezpieczające do laboratorium. - Rozłożył ręce. - Czy mogłoby być coś lepszego?

- To nie jest łatwe zadanie - powiedział Swain.

By móc swobodnie rozmawiać, weszli do małej kawiarni, gdzie usiedli przy najbardziej odosobnionym stoliku i przejrzeni zawartość teczek. Posługiwali się i francuskim, i angielskim, bo to się najlepiej sprawdzało. Blanc potrafił się lepiej wysławić po francusku, a Swain po angielsku, ale rozumieli się wzajemnie. Lily bezwiednie używała obu języków, zależnie od tego, do kogo mówiła.

- Będę potrzebował przynajmniej tygodnia, żeby kupić potrzebne rzeczy - ciągnął Swain.

Ku jego irytacji, Blanc spojrział na Lily, jakby szukał potwierdzenia. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Ja nie mam zielonego pojęcia o materiałach wybuchowych. To Swain jest ekspertem.

Nigdy jej nie mówił, że jest ekspertem, ale docenił jej zaufanie. Tak się składało, że wiedział, co się robi z detonatorem.

- Historyjka, którą pan wymyślił na użytek Damone'a, jest niezła - rzekł - ale teraz musimy ją uwiarygodnić. Z tego, co pan mówi, Damone nie jest głupi...

- Nie - potwierdził Blanc. - Daleko mu do tego.

- ...i mogę się założyć, że Rodrigo z czystej ciekawości będzie chciał przynajmniej sprawdzić nasze papiery.

- Przynajmniej - rzuciła kwaśno Lily. - Jeśli będzie miał czas, przeprowadzi pełne dochodzenie.

- Trzeba więc zadbać, żeby nie miał czasu. Musimy umieścić ładunki za pierwszym razem, gdy wejdziemy do laboratorium, bo drugiej okazji może już nie być. Czy Damone ufa panu na tyle, że wprowadzi nas do laboratorium, zanim Rodrigo nas sprawdzi?

- Tak - odparł Blanc bez wahania. - Powiem mu, że sam was dokładnie sprawdziłem.

Swain już chciał zapytać, czy Damone orientuje się, że Interpol nie prowadzi dochodzeń, ale ugryzł się w język, bo w żaden sposób nie potrafiłby wyjaśnić Lily, skąd wie, że Blanc jest z Interpolu. Nie tylko Blanc musiał się bardzo pilnować w tej rozmowie.

- Będziemy potrzebowali furgonetki, wizytówek, papeterii, kombinezonów... wszystkich zewnętrznych atrybutów legalnej firmy. Furgonetka przewiezie wszystkie potrzebne rzeczy. Plany obiektu dały mi przynajmniej pojęcie, jak duży teren wchodzi w grę. Pan pewnie nie wie, gdzie dokładnie znajduje się laboratorium, które nas interesuje?

Blanc pokręcił głową.

- Nie wiem też, czy wszystkie istotne informacje są w jednym rejonie. Mogą być rozsiane po całym kompleksie, choć to byłoby raczej bałaganiarskie podejście do sprawy.

- Albo sprytnie - powiedziała Lily. - Dzięki temu jeśli jeden komplet danych ulegnie zniszczeniu, pozostaną kopie. Będziemy musieli się tego dowiedzieć, kiedy już znajdziemy się w środku. Czy Damone może to tak urządzić, żeby oprowadził nas sam doktor Giordano? Skoro rzecz dotyczy bezpieczeństwa jego badań, pewnie pokaże nam miejsca przechowywania kopii zapasowych, żebyśmy mogli sprawdzić, czy są odpowiednio chronione.

Pracowali nad równaniem z wieloma niewiadomymi, ale Swain pamiętał, że Lily miała opinię osoby, która potrafi rozpracować każdego. Właśnie dlatego - z wyjątkiem tej jednej tajemnicy - był przy niej sobą. Nie chciał, by wyczuła w nim jakikolwiek fałsz. Lily poznała doktora Giordano i wyrobiła sobie o nim zdanie. Mówiła, że jest dumny ze swojej pracy i uważa się za geniusza w swojej dziedzinie. Możliwe więc, że wskaże im palcem wszystkie środki bezpieczeństwa chroniące jego materiały badawcze. Raz zostały już zniszczone, nie będzie zatem chciał, by to się powtórzyło.

Na twarzy Blanca pojawił się wyraz z troskaniem.

- Zdetonujecie ładunki w dzień czy poczekacie do nocy, kiedy w laboratorium będzie mniej

ludzi?

- Nie możemy ryzykować, że ktoś zauważy ładunki. Trzeba je będzie zdetonować, gdy tylko zostaną rozmieszczone.

- Moglibyśmy urządzić fałszywy alarm bombowy – zaproponowała Lily. - Ogłosimy zaraz po przyjściu, że w ciągu dnia rozlegnie się sygnał alarmowy i pracownicy są proszeni o możliwie szybkie i sprawne opuszczenie budynku. Jeśli ktoś zauważy coś podejrzanego, pewnie pomyśli, że to element ćwiczeń. Prawdę mówiąc, wszystko możemy podciągnąć pod ćwiczenia: powiedzieć, że umieścimy w pomieszczeniach fałszywe ładunki, by sprawdzić, czy wszystkie zostaną zauważone przez pracowników wykonujących swoje zwykłe zadania. Nie mają prowadzić poszukiwań, tylko być czujni, coś w tym rodzaju. Premia dla każdego, kto zauważy bombę. Powiemy też, że mają ich nie dotykać, tylko zgłosić lokalizację.

Swain przymknął oczy, rozważając tę propozycję. To by wyeliminowało wiele problemów, bo nikogo nie zdziwiłby widok jego i Lily płaczących się po budynku i podkładających podejrzanę paczkę. Doktor Giordano mógłby im nawet wskazać kilka dobrych kryjówek na ładunki. Plan był tak sprytny i śmiały, że nikomu nie powinien wydać się podejrzanym. Największym problemem byłoby przebranie Lily tak, by Giordano jej nie poznał.

- To szatański pomysł. Podoba mi się. Gdyby nawet wykryto materiał wybuchowy, moglibyśmy wytłumaczyć, że chcieliśmy pokazać pracownikom, jak wygląda semtex czy C-4, żeby w razie czego wiedzieli, jak zareagować.

- Użyje pan plastiku? - zapytał Blanc.

- Jest najbezpieczniejszy. - Swain miał na myśli bezpieczeństwo przy obchodzeniu się z nim. Nie wiedział, co uda mu się kupić, semtex czy C-4, ale jeśli chodziło o sposób użycia, nie było między nimi wielkiej różnicy. Oba materiały były stabilne, oba miały dużą siłę rażenia i oba wymagały detonatora, żeby zrobić bum. Semtex mógł być łatwiej osiągalny, jako że produkowano go w Czechach, ale nowa wersja traciła plastyczność po trzech latach, więc trzeba było się upewnić, że nie jest za stary, by zadziałał.

- Proszę nas umówić na spotkanie z Damonem za tydzień od dzisiaj - zwrócił się do Blanca. - Skontaktuję się z panem, jeśli będziemy mieli jakieś opóźnienie.

- Chce się pan z nim spotkać w sobotę?

- Jeśli w sobotę w kompleksie jest mniej pracowników, tym lepiej.

- Rozumiem. Spróbuję umówić spotkanie na ten dzień.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedziała Lily.

- Tak, mademoiselle?

- Milion dolarów wynagrodzenia. Chcę, żeby pieniądze zostały zdeponowane na moim koncie, zanim zaczniemy działać. Będziemy potrzebować funduszy na kupno wszystkiego, co nam jest potrzebne.

Blanc zrobił zaskoczoną minę.

- Amerykańskich - sprecyzowała Lily. - Taka była umowa.

- Tak, oczywiście... Dopilnuję tego.

- W poniedziałek po południu sprawdzę saldo na moim koncie. - Zapisała na kartce numer konta i nazwę banku i podała Blancowi.

Blanc wziął kartkę. Swainowi wydawało się, że w jego oczach widzi zdumienie, jakby Francuz nie mógł uwierzyć, że Lily naprawdę robi to dla pieniędzy a nie z dobroci serca. Był pewien, że zrobiłaby to, nawet gdyby musiała zapłacić za ten przywilej, ale skoro Blanc chciał płacić, byłaby głupia, odrzucając taką sumę.

Swain zapłacił za kawę; tymczasem Lily poukładała papiery w aktówce. Wyciągnęła rękę, by pożegnać się z Blancem, Francuz uniósł ją do ust i pocałował. Zirytowany Swain uwolnił jej dłoń

z jego uścisku.

- Niech pan sobie da spokój. Ona jest zajęta.
- Ja też, monsieur - odparł Blanc. - Ale to nie znaczy, że nie potrafię docenić pięknej kobiety.
- Cieszę się. A teraz proszę iść i doceniać kogoś innego.
- Rozumiem - powiedział Blanc. Gdy odszedł, Lily wyjaśniła Swainowi:
- Francuzi całują kobiety w rękę. Dla nich to nic nie znaczy.
- Bzdura. Dla niego to na pewno coś znaczy.
- Wiesz to z doświadczenia?
- Tak. Cholerni Francuzi całują wszystko, co się da. Nie wiadomo, gdzie były te jego usta.
- Mam wyparzyć rękę, żeby się pozbyć zarasków?
- Nie, ale jeśli on jeszcze raz cię pocałuje, to ja mu wyparzę wargi.

Roześmiała się i oparła głowę o jego ramię. Lekki rumieniec na jej policzkach wskazywał, że w głębi duszy cieszy ją to jego rozdrażnienie. Objął ją i szli dalej przytuleni.

Tydzień! Chociaż wiedział, że przez cały czas będą zajęci, czuł się, jakby odroczone mu wyrok. Spędzi z Lily jeszcze siedem dni i siedem nocy. W ciągu tygodnia Frank może na tyle wydobrzcć, że będzie w stanie rozmawiać przez telefon.

- Nie zamierzałam cię wykołegować - powiedziała Lily, przerywając jego rozmyślenia. - Przeleję ci połowę forsy.

- Nawet nie myślałem o pieniądzach - odparł szczerze. Działał tutaj na koszt Wuja Sama, nawet jeśli jego działania nie były usankcjonowane. - Zatrzymaj je. Ja mam forszę, a ty musisz odbudować swoje oszczędności. - To, czy będzie mogła się nimi cieszyć, było już osobną sprawą.

Na pewno będzie mogła. Gdyby miało być inaczej, nie zniósłby tego. Frank po prostu będzie musiał posłuchać głosu rozsądku.

Tego wieczoru, już w hotelu, Lily podeszła do niego, gdy siedział przy biurku nad schematami z aktówki. Blanc bardzo ułatwił sprawę, oznaczając na planie kompleksu funkcję każdego z pomieszczeń. Dzięki temu nie będą musieli równać z ziemią całego budynku, tylko wybrane części. Po obliczeniu powierzchni wszystkich kluczowych obszarów Swain mógł ocenić, ile będą potrzebowali materiału wybuchowego.

Lily oparła się o jego plecy i pocałowała go za uchem.

- Ja też cię kocham - powiedziała. - Tak myślę. A właściwie jestem pewna. Przeróżające, co?

- Jak cholera. - Odłożył długopis i obrócił się z krzesłem, by wziąć ją na kolana. - Myślałem, że po prostu się zabawimy, a gdy zorientowałem się, co się dzieje, było już za późno. Mój radar nawet nie pisał.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Nie patrz tak - zaprotestowała. - Nie ma w tym mojej winy. Zajmowałam się własnymi sprawami i wplątałam się w drobną, nierówną strzelaninę, a ty nagle wpadłeś w sam środek. A tak na marginesie to było niezłe, kiedy zawróciłeś tym jaguarem w miejscu.

- Brakuje mi tego auta - rzucił tęsknie. - Ale dziękuję za komplement. To się nazywa „policyjny nawrót” i jest przydatne, kiedy musisz zmienić kierunek jazdy i nie chcesz zawracać sobie głowy drobiazgami, jak zatrzymywanie się i cofanie.

- Myślałam, że całkiem dobrze ci w tym mercedesie.

Poprzedniego popołudnia oddali fiata i Swain wybrał kolejny luksusowy samochód z potężnym silnikiem, mercedesa klasy S. Lily lepiej się czuła w fiacie, ale że ego Swaina było najwyraźniej wprost proporcjonalne do liczby cylindrów pod maską, sprawiła mu tę przyjemność. Cieszyła się, że w wypożyczalni nie mieli rollsa.

- Owszem - przyznał. - Nikt nie robi takich silników jak Niemcy. Ale jaguar też był fajny. A

megane dobrze się prowadził.

Lily zastanawiała się, jakim cudem rozmowa o miłości zmieniała się w dyskusję o samochodach. Objęła go za szyję i wtuliła się w niego. Co ich czekało dalej? I czy miało sens martwienie się o przyszłość, skoro nie byli pewni, że w ogóle jakąś mają?

- Zostań w... - zaczął Swain.
- Nawet nie próbuj - przerwała mu Lily. - Nie ma mowy, żebym została w samochodzie.
- Będziesz bezpieczniejsza - przekonywał.
- Ale ty nie będziesz - odgryzła się.

Spojrzał na nią chmurnie. Lily odpowiedziała mu równie pochmurnym spojrzeniem, naśladując jego minę.

- Nie ma potrzeby, żeby ktoś mnie osłaniał - burknął.
- Świetnie. Więc to zrobię, skoro nie ma żadnego niebezpieczeństwa.
- Cholera. - Zabębnił palcami o kierownicę; kierownicę prawdziwego samochodu, czarnego mercedesa klasy S. Na razie, to była jedyna pocieszająca rzecz w tej sytuacji.

Czuł się jak kot z długim ogonem w pokoju pełnym foteli na biegunach. Mrowiła go skóra na karku, bo instynkt wrzeszczał na całe gardło, że może się zrobić paskudnie. Gdyby sprawa dotyczyła tylko jego, postrzegaliby to jako sprawdzian swoich umiejętności - ale była z nim Lily, i to zmieniało wszystko.

Trzy dni zajęło mu znalezienie dostawcy, który dysponował taką ilością plastiku, jakiej potrzebowali. Facet uparł się przy spotkaniu w bardzo nieciekawej dzielnicy Paryża; tutaj materiał wybuchowy i pieniądze miały zmienić właścicieli. Swain widział wiele podejrzanych dzielnic, ale ta była już szczytem wszystkiego.

Dostawca przedstawił się jako Bernard. Swain miał gdzieś, czy to jego prawdziwe imię. Chciał tylko sprawdzić, czy plastik nadaje się do użytku, przekazać pieniądze, a potem wydostać się stąd żywcem. Wielu typków spod ciemnej gwiazdy całkiem nieźle żyje ze sprzedawania wiele razy tego samego nielegalnego towaru. Wystarczyło zabić kupca, zatrzymać towar i zabrać forszę.

Wielu kupców miało odwrotny pomysł: zabić sprzedawcę, zatrzymać forszę i zabrać towar. To oznaczało, że Bernard będzie równie zdenerwowany jak Swain.

- Nie mogę cię osłaniać z samochodu - powiedziała Lily, zerkając na swoje odbicie w lusterku, ledwie widoczne w ciemności. Testowała różne przebrania. Dziś była ubrana na czarno; czarna skórzana kurtka o prostym kroju maskowała jej smukłą, ale wyraźnie kobiecą figurę. Zamiast eleganckich botków miała na nogach motocyklowe buty na pięciocentymetrowych obcasach; dodawały jej wzrostu i były na tyle toporne, że maskowały rozmiar stóp. W specjalistycznym sklepie kupiła lateks w cielistym kolorze i nauczyła się, jak pogrubić linię szczęki i brwi, by wyglądać bardziej męsko. Założyła też brązowe szkła kontaktowe, a jasne włosy ukryła pod wełnianą czapką, ściągniętą niemal po brwi, które przyczerśniła, by pasowały do sztucznych wąsów przyklejonych pod nosem.

Swain wybuchnął śmiechem, kiedy ją zobaczył, ale teraz, gdy mrok rozpraszało tylko światło deski rozdzielczej, Lily wyglądała na faceta, i to groźnego.

W ręku trzymała pistolet. Gdyby musiała go użyć, sekunda, której potrzebowała na wyciągnięcie go z buta czy z kieszeni, mogłaby się okazać za długa.

Swain pocił się na myśl, że miałyby wysiąść z samochodu. Najchętniej zakułby ją w zbroję, a sam włożyłby kamizelkę kuloodporną. Przegrał kłótnię o to, czy Lily powinna jechać z nim, czy zostać w hotelu, teraz zaś następną- dotyczącą jej pozostania w samochodzie. Ostatnio przegrywał wszystkie kłótnie z Lily i nie wiedział, co z tym począć. Nie mógł przywiązać jej do

hotelowego łóżka, bo w końcu musiałby ją uwolnić - a to była Lily Mansfield, nie jakaś mamuśka z przedmieścia na wakacjach. Nie miał pojęcia, co by mu zrobiła, ale na pewno byłoby to bolesne.

W ciągu dnia nadciągnął chłodny front i gdy zaszło słońce, rześki dzień zmienił się w pochmurny, bardzo zimny wieczór. Mimo to Swain uchylił szyby w oknach, by słyszeli, gdyby ktoś się zbliżał, i ustawił boczne lusterka tak, by widzieli każdego, kto chciałby się podkraść pochyłony. Resztę terenu musieli po prostu uważnie obserwować. Swain nie spodziewał się ataku tylko z góry, bo zaparkował na tyle daleko od zrujnowanych budynków, aby nikt nie zdołał przeskoczyć takiego dystansu.

Wyłączył oświetlenie deski i w samochodzie zapanowała kompletna ciemność. Sięgnął po dłoń Lily - miała rękawiczki, bo jej drobne dłonie zdradzały, że jest kobietą - i uścisnął. Była spokojna, nie okazywała nawet cienia zdenerwowania. Skoro już miał mieć wsparcie, to wołał ją niż kogokolwiek innego.

Zza rogu wyjechał samochód i powoli ruszył w ich kierunku z włączonymi długimi światłami. Swain usłyszał znajomy jęklivy sopran. Bernard przyjechał fiatem.

Swain zapalił silnik i też włączył długie światła. Skoro Bernard nie chciał, by widzieli, ilu ludzi jest z nim w samochodzie, to i on tego nie chciał.

Jako że wcześniej wyłączył wewnętrzne oświetlenie kabiny, nie zapaliło się żadne zdradliwe światełko, gdy Lily uchyliła drzwi. Długie światła oślepiły pasażerów fiata, więc nie mogli zobaczyć, jak wymknęła się z auta i skulona przy ziemi przeszła na tył samochodu.

Swain zsunął się niżej na siedzeniu, i ustawił tak, by kierownica częściowo osłaniała go przed reflektorami świecącymi mu prosto w oczy. Dzięki temu zdołał dostrzec w fiacie zarysy trzech głów.

Fiat powolutku podjechał bliżej. Gdy auta dzieliło jakieś sześć metrów, zatrzymał się. Swain wyłączył długie światła. Kilka sekund później światła fiata również przygasły.

Dzięki Bogu. Teraz przynajmniej wszyscy coś widzieli. Swain zerknął w lusterka, ale nigdzie nie dostrzegł Lily.

Drzwi fiata od strony pasażera otworzyły się i z auta wygramolił się wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna.

- Coś za jeden? - spytał.

Swain wysiadł z mercedesa z aktówką Blanca w lewej dłoni. Nie podobało mu się, że nie ma już osłony w postaci bloku silnika, ale pocieszał się faktem, że tego drugiego też osłaniają przed kulami tylko drzwi samochodu - a to nie było wiele. Kula przechodzi przez samochodową blachę jak nóż przez masło. Jediną częścią samochodu, która daje konkretną ochronę, jest silnik.

- Swain. A ty?

- Bernard.

- Mam pieniądze - powiedział Swain.

- A ja mam towar - odparł Bernard.

Swain ledwie się powstrzymał, by nie przewrócić oczami. Dialog jak z kiepskiego filmu.

Pistolet miał w kaburze pod kurtką, więc zadbał, by prawą rękę mieć wolną. Cały czas pamiętał o dwóch facetach w fiacie. Bernard nie miał broni, lecz Swain był pewien, że tamci dwaj mają.

- Gdzie towar? - zapytał.

- W samochodzie.

- No to zobaczmy.

Bernard odwrócił się, otworzył tylne drzwi fiata i wyciągnął niewielki worek marynarski wypchany czymś twardym.

- Otwórz go - polecił Swain.

Bernard postawił worek na ziemi i rozsunął zamek. W światłach dwóch samochodów wyraźnie widać było cegielki owinięte w celofan.

- Wyjmij jedną - powiedział Swain. - Z dna. I rozpakuj.

Bernard posłusznie sięgnął do worka, pogrzebał w nim chwilę, wyciągnął jedną z cegiełek i zdarł celofanową osłonkę.

- Teraz urwij róg i utocz kulkę między palcami - instruował go Swain.

- Jest nowy - zapewnił Bernard.

- Ale ja tego nie wiem, prawda?

Bernard oderwał róg cegielki plastiku i zrolował w kulkę.

- Widzisz? Jest miękki.

- Świetnie. Doceniam twoją uczciwość - rzucił Swain ironicznie. Otworzył teczkę, by pokazać pieniądze. Amerykańskie dolary, według życzenia, całe osiemdziesiąt tysięcy. Dlaczego nikt nie chce zapłaty w euro? Zamknął teczkę i zatrzasnął zamki.

Bernard dolepił kulkę plastiku do cegielki, którą następnie wrzucił do worka.

- Teraz wezmę pieniądze — rzekł - i jeśli będziesz bardzo ostrożny i wszystko pójdzie dobrze...

- Monsieur - rozległ się cichy głos. - Spójrz w dół.

Bernard zamarł, słysząc ten niespodziewany wtęret. Spojrzał w dół, ale niczego nie zobaczył; nie pozwalały na to światła samochodów.

- Nie widzisz mnie, prawda? - Lily mówiła tak cicho, że gdyby Swain nie wiedział, że to ona, nie byłby w stanie stwierdzić, czy mówi kobieta czy mężczyzna. - Ale ja widzę ciebie. Pod tym kątem, mogę strzelić celnie tylko w twoje jaja. Kula wejdzie skosem, rozwali ci pęcherz, okrężnicę i część jelit. Może przeżyjesz, pytanie tylko, czy będziesz tego chciał?

- Czego chcecie? - wychrypiął Bernard.

- Dostać towar - odparł Swain. Sam prawie zaczął chrypieć. Groźba Lily zmroziła mu krew w żyłach. - Nie jesteśmy oszustami, ale i nie chcemy zostać oszukani. Bardzo powoli dokonamy wymiany. Potem powiesz swojemu kierowcy, żeby cofnął wóz, a ty będziesz szedł obok niego. Nie wsiadaj do samochodu, dopóki nie dojedzie do przecznicy. Czy to jasne?

Bernard podszedł nieufnie.

- Niczego nie róbcie! - zawołał do swojej obstawy.

Swain wyciągnął rękę z aktówką, a Bernard podał mu worek. Swain puścił teczkę; przez ułamek sekundy Bernard trzymał i teczkę, i worek, ale Swain błyskawicznie chwycił pasek worka, przejmując towar. Prawą dłoń miał już pod kurtką.

Bernard cofał się, ściskając aktówkę.

- Dotrzymaliśmy umowy. Nie ma co panikować.

- Ja jestem spokojny - odparł Swain. - Ale twój samochód się nie cofa, więc za chwilę mogę spanikować.

- Idiota! - rzucił z wściekłością Bernard, nie wiadomo czy pod adresem swojego kierowcy, czy Swaina. - Wycofaj się na róg, powoli. Nie strzelajcie! - Pewnie wyobrażał sobie, jak gorący pocisk przebija jego krocze.

- Lily - syknął Swain. - Wylaż spod tego samochodu, ale już!

- Już wylazłam - powiedziała z drugiej strony auta, otwierając drzwi i wślizgując się do środka.

Cholera, nie poczekała, aż Bernard wykona polecenie, ale ilu mężczyzn zignorowałoby taką groźbę? Swain cisnął jej worek na kolana, po czym szybko wskoczył na fotel i wrzucił wsteczny; obrócił samochód gwałtownym skretem kierownicy i ruszył z piskiem opon. Za nimi rozległ się



wysoki jazgot silnika, gdy kierowca fiata dodał gazu i ruszył w pościg. Swainowi przypominało to odgłos maszyny do szycia. Nagle usłyszał ostry huk.

- Ten gnój do nas strzela - rzucił ponuro Swain. Bardzo by się wkurzył, gdyby musiał znów zmieniać samochód.

- Nie szkodzi - powiedziała Lily, opuszczając szybę i klękając na siedzeniu. - Ja też to potrafię.

Trafienie z pędzącego auta do ruchomego celu wymagało raczej cudu niż umiejętności, ale ona wychyliła się przez okno, przybrała możliwie stabilną pozycję i wymierzywszy starannie, strzeliła. Fiat wpadł w gwałtowny poślizg i choć kierowcy udało się wyprowadzić go na prostą, wiedzieli, że rozwaliła przynajmniej przednią szybę.

Swain wcisnął gaz do dechy, a gdy fiat został w tyle, zachichotał, wyobrażając sobie, jak wszyscy jego pasażerowie pedałują jak szaleni, aż im trzeszczą kolana.

- Co cię tak śmieszy? - spytała Lily.

- Gdybym dalej jeździł tą maszyną do szycia, nigdy byśmy nie uciekli.

### Rozdział 30

- Napędziłaś mi cholernego stracha - powiedział Swain. Zdjął kurtkę, rzucił ją na łóżko i odpiął kaburę.

- A to czemu? - zapytała Lily. Ilekroć widziała tę jego marynarę, miała ochotę to zrobić, i tym razem nie zdołała się opanować. Podniosła ją, pogłaskała miękką jak jedwab skórę i przymierzyła kurtkę. Była za duża i wisiała jej na ramionach, ale była ciepła od jego ciała i tak miła w dotyku, że Lily o mało nie zaczęła mruczeć.

- Co robisz? - roześmiał się Swain.

- Przymierzam twoją kurtkę - odparła, spoglądając na niego jak na idiotę. Bo chyba widział, co robiła.

- I myślałaś, że będzie na ciebie pasować?

- Nie, po prostu chciałam ją poczuć. - Ściągnęła poły i stanęła przed lustrem. Nie mogła się nie roześmiać. Wciąż miała wąsy, czarne ciuchy i wełnianą czapkę naciągniętą nisko na czoło. Wyglądała jak skrzyżowanie bezdomnego z Charlie Chaplinem. Ostrożnie odlepiła wąsy i lateks, po czym zdjęła czapkę i przeczesz palcami włosy, by je trochę napuszyć. Wciąż wyglądała jak klaun, zdjęła więc kurtkę i rzuciła ją z powrotem na łóżko. W końcu usiadła i zaczęła zdejmować buty.

- Dlaczego się mnie przestraszyłeś? - spytała.

- Nie bałem się ciebie, tylko o ciebie. Choć rzeczywiście aż zdrętwiałem, kiedy powiedziałaś Bernardowi, w co go postrzelisz. On naprawdę się ciebie przestraszył. Jezu, Lily, co by było, gdyby ten fiat wałnął w nasz samochód, kiedy byłaś jeszcze pod nim? Czy wiesz, jak... Co ty robisz?

- Rozbieram się - powiedziała, znów spoglądając na niego jak na idiotę. Była już w samej bieliźnie: rozpięła stanik i rzuciła na łóżko, po czym zdjęła figi. Całkiem goła znów włożyła jego kurtkę i podeszła do lustra.

No, teraz lepiej. Nadal tonęła w kurtce, ale z rozczochranymi włosami i gołymi nogami wyglądała sexy. Schowała ręce do kieszeni, przygarbiła ramiona i odwróciła głowę, by zobaczyć, jak wygląda z tyłu.

- Uwielbiam tę kurtkę - zamruczała, unosząc poły tuż za początek krzywizny pośladków. Było jej trochę za gorąco, jakby ktoś podkręcił termostat w pokoju. Uniosła poły jeszcze wyżej.

- Możesz ją wziąć - powiedział Swain. Podeszedł do niej i chwycił za pośladki. - Tylko nie możesz jej wkładać, kiedy masz na sobie inne ciuchy.

- To niepraktyczne. - Ledwie się powstrzymywała, by nie zacząć sapać. Jej sutki były tak twarde, że aż bolały, a przecież nawet ich nie dotknął. Skąd się w niej brało to nieodparte pożądanie?

- Bierzesz albo nie. - Jego gorące dłonie ścisnęły jej krągłe pośladki.

- No dobra, biorę. - Wyjęła ręce z kieszeni i pogłaskała rękawy. - Twardy z ciebie negocjator.

- Zaraz zobaczysz, jaki twardy - wychrypiał, sięgając między siebie i nią, by rozpiąć rozporek. - Schył się.

Gwałtowna fala pożądania ogarnęła ją jak dziki przyptyw. Pochyliła się, opierając ręce o ścianę i wspinając się na palce. Wstrzymała oddech, gdy wszedł w nią jednym pchnięciem do samego końca. Chwycił jej biodra i zaczął poruszać się rytmicznie.

Jej stopy niemal oderwały się od podłogi, a głowa stuknęła o ścianę. Swain zaklął, objął ją w pasie i zaniósł do łóżka. Nie wysunął się z niej, nie zmienił pozycji, przechylił ją tylko nad materacem i podjął zgubiony rytm. Tłumiąc krzyk, Lily wcisnęła twarz w narzutę, gdy spazmy rozkoszy wstrząsnęły każdym mięśniem jej ciała. Swain wydał gardłowy dźwięk, jego pchnięcia stały się krótkie i szybkie; nagle wygiął plecy w łuk i trzymając mocno jej biodra, wszedł w nią jeszcze głębiej w chwili spełnienia. Pięć minut później zdołali się poruszyć.

- Leż - rzucił Swain zduszonym głosem, unosząc się lekko i podsuwając skórzaną kurtkę, by móc popatrzeć na pośladki Lily. Zadrżał i jęknął: - O rany, zdaje się, że właśnie odkryłem fetysz.

- Mój czy twój? - zdołała wykrztusić. Drobne błyskawice przyjemności wciąż przesywały jej ciało i podejrzewała, że to samo dzieje się z nim, bo prawie nie zmiękł.

- Kogo to obchodzi? - Odetchnął głęboko. Jej ciało powoli rozluźniało się pod leniwą pieśczętą jego dłoni.

- To zboczone - mruknęła sennie. - Strzelane do nas dzisiaj. Powinniśmy być zdenerwowani, a nie podnieceni.

- Adrenalina robi z organizmem dziwne rzeczy i trzeba ją jakoś spalić. Ale jeśli tak na to reagujesz, sam zacznę do ciebie strzelać.

Zatrzęsa się ze śmiechu, sprawiając, że wysliznął się z niej. Wyprostował się z jękiem i zaczął się rozbierać.

- Chodź, weźmiemy szybki prysznic. Spociałem się.

Zrzuciła skórzaną kurtkę i poszła z nim do łazienki. Chętnie pomoczyłaby się w wannie, ale bała się, że zaśnie, więc zadowolili się prysznicem. Odświeżona, włożyła czystą bieliznę, jedną z koszul Swaina i skarpetki, żeby nie zmarzły jej stopy. W pokoju panował bałagan, ciuchy były porozrzucane, ale Lily nie miała nastroju na ich zbieranie, a Swain, poza powieszeniem skórzanej kurtki do szafy - musiał ją usunąć z widoku - też nie palił się do sprzątnięcia. Włożył spodnie, otworzył worek marynarski i zaczął sprawdzać cegiełki semteksu.

Dobre odkładał na jedną stronę, zeschnięte na drugą. Gdy wyjął z worka wszystkie, okazało się, że tylko pięć kostek jest za starych do użytku.

- Całkiem nieźle - ocenił. - Tyle nam w zupełności wystarczy. - Zaczął pakować dobre cegiełki do worka.

Lily trąciła zeschniętą kostkę czubkiem stopy.

- A co zrobimy z tymi?

- Cóż, wyrzucenie ich do śmieci nie byłoby dobrym pomysłem. Jedyne rozwiązanie, jakie znam, to zdetonowanie go, więc chyba będziemy musieli zabrać je do laboratorium

i spróbować wysadzić razem z resztą. Nawet jeśli nie wybuchną, spłoną w pożarze. – Już wcześniej kupił wielofunkcyjny scyzoryk ze szczypcami, miniaturową piłą i kto wie czym jeszcze, i teraz użył ostrza do zaznaczenia starych bloczków, by nie pomieszały się z innymi. Potem schował je do worka, a worek upchnął na górnej półce szaty.

- Mam nadzieję, że ten hotel jest za dobry na wścibskie pokojówki - powiedział i ziewnął. - Przespałbym się. A ty?

- Padam na twarz. Jaki będzie nasz następny krok?

- Detonatory sterowane radiem. Musimy być w bezpiecznej odległości, kiedy odpalę ładunki, a ciągnięcie setek metrów lontu przez całe laboratorium mogłoby wzbudzić podejrzenia. Kiedy będziemy już mieli sprzęt, zajmiemy się drobiazgami: wizytówkami, kombinezonami, furgonetką. To nie są rzeczy trudne do zdobycia, a magnetyczny znak na boku furgonetki załatwi sprawę przerabiania samochodu na nasze potrzeby.

- Więc dziś w nocy już nic nie możemy zrobić. - Teraz ona ziewnęła. - Głosuję za łóżkiem. - Adrenalinowa gorączka minęła, a ostry seks ją zrelaksował i czuła się, jakby jej kości zmieniły się w gumę. Poczłapała do łóżka, zostawiając Swainowi gaszenie świateł. Była tak zmęczona, że ściągnęła tylko skarpetki i padła w pościel.

Jak przez mgłę zarejestrowała, że Swain wyłuskał ją z koszuli i ściągnął jej majteczki. Mogła spać w jednym i drugim, ale lubiła być naga w jego ramionach. Westchnęła, kiedy się położył i przytulił ją. Sennie przeciągnęła dłonią po jego piersi.

- Kocham cię - wymamrotała.

Jego ramiona zacisnęły się mocniej wokół niej.

- Ja też cię kocham. - Poczowała jego wargi na skroni, a potem zapadła w sen.

Swain długo nie mógł zasnąć. Leżał, tuląc Lily w ramionach i wpatrując się w ciemność.

W sobotę - dzień akcji - Lily spędziła dużo czasu przed lustrem. Charakteryzacja musiała być idealna, bo gdyby doktor Giordano ją rozpoznał, nie mieliby szans.

Mogła albo ostrzyć włosy i ufarbować je, albo kupić jeszcze jedną perukę. Nie miała nic przeciwko farbowaniu, ale nie chciała ścinać ich po męsku, chyba że nie byłoby innego wyjścia. Na szczęście w Paryżu można było dostać bardzo dobre peruki. Ta, którą kupiła, miała trochę za długie włosy jak na faceta, ale nie na tyle, by wyglądały na zaniedbane. Nie chciała powtarzać kasztanowego koloru, który stosowała jako Denise Morel, ani też pozostać blondynką. Zostawały czarny i rudy. Wybrała czarny, bo był o wiele bardziej powszechny niż rudy; większość populacji świata ma czarne włosy. Na perukę włożyła czapkę z logo fikcyjnej firmy ochroniarskiej, którą wymyślił Swain: Swain Security Contractors, SSC. Zdecydował się na angielską nazwę, bo i tak nie zdołałby nikomu wmówić, że jest innej narodowości niż amerykańska.

Lily sporo ćwiczyła z lateksem, jakiego używano do filmowej charakteryzacji. Daleko jej było do zawodowych charakteryzatorów, ale nie mogła sobie pozwolić na luksus udoskonalania techniki przez lata. Potrafiła odrobinę poszerzyć szczękę, nadbudować grzbiet nosa, tak że miała rzymski profil zamiast niemal orlego. Przyciemniła brwi i rzęsy i dolepiła wąsy, by ukryć pełną górną wargę. Postanowiła nie powiększać łuków brwiowych, bo nigdy nie wychodziło jej to, jak należy, i za każdym razem wyglądała jak neandertalczyk. Ciemnobrązowe soczewki - ciemniejsze niż orzechowe, których używała jako Denise Morel - i okulary w drucianych oprawkach dopełniały charakteryzacji. Musiała też bardzo zręcznie nałożyć na lateks podkład w tym samym odcieniu, co jej skóra, bo nie chciała, by ktokolwiek zauważył, że ma makijaż.

Zamaskowała lateksem nawet dziurki w przekłutych uszach. Mężczyzna mógł mieć przekłute

jedno ucho, mógł nawet nosić kolczyk do pracy, ale większość mężczyzn nie miała przekłutych obojga uszu. Byli i tacy, lecz ona nie chciała, by cokolwiek w jej wyglądzie zwracało uwagę.

Fala chłódów, która przysłała wraz z początkiem grudnia, nie mijała - i całe szczęście. By ukryć figurę, Lily ścisnęła piersi bandażem elastycznym, a granatowy kombinezon był na tyle luźny, że maskował kształt bioder. Na kombinezon narzuciła jeszcze puchową kamizelkę, która kompletnie zamaskowała jej kobiecą figurę. Robocze buty na grubej podeszwie i z dodatkowymi wkładkami dodawały jej siedem centymetrów wzrostu.

Problemem były dłonie. Paznokcie przycięła bardzo krótko, ale jej palce były smukłe i ewidentnie kobiece. Przy takiej pogodzie na dworze mogła nosić rękawiczki, ale co zrobić w pomieszczeniach? Nie mogła pomagać Swainowi w rozmieszczaniu ładunków, trzymając cały czas ręce w kieszeniach. Najlepsze, co mogła zrobić, to podkreślić niebieskim cieniem do powiek żyły na grzbiecie dłoni i przylepić plastry na dwa palce, by sprawiać wrażenie kogoś, kto pracuje rękami i często się kaleczy.

Przynajmniej nie musiała często się odzywać. Od gadania był Swain; ona była siłą roboczą. Mogła obniżyć ton głosu, ale trudno było go utrzymać przez dłuższy czas. Aby głos brzmiał bardziej szorstko, kiedy już będzie musiała się odezwać, zmuszała się do kaszlu, by podrażnić gardło.

Swain uważał, że ta chrypka jest sexy. Lily zaczynała myśleć, że nawet gdyby kichnęła, jemu wydałoby się to sexy. Przez te półtora tygodnia kochał się z nią tak często, że podejrzewała, iż okłamał ją w kwestii swojego wieku i tak naprawdę ma dwadzieścia dwa lata, tylko włosy przedwcześnie mu posiwiały. Oczywiście jego zainteresowanie bardzo jej pochlebiało; chłonęła je jak roślina spragniona deszczu.

Ale nie było tak, że nie robili nic oprócz bzykania się jak króliki. Swain albo miał wyjątkowy talent do wyszukiwania szumowin w mieście, albo miał naprawdę dużo podejrzanych znajomości. Gdy Lily - zawsze w przebraniu - zajmowała się całą potrzebną otoczką, jak znalezienie odpowiedniej furgonetki i zamówienie dwóch magnetycznych znaków, zlecenie druku wizytówek i formularzy z profesjonalną techniczną listą punktów do sprawdzenia oraz znakiem SSC w nagłówku, zakup podkładek do pisania, kombinezonów i butów - Swain bratał się z różnymi ciemnymi typami, by kupić detonatory.

Mógłby sam zbudować zdalny włącznik, bo, jak twierdził, łatwo dało się to zrobić z zastosowaniem radiowego joysticka z dowolnej zdalnie sterowanej zabawki, ale uznał, że urządzenie skonstruowane na zamówienie będzie wyglądać bardziej profesjonalnie. Wysupłał więc potrzebną sumę i przez parę dni psioczył, ile go to kosztowało.

W końcu, posługując się planami budynku, ustalił, gdzie należy umieścić ładunki i jaką powinny mieć moc. Lily nigdy nie sądziła, że demolki wymagają takiej znajomości matematyki. Swain wyjaśnił jej wszystko, recytując liczby, jakby to była powszechnie dostępna wiedza: tyle semtexu wyrządzi tyle i tyle szkód. Używał wymiennie nazw „plastik” i „semteks”, ale gdy zapytała, przyznał, że to nie jest dokładnie to samo. C-4, plastik i semtex należały do tej samej rodziny materiałów wybuchowych, ale plastik był najbardziej rozpowszechnionym terminem, pod który błędnie podciągano wszystkie trzy materiały. Lily tego nie cierpiała - zbyt często jej życie zależało od dopracowanych szczegółów - więc uparła się, by Swain mówił semtex, kiedy miał na myśli semtex. Przewrócił oczami, ale zrobił jej tę przyjemność.

Przez wiele godzin instruował ją, jak i gdzie umieszczać ładunek i detonator. Z detonatorami sprawa była prosta, ale przywiązywał dużą wagę do miejsc ulokowania poszczególnych ładunków. Ponumerował lokalizacje, przygotował odpowiedni ładunek dla każdej z nich i opatrzył etykietką z numerem odpowiadającym numerowi miejsca. Uczyli się, aż oboje potrafili

bez wahania wyrecytować każdą lokalizację i jej numer; wkuwali na pamięć plany kompleksu, a potem pojechali za miasto, gdzie Swain zaznaczył na łące odległości, by mieli lepsze pojęcie o jego rozmiarach i czasie potrzebnym do wykonania zadania.

Dobra wiadomość była taka, że ich obecność w kompleksie będzie usprawiedliwiona. Zła - że zależnie od tego, co znajdą na miejscu, rozmieszczenie wszystkich ładunków mogło im zająć dwie godziny albo nawet więcej. A im dłużej tam będą przebywać, tym większe ryzyko zdemaskowania. Swain był bezpieczny; Lily nie, zwłaszcza gdyby z jakiegoś powodu w laboratorium zjawił się Rodrigo. Będzie wiedział od brata, że „eksperci od zabezpieczeń” zwiedzają budynek, i może chce ich zobaczyć. Gdyby się pojawił, Swain miał wziąć na siebie powitanie i prezentację, a Lily znaleźć sobie zajęcie gdzie indziej i mieć nadzieję, że Rodrigo nie będzie nalegał, by przedstawiono mu drugiego „eksperta”.

Kolejnym zagrożeniem był doktor Giordano. On też mógł rozpoznać Lily. Tak jak w przypadku Rodriga, miała się starać nie ściągać na siebie jego uwagi, ale to było już trudniejsze. Giordano z pewnością będzie ciekaw opinii „ekspertów” na temat środków bezpieczeństwa. Jako że Swain miał grać rolę właściciela SSC, on będzie w centrum uwagi, ale Lily nie mogła liczyć na to, że doktor nawet na nianie spojrzy.

Pamiętała, że miał to być ostatni dzień na ziemi doktora Giordano. Nie zapomniała, jaki miły był dla niej, kiedy tak strasznie chorowała, ale wiedziała też, że to on jest sercem diabelskiego planu. Dopóki Giordano żył, jego wiedza mogła być wykorzystana do wywołania pandemii. Jeśli nie ptasiej grypy, to czegoś innego. Pandemia i tak mogła wybuchnąć w każdej chwili, ale Lily nie chciała dopuścić, by została celowo zaplanowana po to, by ktoś mógł na niej zarobić mnóstwo pieniędzy.

Zamierzali po podłożeniu ładunków urządzić ćwiczebny alarm bombowy mający na celu sprawdzenie, jak szybko można opróżnić budynki. Gdy wszyscy będą już na zewnątrz, Swain zdetonuje ładunki, a Lily uśmierci doktora Giordano. Wybuch i pożar z pewnością wywoła ją panikę, może nawet będą ranni. Oni wsuną sobie do uszu zatyczki i postarają schronić się za jakąś osłoną. W zamieszaniu wsiądą do furgonetki i odjadą - przynajmniej taką mieli nadzieję.

Luksusowy hotel nie był najlepszym miejscem do przygotowywania ładunków. Codziennie musieli zbierać wszystko przed przyjściem pokojówek, a nie chcieli chować kompletnych ładunków do furgonetki, do której ktoś mógł się włamać. Ostatnia rzecz, jakiej chcieli, to żeby jakiś opryszek wszedł w posiadanie takiej ilości semteksu.

- Jesteś gotowy, Charles? - zapytał Swain. Charles Fournier to było nazwisko, jakie wybrali dla Lily. Swain miał z tego taki ubaw, że nazywał ją Charlesem, nawet kiedy byli sami.

- Myślę, że lepiej już nie będzie - odparła, wstając od toaletki i robiąc piruet, najładniejszy jaki się dało w ciężkich roboczych buciorach. - Dobrze wyglądam?

- To zależy, co rozumiesz przez „dobrze” - powiedział. - Na randkę bym cię nie zaprosił, jeśli o to ci chodzi.

- No to nieźle - ucieszyła się.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Nawet nie chcę cię pocałować. Na widok tych wąsów dostaję gęsiej skórki. — Właśnie skończył pakować ładunki, część do worka, część do pudła. Detonatory były w osobnym pudełku, a Swain na wszelki wypadek wyjął też baterie z pilota.

Był ubrany w taki sam kombinezon jak Lily, z logo SSC na lewej kieszeni na piersi, ale pod kombinezonem miał białą koszulę i krawat, by podkreślić, że jest szefem, i ściągać całą uwagę na siebie. Kombinezon miał rozsunięty, aby było widać krawat, i na tyle luźny, że maskował zarysy kabury pod pachą. Lily zdecydowała się na kaburę w cholewce, choć w tych butach wyciągnięcie pistoletu było trudniejsze niż zwykle. Nie jechali jednak na zawody w szybkim dobywaniu broni;

zakładała, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie miała mnóstwo czasu, by wyjąć pistolet, kiedy przyjdzie pora.

Swain niósł worek i pudło z ładunkami, ona pudełko z detonatorami. Mieli całą windę dla siebie, ale nie wdawali się w pogawędki ani nie omawiali planu jeszcze raz. Oboje wiedzieli, co mają robić.

- Ty prowadzisz - powiedział Swain, kiedy doszli do furgonetki. Wyciągnął kluczyki z kieszeni i rzucił je Lily.

Uniosła brwi.

- Pozwolisz mi prowadzić?

- Po pierwsze, jestem szefem, a więc to mnie się wozi. Po drugie, prowadzenie furgonetki to żadna frajda.

- Tak właśnie myślałam - rzuciła kwaśno. Widocznie furgonetka była zwrotna i szybka jak wieloryb na plaży, skoro Lucas Swain z własnej woli oddał kluczyki.

Z Damonem Nervim mieli się spotkać w laboratorium o piętnastej. Swain wybrał tę porę, bo po południu ludzie są zmęczeni i mniej czujni niż rano. Gdy dotarli do kompleksu, Lily nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na mały park, gdzie ledwie dwa tygodnie wcześniej doszło do strzelaniny. O incydencie wspomniano w mediach, ale że nikt nie zginął, na drugi dzień temat poszedł w zapomnienie. Z zadowoleniem stwierdziła, że mimo weekendu zimno zniechęciło większość spacerowiczów. Park był prawie pusty; tylko nieliczni odporni spacerowali z psami. Im mniej ludzi było w okolicy, tym lepiej.

Kiedy podjechali pod bramę, gdzie czekało dwóch strażników, znów zakaszła kilka razy, by jej głos był bardziej szorstki. Jeden ze strażników uniósł rękę, więc zatrzymała się posłusznie i opuściła szybę. Poczuła podmuch lodowatego powietrza; dobrze, że włożyła kamizelkę.

- Lucas Swain do monsieur Nerviego. - Zanim strażnik zdążył o to poprosić, Swain podał mu swoje międzynarodowe prawo jazdy. Lily wyjęła z kieszeni swoje nowiutkie, fałszywe prawo jazdy i również podała strażnikowi.

- Fournier. - Mężczyzna odczytał nazwisko z dokumentu. Sprawdził listę, na której, jak zauważyła Lily, były tylko dwie pozycje, więc nie zajęło mu to wiele czasu.

- Proszę jechać do głównego wejścia, po lewej - poinstruował strażnik, oddając im dokumenty. - I zaparkować na miejscu dla gości. Zadzwoń do monsieur Nerviego i powiadomię go o przyjeździe panów. Obok wejścia jest dzwonek; proszę nacisnąć guzik, ktoś w środku otworzy wam drzwi.

Lily kiwnęła głową, wsuwając prawo jazdy do kieszeni, i zamknęła okno. Kaszlnęła jeszcze kilka razy, bo stwierdziła, że gdy rozmawiała ze strażnikiem, jej głos nie brzmiał wystarczająco ochryple. Im więcej kaszlała, tym gorzej to brzmiało, jakby jej gardło wczuwało się w sytuację. Było już trochę obolałe, więc musiała uważać, żeby nie przesadzić.

Z laboratorium wyszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Giordano.

- Ten z lewej to doktor - powiedziała do Swaina. - Więc ten drugi to musi być Damone Nervi.

Dostrzegła rodzinne podobieństwo, ale choć Rodriga uważano za przystojnego, Damone Nervi był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Wysoki szczupły brunet o klasycznych rysach i gładkiej oliwkowej cerze, ubrany w elegancki, grafitowy garnitur z dwurzędową marynarką, która leżała na nim wprost idealnie. Doktor Giordano uśmiechał się na powitanie, ale twarz Damone'a była wyniosła i surowa.

- Coś jest nie tak - mruknęła Lily.

- Co? - zapytał Swain.

- Podobno to Damone uparł się, żeby nas tu sprowadzić, więc nie powinien mieć takiej miny.

Ciesz się na nas jak na zarazę.

- Zręczne porównanie - zauważył Swain. — Tak, rozumiem, co masz na myśli. Doktor się uśmiecha, Damone nie. Może po prostu rzadko się uśmiecha.

Czasami najprostsze wyjaśnienie jest najlepsze, ale Lily nie potrafiła się pozbyć niepokoju. Zaparkowała furgonetkę i dyskretnie przyglądała się obu mężczyznom.

Swain wysiadł z auta, szybkim krokiem podszedł do wejścia i wymienił z nimi uściski dłoni. Zachowywał się jak pewny siebie biznesmen.

Zgodnie z planem wysiadła i przeszła do tyłu furgonetki; otworzyła drzwi, wyjęła dwie podkładki do pisania z przypiętymi grubymi plikami drukowanych formularzy i dwa testery obwodów elektrycznych, które były zupełnie nieprzydatne do tego, co rzekomo mieli tu robić, ale Swain uznał, że wyglądają imponująco. Mogli nawet przetestować obwód czy dwa, po to, by tylko wyglądało, że coś robią.

Obładowana tymi akcesoriami i pilnując się, by trzymać je po męsku, a nie przyciskać do piersi, jak zwykle robią to kobiety, podeszła do całej trójki.

- Mój współpracownik Charles Fournier - przedstawił ją Swain.

- Damone Nervi, doktor Giordano. Doktor zgodził się nas oprowadzić i pokazać wszelkie zabezpieczenia.

Lily miała zajęte ręce, więc wszyscy zadowolili się skinieniem głowy i krótkim „dzień dobry”. Doktor Giordano nadal był rozluźniony i niemal serdeczny; twarz Damone'a przybrała jeszcze bardziej surowy wyraz. Niepokój Lily się nasilił. Dlaczego Damone zachowuje się, jakby ta „inspekcja” wcale nie była jego pomysłem?

Czy to wszystko mogło zostać zaaranżowane tylko po to, by wciągnąć ją w pułapkę? Czyżby Rodrigo był jeszcze bardziej przebiegły, niż sądziła? Musiała przyznać, że jeśli tak, to zastosował jej własną metodę - poczekał na naprawdę dobrą okazję. Porwanie jej z ulicy zostałoby zauważone, więc choć Rodrigo miał wystarczające wpływy, by zatuszować taki incydent, wolał być cierpliwy i zwabić ją w miejsce, gdzie nikt niczego nie zauważy. Laboratorium mogło być puste, a samochody na parkingu mogły być tylko dekoracją.

Jeśli nie doceniła Rodriga, to sprowadziła śmierć nie tylko na siebie, ale i na Swaina. Pomyślała o jego radości, która może zostać zdmuchnięta jak płomień świecy, i zrobiło jej się zimno. Świat stałby się bardziej ponurym miejscem, gdyby zabrakło na nim Lucasa Swaina. Gdyby coś mu się stało z jej powodu...

Damone odwrócił się i doktor Giordano zbeształ go łagodnie, że nie powinien być taki ponury tylko dlatego, że jego narzeczona odwołała zapowiedziany przyjazd.

- Może ty powinieneś odwiedzić ją - zażartował, klepiąc Damone'a po plecach. - Kobiety lubią, kiedy to mężczyźni przychodzą do nich.

- Może jutro - Damone wzruszył ramionami z lekko zmieszaną miną.

Lily odetchnęła z ulgą. Damone był w złym humorze, bo nie przyjechała jego dziewczyna.

Doktor Giordano wystukał serię cyfr na panelu przy drzwiach, które zabręczały i się otworzyły.

- Kiedyś każdy miał osobistą kartę, którą przesuwano się przez czytnik, ale ludzie ciągle gubili swoje karty i firma ochroniarska uznała, że panel numeryczny będzie bezpieczniejszy - wyjaśnił, wchodząc do środka.

Pozostała trójka weszła za nim.

- To prawda - przyznał Swain - pod warunkiem że nikt nie zdradzi kodu niepowołanej osobie. Ale ja jestem tu zaledwie od dwóch minut i już mogę panu powiedzieć, że kod to sześć dziewięć osiem trzy jeden pięć. Nie zasłonił pan panelu, wprowadzając cyfry. Co gorsza, panel jest tonowy. Słyszałem każdą cyfrę. - Wyjął z kieszeni małego cyfrowy dyktafon. - Włączyłem

go na wszelki wypadek, kiedy zaczął pan otwierać drzwi. - Wcisnął guzik odtwarzania i rozległa się seria cichych piknięć różnej wysokości. - Mając to, potrafiłbym otworzyć drzwi, nawet gdybym nie znał kombinacji.

Doktor Giordano zrobił skruszoną minę.

- Zwykle nie jestem tak nieostrożny - zapewnił. - Nie sądziłem, że mam się pilnować przed panami.

- Powinien się pan pilnować przed każdym - odparł Swain, coraz bardziej wczuwając się w rolę. - A panel powinien zostać wymieniony na taki, który nie wydaje dźwięków. To naprawdę słaby punkt.

- Tak, rozumiem. - Giordano wyjął notes z kieszeni kitla i zapisał uwagę Swaina. - Każę się tym niezwłocznie zająć.

- Świetnie. Po obchodzie chciałbym przeprowadzić dwa ćwiczenia, jeśli mogę. Mój współpracownik i ja umieścimy fałszywe ładunki wybuchowe w różnych częściach kompleksu i sprawdzimy, po jakim czasie pracownicy laboratorium zauważą coś podejrzanego. Jeśli nikt niczego nie zauważy, chciałbym im wyjaśnić, co zrobiliśmy, a potem poprosić, by się rozejrzeli i powiadomili pana, gdy znajdą coś niezwykłego. To podniesie ich czujność, bo po pierwsze, uświadomią sobie, że ładunki zostały podłożone w taki sposób, że nikt niczego nie zauważył, a po drugie, nauczą się, gdzie i czego szukać. Potem chciałbym przeprowadzić alarm bombowy i ewakuację, by zmierzyć, ile czasu potrzebują pracownicy na opuszczenie budynków, ocenić drogi ewakuacji i ewentualnie je zmodyfikować. To ćwiczenie najlepiej byłoby urządzić przy maksymalnej liczbie personelu, ale że wszystkie inne dni mamy już zajęte, musimy się zadowolić tym, co mamy.

Lily była pod wrażeniem. Swain wykazywał niemałe zdolności aktorskie. I nie tylko to: nie wiedziała, że miał dyktafon. Widocznie kupił go, kiedy zaopatrywał się w pozostałe elektroniczne gadżety.

- Oczywiście, to znakomity pomysł - powiedział Giordano. - A te raz pozwolą panowie za mną?

Ku konsternacji Lily, Damone zrównał z nią krok, gdy Swain ruszył ramię w ramię z doktorem. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, była rozmowa z kimkolwiek. Miała zajęte ręce, więc nie mogła zakryć ust, ale odwróciła głowę do ramienia i kaszlnęła ostro dwa razy.

Swain obejrzał się na nią.

- Charles, ten kaszel brzmi coraz gorzej. Powinieneś coś na to łyknąć.

- Później - wychrypiała i dla lepszego efektu zakaszła jeszcze raz.

- Pan jest chory? - zapytał uprzejmie Damone.

- To zwykły kaszel, monsieur.

- Może powinien pan nałożyć maskę. Doktor Giordano pracuje z wirusami grypy i ktoś, kto już jest chory, może być na nie szczególnie podatny.

Giordano odwrócił głowę i powiedział:

- Nie będziemy wchodzić do tamtego laboratorium.

- Czy pańscy pracownicy często chorują przez wirusy i bakterie, z którymi pracują? - zapytał Swain.

- Zdarza się to na tyle często, że nikt nie prowadzi ewidencji. Ale próbuję opracować szczepionkę przeciwko wyjątkowo zjadliwej odmianie, więc do laboratorium wolno wchodzić tylko osobom niewykazującym żadnych objawów chorobowych, a poza tym wprowadziłem surowe zasady odnośnie do nakładania masek i rękawiczek.

Miło wiedzieć, że doktor dba, by jego zaraza nie rozprzestrzeniła się, zanim będzie dostępna



szczepionka, na której zarobią miliony dolarów, pomyślała Lily. Wydawał się taki miły, ale to on był przyczyną tego wszystkiego. To przez niego zginęła Zia.

Ostatnio - od kiedy poznała Swaina - potrafiła myśleć o Zii, nie czując tego dojmującego bólu, ale widok doktora Giordano, świadomość, że to on jest przyczyną śmierci Zii, sprawiły, że wszystko wróciło z dawną mocą. Zaciśnęła zęby, by nie jęknąć, i z trudem powstrzymała łzy. Nie wyglądałoby dobrze, gdyby „Charles” się rozplakał.

Wszyscy troje - ona, Tina i Averill - bardzo się martwili, bo Zia łapała bodaj każdego wirusa, jaki krążył w powietrzu. Nim skończyła dziesięć lat, miała za sobą dwa zapalenia płuc. Każdej zimy chorowała kilka razy i zawsze łapała przynajmniej jedno letnie przeziębienie, które nieuchronnie przechodziło w bronchit. Na pewno złapałaby zjadliwą grypę, jaką doktor Giordano planował spuścić ze smyczy; i raczej nie znalazłaby się wśród szczęśliwców, którzy by przeżyli.

Próbując temu zapobiec, Averill i Tina zapoczątkowali łańcuch wydarzeń, który doprowadził do tego samego rezultatu. Była to okrutna ironia losu.

W ślad za bólem przyszła fala nienawiści tak potężnej, że Lily przeszył dreszcz. Wzięła chrapliwy oddech, usiłując opanować emocje, nim zrobi coś głupiego i zawali cały plan.

Damone spojrział na nią z zaciekawieniem. Lily ukryła twarz, odwracając głowę i kaszląc. Miała tylko nadzieję, że lateks na jej podbródku wytrzyma tę ciężką próbę. I że Damone nie zauważy, że choć wąsaty, Charles nie ma na twarzy nawet śladu popołudniowego zarostu.

Przeszli długim korytarzem i skręcili w prawo.

- To mój gabinet. - Giordano wskazał drzwi z kolejnym panelem numerycznym i z jego nazwiskiem wypisanym złotymi literami. - Obok jest główne laboratorium, które chciałbym panom pokazać. To tutaj prowadzę najważniejsze prace. Monsieur Fournier, może pan powinien zostać na zewnątrz.

Lily kiwnęła głową. Swain wziął od niej jedną z tabliczek do pisania i tester obwodów i powiedział:

- To nie potrwa długo.

Lily oparła się o ścianę, tak jak to podpatrzyła u mężczyzn - istne wcielenie cierpliwości - a pozostała trójka weszła do laboratorium. Cieszyła się, że Damone nie postanowił poczekać z nią.

Wyszli po dziesięciu minutach; Swain robił jakieś notatki. Miała nadzieję, że użył wiernego dyktafonu, by nagrać kod, bo tym razem doktor zasłonił klawiaturę ciałem, kiedy wprowadzał sekwencję. Musieli wejść i do laboratorium, i do gabinetu, żeby podłożyć ładunki.

- Charles - rzucił Swain - sprawdzisz później detektorem trzysta sześćdziesiąt pięć KB modulator GF w gabinecie doktora.

- Tak jest - wychrypiała Lily, skrupulatnie zapisując ten bełkot. Nie miała pojęcia, co to jest modulator GF i detektor KB. Ale brzmiało to imponująco i dało jej pretekst, by wejść do gabinetu doktora Giordano.

I tak było przez całą wycieczkę. Ilekroć przeprowadzili „inspekcję” jakiegoś pomieszczenia, które Swain umieścił na ich liście, recytował instrukcje, dające jemu albo Lily pretekst, by wrócić później w dane miejsce. Ani razu się nie powtórzył, pewnie dlatego, że nie pamiętał żadnego z oznaczeń cyfrowych czy literowych, którego użył wcześniej. Doktor Giordano najwyraźniej był pod wrażeniem obszernej wiedzy Swaina; Damone wydawał się bardziej powściągliwy. Lily podejrzewała, że trudno byłoby mu wcisnąć kit na jakikolwiek temat, co tym dobitniej ukazywało, jak bardzo musiał ufać Blancowi, skoro przyjął bez oporów jego rekomendację.

Gdy wreszcie skończyli, Swain uśmiechnął się i oznajmił.

- To chyba wystarczy. Teraz, jeśli panowie pozwolą, sprawdzimy pozycje, które

podyktowałem Charles'owi, a potem pomyszkujemy po budynku, chowając nasze małe niespodzianki. To nam zajmie godzinę, może trochę dłużej. Potem urządzimy waszym pracownikom zabawę, która, mam nadzieję, uświadomi im, jak bardzo powinni być czujni, a na koniec przeprowadzimy próbny alarm.

- Oczywiście - przytaknął Damone i złożył im sztywny ukłon. - Dziękuję obu panom za przybycie. Jeśli panowie pozwolicie, zajmę się swoimi sprawami. Doktor Giordano wie o kompleksie o wiele więcej niż ja i on jest mózgiem prowadzonych tutaj badań. Miło było panów poznać. - Ucisnęła rękę Swainowi, po czym wyciągnęła dłoń do Lily. Nie miała innego wyjścia niż odwzajemnić jego uścisk. Postarała się, by był mocny i krótki, po czym szybko schowała dłoń do kieszeni.

Damone postąpił jej przeciągłe spojrzenie, ale nic nie powiedział. Gdy odszedł, trochę się rozluźniła. Zachowywał się uprzejmie, lecz często wbijał w nią spojrzenie, jakby wyczuwał w niej coś dziwnego i tylko nie potrafił określić, co.

Po odejściu Nerviego Lily i Swain wrócili do furgonetki po ładunki. Pamiętała, gdzie mają je umieścić. Wiedziała też, co robić z detonatorami; nie było w tym nic trudnego. Burzenie zawsze jest o wiele prostsze niż budowanie.

- Wkrótce będzie po wszystkim - powiedział Swain. - Dobrze się czujesz? Bo na początku o mało cię nie poniosło.

Więc zauważył, że jej emocje w pewnej chwili zaczęły brać górę.

- Tak - odparła. Oczy miała suche, ręce pewne. - Jestem gotowa.

- No to zaczynamy. Dałbym ci całusa na szczęście, ale masz kłaki na górnej wardze.

- W takim razie dzisiaj kładę się do łóżka z wąsami. - Dziwnie było żartować, biorąc pod uwagę, co zamierzali za chwilę zrobić, ale żarty w jakiś sposób uspokajały ją. Miała tylko nadzieję, że tego wieczoru oboje będą żywi, i razem.

- Przerazający pomysł. - Swain poruszył ramionami, jakby chciał rozluźnić spięte mięśnie. Gdy spojrział na nią badawczo, jego niebieskie oczy były śmiertelnie poważne. - Bądź ostrożna. Nie pozwól, żeby coś ci się stało.

- Nawzajem.

Spojrzał na zegarek.

- Okej, to jedziemy z tym koksem. Chcę, żeby te ładunki znalazły się na miejscach w pół godziny.

Wrócili do budynku i pożegnawszy się długim spojrzeniem, ruszyli w przeciwnych kierunkach.

## Rozdział 31

Lily dokładnie wiedziała, co robić. Swain pokazał jej, w jakich miejscach umieszczać ładunki, by zadziały z maksymalną siłą, ale nie rzucały się zbyt w oczy.

Wkrótce będzie po wszystkim. Ta myśl tłukła się jej po głowie, gdy szła korytarzami kompleksu. Nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt o nic nie pytał. Najwyraźniej ci, którzy tu dziś przebywali, byli albo ślepi na wszystko poza swoją pracą, albo zwyczajnie zmęczeni i źli, że muszą pracować w sobotę, kiedy większość kolegów miała wolne. Zbliżał się koniec dnia pracy i wiele osób zwyczajnie zabijało czas do fajrantu.

Przez cztery długie miesiące Lily miała przed sobą jeden cel: zemstę. Ale teraz było to coś o wiele ważniejszego niż osobista wendeta. To, co zaczęli Averill i Tina, ona za chwilę dokończy w imię pamięci dziewczyny, która zginęła, choć nie przekroczyła jeszcze granicy między dzieciństwem a młodością.

Miała nadzieję, że życie Zii będzie zwyczajne: wyjdzie za męża, urodzi dzieci, będzie taka jak większość ludzi. Ci, którzy podążali z nurtem, nie wyróżniali się z tłumu, często nie zdawali sobie sprawy, jakie mają szczęście. Znaleźli swoje miejsce na świecie. Lily chciała, żeby Zia także znalazła takie miejsce, a razem z nim rzeczy, których ona albo nigdy nie miała, albo z których musiała zrezygnować.

Zia była wyjątkowym dzieckiem. Żyła jakby w radosnej gorączce. Wszystko było dla niej źródłem zachwytu i szczęścia. Była też nieprawdopodobną gadułą: paplała w niesamowitym tempie, aż wybuchali śmiechem i prosili ją, by zwolniła.

Wkrótce będzie po wszystkim, misja Lily dobiegała końca. Umieściła ładunek na ścianie za szafkami z dokumentacją badań doktora Giordano i wetknęła detonator w blok semtekstu.

Już prawie po wszystkim, myślała, rozmieszczając materiał wybuchowy w gabinecie, gdzie przechowywano wszystkie dane na komputerowych dyskach. Niewielki ładunek pod każdym komputerem i większy pod szafką, gdzie przechowywano CD-ROM-y. Wszystko musiało zniknąć. Po badaniach doktora Giordano nie mógł zostać żaden ślad.

Swain zajmował się gabinetem doktora i dwoma laboratoriami, w których przechowywano wirusa. W tych samych pomieszczeniach pracowano również nad szczepionką.

Lily żałowała, że nie ma sposobu na zachowanie danych o szczepionce, bo za rok czy dwa lata świat mógł ich rozpaczliwie potrzebować. Ale nic nie mogli zrobić, nie mogli ocalić tej części badań doktora. Mogli tylko mieć nadzieję, że gdy przyjdzie czas, jakieś inne laboratorium, pracujące nad tym samym zagadnieniem, stanie na wysokości zadania.

Zeszła do piwnicy po długich, stromych schodach i umieściła największe ładunki pod ścianami nośnymi, by destrukcja budynku była kompletna. Gdy wdrapała się z powrotem na górę, brakowało jej tchu.

Nie mogła już sobie wmawiać, że odzyskuje siły. Nie było żadnych wątpliwości: każdy wysiłek powodował zadyszkę. Nie potrafiła ocenić, czy kłopoty z oddychaniem nasilają się, ale wreszcie spojrzała prawdzie w oczy: kiedy tylko będzie to możliwe, będzie musiała znaleźć dobrego kardiologa i postarać się o wymianę tej cholernej zastawki.

Jej przyszłość w dużym stopniu zależała od Rodriga Nerviego. Wiedziała, że będzie musiała opuścić Francję; a nawet opuścić Europę. Swain nie mówił nic o tym, co będzie potem. Ona też nie. Najpierw musieli się przekonać, czy w ogóle będzie jakieś „potem”. Próbowała sobie wyobrazić samotną przyszłość, lecz nie potrafiła. Gdziekolwiek widziała siebie, była tam ze Swainem.

Gdzie mógłby pojechać? Na pewno nie do Ameryki Południowej; żadne z nich nie będzie też mogło wrócić do Stanów. Może Meksyk albo Kanada. Tam byłoby blisko domu. Jamajka też wchodziła w grę. Swain nie lubi zimna, więc pewnie nie wybrałby Kanady, choć dla niej Kanada była na pierwszym miejscu listy. Mogliby spędzać lato w Kanadzie, a zimę gdzieś bardziej na południu.

Minął ją zmęczony mężczyzna w laboratoryjnym kitlu i z grubym notesem w rękach; tylko skinienie głowy świadczyło, że w ogóle zauważył jej obecność. Lily wyjrzała za okno i zobaczyła, że słońce już zachodzi; krótki grudniowy dzień dobiegał końca. Dobrze wybrali czas; o tej porze pracownicy myśleli jedynie o powrocie do domu.

Wszystkie ładunki zostały rozmieszczone bez żadnych problemów. To było tak łatwe, że niemal przerażające.

Wróciła do gabinetu doktora Giordano. Swain już tam był - siedział na wygodnej kanapie i pił kawę. Giordano wskazał jej dzbanek.

- Proszę się częstować - powiedział. - Kawa dobrze panu zrobi na gardło.

- *Merci* - odparła. Kaszłała tak często, że naprawdę mocno podrażniła gardło. Pierwszy łyk

gorącej kawy ukoił słuzówki i Lily niemal westchnęła z zadowolenia.

- Macie tu poważny problem - mówił Swain do doktora. - Rozmieściliśmy ładunki i nikt nie zapytał, co robimy, nikt się nie zaniepokoił. Czujność powinna być waszą podstawową bronią, a pańscy ludzie są tak pochłonięci pracą, że nie myślą o niczym innym.

- Naukowcy już tacy są - odparł Giordano. - Co mogę na to poradzić? Powiedzieć im, żeby nie myśleli o pracy? Swain pokręcił głową.

- Wystarczyłoby mieć w kompleksie ludzi, którzy nie są naukowcami, przeszkolony personel ochronny. Nie można polegać wyłącznie na elektronice. Powinniście mieć jedno i drugie. Dziwię się, że wasza firma ochroniarska tego nie zasugerowała.

- Zasugerowała. Ale pracujemy tu z tak delikatnym i niebezpiecznym materiałem, że postanowiłem nie wprowadzać ludzi, którzy nie rozumieją środków bezpieczeństwa, jakie należy zachowywać przy pracy z wirusami.

- Więc to kompromis, na który sam pan się zdecydował. Powoduje on poważną lukę w waszych zabezpieczeniach, ale skoro pan zdaje sobie z tego sprawę... - Swain wzruszył ramionami. - Umieszczę moje zalecenia w raporcie, a pan zastosuje się do nich lub nie, według własnego uznania. A teraz, czy może pan poprosić swoich ludzi, żeby poszukali ładunków?

Giordano spojrział na zegarek.

- Zostało im niewiele czasu. To musi być krótka lekcja.

- Oczywiście.

Podeszli do systemu nagłaśniającego i doktor Giordano nacisnął guzik włączający głośniki. Odchrząknął i zaczął wyjaśniać, co działo się w budynku tego popołudnia. Gdy skończył, znów spojrział na zegarek.

- Macie państwo pięć minut na poszukiwanie fałszywych ładunków. Proszę ich nie dotykać, tylko zgłosić mi, jeśli zostaną zauważone.

Wyłączył interkom i zapytał Swaina:

- Ile ładunków jest w budynku?

- Piętnaście.

Czekali, kontrolując czas. W ciągu wyznaczonych pięciu minut były tylko cztery telefony. Doktor westchnął, zrobił smutną minę i ogłosił wynik przez głośniki.

Lily usiadła i zaczęła masować prawą nogę, jakby ją bolała. Teraz, gdy nadszedł czas, ogarnął ją niewypowiedziany smutek. Czuła się potwornie zmęczona zabijaniem. Zastanawiała się, czy to się kiedykolwiek skończy. Rodrigo Nervi będzie jej szukał do końca swoich dni; będzie musiała patrzeć na każdego obcego jak na potencjalne zagrożenie, nigdy nie będzie mogła czuć się swobodnie między ludźmi.

Swain wstał.

- Nie powiedział im pan o alarmie ćwiczebnym. To dobrze. Pańscy pracownicy wykazali się wyjątkowym brakiem czujności, więc zobaczymy, czy uda się ich skłonić do trochę żywszej reakcji. Czy mogę? - Wskazał system nagłaśniający, a doktor Giordano machnął przyzwalająco ręką. Swain włączył głośniki i, posługując się swoją toporną francuszczyzną, zawołał:

- Ładunki wybuchowe są prawdziwe! Zaszła pomyłka! Opuścić budynek, opuścić budynek!

Odwrócił się i zaczął wypychać doktora Giordano za drzwi. Lily sięgnęła do buta po pistolet, ale Swain spojrział przez ramię i pokręcił głową.

- Przystaw samochód - powiedział, poruszając bezgłośnie wargami.

Nie mogła uwierzyć, że wcześniej o tym nie pomyśleli. Furgonetka była zaparkowana zbyt blisko budynku. Jeśli nie odsunie jej na bezpieczną odległość, nie będą mieli transportu. Swain nie mógł tego zrobić, bo to ona miała kluczyki, a poza tym on był zajęty czym innym: wyjął z kieszeni baterie do pilota i próbował umieścić je w urządzeniu, nie zwalniając kroku. Z sal i

laboratoriów wybiegali zdezorientowali ludzie.

- Co się dzieje? - spytała jakaś kobieta. - To jakiś żart?

- Nie - odparła Lily. - Szybko!

Gdy wyszli z budynku, na użytek doktora Giordano rzuciła:

- Muszę coś przynieść z samochodu - i pobiegła do furgonetki.

Najwidoczniej biorąc jej zachowanie za przykład, jak sami mają się zachować, pracownicy laboratorium ruszyli biegiem do swoich samochodów. Strażnicy przy bramie, widząc to zamieszanie, wyszli ze stróżówki z dłońmi na kolbach pistoletów; nie wyciągną ich z kabur, ale byli gotowi zrobić to w każdej chwili.

Lily zapaliła silnik i szybko wycofała furgonetkę z miejsca parkingowego. Doktor Giordano spojrział na nią przestraszony, ale Swain powiedział coś, by odwrócić jego uwagę. Cały czas szybkim krokiem oddalał się na bezpieczniejszą odległość, ponaglając doktora.

Lily ustawiła furgonetkę między Swainem a strażnikami, blokując im widok i jednocześnie zapewniając choćby minimalną osłonę przed wybuchem. Gdy wysiadła, usłyszała słowa Swaina:

- Sądzi pan, że to już wszyscy?

- Nie wiem - odparł Giordano. - Dziś pracowało niewiele osób, ale ile...? - Wzruszył ramionami.

- Zawsze powinien pan to wiedzieć, bo jak inaczej może pan stwierdzić, czy wszyscy są bezpieczni - rzekł Swain i ku zaskoczeniu Lily wręczył jej pilota.

Widziała, jak go testował, wyjaśnił jej też, jak działa, ale dlaczego zmienił plan? Nie miała czasu go zapytać, bo doktor Giordano już na nich patrzył. Nim zdążył się odezwać, uruchomiła urządzenie. Gdy rozbłysło zielone światełko wskazujące, że pilot działa, wcisnęła guzik wysyłający sygnał radiowy do detonatorów.

Rozległo się basowe, stłumione tąpnięcie, i rozpętało się piekło.

Fragmenty kompleksu wyfrunęły w górę i na boki, fala uderzeniowa dosięgła ich silnym ciosem. Buchnął czarny dym i płomień, ciemna chmura odłamków wzbiła się pod niebo. Ludzie krzyczeli, kuląc się i chowając, gdzie tylko mogli. Wyrzucone eksplozją kawałki szkła przeszły kilka osób niczym strzały. Jakiś mężczyzna padł pod kawałem gruzu, który leciał z nieba jak skały ciskane przez olbrzyma.

Giordano odwrócił się do Swaina z przerażeniem na twarzy. Lily sięgnęła po pistolet, ale Swain już trzymał dłoń pod kombinezonem. Wyciągnął wielkiego hecklera & kocha, przytknął lufę do piersi doktora i dwa razy pociągnął za spust. Nim Giordano osunął się bezwładnie na ziemię, nie żył.

Swain błyskawicznie popchnął Lily w stronę samochodu. Wspięła się na fotel kierowcy; on pchał ją dalej, przesunęła się więc na siedzenie pasażera, a on zajął miejsce za kierownicą. Silnik pracował cały czas. Swain zatrzasnął drzwi, wrzucił bieg i ruszył, mijając strażnika, który przebiegł obok nich. Drugi dzwonił ze stróżówki. Wciąż krzyczał do słuchawki, gdy wyjechali za bramę.

Kiedy zadzwonił telefon, Damone był w gabinecie brata. Rodrigo odebrał i jego oliwkowa skóra przybrała kolor popiołu. Damone wstał z fotela.

- Co się stało? - zapytał, gdy Rodrigo odłożył słuchawkę.

Rodrigo zwiesił głowę, przygarbił się.

- Laboratorium zostało zniszczone - powiedział ochryplym głosem. - Podłożono bomby. Vincenzo nie żyje. - Powoli uniósł głowę; w jego przerażonych oczach zaczęło świtać zrozumienie. - Zabili go konsultanci od ochrony, których ty wprowadziłeś do budynku.

Damone odetchnął głęboko kilka razy. W końcu bardzo cicho rzekł:

- Nie mogłem ci pozwolić na wypuszczenie tego wirusa.

- Nie mogłeś...? - Rodrigo zamrugał gwałtownie, próbując odnaleźć jakieś inne znaczenie tych słów. Ale wciąż znaczyły to samo, a Damone stał przed nim, przerażająco spokojny. - Ty... ty wiedziałeś, co oni zamierzają?

- Zapłaciłem im za to.

Rodrigo poczuł się, jakby nic, co uważał za rzeczywistość, nigdy nią nie było. I nagle zrozumiał; prawda oślepiła go jak słońce.

- To ty stałeś za tym pierwszym wybuchem. Ty wynająłeś Joubranów!

- Niestety Vincenzo zdołał odtworzyć swoje badania, więc musiałem zastosować bardziej drastyczne środki.

- To przez ciebie zginął ojciec! - ryknął Rodrigo, zrywając się na równe nogi i sięgając po broń, którą trzymał w szufladzie biurka.

Damone był szybszy. Nie zawahał się. Pociągnął za spust trzy razy, pakując dwie kulki w pierś brata, a trzecią, dla pewności, w głowę. Rodrigo osunął się na biurko, po czym upadł na podłogę, przewracając kosz na śmieci.

Damone opuścił rękę; po jego twarzy płynęły łzy.

A więc do tego doprowadził łańcuch wydarzeń, który zapoczątkował w sierpniu. Zacerpnął głęboko powietrza i otarł oczy. Droga do piekła naprawdę jest wybrukowana dobrymi intencjami. On chciał tylko, żeby wirus został zniszczony. Nie mógł pozwolić ojcu na realizację tego planu.

Giselle, jego cudowna, delikatna Giselle, nie przeżyłaby, gdyby zaraziła się ptasią grypą. Zaledwie rok wcześniej przeszczepiono jej nerkę, musiała brać leki osłabiające system odpornościowy i nawet szczepionka by jej nie uratowała. Nie chciała przyjąć jego oświadczeń, bo nie mogła dać mu dzieci, a wiedziała, jak ważna dla Włochów jest rodzina, ale w końcu ją przekonał. Kochał ją bardziej, niż potrafił wyrazić, tak bardzo, że sam nie do końca to pojmował. To dla niej podjął kroki mające na celu zniszczenie wirusa.

Nie sądził, że ojciec kiedykolwiek odkryje, kto spowodował pierwszy wybuch, i serce mu się krajało, gdy dowiedział się, że Joubranowie i ich córka zostali zamordowani, by stać się ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy wchodzili w drogę Salvatore Nerviemu.

Ale Joubranowie mieli przyjaciółkę, tę Lily Mansfield, która dowiedziawszy się o ich śmierci, wkroczyła na wojenną ścieżkę, a jej zemsta posłała ojca do grobu.

Była idealną kandydatką, by dokończyć misję Joubranów. Damone niemal wpadł w panikę, kiedy zażądała spotkania, ale udało mu się przekonać Georges'a Blanca, by zjawił się w jego miejsce. Z pomocą Blanca wymyślił plan pozwalający wprowadzić ją i jej przyjaciela do kompleksu. Nie był przygotowany na uczucia, które go ogarnęły, gdy zobaczył morderczynię swego ojca. Przez chwilę miał ochotę ją zabić, ukarać za katusze, które cierpiał, a za które sam ponosił odpowiedzialność. Był pewien, że „Charles Fournier” to właśnie ona w przebraniu, choć charakterystyka była tak dobra, że przez moment zastanawiał się, czy nie bierze w tym udziału ktoś trzeci. Ale zmusił ją, by uściśnęła mu rękę, i dotyk jej smukłej, kobiecej dłoni przekonał go ostatecznie.

A więc się stało. Wykonała swoją misję - i zmusiła go, by zapłacił jej za to milion dolarów. Nie zamierzał dotrzymać obietnicy, ale ona przechytrzyła go, nalegając, żeby zapłacił z góry.

Pragnął, by zginęła w tej eksplozji. Może tak się stało; jeszcze nie wiedział, czy były jakieś ofiary śmiertelne poza Vincenzem. Ale jeśli uszła z życiem, zamierzał ogłosić rozejm. Lily Mansfield nic już nie groziło ze strony organizacji Nervich. Zareagowała na wydarzenie, które on spowodował, i lawina przemocy rozrastała się samoistnie jak śnieżna kula tocząca się po

zboczu.

Zamordował własnego brata. Może jego nieśmiertelna dusza będzie za to potępiona, ale chciał myśleć, że na drugiej szali zostaną położone wszystkie istnienia, które ocalił, niszcząc wirusa. I ocalił Giselle.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zobaczył kilku mężczyzn stojących tuż za progiem z niepewnymi minami. Dostrzegł wśród nich Tadea, człowieka Rodriga.

- Mój brat nie żyje - powiedział łagodnie. - Przejąłem kontrolę nad organizacją. Tadeo, czy zadbasz, by ciało mojego brata zostało potraktowane z należnym szacunkiem? Zabiorę go do domu i pochowam obok ojca.

Błądy jak ściana Tadeo skinął głową. Wiedział, jak to działa. Mógł zostać człowiekiem Damone'a albo zginąć.

Wybrał życie. Wyszeptał parę słów do swoich towarzyszy i razem z nimi wszedł do gabinetu, by zająć się ciałem Rodriga.

Damone przeszedł do innego pokoju i zadzwonił.

- Monsieur Blanc. Już po wszystkim. Nie będę więcej korzystał z pańskich usług.

## Rozdział 32

- Dlaczego Grecja? - zapytała Lily, zbierając pospiesznie swoje rzeczy w pokoju hotelowym Swaina.

- Bo jest tam ciepło i leci tam pierwszy samolot, do jakiego udało mi się nas wcisnąć. Masz paszport?

- Niejeden.

Przerwał pakowanie i posłał jej dziwnie czuły uśmiech.

- Ten na twoje prawdziwe nazwisko. Na nie kupiłem bilet.

Skrzywiła się.

- Możemy mieć przez to kłopoty. - Nie zapomniała, że musi się strzec również przed CIA, choć na razie wyglądało na to, że przemykała się poza zasięgiem ich radarów. Po tym, co się dzisiaj stało, można było tylko zgadywać, czy taki stan się utrzyma. - Włącz telewizor. Zobaczmy, co mówią w wiadomościach.

Albo sprawę wybuchu wyciszono, albo po prostu przegapili materiał, a nie mieli czasu czekać na kolejny blok wiadomości. Zamiast dzwonić po boya, Swain sam zniósł bagaże na dół i wymeldował ich z hotelu.

- Musimy pojechać do mojego mieszkania - powiedziała Lily, kiedy siedzieli już w mercedesie; furgonetkę porzucili kilka przecznic od hotelu i resztę drogi pokonali pieszo.

Swain spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Wiesz, ile czasu nam to zajmie?

- Muszę zabrać zdjęcia Zii. Nie wiem, kiedy i czy w ogóle będę mogła wrócić, więc nie mam zamiaru ich zostawiać. Jeśli będzie nam groziło, że spóźnimy się na samolot, to anuluję rezerwacje i zarezerwuję nam następny lot.

- Może zdążymy - powiedział Swain z szatańskim uśmiechem i Lily nastawiła się na jazdę swojego życia.

Dojechali pod jej kamienicę w jednym kawałku, ale przez większość drogi Lily mocno zaciskała powieki i nie otwierała ich, niezależnie od tego, jak blisko słychać było piszczące hamulce i ryk klaksonów. - Wrócę za minutkę - powiedziała, kiedy się zatrzymał.

- Idę z tobą.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak wysiada z samochodu i zamyka go.

- Przecież blokujesz ulicę. A jak ktoś będzie chciał przejechać?

- To sobie poczeka, do cholery.

Ruszył za nią po schodach, trzymając prawą dłoń na kolbie pistoletu. Gdy Lily otworzyła drzwi, Swain wszedł pierwszy; wyciągnąwszy rękę, zapalił światło i powiodł z prawa na lewo lufą pistoletu, aż upewnił się, że nikt na nich nie czeka.

Lily weszła do środka i zamknęła drzwi.

- Możemy tu zostawić broń. - Wyciągnęła z szafki stalowe pudło z szyfrowym zamkiem. - Mieszkanie jest wynajęte na rok, zostało mi jeszcze osiem miesięcy.

Włożyli pistolety do pudła i zamknęli je, po czym wsunęli z powrotem do szafki. Mogli co prawda schować broń w głównym bagażu, zamkniętą w stalowej kasetce, i może nie mieliby problemu z odebraniem jej na końcu trasy, ale Lily wątpiła, by poszło tak gładko. Zawsze prościej kupić broń na miejscu, niż wozić ją ze sobą.

Schowała zdjęcia Zii do torebki i wyszli z mieszkania. Gdy schodzili po schodach, Swain spytał, szczerząc zęby:

- To było to łóżko, które kupiłaś od zakonnicy?

Lily zachichotała.

- Nie, było już w mieszkaniu.

- Ani przez chwilę nie wierzyłem w tę historyjkę z zakonnicy.

Choć Swain pędził jak szatan, w pewnej chwili stało się oczywiste, że nie zdążą na lotnisko. Lily zadzwoniła, by odwołać ich rezerwacje i zarezerwować miejsca w innym samolocie. Gdy to załatwiła, łaskawie zaczął zdejmować czasem nogę z gazu, więc odważyła się jechać z otwartymi oczami.

- Dlaczego zastrzeleś doktora Giordano? - spytała wciąż nie mając pojęcia, czemu zmienił plan. Czy zauważył ten moment, kiedy poniosły ją emocje, i bał się, że może spartaczyć strzał?

- Byłem ciekaw, kiedy poruszysz ten temat - odparł i westchnął. - Zrobiłem to, bo dla ciebie była to sprawa osobista i nie potrzebowałaś do szczęścia poczucia winy, które na pewno by cię dopadło.

- Salvatore Nervi też był sprawą osobistą - wytknęła mu - a nie mam nawet cienia poczucia winy.

- To było co innego. Doktora Giordano zwyczajnie lubiłaś, zanim dowiedziałaś się, nad czym pracuje. Zabicie go zraniłoby cię.

Pewnie miała rację, pomyślała, opierając głowę o zagłówek. Gdy planowała zabójstwo Salvatore, niosła ją fala bólu tak potężnego, że przesłaniał wszystko inne. Ale między tamtym dniem a dzisiejszym odnalazła słońce, a egzekucja doktora Giordano znów by je przesłoniła, przynajmniej częściowo. Giordano zasługiwał na śmierć, może najbardziej ze wszystkich - ale cieszyła się, że nie ona to zrobiła. I właśnie ta radość jednocześnie zdumiewała ją i niepokoiła. Czyżby przestawała się do tego nadawać... i Swain to zauważył? Czy dlatego to zrobił?

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

- Przestań się tym gryźć. Stało się.

Stało się. Skończyło. Było już po wszystkim. Czowała się, jakby zamknęły się za nią drzwi, odcinając ją od przeszłości. Poza wyjazdem do Grecji ze Swainem nie miała pojęcia, co dalej. Po raz pierwszy w życiu czowała się zagubiona.

Na lotnisku oddali mercedesa do wypożyczalni i poszli do stanowiska linii lotniczych, by się odprawić. Mieli dwie godziny do startu, a oboje byli głodni, weszli więc do jednej z restauracji. Wybrali osłonięty stolik z tyłu sali, skąd mogli obserwować wejście, choć odprawa odbyła się bez przygód. Nikt nie próbował ich zatrzymać, nikt nawet nie mrugnął okiem, widząc nazwisko



Lily. Wytrącało ją to z równowagi.

Na ścianach restauracji zamontowano kilka telewizorów, by goście mogli śledzić na bieżąco wiadomości, sport i pogodę. Lily i Swain jednocześnie unieśli głowy, gdy usłyszeli nazwisko Nervi.

- Damone Nervi ogłosił, że w wyniku niszczyielskiej eksplozji, która dziś późnym popołudniem zrównała z ziemią jeden z kompleksów należących do rodziny Nervich, zginął jego starszy brat Rodrigo. Niecały miesiąc temu bracia stracili ojca, Salvatore Nerviego. Damone Nervi przejął zarządzanie wszystkimi przedsiębiorstwami rodziny. Uważa się, że wybuch, w którym zginął Rodrigo Nervi, był wynikiem awarii instalacji gazowej. Policja bada okoliczności zdarzenia.

Lily i Swain spojrzeli po sobie.

- Rodriga tam nie było - syknęła Lily.

- Wiem - odparł zamyślony Swain. - Jasna cholera. Zdaje się, że miał miejsce zamach stanu.

Lily musiała przyznać mu rację. Najwidoczniej Damone wykorzystał okazję, by zabić Rodriga i upozorować wypadek. To musiał być impuls, decyzja podjęta pod wpływem chwili, sprowokowana zniszczeniem laboratorium. Ale Damone był znany ze swego geniuszu finansowego, wręcz dotyku Midasa; czy ktoś taki zadziałałby tak impulsywnie, jeśli w wyniku swojej akcji równie dobrze to on mógł zginąć?

Jedyne alternatywne wyjaśnienie było takie, że wcale nie zabił Rodriga pod wpływem impulsu. A w takim razie mogło to być tylko..

- Boże drogi - wyszeptała Lily. - On to wszystko zaplanował.

Trzy tygodnie później Lily obudziła się z popołudniowej drzemki i usłyszała na tarasie Swaina rozmawiającego przez telefon satelitarny, który wytrzasnął nie wiadomo skąd.

- Do diabła, Frank - mówił gniewnie. - Nie. Nie. Nie, do cholery. No dobra. Dobra, powiedziałem, ale nie podoba mi się to. Wisisz mi za to przysługę, i to niejedną. Tak, powiedziałem, że ty wisisz mnie, więc lepiej, żebyś miał rację. - Rozłączył się, wściekły, podszedł do niskiego murku tarasu, oparł dłonie na biodrach i zapatrzył się na błękitne Morze Egejskie.

Lily wstała z łóżka i wyszła przez podwójne drzwi na taras; dołączywszy do Swaina, wsunęła dłonie pod jego ręce i objęła go w pasie. Położyła głowę na jego nagich plecach i pocałowała ciepłą łopatkę.

- Wreszcie udało ci się porozmawiać z Frankiem? - Frank był tym jego przyjacielem, który miał wypadek samochodowy. Dwa tygodnie wcześniej został przeniesiony z OIOM-u na zwykły oddział, ale tam pilnował go ktoś, kto stanowczo nie pozwalał mu przeszkadzać. Poprzedniego dnia Franka przewieziono do sanatorium na rehabilitację, lecz sądząc z podniesionego głosu Swaina, ich pierwsza rozmowa nie była miła.

- Uparty sukinsyn - burknął, ale chwycił dłoń Lily i przycisnął do piersi.

- Co się stało?

- Chce, żebym zrobił coś, czego nie chcę robić.

- Czyli?

- Żebym wziął robotę, która mi się nie podoba.

Nie była to dobra wiadomość. Przez te trzy tygodnie w Grecji - a konkretnie na wyspie Ewoja, popadli w leniwą rutynę, która wydawała się rajem. Dni często były pochmurne, lecz o wiele cieplejsze niż w Paryżu, temperatura często przekraczała dwadzieścia stopni. Nocami robiło się zimno, ale tym milej było się tulić razem w łóżku. Ten dzień był niemal idealny, słoneczny od rana do wieczora i tak ciepły, że Swain prawie cały czas chodził bez koszuli.

Kochali się, spali do późna, jedli, kiedy mieli ochotę, spacerowali po mieście. Mieszkali w domu na zboczu wzgórza nad portowym miasteczkiem Karystos, z niesamowitym widokiem na morze. Lily zakochała się w tym domu - prostym i białym, z niebieskimi okiennicami, przepelnionym aurą spokoju. Mogłaby tu zamieszkać ze Swainem na zawsze, ale wiedziała, że ta idylla kiedyś się skończy. I najwyraźniej miała się skończyć wcześniej, niż się spodziewała. Jeśli Swain weźmie tę robotę, której nie chciał brać - a Frank najwyraźniej nie pozostawiał mu wyboru - będzie musiał wyjechać. Mogła tu zostać bez niego, ale pytanie za tysiąc punktów brzmiało: czy chciała? Pytanie za jeszcze więcej punktów brzmiało: czy będzie mogła pojechać z nim? Wciąż nie rozmawiali o przyszłości; teraźniejszość była tak przyjemna, że Lily rozkoszowała się nią, pozwalając, by dni przeciekały jej przez palce.

- Jeśli weźmiesz tę robotę, dokąd będziesz musiał pojechać?

- Jeszcze nie wiem.

- To skąd wiesz, że jej nie chcesz?

- Bo nie będę tutaj. - Obrócił się i pocałował ją w czoło. - Nie chcę wyjeżdżać.

- To nie wyjeżdżaj.

- Frank wierci mi dziurę w brzuchu, no wiesz, „zrób to dla mnie” i te sprawy.

- To oczywiście, że nie może tego zrobić sam. Jak długo będzie w sanatorium?

- Przynajmniej miesiąc, a Bóg wie, ile czasu minie, zanim odzyska pełną sprawność.

- Jeśli weźmiesz tę robotę, jak długo cię nie będzie?

Nie odpowiedział, a jej serce ścisnęło się boleśnie. Więc długo.

- Mogłabym pojechać z tobą - zaproponowała, choć nie miała zamiaru tego robić. Gdyby chciał ją mieć przy sobie, sam by powiedział. Ale przecież chyba chciał? Mówił: „kocham cię” codziennie, kilka razy dziennie. I okazywał to.

- Nie możesz - odparł w końcu. - Jeśli się zgodzę, nie będzie takiej możliwości.

Więc wszystko jasne.

- Kiedy musisz zdecydować?

- Za parę dni. W każdym razie nie w tej chwili. - Ujął jej podbródek, uniósł jej twarz do góry i studiował jej rysy w gęstniejącym mroku, jakby chciał nauczyć się ich na pamięć. Jego niebieskie oczy były mroczne i pełne uczucia. - Nie wiem, czy zdołam to zrobić - szepnął. - Nie chcę stąd wyjeżdżać.

- To nie wyjeżdżaj - powtórzyła, a on się roześmiał.

- Niestety to nie takie proste. Frank... cóż, jest człowiekiem, któremu trudno odmówić.

- Ma coś na ciebie?

Roześmiał się, choć ten śmiech był raczej gorzki niż radosny.

- To nie to. On po prostu należy do ludzi, którzy mają ogromną siłę przekonywania. I, bardzo niechętnie to przyznaję, ale ufam mu bardziej niż komukolwiek innemu. - Zadrżał, jakby spadająca temperatura wreszcie dała mu radę. - Wejźmy do środka. Chodzi mi po głowie parę ciekawszych rzeczy niż martwienie się o robotę, której może wcale nie wezmę.

Nie wspominał o tym więcej, więc i Lily dała temu spokój. Zjedli prostą kolację złożoną z młodych ziemniaków z koperkiem i kaparami, fety z oliwą chleba i butelki wina Boutari. Wynajęli kobietę z miasta, Chrisoulę, która codziennie dla nich gotowała; początkowo przygotowywała obfite wieczorne posiłki, zgodnie z grecką tradycją ale dali jej do zrozumienia, że wolą jadać lżejsze kolacje. Nie podobało jej się to, lecz zastosowała się do ich prośby. Głównie dlatego, że oznaczało to dla niej wcześniejsze powroty do domu, gdzie mogła się cieszyć długimi wieczornymi posiłkami z własną rodziną.

W domu nie było telewizora i żadne z nich za nim nie tęskniło. Przez te trzy tygodnie Swain dwa razy kupił gazetę. Takie odcięcie od świata było właśnie tym, czego Lily potrzebowała. W

cieplejsze dni godzinami siedziała na tarasie, wchłaniając blask słońca, pozwalając swojej psychice dochodzić do zdrowia. Postawiła w sypialni jedno ze zdjęć Zii, a następnego dnia Swain wyjął z portfela zdjęcia swoich dzieci i oparł je obok fotografii Zii. Chrisoula myślała, że cała trójka to ich wspólne pociechy, oni zaś nie wyprowadzali jej z błędu, co zresztą i tak nie byłoby proste, bo znali ledwie parę słów po grecku, a angielski Chrisouli był niewiele lepszy. Udawało im się jakoś porozumieć w większości spraw, ale z niemałym wysiłkiem.

Tej nocy, dręczona świadomością, że Swain może wkrótce wyjechać, Lily dużo myślała o Zii. Niektóre dni były właśnie takie - wspomnienia osaczały ją zaskakiwały, choć potrafiła też przeżyć całe dni bez płaczu. A ponieważ tyle myślała o Zii, była ciekawa, czy i Swain miewał chwile, kiedy potrafił myśleć tylko o swoich dzieciach.

- Nie tęsknisz za nimi? - spytała. - Za Chrissy i Samem.

- Tak bardzo, że aż boli - odparł natychmiast. - Ale pewnie sobie na to zasłużyłem.

Wiedziała, że czuł się winny wobec swoich dzieciaków; nie zdawała sobie tylko sprawy, że tak się tym przejmował.

- To może zbliż się do nich, zamiast nosić tę włosiennicę? Przegapiłeś większą część ich dzieciństwa, ale to nie znaczy, że musisz przegapić ich dorosłość. Któregoś dnia zostaniesz dziadkiem. Będziesz się trzymał z daleka od wnuków?

- Chciałbym ich częściej widywać - odparł. - Nie wiem tylko, czy oni chcieliby częściej widywać mnie. Kiedy się spotykamy, są mili, okazują mi uczucia, ale może dlatego, że trzymam się na uboczu. Jeśli spróbuję się wpakować w ich życie na siłę... kto wie?

- To ich zapytaj.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Prosta odpowiedź na proste pytanie, co? Dla małego dziecka nic nie jest ważniejsze od tego, by mieć rodziców przy sobie, a ja ich zawiodłem. Taka jest gorzka prawda.

- I zamierzasz pozwolić, by ta gorzka prawda była prawdą do końca twojego życia?

Patrzył na nią długą chwilę; w końcu dopił swoje wino i odstawił kieliszek na stół.

- Może nie. Może któregoś dnia zbiorę się na odwagę i zapytam ich.

- Gdyby Zia żyła, żadna siła nie utrzymałaby mnie z dala od niej. - To była kolejna gorzka prawda, a między jej wierszami zawierała się kolejna: Zia nie żyje, ale twoje dzieci żyją. Lily nie wiedziała, dlaczego tak uparcie kładzie mu to do głowy - może dlatego, że myślała o Zii, a Swain wkrótce mógł wyjechać, i nie będzie miała kiedy mu tego wszystkiego powiedzieć. Przerabiali już kiedyś ten temat, ale najwyraźniej to do niego nie dotarło - albo był tak boleśnie świadomy swoich błędów, że karał samego siebie, trzymając się z daleka od dzieci. Im więcej o nim wiedziała, tym bardziej podejrzewała go o to drugie.

- No dobrze - powiedział z cierpkim uśmiechem. - Pomyślę o tym.

- Myślałeś o tym przez cztery lata. Kiedy wreszcie coś zrobisz?

Uśmiech zmienił się w wybuch śmiechu.

- Boże, jesteś gorsza niż żółw jaszczurowaty.

- To żółwie zrzędzą?

- Jest takie stare powiedzenie, że jeśli żółw jaszczurowaty cię ugryzie, to nie puści, dopóki nie usłyszysz grzmotu.

Przechyliła głowę.

- Zdaje się, że nie słyszałam grzmotu, od kiedy tu jesteśmy.

- Wiem, że nie słyszałaś. Okej, obiecuję, że zadzwonię do dzieci.

- I...?

- I powiem im, że byłem marnym ojcem, a potem zapytam, czy bardzo by im się nie podobało, gdybym widywał się z nimi częściej.

Lily zaklaskała, jakby biła brawo dziecku, które wyrecytowało wierszyk.

- Mądrała. - Swain śmiał się już na całego. Wstał i chwycił ją za rękę, by wziąć ją w ramiona. - Dziś w nocy chciałem ci pokazać coś specjalnego, ale teraz myślę, że dostaniesz same ograne numery.

Jeśli sądził, że to kara, to bardzo się mylił. Lily ukryła uśmiech, wtulając twarz w jego ramię. Kochała go tak bardzo, że zamierzała cieszyć się nim do ostatniej minuty i nie martwić się, czy weźmie tę robotę, którą wciskał mu Frank.

Nie chciała myśleć o tym, że zakochała się, by go stracić. Woląca uważać się za szczęściarę; wszak spotkała go w takim momencie swojego życia, kiedy bardzo potrzebowała kogoś bliskiego.

Kolejny dzień też był wyjątkowo słoneczny; zrobiło się ciepło równie szybko, jak ochłodziło w nocy. Wiosną temperatura w Grecji nierzadko przekracza trzydzieści stopni; latem czterdzieści nie jest niczym niezwykłym. Ale i teraz, na początku stycznia, mimo deszczu od czasu do czasu, pogoda była bardzo przyjemna, zwłaszcza w porównaniu z paryską aurą o tej porze roku.

Chrisoula przygotowała im kotlety mielone i ryż z szafranem. Zjedli na tarasie, rozkoszując się pogodą. Lily miała na sobie zwiewną białą sukienkę, którą kupiła w mieście, i wzięła szal, tak na wszelki wypadek. Podobało jej się, że nie musi się martwić, czy ubranie zakryje kaburę na kostce, i z entuzjazmem dostosowała się do turystyczno-wyspiarskiej mody. Miejscowi pewnie uważali ją za wariatkę, bo nosiła w styczniu letnie kreacje, ale miała to gdzieś. Chodziła w sandałach, i kupiła bransoletkę na kostkę, z którą czuła się kobieca i beztroska. Pomyślała, że może zostanie na Ewoi, nawet kiedy Swain wyjedzie. Uwielbiała tę wyspę.

- Kto był twoim prowadzącym? - zapytał nagle Swain, uświadamiając jej, że jego myśli bardzo się różniły od jej radosnych rozważań.- Ten człowiek, który cię wprowadził do branży. Jak się nazywał?

- Rogers - odparła.

Swain omal nie udławił się winem.

- Nigdy nie podał mi imienia, ale mogę się założyć, że nie brzmiało Fred. To nieważne, i tak wątpię, by to było jego prawdziwe nazwisko. Dlaczego pytasz?

- Przyglądałem ci się i myślałem, jak młodo wyglądasz. I zastanawiałem się, jaki drań mógł zaproponować dziecku taką pracę.

- Taki, który ma wyniki, bo nie przebiera w środkach.

Po lunchu zdrzemnęła się na jednym z leżaków na tarasie. Obudziła ją niesamowita pieśczoła Swaina. Uniósł jej sukienkę, zdjął bieliznę i ukląkł między rozsuniętymi udami. Lily zachłysnęła się powietrzem, jej ciało wygięło się z rozkoszy.

- Chrisoula zobaczy... - wykrztusiła.

- Wyszła parę minut temu - mruknął. Do języka przyłączyły się palce. Lily szczytowała błyskawicznie pod tą podwójną pieśczołą i targały nią ostatnie spazmy, kiedy Swain rozpiął spodnie i nakrył ją swoim ciałem.

Kochanie się na świeżym powietrzu jest cudowne, pomyślała, gdy się już ogarnęli i znów była ubrana jak należy. Powietrze muskało jej skórę niczym jedwab, potęgując jej reakcje. Przeciągnęła się, zrelaksowana, i uśmiechnęła do Swaina, który przyniósł dwa kieliszki wina. Usiadł na leżaku obok jej nóg i wsunął dłoń pod jej sukienkę, by leniwie głaskać udo.

- Dlaczego Chrisoula wyszła tak wcześniej? - zapytała Lily, upiwszy łyk aromatycznego wina.

- Chciała iść po coś na targ. Tak mi się zdaje. - Swain uśmiechnął się. - Albo to, albo na dach jej domu wlaźła świnia.

- Stawiam raczej na targ. - Czasem ich próby porozumiewania się miały zabawne wyniki, ale Swain zawsze podchodził do nich z entuzjazmem.

- Pewnie tak. - Jego dłoń przesunęła się w dół, ku jej kostce. Pobawił się srebrną bransoletką, a w końcu podniósł jej stopę i pocałował.

- Co chcesz zrobić przez resztę popołudnia? — zapytała Lily. Dokończyła wino i odstawiła kieliszek. Nie wiedziała, czy zdoła choćby kiwnąć ręką. Po dwóch orgazmach czuła się, jakby kości w niej stopniały. Ale szkoda jej było marnować taki cudowny dzień, więc jeśli Swain chciał jechać do Karystos, mogła się zdobyć na wysiłek.

- Nic - odparł. - Posiedzę tu i popatrzę na zatokę. Policzę chmury. - Wstał, podszedł do barierki tarasu i stał tam długą chwilę, sącząc wino.

Lily patrzyła na niego; uwielbiała jego szerokie ramiona i wąskie biodra, ale przede wszystkim ten jego leniwy, seksowny krok, który mówił, że oto idzie człowiek, który robi wszystko bez pośpiechu. Nawet Chrisoula na niego reagowała, flirtując i śmiejąc się, a była ze dwadzieścia lat starsza. Kiedy z nim flirtowała, zwykle nie miał pojęcia, co mówi, lecz nie przeszkadzało mu to odpowiadać na domniemane zaczepki. Lily też nie rozumiała słów kucharki, jednak jej rumieńce i język ciała wyraźnie wskazywały, że flirtuje.

Ogarnęła ją senność; pozwoliła opaść powiekom. Była taka rozluźniona. .. nie powinna była pić tego ostatniego kieliszka wina... usypiało ją...

Zmusiła się, by otworzyć oczy, i zobaczyła, że Swain obserwuje ją z wyrazem twarzy, którego nie poznawała - czujnym i uważnym, bez śladu rozbawienia.

Głupia, powiedział wewnętrzny głos. Dała się podejść w dokładnie taki sam sposób, w jaki podeszła Salvatore Nerviego.

Już czuła odrętwienie rozlewające się po jej ciele. Próbowwała wstać, ale ledwie zdołała usiąść, i opadła z powrotem na leżak. A nawet gdyby wstała, co mogła zrobić?

Swain podszedł i kucnął obok leżaka.

- Nie walcz z tym - powiedział łagodnie.

- Kim jesteś? - zdołała zapytać, choć wciąż myślała na tyle jasno, by samej znaleźć odpowiedź. Nie pracował dla Nervich, więc pozostawała tylko jedna możliwość. Był z CIA; czy był jednym z etatowych pracowników od czarnej roboty, czy agentem kontraktowym, nie miało znaczenia. Z siebie tylko znanego powodu pomagał jej w walce przeciw Nervim, ale gdy się skończyła, wypełnił własną misję. Jak dziecko dała się nabrać na jego grę, przecież już wcześniej zauważyła, jakim jest świetnym aktorem, i to powinno było ją zaalarmować.

- Myślę, że wiesz.

- Tak. - Jej powieki były takie ciężkie, bezwład ogarnął kończyny. Całą siłą woli starała się zachować przytomność.

- Co będzie teraz?

Delikatnie odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

- Po prostu uśniesz - szepnęła. Nigdy nie słyszała, by mówił tak czule. A więc żadnego bólu. To dobrze. Nie czekała jej śmierć w męczarniach.

- Czy to było prawdziwe? Cokolwiek? Czy każdy dotyk, każdy pocałunek był kłamstwem?

Jego oczy pociemniały, a może tylko jej się tak wydało. Może po prostu wzrok ją już zawodził.

- To była prawda.

- Więc... - Zgubiła myśli, zmusiła się, by je odnaleźć. Co chciała...? Tak, teraz pamiętała. - Proszę... - Ledwie mogła mówić i wcale go już nie widziała. Przełknęła ślinę, zdobyła się na ostatni wysiłek: - ...pocałuj mnie, gdy zasnę.

Nie była pewna, ale zdawało jej się, że powiedział: „Zawsze”. Próbowała wyciągnąć rękę - i udało jej się, w duchu. Ostatnią myślą wybiegła ku niemu, by go dotknąć.

Swain głaskał ją po policzku, patrząc, jak lekki wietrzyk flirtuje z jej włosami. Jasne kosmyki unosiły się, opadały i znów się unosiły, jakby były żywe. Pochylił się, pocałował jej ciepłe wargi, a potem długo siedział, trzymając ją za rękę.

Łzy paliły go pod powiekami. Niech szlag trafi Franka. Nie chciał słyszeć o zmianie pierwotnego planu, więc gdyby Swain nie był w stanie wykonać zadania, posłałby kogoś innego.

Gdyby nie drobna kwestia szpiega, którego wciąż trzeba było zlokalizować, Swain powiedziałaby Frankowi, gdzie może sobie wsadzić tę swoją robotę. Ale miał nagranie, które dostarczył mu Blanc podczas tygodnia przygotowań do wysadzenia laboratorium Nervich, i po powrocie do Waszyngtonu musiał się tym zająć. Wczoraj po południu usłyszał, że Lily zaczyna się budzić, więc nie mógł zrelacjonować Frankowi wszystkiego, co się działo. Zdążył powiedzieć tylko z grubsza, co robił doktor Giordano, i pokłócić się o plany wobec Lily.

Dziś odesłał wcześniej Chrisoulę, bo chciał jeszcze raz być z Lily i patrzeć w te jej niesamowite oczy, gdy szczytowała.

Teraz było już po wszystkim.

Pocałował ją ostatni raz i zadzwonił.

Wkrótce nad stokiem góry dał się słyszeć charakterystyczny odgłos łopat wirnika. Śmigłowiec wylądował na płaskim miejscu tuż obok tarasu; wysiadło z niego trzech mężczyzn i kobieta. Pracowali w milczeniu, okrywając Lily i przygotowując ją do transportu. Nagle jeden z mężczyzn powiedział do kolegi:

- Weź za nogi.

- Weź ją za nogi - Swain rzucił wściekle. - To kobieta, nie przedmiot. Traktuj ją z szacunkiem, bo wypruję ci flaki.

Mężczyzna zerknął na niego skonsternowany.

- Jasne, człowieku. Nie miałem na myśli nic złego.

Swain zacisnął pięści.

- Wiem. Po prostu... róbcie swoje.

Kilka minut później śmigłowiec wzbił się w powietrze. Swain stał i patrzył, a gdy maszyna zmieniła się w małą czarną kropkę, z ponurą twarzą odwrócił się i wszedł do domu.

## Epilog

### Sześć miesięcy później

Lily szła korytarzem w stronę gabinetu doktor Shay, mając nadzieję, że to ostatni raz. Sześć miesięcy intensywnego prania mózgu, terapii i konsultacji wystarczyło. Po pierwszym ataku furii, gdy obudziła się i stwierdziła, że jest w ośrodku zamkniętym, była wdzięczna za tę drugą szansę i współpracowała najlepiej, jak umiała. Teraz jednak czuła się gotowa do wyjścia.

Niecałe pół roku upłynęło na psychoterapii. Po dwóch miesiącach Lily przeszła operację serca w celu załatwienia uszkodzonej zastawki; dojście do siebie też trochę trwało. Czuła się już całkiem dobrze, ale pierwsze tygodnie po operacji były ciężkie, choć chirurg zastosował możliwie nieinwazyjną technikę. Każda operacja serca wymaga zatrzymania jego akcji, była więc podłączona do sztucznego płucoserca, gdy majstrowano przy tym prawdziwym. Wciąż myślała o tym z niepokojem, choć dawno było już po wszystkim.

Doktor Shay nie była typowym psychiatrą - jeśli w ogóle istnieje ktoś taki. Niska i pulchna, miała pogodne usposobienie i najłagodniejsze oczy, jakie Lily w życiu widziała. Uwielbiała doktor Shay - i między innymi dlatego wciąż przebywała w prywatnej klinice.

Choć sama martwiła się, czy kiedykolwiek zdoła się wpasować w normalne życie, dopiero terapia doktor Shay unaoczniała jej, jak dużo dzieli ją od tej normalności. Dopóki nie przeszła serii ćwiczeń testujących odruchy, nie zdawała sobie sprawy, że tak naprawdę w każdej chwili gotowa była zabić, że zawsze była to jej pierwsza reakcja na konfrontację. Właśnie dlatego stała się mistrzynią unikania konfrontacji, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Minimalizowała ryzyko, nie zadając się z ludźmi.

Wykonywała zalecane ćwiczenia, dopóki nie wyrobiła w sobie nowych odruchów, i przeszła wiele sesji terapeutycznych z doktor Shay, aż nauczyła się lepiej radzić sobie z bólem i gniewem. Smutek był straszny, ale straszna była również izolacja, a ona sama pogorszyła sytuację, izolując się od wszystkich. Zachęcana przez doktor Shay, kilka tygodni temu zebrała się na odwagę i zadzwoniła do matki. Obie się popłakały, ale Lily poczuła nieprawdopodobną ulgę.

Swain był jedyną osobą, o której nie rozmawiała z doktor Shay.

Do momentu rozmowy z matką nie pozwalano jej na przyjmowanie gości ani na żadne kontakty ze światem zewnętrznym, nie widziała zatem Swaina i nie miała od niego żadnych wiadomości od tamtego dnia na Ewoi, kiedy myślała, że ją zabił.

Nie wiedziała, czy miał kłopoty przez to, jak przeprowadził swoją akcję, więc po prostu nie wspominała o nim.

Zapukała do gabinetu doktor Shay. Nieznajomy głos powiedział:

- Proszę.

Otworzyła drzwi i spojrzała na mężczyznę siedzącego za biurkiem.

- Proszę - powtórzył z uśmiechem.

Lily weszła do gabinetu, zamknęła za sobą drzwi i w milczeniu zajęła fotel, w którym zwykle siadywała.

- Jestem Frank Vinay - przedstawił się mężczyzna. Wyglądał na siedemdziesiąt parę lat, miał miłą twarz i bystre spojrzenie.

- Frank Swaina? - spytała. Kiwnął głową.

- Przyznaję się.

- Naprawdę miał pan wypadek?

- Naprawdę. Sam nic z tego nie pamiętam, ale czytałem raporty. Postawiłem Swaina w bardzo trudnej sytuacji, bo dowiedział się, że w Agencji jest wtyczka, która donosi Rodrigowi Nerviemu. Nie wiedział, kto to jest, a że ja byłem jedyną osobą, której mógł w pełni ufać, nie miał do kogo zadzwonić. Nie miał nikogo do pomocy przy tej operacji... oprócz pani, oczywiście. Proszę przyjąć podziękowania od swojego kraju za to, co pani zrobiła.

- Myślałam, że każecie mnie zabić - powiedziała, nie kryjąc zaskoczenia.

Miła twarz Vinaya przybrała posępny wyraz.

- Po tych wszystkich latach służby dla kraju? Ja nie działałem w ten sposób. Czytałem raporty i widziałem oznaki pani wypalenia, ale nie wycofałem pani, choć powinienem był to zrobić. Kiedy zabiła pani Salvatore Nerviego, bałem się, że rozmontuje nam pani całą siatkę informatorów, ale nawet wtedy nie przyszło mi do głowy, by panią zlikwidować, chyba że nie dałaby mi pani wyboru. Pierwsza opcja była właśnie taka - powiedział, wskazując gabinet doktor Shay. - Ale wiedziałem, że pani nie uwierzy, jeśli przedstawimy pani ten plan. Zaczęłaby pani uciekać, zabijać albo jedno i drugie. Trzeba było panią złapać, więc posłałem mojego najlepszego tropiciela. I dobrze wybrałem, bo inny oficer terenowy mógłby nie rozegrać tej sytuacji tak zręcznie, gdy zmieniły się okoliczności.

- To znaczy, kiedy on dowiedział się o szpiegu, a ja o tym, co naprawdę działo się w laboratorium.

- Tak. To była skomplikowana sytuacja. Damone Nervi odkrył, co planują jego ojciec i brat, i postanowił zapobiec wypuszczeniu wirusa. Wynajął Averilla Joubrana i jego żonę, by zniszczyli wyniki badań, i to wprawiło w ruch całą tę lawinę.

Przystojny jak gwiazdor filmowy - tak madame Bonet opisała gościa swoich sąsiadów. To był Damone Nervi, bez wątplenia.

- Więc tamtego dnia w laboratorium on cały czas wiedział, kim jestem - mruknęła. - I wiedział, że zabiłam jego ojca.

- Tak. To niesamowity człowiek. Oczywiście nie zmartwiłby się, gdyby pani zginęła w wybuchu albo gdyby zastrzelił panią któryś ze strażników, ale nie zrobił niczego, by zakłócić wykonanie waszego planu.

Jest silniejszy niż ja, przyznała w duchu Lily. Ona o mało nie straciła panowania nad sobą i nie rzuciła się na doktora Giordano... Właśnie tak musiał się czuć Damone.

- Problem w tym, że może wcale nie zapobiegliśmy katastrofie - powiedziała. - Wirus ptasiej grypy może zmutować sam z siebie, i to w każdej chwili.

- To prawda, i nie potrafimy temu w żaden sposób zapobiec. Ale CDC i WHO intensywnie pracują nad szczepionką. Jeśli wirus zmutuje się, zanim się to uda... - Rozłożył ręce. - Przynajmniej nikt nie spowoduje epidemii z rozmysłem i nie zarobi fortuny na śmierci milionów ludzi. Co nasuwa mi na myśl inną kwestię zdrowotną - uśmiechnął się, gładko zmieniając temat.

- Jak się pani czuje?

- Całkiem dobrze. Operacja to nie był piknik, ale wszystko się udało.



- Cieszę się. Swain tam był, wie pani.  
Poczuła się, jakby zbił ją z nóg.

- Co? - zdołała wyszeptać.

- Przy pani operacji. Kiedy podłączono panią do płucoserca, o mało nie zemdlął.

- Skąd... skąd pan wie? - Była tak wstrząśnięta, że ledwie mogła mówić.

- Bo ja też tam byłem. Cóż... martwiłem się. To nie był drobny zabieg. Swain odwiedził panią także w sali pooperacyjnej, ale musiał wyjść, nim się pani obudziła.  
Nie wiedziała, jak to wszystko ogarnąć, co o tym myśleć.

- Wie pani już, co chce teraz robić? - spytał Vinay.

- Przede wszystkim odwiedzić matkę i siostrę. A potem... nie wiem. Muszę sobie znaleźć nową pracę.

- Jeśli jest jakaś dziedzina, w której chciałaby się pani wyszkolić... Zawsze znajdzie się zajęcie dla kogoś tak zaangażowanego, pomysłowego i lojalnego.

- Dziękuję za propozycję, ale muszę ją przemyśleć. Naprawdę nie mam pojęcia, co chcę robić.

- Może mnie uda się trochę w tym pomóc - powiedział, wstając z trudem z fotela. Używał teraz laski i opierał się na niej ciężko. - On czeka. Chce się pani z nim zobaczyć?

Nie musiała pytać, kto czeka. Serce jej podskoczyło, puls przyspieszył.

- Tak - odparła bez wahania.  
Frank Vinay się uśmiechnął.

- Cieszę się. Nie wiedziałem, czy pani rozumiała, jak trudne to było dla niego.

- Z początku nie rozumiałam - przyznała szczerze. - Byłam tak wstrząśnięta, kiedy zorientowałam się... ale potem zaczęłam myśleć.

Obszedł biurko i poklepał ją po ramieniu. - Miłego życia, Liliano.

- Na pewno będzie miłe, dziękuję... panie Rogers.

Frank Vinay uśmiechnął się i wyszedł z gabinetu. Dziesięć sekund później drzwi otworzyły się i stanął w nich Lucas Swain, przystojny jak zawsze. Ale tym razem się nie śmiał. Jego niebieskie oczy patrzyły niemal... z przerażeniem.

- Lily - zaczął. - Ja...

- Wiem - przerwała mu i ze śmiechem rzuciła się w jego objęcia. Miał doskonały refleks; otworzył ramiona i złapał ją.